



fabryka słów

ADAM PRZECHRZTA



**DEMONY
WŹJNY**

CZEŚĆ 2



ADAM PRZECHRZTA



DEMONY
WŹJNY CZĘŚĆ 2

fabryka słów®

Lublin 2014

Spis treści

Karta tytułowa

Cykl wojenny Adama Przechrztę

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Posłowie

Adam Przechrztę

Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się

Karta redakcyjna

Cykl wojenny Adama Przechrztzy:

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zoddali dochodziły odgłosy podobne do pomruków nadciągającej burzy; przysłuchawszy się, można było wyróżnić kilka tonów: od basowego grzmotu ciężkich dział po suchy łomot artylerii przeciwlotniczej. Mimo zacinającego w twarz mokrego śniegu ulice pełne były spieszących dokądś ludzi. Tylko taka pogoda gwarantowała względne bezpieczeństwo: przy dobrej widoczności nad miastem panowały samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Festung Breslau spływała krwią w żelaznych kleszczach najpotężniejszej armii świata.

Przeszedłem przez ulicę, skręciłem w Salzstrasse, mijając grupę zmęczonych nastolatków – obowiązek pracy dotyczył każdego powyżej dwunastego roku życia – i kolumnę żołnierzy na rowerach. Jak zauważyłem, kilka truppenfahrradów posiadało specjalne mocowania na panzerfausty. Cóż, czego jak czego, ale broni przeciwpancernej w Breslau nie brakowało. Początkowo nasi próbowali wdrzeć się do miasta, wykorzystując w walkach ulicznych czołgi z niewielką tylko osłoną piechoty. Zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Bywa, każdy popełnia błędy, grunt, żeby ich nie powtarzać...

Znienacka zawyły syreny i spod ciemnych, nawisłych chmur wyskoczyły dwa szturmowiki. Wbiegłem w najbliższą bramę, słysząc narastający ryk silników. A jednak kontynuują naloty mimo kiepskiej pogody, pomyślałem z satysfakcją. Obie maszyny najwyraźniej pozbyły się już bomb i zaatakowały z lotu nurkowego, zasypując ulicę gradem pocisków. Widać piloci po zbombardowaniu wyznaczonych celów postanowili jeszcze zapolować. Zuchy! Tak trzymać!

Terkotowi karabinów SzKAS zawtórował krzyk przechodniów. Parę osób schroniło się w bramach, ale większość uciekała w panice przed siebie. Nie ubiegli daleko: nie prześcigniesz samolotu, nie ujdiesz przed kulą. Litera S w skrócie SzKAS oznacza *skorostrielnyj*. Dziś na Salzstrasse wielu przekonało się, że słowo „szybkostrzelny” odpowiada prawdzie. Tyle że nikomu już o tym nie opowiedzą... Beznamiętnie obserwowałem masakrę: przeznaczone do zwalczania opancerzonych celów pociski rozrywały ludzkie ciała jak pazury niewidzialnej bestii, wyrzucając w powietrze strzępy tkanek. Na biały niczym nutowy papier śnieg spadły ciężkie szkarłatne krople, zapisując symfonię umierania. Stara, ubrana w liche paletko kobieta opadła na kolana i ostatkiem sił odepchnęła od siebie wyglądającą na góra dziesięć lat dziewczynkę. Seria z karabinu w ułamku sekundy zamieniła dziecko w okrwawiony ochłap mięsa. Mimo jazgotu kaemów usłyszałem rozpaczliwy, nieludzki skowyt. Kobieta podniosła się na nogi i kręciła wokół jak bąk, nie bacząc na siekące bruk pociski. Jeden ze szturmowików odleciał, drugi nabrał wysokości i wolno, z leniwą gracją położył się na skrzydło, zawracając, by kontynuować łowy.

Z pobliskiej kamienicy wyprysnął chłopak w mundurze Hitlerjugend, podbiegł do staruszki. Ta wyrwała mu się i szeroko rozkładając ramiona, ruszyła naprzeciwko pikującej śmierci. Zakląłem, rozpoznawszy dzieciaka: Horst, wnuk Zygfrieda von Bredowa, określanego w aktach GRU jako „Archiwista”. Cóż, trudno o lepszą okazję... Błyskawicznie dopadłem podrostka, ogłuszyłem, po czym powlokłem bezwładne ciało w stronę bramy. Zdążyłem tylko dlatego, że uwagę pilota przyciągnęła oszalała kobieta – krótkie warknięcie kaemów i jej głowa rozprysła się niczym dojrzały melon. Jakimś szóstym zmysłem wyczułem, że to już koniec, i rzeczywiście: samolot skrył się w chmurach, wokół rozległy się jęki rannych i wołania o pomoc.

Z głuchym stęknieniem dźwignąłem chłopaka i ruszyłem w stronę Odry – tuż przy rzece, w budynku należącym dawniej do Arbeitsamtu, działał szpital polowy. Niemal natychmiast na ulicy pojawiła się grupa ratowników, zaganiając do pomocy wszystkich ocalałych przechodniów. Mnie nikt nie zaczepiał: wyglądało, jakbym zajmował się ofiarą ostrzału. A może chodziło o mundur? Major Aleksander Roth, oficer do specjalnych poruczeń komendanta miasta, generała Hansa von Ahlfena, do usług...

Chłopak nie był specjalnie ciężki, ważył pewnie niewiele ponad sześćdziesiąt kilogramów, ale kiedy tylko się ocknął, bez ceregieli postawiłem go na nogi. Gdyby nie był synem Ingi von Bredow, z przyjemnością pozostawiłbym go na ulicy...

– Uderzył mnie pan, majorze! – odezwał się z pretensją w głosie. – Gdyby nie to, uratowałbym *Frau Willmer*, ja...

– Nikogo byś nie uratował, smarkaczu – odburknąłem. – Ona chciała zginąć.

Widać było wyraźnie, że nie zamierza ustąpić, ale nieoczekiwanie zgiął się wpół,

zwymiotował.

– Śnieg – powiedziałem. – Natrzyj twarz śniegiem.

Chłopak nabrał białego puchu trzęsącymi się dłońmi, niezdarnie roztarł po twarzy.

– Wyciągnął mnie pan spod ostrzału – wymamrotał po chwili. – Dziękuję...

Nie odpowiedziałem.

– Horst von Bredow – przedstawił się, stając na baczność.

– Znam cię – mruknąłem. – Jesteśmy sąsiadami.

– To pan wprowadził się do mieszkania Steffensenów?

Skinąłem głową. Przed zamknięciem okrążenia ewakuowano setki tysięcy cywilów i wiele mieszkań stało pustych. Kiedy pojawiłem się w mieście, poprosiłem o zakwaterowanie w kamienicy, w której żyła rodzina von Bredow. Moje życzenie spełniono natychmiast i nie dopytując o nic: dowództwo Festung Breslau miało ważniejsze problemy.

Ponownie wziąłem go pod ramię.

– Idziemy! – poleciłem. – Musi obejrzeć cię jakiś lekarz.

– Nic mi nie jest – odparł bez przekonania.

– Możesz mieć wstrząs mózgu – stwierdziłem szorstko. – Lepiej, jeśli dzień lub dwa posiedzisz w domu, a do tego konieczne jest zaświadczenie lekarza.

Odpowiedziało mi milczenie, nie było o czym gadać: za uchylanie się od walki czy pracy groziła kara śmierci.

Szpital powitał nas smrodem środków antyseptycznych i jękami rannych, od czasu do czasu rozlegało się zduszone, przeciągłe wycie – widać zaczynało brakować anestetyków.

– Lekarza! – zawołałem.

Po chwili wyszła do nas niewysoka, korpulentna kobieta o ziemistej cerze i zmęczonych oczach.

– Co się stało? – spytała.

– Atak lotniczy na Salzstrasse – wyjaśniłem krótko. – Zaraz zaczną przywozić rannych.

– A ten tutaj? – Wskazała chłopaka.

– Nic specjalnego, podejrzenie wstrząsu mózgu.

– Potrzebne wam zaświadczenie? – westchnęła.

– Na dzień albo dwa – przytaknąłem.

Kobieta z widoczną wprawą zbadała podrostka, po czym opatrzyła mu potężnego siniaka na skroni. Cóż, nie byłem zbyt delikatny...

– Dwa dni – zawyrokowała, pisząc coś na niewielkim karteluszk.

– Dziękuję – mruknąłem.

– Krewny? – rzuciła.

– Sąsiad.

– Odprowadzi go pan do domu? Niby nic mu nie jest, ale przeżył silny szok, jak padnie gdzieś po drodze...

– Odprowadzę – obiecałem.

– Mógłby pan też wspomnieć w sztabie o naszych problemach? – poprosiła.

– Ja?

– A jakże! Doktor Francke tydzień temu uzupełniał pańską kartę zdrowia. Pamięta pan?

– Owszem, i co z tego?

– Polecenie i dokumenty przyszły wprost ze sztabu generała von Ahlfena. Wraz z potężną partią plotek... Rozumie pan, brakuje nam wszystkiego. Czasami dostajemy co prawda zaopatrzenie z powietrza, ale to za mało. Jeszcze miesiąc czy dwa i wrócimy do ziołolecznictwa.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale proszę nie liczyć na wiele.

– Przynajmniej jeden, który nie obiecuje cudów – zauważyła cynicznie.

Zerknąłem kątem oka na młodego Horsta, ale dzieciak najwyraźniej nie wychwycił aluzji. Może i dobrze, bo pewnie poleciałyby z donosem na Gestapo. Choć w sumie co mnie to obchodzi? Niechby niemiecka bezpieka udzieliła lekcji pani doktor. Od razu przestałaby się martwić brakiem leków...

– Dziękuję pani – zakończyłem rozmowę.

Kobieta skinęła głową i zaczęła zwoływać personel. Kiedy wychodziliśmy, nadjechał pierwszy samochód z rannymi. To była jedna z kilku rzeczy, których moglibyśmy uczyć się u Niemców: organizacja. Nie wątpiłem, że mimo kiepskiej sytuacji wszystkie instytucje staną na wysokości zadania: będą leczyć, ratować i walczyć. Dopóki się da. Miałem nadzieję, że nie potrwa to długo...



Nie poznałem jej, kiedy stanęła w drzwiach; *wojennaja razwiedka* dysponowała jedynie czarno-białą fotografią sprzed dziesięciu lat. Czas okazał się dla niej łaskawy – blada, wymoczkowata dziewczyna zamieniła się w dojrzałą, świadomą swego uroku kobietę. Kształtne piersi rozpieierały materiał szarej domowej sukni, wąska talia, smukłe łydki i rozburzone w nieładzie blond włosy czyniły ją co najmniej pociągającą. Podobnie jak twarz o regularnych, choć o dziwo, bardziej słowiańskich niż germańskich rysach. Efekt psuły tylko błękitne, zimne jak dwie kostki lodu oczy i skrzywione w aroganckim wyrazie usta. Cóż, Inga Matyllda Judyta von Bredow należała do arystokracji...

Przedstawiłem się krótko: do tej pory nie miałem okazji poznać sąsiadów.

Odpowiedziała niemal niezauważalnym skinieniem głowy.

– Horst powinien przez dwa dni pozostać w domu – poinformowałem, podając zaświadczenie od lekarza. – Badanie wykluczyło wstrząs mózgu, ale lepiej nie ryzykować.

– Co się stało?! Horst?!

Kiedy patrzyła na syna, jej oczy zmieniły barwę, teraz przypominały bezchmurne niebo w słoneczny dzień.

– Pan major pomógł mi...

– Chłopak zasłabł na ulicy, odprowadziłem go do domu – przerwałem mu bezceremonialnie.

– Może wstąpi pan na chwilkę? – zaproponowała.

Przez otwarte drzwi doszedł mnie zapach kiełbasy i kiszonej kapusty. Niby nic nadzwyczajnego, ale ostatnio żywiłem się niemal wyłącznie zimnymi konserwami, nie miałem czasu na korzystanie z garnizonowej kuchni. Zaburczało mi w brzuchu, z trudem przełknąłem ślinę. Od czasów Leningradu wystarczyło, że opuściłem posiłek, a organizm reagował natychmiast wzmożonym apetytem, przechodzącym niekiedy wręcz w głodowe spazmy.

– Dziękuję – wymówiłem się grzecznie. – Może innym razem.

Wchodząc po stopniach, czułem na plecach jej wzrok. Miałem nadzieję, że moje zachowanie nie wzbudziło podejrzeń, w aktach *Frau* von Bredow widniała odrębna adnotacja: „Uwaga, inteligentna!”. W sumie nic dziwnego, jeśli wdała się w ojca...

Woda była ledwo ciepła, ale nie jestem wybredny – bywało, że myłem się i w zimnej. Na grzanie nie miałem siły ani ochoty. Nie dziś. Od momentu przybycia do miasta nie udało mi się przespać spokojnie nawet jednej nocy, bez przerwy kursowałem między sztabem a linią frontu. Dowódca Festung Breslau uczynił mnie odpowiedzialnym za rozpoznanie sił przeciwnika. Legenda opracowana przez GRU zadziałała bez pudła. Być może nawet zbyt dobrze... Według spreparowanych przez naszych specjalistów dokumentów w przeszłości byłem oficerem Abwehry, który zakończył błyskotliwą karierę tuż przed przejściem kontroli nad niemieckim wywiadem wojskowym przez SS-Brigadeführera Waltera Schellenberga. Zakończył, rzecz jasna, wyłącznie z przyczyn medycznych... Historyjka była bardzo subtelnym sygnałem, że raczej nie należę do wielbicieli SS. Papiery trafiły wszędzie, gdzie trzeba, łącznie z główną siedzibą RSHA, a bogata kolekcja blizn, jaką dysponowałem, mogła potwierdzić każde kłamstwo, które znalazło się w mojej karcie zdrowia. Ta ostatnia zawierała też stwierdzenie, że w związku ze skuteczną terapią dawnych kontuzji jestem znowu gotowy do służby. W Breslau brakowało oficerów, nic dziwnego, że generał von Ahlfen zainteresował się moją skromną osobą. Największe wrażenie zrobiła na nim lista moich rzekomych osiągnięć z czasów pracy w Abwehrze, potwierdzona przez kilku prominentnych pracowników wywiadu. Tamci

nie mieli wyboru: ich rodziny znajdowały się już w rękach *wojennej rozwiadki*.

Ogoliłem się pospiesznie, użyłem wody kolońskiej i narzuciwszy elegancki jedwabny szlafrok, zerknąłem w lustro. Trzeba przyznać, że nie odbiegałem specjalnie od ideału aryjskiej urody: ciemnoblond włosy, szare oczy, mocno zarysowany podbródek, skąpe owłosienie ciała – kolejny plus w oczach hitlerowskich specjalistów wyczulonych na „małpie futro”. To była przyczyna, dla której wybrano mnie do tej misji. Jedna z przyczyn.

Udałem się do kuchni, gdzie po krótkich poszukiwaniach znalazłem czajnik i kilka talerzy – nie orientowałem się jeszcze zbyt dobrze w gospodarstwie Steffensenów. Swoją drogą, dziwne nazwisko, z pewnością nie niemieckie. Może to jacyś przybysze z Danii?

Zapaliłem świecę, pokrojoną w kawałki konserwę starannie ułożyłem na porcelanowym talerzu, otworzyłem paczkę razowego chleba. Normalnie nie zadawałbym sobie tyle trudu, aby zjeść, nie ma co ukrywać, dość banalny posiłek, ale musiałem odgrywać swoją rolę. Niemieccy oficerowie nie używają gazety jako obrusu i przy jedzeniu wolą posługiwać się sztućcami niż bagnetem...

Wybór alkoholi był nienadzwyczajny: wódka, pozostawiony przez Steffensenów orzechowy likier i ukraińskie czerwone wino Massandra. Po namyśle zdecydowałem się na wino. Wolałbym co prawda łyknąć czegoś mocniejszego, ale jak uprzedziła mnie Lidia Zosimowna Siwers, lepiej, żebym trzymał na wodzy swoje, jak się wyraziła: plebejskie gusta. *Niczego*, dam radę...

Posiłek przerwał mi dźwięk dzwonka – najwyraźniej ktoś pilnie potrzebował majora Rotha. Miałem nadzieję, że to nie goniec ze sztabu, byłem śmiertelnie zmęczony. Otarłem usta serwetką i poczłapałem do drzwi.

– Czym mogę pani służyć? – spytałem z nieudawanym znużeniem.

Musiałem wypaść przekonująco, bo na twarzy Ingi von Bredow odmalowało się zmieszanie.

– Mogę wejść?

– Oczywiście, proszę.

Dopiero teraz zauważyłem, że kobieta dźwiga owinięty kocem garnek. Bez słowa podsunąłem jej krzesło, zaprosiłem gestem do stołu.

– Pomyślałam, że nieco wzbogacę pańskie menu – powiedziała z ledwie wyczuwalną nutą ironii.

Uniosła pokrywkę, zapachniało pieczoną kiełbasą.

– Oddaje mi pani swój obiad?

Nie zaprzeczyła, oboje wiedzieliśmy, że choć w Breslau nie ma jeszcze głodu, nikt nie marnotrawi jedzenia. Jeśli ktoś ma trzyosobową rodzinę, to nie szykuje czterech porcji.

– To najmniejsze, co mogę zrobić – odparła, spuszcżając wzrok. – Gdyby nie pan...

Horst opowiedział mi o wszystkim. Chciałam...

Przerwałem jej ospałym gestem, nie byłem w nastroju do wysłuchiwania podziękowań.

– Dajmy temu spokój – poprosiłem. – Co do obiadu, chętnie się poczęstuję, ale tylko wtedy, gdy zgodzi się pani zjeść go ze mną. Tego wymaga elementarna przyzwoitość – dodałem, widząc, że patrzy na mnie spod namarszczonych brwi.

Milczała przez chwilę, wiedziałem, o co jej chodzi: wspólny posiłek to dopuszczenie do pewnej poufałości, a wyglądało, że moja sąsiadka jest pod tym względem wyjątkowo ostrożna. To akurat zrozumiałe; w przepełnionym pobudzonymi wojaczką samcami mieście atrakcyjna kobieta narażona była na rozliczne zaczepki.

– Chce się pani głodzić dla idei? – rzuciłem kpiąco. – Zapewniam, że nie potraktuję tego jako randki...

Myślałem, że przeciągnąłem strunę, jej oczy znowu stały się chłodne, ale po chwili uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Trzymam pana za słowo – oznajmiła.

– W takim razie postaram się znaleźć dodatkowe nakrycie.

– Nie, nie! – powstrzymała mnie stanowczo. – Proszę siedzieć. Zrobię to szybciej niż pan, wiem, gdzie co jest, przyjaźniłam się z Anną Steffensen – dodała wyjaśniająco.

Rzeczywiście, zanim zdążyłem rozlać wino, była już z powrotem. Kiełbasę i kapustę podzieliła na pół, choć wszystkie ziemniaki dostały się mnie.

– Idą w biodra – stwierdziła rzeczowo.

Wzruszyłem ramionami i milcząc, uniosłem kieliszek: w obleżonym Breslau nie było powodów dla gromkich toastów. Przez jakiś czas nie odzywaliśmy się do siebie, oboje byliśmy zajęci posiłkiem.

– Pyszności – powiedziałem wreszcie, sięgając ponownie po butelkę.

– Znakomite wino – odwzajemniła komplement Inga von Bredow.

Chyba naprawdę jej smakowało, delektowała się alkoholem z wyraźną przyjemnością.

– Skąd nazwa „Massandra”?

– To winnice na Krymie. Kompleks podziemnych piwnic założono tam jeszcze w dziewiętnastym wieku. Projektem kierował książę Golicyn – wyjaśniłem.

– Trunek nie pochodzi chyba z naszych zapasów? Podobnie jak i konserwa?

– Istotnie – potwierdziłem, nie dając żadnych objaśnień.

Ciekawe, czy przynęta zadziała?

– Pan był po tamtej stronie, prawda?

Zadziałała...

– Rozumie pani, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie?

Zagryzła wargi, widać było, że jest w rozterce. Wiedziałem, co ją interesuje: czy

mamy szansę się obronić? Z drugiej strony byłem dla niej niewiadomą – a nuż doniosę Gestapo? Gdyby oskarżono ją o defetyzm, nie pomógłby jej nawet ojciec. Wątpiłem zresztą, aby jego notowania stały zbyt wysoko: Zygfryd von Bredow nigdy nie był specjalnym entuzjastą idei narodowosocjalistycznych, kierowanie jednym z najtajniejszych programów Trzeciej Rzeszy zaproponowano mu wyłącznie ze względu na posiadaną wiedzę i umiejętności.

– Nie chodzi mi o tajemnice wojskowe, chciałabym jedynie poznać pańską opinię na temat naszej – zawahała się – sytuacji.

Wstałem, ująłem ją pod rękę i bez słowa podprowadziłem do okna. Kiedy zerknęła na mnie niespokojnie, w milczeniu wskazałem napis na ścianie przeciwległego budynku: KAPITULIEREN? NEIN!

Od razu pojęła, o co mi chodzi, może rzeczywiście odziedziczyła po ojcu nie tylko nazwisko?

– Przepraszam – mruknęła, jak się wydawało, z autentycznym poczuciem winy. – Nie powinnam w ogóle poruszać tego tematu. I tak zrobił pan dla mnie... dla mojej rodziny więcej niż ktokolwiek inny. Ale martwię się, Horst pomaga w obronie miasta wraz z kolegami z Hitlerjugend, a moja córka ma zaledwie pięć lat. Co z nimi będzie? Co nas czeka? Ja...

Uciszyłem Inge, kładąc palec na ustach. Zamilkła posłusznie.

– Może porozmawiamy jutro? – zaproponowałem. – Kiedy wrócę ze sztabu.

I znowu wychwyciłem w jej oczach błysk zrozumienia: rozmowa na temat oblężenia była ryzykowna także i dla mnie. Zapewne spodziewała się, że sprawdzę, kim jest. Nie mogła wiedzieć, że znam jej życiorys na pamięć...

– Oczywiście – przytaknęła z wdzięcznością. – Teraz proszę odpocząć, widzę, że ledwo trzyma się pan na nogach, sama sprzątnę naczynia i zamknę drzwi.

– Dziękuję – wymamrotałem. – Klucz jest...

– Mam własny – poinformowała mnie z lekkim zakłopotaniem. – Anna prosiła mnie, żebym przypilnowała jej mieszkania. I proszę się nie obawiać, nie wykorzystam go wbrew pańskiej woli... – urwała, uświadomiwszy sobie dwuznaczność tego, co powiedziała.

– Gdyby nawet, postaram się przyjąć to z godnością – zapewniłem z kamiennym wyrazem twarzy.

Przez moment irytacja – w końcu poznaliśmy się ledwo godzinę temu – walczyła w niej z rozbawieniem. Ostatecznie to drugie uczucie zwyciężyło. Kiedy otwierałem drzwi sypialni, słyszałem za plecami szczęk naczyń i cichy śmiech Ingi von Bredow.



Zbudził mnie grzmot dział i wycie syren, odgłosy, którymi zaczynał się niemal każdy poranek w Breslau. Pewnie byłem jedyną osobą w mieście wsłuchującą się w nie z radością: za bombardowaną Moskwę, za Leningrad, za spalone wioski i umierające z głodu dzieci! Ognia i jeszcze raz ognia!

Wytaszczyłem spod łóżka ważącą kilkadziesiąt kilogramów kulolaskę – widocznie ktoś w rodzinie Steffensenów zajmował się sportem – i rozpocząłem poranną gimnastykę. Zerknąłem na zegar, dochodziła szósta rano, przespałem prawie dwanaście godzin. Nic dziwnego, że czułem się wypoczęty. Bogiem a prawdą, od czasów Leningradu rzadko kiedy miałem problemy z kondycją, mimo nieregularnego i, nie da się ukryć, dość ryzykownego trybu życia. Może w teoriach Doskonałych było jednak jakieś racjonalne sedno? Skończywszy trening, pomaszerowałem do łazienki. Otworzyłem drzwi i zatrzymałem się jak rażony gromem: na przecigniętych nad wanną sznurkach wisiał mój mundur polowy i bielizna. Wyprane. Zakląłem pod nosem. Niemożliwe przecież, żeby moja sąsiadka... A jednak! W salonie odkryłem kilka wyprasowanych koszul, na stole stał zakutany w koc garnek i termos. Wyjąłem korek, powąchałem: kawa. Prawdziwa kawa, żadne tam palone żołądźce czy cykoria. Co jest, do cholery?! Być może hrabianka von Bredow chciała mi wyrazić wdzięczność za uratowanie syna, ale od tego do prania gaci obcego faceta daleka droga...

Dokonawszy pospiesznych ablucji, wróciłem do stołu. Nie przepadam za kawą, ale szkoda marnować ciepły posiłek. Teraz to rzadkość, nie tylko na froncie... W garnku czekała na mnie owsianka na prawdziwym mleku, obok na dnie słoika odrobina sztucznego miodu. No, no... Nie ulegało wątpliwości, że *Frau* Inga czegoś ode mnie chce. Tylko czego? Profesjonalnej opinii na temat obłączenia? Nie, tu musi chodzić o coś więcej... Bo założyłbym się, że moja sąsiadka ofiarowała mi, co miała najlepszego: w sprzedaży były tylko erzace kawy, a mleka, nawet w proszku, brakowało i dla dzieci... To było żarcie grubo powyżej standardu. No nic, prędzej czy później dowiem się, w czym rzecz, a biorąc pod uwagę sytuację, raczej prędzej niż później. Gdyby sprawa nie była pilna, *Frau* Inga nie działałaby tak... energicznie.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu: oficer dyżurny garnizonu, czas się zbierać. Brudne naczynia zostawiłem na stole, zapewne zajmie się nimi pani von Bredow. Podeszedłem do lustra, skontrolowałem mundur. Na oko wszystko w porządku: Krzyż Rycerski, srebrna Odznaka za Rany, Szturmowa Odznaka Piechoty...

Z kontemplacji własnej osoby wyrwało mnie pukanie: ktoś dobijał się do drzwi, nie oszczędzając dłoni. Na pewno nie kobieca ręka, choć i nie Gestapo, ci raczej walą pięścią, tak samo jak nasza bezpieka... Na wszelki wypadek poluzowałem rzemień kabury. Otworzyłem, w progu stanął żołnierz w mundurze spadochroniarza. No tak, moja asysta... Kiedy przedstawiłem w sztabie plan szeregu wypadów za linię frontu,

było oczywiste, że przyda mi się wsparcie: ktoś musiał mnie ubezpieczać od niemieckiej strony i udzielić pomocy w razie kłopotów z Rosjanami. Stąd *Fallschirmjäger*.

– Sierżant Becker – przedstawił się krótko przybyły.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie bez słowa. Nie wszyscy z przerzuconych niedawno do Breslau spadochroniarzy byli weteranami, część przeszła chrzest bojowy dopiero w styczniu, w czasie walk na Pomorzu. Tymczasem ja potrzebowałem najlepszych, nie miałem zamiaru dać się zabić na parę tygodni przed końcem wojny. Sam sierżant wyglądał obiecująco: krępy, o rzucającej się w oczy sprawności fizycznej, z paskudną wąską blizną na ogorzalej twarzy. Widać, że nie pierwszy dzień w mundurze.

– Proszę wejść. – Uczyliłem gest w kierunku mieszkania. – Jak ekipa?

– Zebrałem coś w rodzaju plutonu – poinformował, obrzucając łakomym spojrzeniem butelkę wódki. – Zgodnie z rozkazami.

– Częstoście się – mruknąłem. – I dlaczego „coś w rodzaju”?

– Naprawdę mogę? – upewnił się.

Z westchnieniem nalałem mu pół szklanki, podsunąłem konserwę i otwieracz.

– Możesz – burknąłem, z premedytacją przechodząc na ty.

Nie miałem czasu na długie podchody, a potrzebna mi była akceptacja sierżanta, wiedziałem, że sam nie poradzę sobie ze zbieraniną, jaką zapewne stanowił „mój” pluton.

– Mamy dwudziestu ludzi, a więc w zasadzie tylko dwie drużyny – wyjaśnił pospiesznie, widząc, jak sięgam po płaszcz.

Także wódka i konserwa zniknęły w zadziwiająco szybkim tempie...

– Jak z doświadczeniem?

– Wszyscy to weterani – zapewnił. – Kreta, Norwegia, Rosja...

– Co teraz robią?

– Czekają na rozkazy. – Wzruszył ramionami. – Umieściłem ich w koszarach, w osobnym budynku z salą treningową.

– Dobrze. W drogę! – poleciłem.

– Co będziemy robić? – zapytał na schodach.

– Później! – Machnąłem niecierpliwie ręką.

Przed domem czekał na nas schwimmwagen w zimowym kamuflażu.

– Mamy jeszcze jakieś pojazdy?

– Tylko opla blitz.

– To w zupełności wystarczy na nasze potrzeby.

– Co będziemy robić? – powtórzył, siadając za kierownicą.

– Chodzi o rekonesans, w zasadzie serię rekonesansów...

– To wariactwo! – wybuchnął. – Mysz się nie prześliznie!

– Jedź! – rozkazałem. – Pogadamy w drodze.

Ruszył posłusznie, ale jego wzrok był bardziej wymowny niż słowa. Najwyraźniej sierżant Becker doszedł do wniosku, że trafił na kretyna chcącego koniecznie zarobić na order jeszcze przed końcem strzelaniny. Rzecz jasna, cudzym kosztem... Roześmiałem się mimo woli: fakt, że nawet żołnierz elitarniej, było nie było, formacji nie miał zamiaru nadmiernie ryzykować, mówił wiele o nastrojach załogi Breslau. Oczywiście zrobi, co mu każą, ale z pewnością bez nadmiernego entuzjazmu. Nie żeby miało to jakieś wielkie znaczenie: Festung Breslau broniła się jeszcze tylko dlatego, że większość sił Armii Czerwonej skierowano na Berlin. To był priorytet, absolutny priorytet. Wątpiłem, żeby miasto utrzymało się dłużej niż dwa, góra trzy tygodnie, ale nawet gdyby, powracające z głębi Niemiec wojska skruszą obronę niczym skorupkę jajka.

– Jak masz na imię?

– Karl – oburknął, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem.

– Nie martw się, Karl, wy będziecie tylko ubezpieczać, do Ruskich pójdzie kapitan Tichonow.

– Jaki, do licha, Tichonow?!

Sięgnąłem w zanadrze, zademonstrowałem legitymację *wojennej rozwiadki*.

– Kapitan *Głównego Rozwiadywatełnego Uprawlenija* Tichonow – powiedziałem.

Sierżant rzucił okiem na zdjęcie, zagryzł wargi.

– Wygłupiłem się, prawda?

– Tylko trochę – zapewniłem z uśmiechem. – Pewnie na twoim miejscu zareagowałbym podobnie. Wariatów nie brakuje...

– Robił pan to już kiedyś, majorze?

– Bywało.

– Nasze zadania?

– Mam zamiar poszwendać się w strefie przyfrontowej, sprawdzić morale i zaopatrzenie żołnierzy, rozlokowanie jednostek i co tam jeszcze da radę. Bez fanatyzmu, nie interesują mnie pośmiertne nagrody... Każdy taki wypad to kilka godzin, nie więcej. Jednak trzeba, żeby ktoś zabezpieczał odcinek, przez który przejdę i wrócę. Rozumiesz, nie chcę, żeby jakiś kretyn z Hitlerjugend czy innego Volkssturmu postrzelił mnie w dupę, no a w razie pościgu ze strony Rosjan będę potrzebował wsparcia.

– Co teraz? Chce pan zerknąć na ekipę?

– To także.

– A co jeszcze?

– Potrenujemy, Karl. Potrenujemy. Oddział musi się zintegrować.

– Dobre chłańsko też załatwiłoby sprawę – zauważył.

– Podobnie jak wizyta w burdelu. Niestety, na dzisiaj mamy inne plany...

– Trudno – westchnął z przesadnym żalem. – Może innym razem.

Roześmialiśmy się zgodnie, do koszar dojechaliśmy w przyjaznym milczeniu. Cóż, może sierżant Becker nie pozwolił mnie zabić? Czas pokaże.



Zerknąłem na zegarek – po trwających godzinę walkach na placu boju pozostało trzech zawodników: sierżant Becker, Hartmann – wielkie, ponaddwumetrowe chłopisko, i niski, zwinny facecik nazywany Lisem. Co dziwne, mimo że większość żołnierzy nie znała się bliżej, w grupie błyskawicznie ustaliła się wyraźna, choć mało przejrzysta na pierwszy rzut oka hierarchia. Ot, choćby sposób zwracania się do siebie: do Beckera mówiono „sierżancie” (jeden kapral Pimke używał jego imienia), do Hartmanna i paru innych odzywano się po nazwisku, w odniesieniu do pozostałych stosowano rozmaite, często złośliwe przezwiska.

– Co teraz? – zapytał, ocierając pot z czoła, Becker. – Mam rozłożyć na łopatki tych dwóch matolek?

Żołnierze zareagowali gwizdami i śmiechem: każdy ze zwycięzców walczył w wybranej losowo, siedmioosobowej grupie. Wszyscy przypuszczali, że teraz zmierzą się między sobą. Widać było, że współzawodnictwo ożywiło atmosferę i przełamało pierwsze lody. Dobrze! Pozostawała jeszcze jedna, dużo ważniejsza sprawa: chciałem, żeby zaakceptowano mnie jako dowódcę. Potrzebowałem prawdziwego, nie tylko formalnego poparcia grupy.

– Nie zgadłeś, Karl, nie będziecie walczyć między sobą.

– To w jaki sposób ustalimy, kto jest najlepszy?

– To proste: wygra ten, kto mnie pokona – powiedziałem, rozpinając mundur.

Początkowo odpowiedziała mi pełna zdumienia cisza, ale już po chwili sala ponownie eksplodowała gwizdami i oklaskami, zaczęto przyjmować zakłady. Trzeba przyznać, że nie oceniano mnie zbyt wysoko, większość stawiała na sierżanta lub Hartmanna.

– Cóż – stwierdził Becker, wychodząc na środek – chyba mamy tu mały problem...

Widziałem, że sierżant przygląda się moim bliźnim, w jego wzroku pojawiła się ostrożność. Także wśród żołnierzy rozległy się zduszone szepty, ktoś zaklął, kto inny próbował zmienić stawkę.

Becker zaatakował pierwszy, pchnął mnie, po czym natychmiast pociągnął ku sobie, usiłując wykonać rzut przez biodro. Zabroniłem używania uderzeń i kopnięć, nie miałem zamiaru zdekompletować oddziału jeszcze przed pierwszą akcją...

Gwałtownym skrętem wyzwoliłem ramię z uchwytu, błyskawicznie chwyciłem

sierzanta pod brodę, umieściwszy jednocześnie lewą dłoń na czubku jego głowy. Oszczędny, niemal niewidoczny ruch i Karl Becker wylądował na parkiecie. Nie można oprzeć się komuś, kto próbuje skrócić wam kark.

– To było... niespodziewane – przyznał, podnosząc się, Becker.

Żołnierze zawyli urągliwie, nie szczędząc mu dobrych rad i narzekając na poniesione w zakładach straty. Jednak w ich głosach nie wychwyciłem prawdziwego gniewu, przeważało raczej podszyte satysfakcją zdumienie: znaczy nie przydzielono im na dowódcę kompletnego fajtlapy.

– Kto następny? – spytał Becker, kiedy rozmasował sobie kark.

– Hartmann – zdecydowałem z uśmiechem.

Olbrzym natychmiast przyjął pozycję zapaśniczą i zaczął zbliżać się do mnie na ugiętych nogach. Mimo demonstracyjnej pewności siebie nie byłem przekonany co do zwycięstwa w tym pojedynku. Mężczyzna miał ramię jak moje udo, jeśli dostanę się w jego łapy, facet wyrwie mnie jak rzodkiewkę. Albo po prostu wkręci w podłogę...

Przechwyciłem jego rękę, zanim zdążył złapać mnie za ramię, wyłamałem dwa palce. Coś trzasnęło i wielkolud z niedowierzaniem w oczach zwałił się na kolana.

– Przegrałem – oświadczył ze zdumieniem. – Naprawdę przegrałem...

Ryk aplauzu niemal mnie ogłuszył, po twarzach żołnierzy widziałem, że na moment zapomnieli o obłęzieniu. Rozgrzani wesołością kolegów, poczuli się sprawni, silni, niezwyciężeni. Przez chwilę.

– Pokaż rękę – poleciłem Hartmannowi.

– Nic mi nie jest, ja...

Obejrzałem dłoń żołnierza, jeden ze stawów wyraźnie napuchł. Ani chybi przemieszczenie.

– Nie ruszaj się! – rozkazałem.

Pociągnąłem energicznie, suchy chrzęst świadczył, że palec wrócił na swoje miejsce.

– Zwalniam cię z prac fizycznych, dopóki opuchlizna całkiem nie zejdzie. Po zajęciach zgłosisz się do lekarza.

– Kiedy naprawdę nic mi nie jest – zaproponował Hartmann. – A teraz nawet już nie boli.

– Żeby nie musiał dwa razy powtarzać! – rzuciłem groźnię.

– Tak jest! Natychmiast po zajęciach zgłosisz się do lekarza!

– Został jeszcze Lis – przypomniał jeden z żołnierzy.

– Raczej egzekucja Lisa – odburknął inny.

– Stawiam na niego sto marek – nieoczekiwanie odezwał się Becker.

W głosie sierżanta pobrzmiwała niewzruszona pewność siebie. No, no, ryzykant z niego, nie przypuszczałem, żeby niski żołnierz mógł mnie czymś zaskoczyć. Choć Bogiem a prawdą nie przyglądałem się, jak walczy: bardziej interesowali mnie

Hartmann i sam Becker. Sto marek... Toż to niemal pół miesięcznego żołdu!

– Zaczynamy! – zarządziłem.

Mój przeciwnik wyszedł na środek niezgrabnym, posuwistym krokiem, opierając ciężar ciała na wewnętrznych krawędziach stóp, tak jakby miał problemy z płaskostopiem. Żeby mu się tylko nóżki nie splątały, pomyślałem z rozbawieniem. Złapałem go za ramię, chcąc jak najszybciej zakończyć walkę. Sam nie wiem, co mnie ostrzegło. Instykt, a może wyraz twarzy żołnierza? Niemal w tym samym momencie odskoczyłem do tyłu, klnąc paskudnie: ledwo uniknąłem wykonanego z niewiarygodną szybkością podcięcia. Prawie dałem się złapać: platfus u spadochroniarza? Akurat! W ułamek sekundy później Lis zaatakował, to podcinając, to próbując pozbawić mnie równowagi, aby przejść do rzutu. Z podobnej klasy przeciwnikiem walczyłem tylko raz, może dwa razy w życiu. Nie licząc, rzecz jasna, białogwardzisty Majki...

Mimo mało imponującej postury Lis dysponował niebagatelną siłą: miałem wrażenie, że cały składa się z kości, ścięgien i wytrzymałych niczym stalowe liny mięśni. Przez dłuższy czas to jeden, to drugi z nas usiłował powalić rywala. Bezskutecznie. Zaczynałem odczuwać zmęczenie, kilkakrotnie dłonie ześliznęły mi się po spoconym torsie przeciwnika; obaj walczyliśmy rozebrani do pasa. Wreszcie udało mi się objąć Lisa w pół i dźwignąć do góry. Technika nie była specjalnie wyrafinowana – wykorzystałem wyższy wzrost i zwykłą fizyczną siłę. Zanim cisnąłem nim o posadzkę, poczułem, jak wiotczeje mi w ramionach. Zaskoczony, rozluźniłem nieco uścisk i to wystarczyło: znieńska horyzont wywinął koziołka i wyłożyłem się jak długi – wysliznąwszy się z uchwytu, Lis złapał mnie za kostki i przerzucił przez plecy. Koniec meczu, wynik: dwa do jednego dla majora Rotha. Cóż, mogło być gorzej...

– Nic panu nie jest, majorze? – upewnił się zwycięzca, podając mi rękę.

– Żyję – odburknąłem niechętnie.

Mimo ostentacyjnie wyrażanej troski w oczach żołnierza błyszcząły złośliwe ogniki. A to gadzina!

– Teraz już pan wie, majorze, dlaczego nazywają go „Lis” – zarechotał Becker. – I niech nikt nie waży się wyjść, póki nie odbiorę swojej wygranej! – uprzedził surowym tonem.

Zbiorowy jęk świadczył, że w ostatniej walce większość postawiła na mnie.

– Gdzieś się tak nauczył walczyć? – spytałem.

– W berlińskiej szkole Rahna – odpowiedział za niego Becker.

– Ericha Rahna?

– Tego samego – oświadczył sierżant, przeliczając z wyraźną przyjemnością pokaźny plik banknotów.

No, no... Ciekawe. Trzeba będzie przy jakiejś okazji uciąć sobie pogawędkę

z Lisem. *Wojennaja razwiedka* od dawna interesowała się szkołą Rahna.

Nałożyłem bluzę, starannie zapiąłem guziki munduru. Czas kończyć zabawę. Gwizdnąłem ostro, przerywając rozmowy i przyjacielskie docinki. Żołnierze na komendę Beckera stanęli w dwuszeręgu.

– Od jutra pełna gotowość bojowa! – zarządziłem. – Dziś rozlokujecie się w naszym baraku, jedzenie doniosą wam z kuchni. Żadnych rozmów i kontaktów z resztą garnizonu, warta przez całą dobę, sprawdzić broń i sprzęt! Dopilnujecie tego, sierżancie!

– *Jawohl!* – szczechnął słuźbiście Becker.

Powiodłem zimnym wzrokiem po zastygłych w bezruchu sylwetkach, szukając najmniejszych oznak niesubordynacji. Postanowiłem, że jakby co, załatwię sprawę tu i teraz. Wspólna zabawa to świetny sposób, żeby nawiązać bliższy kontakt z żołnierzami, jednak zaraz potem trzeba się upewnić, że wszyscy nadal rozumieją, kto tu rządzi. W razie najmniejszych wątpliwości – zademonstrować.

Oparłem dłoń na kaburze, w milczeniu studiowałem nieruchome niczym woskowe maski twarze: Becker, Hartmann, Lis. Wszyscy wyprężeni w pozycji zasadniczej, żadnej nonszalancji, ukradkowych uśmieszków, nawet wyzywającego spojrzenia. Taaak... Chyba pojęli lekcję. Dobry dowódca rzadko kiedy grozi wprost, raczej daje do zrozumienia, jakie mogą być konsekwencje braku dyscypliny.

– Dajcie „spocznij” – zezwoliłem.

– *Rührt euch!*

Zanim doszedłem do wyjścia, któryś z żołnierzy otworzył mi drzwi, inny popędził do samochodu. Wyglądało, że ustaliłem swoją pozycję w grupie...



Odczekała jakieś dwadzieścia minut, akurat tyle, żebym mógł się wykąpać i przebrać. Pewnie widziała przez okno, jak wracałem. Zapukała, kiedy zacząłem rozglądać się za czymś do jedzenia. Wpuściłem ją bez słowa, zaprosiłem do stołu. Tak jak ostatnio, przyniosła mi posiłek, tym razem było to coś w rodzaju gulaszu. Mój wkład w organizację obiadu ograniczył się do zapalenia świecy i rozlania alkoholu – o resztę zatroszczyła się *Frau* von Bredow. Nie pytałem o nic, czekałem. Gdybym odezwał się pierwszy, osłabiłbym swoją przewagę. Wolałem, żeby to moja sąsiadka rozpoczęła rozmowę. Tymczasem siedzieliśmy, popijając wino, i wymienialiśmy banalne uwagi na temat pogody. Tak jakby ostra zima była naszym największym zmartwieniem...

– Nie ułatwi mi pan tego, prawda? – spytała wreszcie Inga von Bredow z rezygnacją w głosie.

- Wolałbym nie wysnuwać przedwczesnych wniosków – odparłem wymijająco.
- Och, proszę się nie krygować! Na pewno dawno domyślił się pan wszystkiego!
- Jeśli nawet, byłbym wdzięczny za postawienie kropki nad i.

Moja sąsiadka parsknęła gniewnie – widać było, że nie jest przyzwyczajona do spełniania czyichkolwiek życzeń – ale w końcu skinęła głową.

– Potrzebuję pańskiej pomocy – oświadczyła bez ogródek. – Jestem wdową, mój mąż poległ dwa lata temu, a Horst to jeszcze chłopiec. Ze względu na konieczność opieki nad córką jestem zwolniona z obowiązku pracy, stąd mogę poprowadzić panu dom. Krótko mówiąc: proponuję panu usługi gospodyni i kucharki.

- Co w zamian?
- Wystarczy mi pańskie towarzystwo, być może czasem o coś pana poproszę.
- Nie rozumiem?
- Och, nie miałam na myśli...

O dziwo, Inga von Bredow zaczerwieniła się jak piwonia.

– Moje dzieci się boją – powiedziała. – Horst tego nie okazuje, ale widzę to w jego oczach... A córka... Potrzeba im obecności mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny. Do tego bywa, że samotna kobieta traktowana jest jak łup wojenny.

– Więc chodzi o to, żebym od czasu do czasu pojawił się w pani mieszkaniu i robił wrażenie... przyjaciela rodziny?

- Dokładnie tak – potwierdziła z wyraźną ulgą.
- W porządku – oświadczyłem. – Ale mam jeden warunek.
- Jaki?

– Proponuję mówić sobie po imieniu. Zwracanie się do kobiety, która pierze mi bieliznę, per „pani hrabianko” jest dla mnie nieco zbyt... ekstrawaganckie.

– Zgoda – odpowiedziała natychmiast. – Sama chciałam to zaproponować. I na przyszłość proszę darować sobie tę hrabiankę. Tu i teraz nie ma to najmniejszego znaczenia.

- Rzeczywiście. Tu i teraz – zaakcentowałem.
- Co pan ma... Co masz na myśli?
- Rosjanie nie lubią arystokracji.

Zagryzła wargi, w jej oczach pojawił się strach. Na moment, szybko zastąpiła go determinacją. Najwyraźniej mimo uprzywilejowanej pozycji społecznej Inga von Bredow nie należała do mięczaków.

– Nie dowiedzą się – oświadczyła pewnie. – Niewiele osób wie, kim jestem, a ci mnie nie wydadzą.

Spojrzałem na nią z autentycznym zdumieniem: jeśli w to wierzyła, uwierzy także w hufce anielskie albo cudowną broń Hitlera.

- Co znowu? Znam ich od dziecka, oni... – urwała, patrząc na mnie niepewnie.
- Inga, Inga... – westchnąłem, biorąc ją za rękę.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – oświadczyła sztywno, cofając dłoń.

– Jak rozumiem, inni kandydaci na „przyjaciół rodziny” mieli wobec ciebie konkretne oczekiwania? – spytałem domyślnie.

– Jacy „inni”?

– Przedstawiając mi swoją propozycję, wspomniałaś, że nadałby się w zasadzie każdy mężczyzna. Nie przypuszczam, żebym był pierwszym i jedynym kandydatem...

– Owszem – przyznała niechętnie. – Co to ma za znaczenie?

– Dlaczego właśnie ja? Sądziłaś, że nie będę stawiał warunków co do naszych wzajemnych... relacji?

– A będziesz? – odbiła pytanie.

– Nie mam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek, ale chcę wiedzieć, dlaczego akurat mnie zaproponowałaś ten... układ. Przecież ledwo się znamy.

– Nikt inny nie zaryzykowałby życia dla mojego syna. No i cieszysz się opinią człowieka, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Mam znajomego w sztabie von Ahlfena – dodała wyjaśniająco. – Zacytował mi kilka urywków z twojego dossier.

– Rozumiem – mruknąłem. – Jestem wilkiem, który ma odstraszyć psy...

– Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony?

– Skąd! – Wzruszyłem ramionami. – Zresztą układ jest korzystny i dla mnie: trudno dziś o dobrą kucharkę...

– Odpowiesz teraz na moje pytanie? Co z nami będzie? Czy Breslau się obroni? Z westchnieniem przeniosłem się na kanapę, rozprostowałem nogi.

– W tej kwestii istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź i tę już znasz.

– Myślałam, że mnie już sprawdziłeś i wiesz, że nie polecę nigdzie z donosem!

– Bądź uprzejma nie podnosić głosu – poprosiłem chłodno. – Sprawdziłem? A niby kiedy? Jestem oficerem w służbie czynnej i jako taki otrzymałem konkretne zadanie do wykonania. Jest ono związane z obroną Breslau, a nie osobą hrabianki Ingi Matyldy Judyty von Bredow. Wiem tylko, że twój ojciec robił coś dla Himmlera, a to, jak sama rozumiesz, dość szczególna rekomendacja...

– Prosiłam, żebyś dał spokój z tą hrabianką!

– Przepraszam, więcej nie będę – zapewniłem z uśmiechem.

– Rozumiem, że zanim cokolwiek powiesz, muszę się na tyle skompromitować, żebym nie mogła na ciebie donieść?!

– Witamy w realnym świecie – odparłem, nie starając się nawet ukryć sarkazmu.

– No dobrze... – Zagryzła wargi. – Mój ojciec kierował akcją ukrywania dokumentów na polecenie Himmlera. Dokumentów ogromnej wagi.

– A konkretnie? – spytałem, starając się nie okazać zainteresowania.

– Niewiele wiem na ten temat, ojciec niechętnie o tym mówił. Podejrzewam, że bał się, abym czegoś przypadkiem nie wygadała. Kiedyś jeden z jego współpracowników szepnął...

– Tak?

– Chyba mu się spodobałam i chciał zrobić na mnie wrażenie – wyznała, wyłamując palce. – Dał do zrozumienia, że to część wielkiego, tajnego projektu, rzucił nazwę: „Odrodzenie”.

Spojrzała na mnie pytająco, jakby chciała spytać, czy już wystarczy? Nie zareagowałem, więc po chwili podjęła temat.

– Tam są spisy naszych agentów, w tym i takich, którzy mają na razie pozostać nieaktywni, dokumentacja techniczna nowych rodzajów broni...

– Wunderwaffe? – westchnąłem, przewracając oczyma.

– Niezupełnie. Nie chodzi o propagandę, tylko realnie istniejące konstrukcje, które nie wyszły jednak poza fazę prototypów: nowe rodzaje rakiet, samolotów, łodzi podwodnych, superciężkich czołgów...

Z trudem przełknąłem ślinę, starając się siłą woli rozluźnić napięte z emocji mięśnie. Spokojnie, tylko spokojnie... Znaczy pogłoski, że naziści starają się przygotować grunt pod przyszłe odrodzenie Trzeciej Rzeszy, okazały się prawdą. Podobnie jak plotki o niebagatelnej roli Zygryda von Bredowa w projekcie. Nic dziwnego, że dowodzący oblężeniem Breslau generał Głuzdowski otrzymał rozkaz, aby udzielić mi wszelkiej pomocy: przejęcie archiwum Himmlera mogło radykalnie zmienić układ sił w nowym, powojennym świecie. W świecie, w którym dotychczasowi sojusznicy staną się rywalami...

– To wszystko?

– Nie, jest jeszcze jedna sprawa: szykuje się zmiana na stanowisku dowódcy twierdzy.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Jak powiedziałam, mam pewne znajomości. I nie, nie zdradzę, kto przekazał mi informację!

– Co to za zmiana?

– Mój... informator nie miał całkowitej pewności, ale podobno mówi się o generale Niehoffie.

Zakląłem głośno, nie krępując się obecnością sąsiadki. Niech to szlag! Niehoff... W takim razie nie ma co liczyć na rychłą klęskę Breslau, nie ma nadziei na szybkie zakończenie misji. Gdyby miasto padło, wystarczyłoby zatrzymać rodzinę von Bredow i rozpocząć negocjacje z Zygrydem. Jeżeli walka się przeciągnie, czas będzie miał decydujące znaczenie: niewykluczone, że archiwum Himmlera szukają już Anglicy czy Amerykanie, możliwe też, że część dokumentów ukryto na terenach zajętych przez naszych sojuszników. Wreszcie sam Zygryd von Bredow mógł się do nich zgłosić, oferując archiwum Himmlera w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa córce i wnukom. Rzecz była prawdopodobna, bo stary nigdy nie należał do zwolenników Hitlera, z tym ostatnim łączyło go tylko jedno: nienawiść do

komunizmu...

– To zła wiadomość? – spytała niepewnie Inga.

– Zależy dla kogo – odburknąłem.

– Może mnie w takim razie oświecisz? Ja odkryłam wszystkie karty!

Rzeczywiście, sam fakt ujawnienia istnienia archiwum zostałby uznany za zdradę, podobnie jak szerzenie plotek o zmianach w dowództwie, szczególnie jeśli te okazałyby się prawdą. Taaak, gdybym był donosicielem, *Frau* Inga nie pożyłaby długo: w Breslau karano śmiercią za mniejsze przewinienia.

– No dobrze, co chcesz wiedzieć?

– Jakie mamy szanse? No i dlaczego tak cię zdenerwowała wiadomość o Niehoffie?

– Nie mamy żadnych szans, Niehoff w odróżnieniu od von Ahlfena to doświadczony żołnierz, osobiście oddany Hitlerowi – odparłem zwięźle.

– Nie rozumiem? To źle, że ma doświadczenie?

– Zależy dla kogo – powtórzyłem. – Jeśli dowództwo obejmie Niehoff, będziemy się bili do ostatniego naboju. Przy przewadze, jaką mają Rosjanie, jest na to tylko jedna recepta: maksymalnie wykorzystać ludność cywilną, karząc bezlitośnie wszystkich uchylających się od walki i pracy, rozdać broń dzieciakom, na wielką skalę niszczyć budynki, aby otworzyć pole ostrzału własnej artylerii i zablokować gruzem najważniejsze ulice, być może zbudować prowizoryczne lotnisko w centrum miasta: stare jest już zagrożone przez wroga. Wymieniać dalej?

– Uważasz, że von Ahlfen postąpiłby inaczej?

– Zarówno von Ahlfen, jak i Niehoff zdają sobie sprawę, że wojna jest przegrana. Tylko że ten drugi nie ma zamiaru brać tego pod uwagę. To fanatyk.

– A generał Schörner? Podobno jego wojska szykują się do odblokowania miasta?

– Szykują się, powiadasz? Może i tak, tylko że jest to równie realne, co brednie na temat Wunderwaffe...

Tym razem Inga nie potrafiła opanować strachu, lęk wypełził jej na twarz, powlekł skórę chorobliwą bielą, odsłonił delikatne niczym pajęczyna zmarszczki w kącikach oczu.

– Więc Rosjanie zdobędą Breslau? – spytała, splatając nerwowo palce. – To pewne?

– Zdobędą – przytaknąłem.

– Co wtedy? Te wszystkie morderstwa i gwałty, których rzekomo dopuszczają się Rosjanie, to tylko propaganda?

W jej głosie zabrzmiał dziwny, proszący ton, tak jakby chciała, żebym niezależnie od wszystkiego zaprzeczył doniesieniom radia i prasy.

Wolno, starając się nie okazać przepełniającej mnie satysfakcji, pokręciłem głową.

– Niestety, to prawda. Pewnie i propaganda robi swoje – przyznałem – ale Rosjanie nie znają litości.

– Ale dlaczego?! Czym im zawiniliśmy?! Kobiety, dzieci, starcy?

Mimo woli z gardła wydarł mi się suchy, bezradosny śmiech podobny do warkotu wściekłego psa. Czym nam zawinili? Dobrze sobie!

– To takie zabawne?!

– I owszem – potwierdziłem. – Już w trzydziestym dziewiątym nasze wojska otrzymały rozkaz prowadzenia wojny ze szczególną brutalnością. I tak też postępowaliśmy: bombardowaliśmy polskie szpitale, kolumny uchodźców, rozstrzeliwaliśmy jeńców wojennych i cywilów broniących własnego kraju. Tak nam przecież polecił Führer! – zaakcentowałem. – To tylko jeśli chodzi o wojnę, a przecież później nastąpiła okupacja. Słyszałaś o obozach koncentracyjnych? Mówią ci coś takie nazwy, jak: Stutthof, Auschwitz, Treblinka? A o obozach dla dzieci? Tak, dla dzieci! – powtórzyłem, patrząc w przerażone oczy Ingi. – Myślisz, że w Rosji było inaczej? Mam ci opowiedzieć, jak nasze dzielne wojska traktowały „podludzi”? O gwałtach na Rosjankach, o głodowych racjach, które sprawiały, że kobiety prostytuowały się, żeby utrzymać przy życiu własne dzieci? O *Kommissarbefehl*, na mocy którego miano rozstrzeliwać na miejscu wszystkich schwytanych komisarzy? O rosyjskich jeńcach, którym odmawiano leczenia, żywności, a nawet wody? Cóż – wzruszyłem ramionami – przegraliśmy wojnę, a teraz Rosjanie stoją u naszego progu. Pełni wstydu, bo nie dali rady obronić swoich dzieci i kobiet, pałający żądzą zemsty za śmierć i hańbę najbliższych. A komisarze, ci, którzy przeżyli, wbijają w naszą ziemię słupy z napisami: „Oto one, przekłete Niemcy!” – wyskandowałem, wypluwając słowa niczym skrzepy krwi z głębi trzewi.

Odetchnąłem głębiej, jednym haustem wychyliłem kieliszek wina.

– Dlatego nie będzie litości – powiedziałem już ciszej. – Bo i my jej nie okazaliśmy, dlatego ucierpią niewinni, bo i my nie oszczędziliśmy niewinnych...

Śmiertelnie blada Inga von Bredow wpatrywała się we mnie, jakby ujrzała ducha, nagle zakryła usta i wybiegła z pokoju. W chwilę później usłyszałem odgłosy torsji.

– Nie trzeba było pytać – wymamrotała, wróciwszy. – Zawsze jesteś taki... bezpośredni?

– Myślałem, że chcesz znać prawdę?

– Ja też myślałam, że chcę ją znać. Teraz wątpię, czy było warto...

– Przepłucz usta – zarządziłem, nalewając jej wina. – Od razu poczujesz się lepiej.

Z westchnieniem wróciła do łazienki, posłusznie wykonała polecenie.

– Chyba nie pomogło – szepnęła, opierając się ciężko o umywalkę. – Moje dzieci...

Horst!

Niespodziewanie zaczęła płakać. Cicho, niemal bezgłośnie, rozpaczliwie. Kiedy otoczyłem ją ramionami, przywarła do mnie desperacko, wczepiła się w ubranie jak dziecko. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie odczuwam zadowolenia, a przecież zbliżyłem się o krok do rozwiązania zagadki, zdobyłem zaufanie Ingi. Dokładnie tak,

jak planowałem. W dodatku pozyskałem cenne informacje na temat zmian w dowództwie Festung Breslau. Jednym słowem, same sukcesy. A jednak... W czym rzecz, do cholery?! W czym rzecz?! Sentymenty? Bzdura! Zachowanie Ingi budziło we mnie jedynie lekkie zniecierpliwienie. Mimo to dziwne, nieokreślone, ale z pewnością nieprzyjemne uczucie narastało.

– Dziękuję – powiedziała, podnosząc głowę i uśmiechając się przez łzy.

Wtedy powróciło wspomnienie: oczy. Widziałem już taki wzrok u kobiety. W lecie czterdziestego pierwszego roku... Wracając z nieudanej misji – błyskawiczne sukcesy wroga uniemożliwiły przeprowadzenie operacji – objąłem dowództwo nad resztkami rozbitego batalionu piechoty. Wycofując się, przejeżdżaliśmy przez niewielką, liczącą kilkanaście chałup wioskę. Jej mieszkańcy uciekli już wcześniej, została tylko jedna ciężarna kobieta. Ta stanęła na poboczu, obserwując nasz przejazd. W milczeniu, z uczepioną spódnicy gromadką dzieci. Nie zwolniliśmy nawet – wszystkie ciężarówki były przepełnione rannymi, a na horyzoncie podnosił się kurz wzbijany przez niemieckie czołgi. Kobieta nie próbowała nas zatrzymać, nie prosiła o pomoc, w jej oczach nie było już nadziei. Stała, obejmując dzieci: ostatnia opora maluchów w roztrzaskanym przez wojnę świecie...

Udało nam się ujść przed Niemcami, ale nie przed jej spojrzeniem. To powracało w nocnych koszmarach i na jawie. Dzisiaj zobaczyłem je znowu, u Ingi...



Obudziło mnie walenie w drzwi, zerknąłem na zegarek: druga w nocy. Kogo diabli niosą? Jeśli jakiś nadgorliwiec chce mi przypomnieć o konieczności zejścia do schronu, to chyba zastrzelę gada. Co prawda zza okien dochodził łoskot dział przeciwlotniczych i wycie syren, ale nie przeszkadzało mi to w najmniejszym stopniu – wiedziałem, że rejon, w którym mieszkam, nie będzie bombardowany. Piloci, którzy niedawno ostrzelali Salzstrasse, zrobili to z własnej inicjatywy i pewnie dostali za swoje po powrocie do bazy. Sam towarzysz Stalin poinformował Głuzdowskiego o mojej misji, polecając jednocześnie udzielenie mi wszelkiej niezbędnej pomocy. Nie, pomimo ataków lotniczych pułkownik Razumowski może spać spokojnie...

Łup! Łup! Łup! Nieznany natręt po raz kolejny przypomniał mi, że nie wszyscy akceptują moje prawo do odpoczynku. Klnąc pod nosem, chwyciłem za pistolet i z rozmachem otworzyłem drzwi.

– Nie uważasz, że trochę za późno na herbatkę? – warknąłem, patrząc na sąsiadkę.

Inga trzymała w ramionach owiniętą w gruby koc córkę, zza pleców matki wyglądał Horst. Rodzina von Bredow w komplecie...

Płomień trzymanej przez chłopaka lampki pełgał niepewnie, rzucając na ściany i sufit fantastyczne, groźnie wyglądające cienie. Wokół rozchodził się zapach zjełczałego tłuszczu. Skrzywiłem się bezwiednie – ciekawe, czego używają jako paliwa? Chociaż może lepiej nie wiedzieć: ustrojstwo zrobiono chałupniczą metodą z łuski po pocisku artyleryjskim.

– Mamy nalot! Trzeba natychmiast zejść do piwnic!

– To nie nas bombardują – ziewnałem. – Atakują baterie przeciwlotnicze na Kaiserstrasse. Nam nic nie grozi, a osobiście wolę spędzić noc we własnym łóżku.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała nerwowo Inga.

– Naprawdę.

– Mamo! Chcę do łóżeczka! – zawołała płacząco dziewczynka.

– A może siusiu? – zaproponowałem ironicznie.

Jeszcze tego mi brakowało: zaraz będę uspokajał rozhisteryzowaną kilkulatkę, Inga najwyraźniej nie dawała sobie rady. Istny dom wariatów albo przedszkole imienia Razumowskiego...

– Nie – odparło dziecko, patrząc na mnie z urazą.

Cóż, nie ma to jak zrobić dobre wrażenie...

– Wejdźcie – westchnąłem z rezygnacją, szerzej otwierając drzwi.

Po krótkim namyśle sąsiadka przyjęła moje, nie da się ukryć, niezbyt entuzjastyczne zaproszenie. Zaprowadziłem spóźnionych gości do salonu, usiedliśmy za stołem.

– Zgaś to swoje kopcidło – poleciłem Horstowi. – Wystarczy nam lampa naftowa.

– Z zewnątrz nie będzie widać światła? – zaniepokoiła się Inga. – Bo jak któryś z lotników to zobaczy...

Roześmiałem się mimo woli – ech, ci cywile...

– Na oknach są grube story, a zapewniam cię, że rosyjscy piloci mają teraz inne problemy: blask pożarów, reflektory, serie smugowych pocisków... Nawet gdyby gapili się w nasze okna, nic nie zauważą – zapewniłem.

– Chcę do łóżeczka! – powtórzyła rozkapryszonym tonem dziewczynka.

– Za chwilę – obiecała córce Inga.

– Teraz!

– Jak masz na imię? – zwróciłem się do małej.

– Klaudia – odpowiedziała, nie wyjmując palca z buzi.

Chyba rzeczywiście była zmęczona. Zupełnie jak ja...

– Chodź. – Wyciągnąłem do niej rękę.

– Gdzie?

– Do łóżeczka.

Dziewczynka bez wahania objęła mnie za szyję. Zacisnąłem zęby, czując słodkawą, kojarzącą się z mlekiem woń. Klaudia pachniała jak rosyjskie dzieci. Tyle że nie była

Rosjanką...

– Bombią – poskarżyła się, kiedy okryłem ją kołdrą.

– Jak ci się nie podoba, to odniosę cię do mamy – odburknąłem. – Ja mogę spać i w czasie bombienia, tfu... bombardowania.

– Ja też! – oznajmiła gniewnie. – Zobacz, zamykam oczka i już!

– Żeby cię więcej nie słyszał! – rzuciłem groźnie i wyszedłem.

Przymknąłem drzwi, pozostawiając szeroką na parę centymetrów szparę. W razie czego będzie słycać, gdyby smarkula dalej marudziła.

– Zasnęła? – zainteresował się Horst.

– Skąd mogę wiedzieć? Leży w łóżku.

– Nie płacze – zauważyła z lekkim zdziwieniem Inga.

– A dlaczego ma płakać?

– Zawsze kaprysi przed snem – wyjaśniła. – Czasami muszę przy niej siedzieć godzinami.

– Może dlatego, że próbujesz z nią dyskutować? – zauważyłem złośliwie. – Ja jej po prostu kazałem zamknąć buzię. Nie widzę sensu w negocjacjach z czterolatką. Ale co ja w końcu wiem o dzieciach...

– Po pierwsze Klaudia ma już pięć lat, po drugie... – zaczęła z oburzeniem Inga.

Urwała, słysząc cichy śmiech syna. Widać młody von Bredow doszedł do podobnych wniosków co ja.

– Horst!

– Przecież nic nie mówiłem, mamó – odparł chłopak z niewinną miną.

Inga zgromiła go wzrokiem, po czym zrzuciła pantofle i ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi.

– Zasnęła – poinformowała nas po chwili.

– Świetnie – mruknąłem. – Tylko co teraz?

– Nie rozumiem?

– Co będziemy robić? – doprecyzowałem. – Może zanieść ją z powrotem do was?

– Natychmiast się obudzi! – zaprotestowała Inga. – Wiem, że to kłopot, ale może przespałaby tę noc u ciebie?

– A ja?

– Cóż...

– Może jednak wrócimy do siebie? – zaproponował zakłopotany Horst. – Pan major nie ma wobec nas żadnych zobowiązań...

Parsknąłem lekceważąco: po minie chłopaka widziałem, że zastanawia się nad przyczyną mojej zażyłości z matką.

– Aleks? – odezwała się prosząco Inga.

Zakląłem w duchu, perspektywy misji przedstawiały się coraz gorzej. Wyglądało na to, że nie uda mi się uniknąć bliższych kontaktów z rodziną von Bredow, na co nie

miałem najmniejszej ochoty. Zamiast smakować chwilę, kiedy Niemcy ze zdobywców świata zamienili się w zwierzynę łowną, przyjdzie mi niańczyć trójkę Szwabów. I żeby tylko to! Jeszcze trochę, a zaczną widzieć w nich ludzi, a to w moim fachu śmiertelny i często ostatni błąd... Jednak nie miałem wyboru; zainteresowanie towarzysza Stalina sugerowało, że osobiście rozliczy mnie z wyników akcji. Tak więc przyjdzie mi się pomęczyć. Chyba że dziadzio Zygfryd wpadnie w nasze ręce, wtedy załatwimy sprawę na zasadzie transakcji handlowej.

– No dobrze – stwierdziłem z rezygnacją. – Niech sobie śpi. Połóż się razem z nią, łóżko jest spore, zmieście się bez problemu. Ja i Horst przenocujemy u was.

– Oczywiście. Dziękuję...

– Idziemy! – ponagliłem chłopaka. – Chciałbym jeszcze trochę się zdrzemnąć.

– Nie wiem tylko, czy moje łóżko nie będzie dla ciebie zbyt wąskie – odezwała się z zakłopotaniem Inga. – Ja...

– Nie szkodzi – uciałem. – Spałem i w gorszych warunkach. Aha, pieniądze i kartki żywnościowe są w tamtej szafce.

– Pieniądze? – spytał niespokojnie Horst.

Złapałem lampę i bez ceregieli wypchnąłem go na korytarz.

– Twoja matka zgodziła się gotować dla mnie i prowadzić mi dom – poinformowałem krótko. – Ja nie mam na to czasu.

Widoczna na twarzy podrostka ulga świadczyła, że młody von Bredow rozpatrywał i inne, niezwiązane z pracą gospodyni opcje...

– Rozumiem – wymamrotał, wyciągając klucze. – Już otwieram.

– Macie w domu jakiś alkohol? – spytałem.

– Coś się znajdzie – obiecał. – Te bombardowania rzeczywiście są denerwujące.

Nie odpowiedziałem. Bombardowania, dobre sobie! Gdyby nie najazd sąsiadów, spałbym sobie spokojnie do rana. No nic, zobaczymy, jutro miałem przejść linię frontu w asyście moich nowych pretorianów. Może nasi złapali już Zygfryda i będę mógł zakończyć akcję w kilka dni? Oby. Bo na dalsze przebywanie w Breslau nie miałem ochoty. Wolałem oglądać płonące miasto z zewnątrz...



ROZDZIAŁ DRUGI

Pokrywający ruiny śnieg pachniał świeżością, otulał kikuty kominów, obłamki ścian i hałdy gruzu niczym gruba puchowa pierzyna. Jak wielka tablica przechowywał wszelkie ślady obecności człowieka: odciski butów, łuski po nabojach, wyżłobione gąsienicami koleiny. Mógł też skrywać zagrożenie: wystarczyło nałożyć kombinezon maskujący, owinąć śmiertcionośną stal białym materiałem. Dlatego nie zważając na lodowaty wiatr, z benedyktyńską cierpliwością, centymetr po centymetrze badałem teren kilka ulic dalej. Jeśli przejdę przez połączone ze sobą piwnice, znajdę się po drugiej, rosyjskiej stronie frontu. O ile przejdę.

– Karl? – rzuciłem pytająco.

– Nie widzę niczego podejrzanego – odparł leżący tuż obok sierżant. – Na godzinie dziesiątej widać stare, chyba przedwczorajsze ślady. Pewnie przetaczali tamtędy jakieś działo: czterdzieści pięć, może siedemdziesiąt sześć milimetrów. Trudno powiedzieć, bo przez noc padało.

Mruknałem potakująco; koleiny wyglądały na pozostawione przez rosyjską czterdziestopięciomilimetrową armatę przeciwpancerną. Pewnie miała zabezpieczać przebiegającą niedaleko szosę. Miałem nadzieję, że nie w pojedynkę. Nasi – i nie bez powodu – nazywali ją PR, od słów: *Praszczaj, rodina!*, „Żegnaj, ojczyzno!”. Jak na chłopaków wyjedzie jakiś Tygrys albo Pantera...

Cichy szelest i ciężki, wysiłony oddech zwiastowały pojawienie się kaprała Pimkego. Cóż, spróbujcie przeczołgać się kilkaset metrów w głębokim śniegu...

– I jak tam? Ludzie na stanowiskach?

Pimke miał dopilnować rozstawienia posterunków.

– Wszystko gra. Poza tym, że przemoczyłem jaja – dodał cierpko.

– Może się zamienimy? – zaproponowałem.

– Dziękuję, nie skorzystam – odburknął.

Jeszcze raz zlustrowałem otoczenie przez lornetkę, ale nie zauważyłem niczego, co odbiegałoby od normy. Za chwilę przekonam się, czy miałem rację...

– Idę! – zdecydowałem.

Podniosłem się na kolana i podałem sygnał do rozpoczęcia akcji, naśladując skwir sokoła. Z odległej o kilkadziesiąt metrów, na w pół rozwalonej kamienicy odpowiedziało mi krakanie kruka: Hartmann meldował, że zajął stanowisko. Olbrzym potrafił nie tylko naśladować głosy ptaków, ale i najlepiej ze wszystkich posługiwał się karabinem wyborowym. To ostatnie zapewne na skutek wieloletniej i nie całkiem legalnej praktyki strzeleckiej – w jego dokumentach odnotowano kilkumiesięczny wyrok za kłusownictwo.

Ruszyłem biegiem. Wejście do piwnicy znajdowało się po drugiej stronie ulicy. Pełzanie nie miało sensu: na otwartej przestrzeni i tak byłbym widoczny, pozostawiając za sobą wyraźną bruzdę w białym puchu. Cholerny śnieg...

Sadziłem wielkimi susami, czując, jak krew tętni mi w skroniach. Jeśli ktoś mnie zauważy, zanim dobiegnę do celu... W każdej chwili spodziewałem się strzału albo wybuchu: pod śniegiem mogły być pułapki. Jeśli byłbym dowódcą rosyjskiego patrolu i zatrzymał się gdzieś naprzeciwko, na pewno ustawiłbym *raztiażki*. Na wszelki wypadek. Nikt nie dostrzegłby cienkiego, rozciągniętego tuż nad powierzchnią gruntu drutu. *Raztiażka*... Wystarczy zawadzić nogą i wyrwać zawleczkę granatu przymocowanego do wbitego w ziemię kołka. Jakby co, pewnie dostałbym pośmiertny awans...

Wreszcie wpadłem w mroczną, obiecującą bezpieczeństwo bramę, machnięciem ręki przekazałem spadochroniarzom komendę: „Czekać!”. Teraz trzeba tylko znaleźć wejście do piwnicy. No i liczyć na to, że po drugiej stronie spotkam kogoś z mojej ekipy. W innym wypadku mimo rosyjskiego munduru i dokumentów mogę mieć kłopoty. Nasz kontrwywiad nie zasypiał gruszek w popiele, pół biedy jeszcze, jak dostawią mnie do sztabu, gorzej, jeśli rozwalą na miejscu... Sfabrykowane w niemieckiej drukarni papiery miały niewielką, lecz istotną wadę: każdy zawodowiec od razu rozpozna fałszywkę. Niestety, nie bardzo mogłem wystąpić z reklamacją – wskazanie Szwabom usterki zostałoby potraktowane jako zdrada. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...

Schody zawałone były gruzem: oberwała się część sufitu, nie było mowy o zachowaniu ciszy. Odłamki cegieł chrobotwały pod nogami, chrzęściło rozbite szkło. Pod ścianą poniewierało się kilka butelek po winie, najwyraźniej niedawno odwiedzano ruiny – wewnątrz pozostała jeszcze odrobina płynu. Wątpiłem, żeby ktoś

czekał na mnie w jednym z piwnicznych tuneli. Wąskie przejście nie było najlepszym miejscem na zasadzkę, co innego u wyjścia...

Skrzywiłem się, czując ledwo uchwytną woń rozkładającego się ciała. Dzięki Bogu temperatura oscylowała nieco poniżej zera. Skierowałem promień latarki w stronę piwnicznej wnęki, ale zobaczyłem jedynie hałdę gruzu. No nic, raczej nie będę tego rozgrzebywał w poszukiwaniu zwłok, choć dobrze by było wiedzieć, kim był nieboszczyk. Obszar, na którym się znajdowałem, jeszcze dwa tygodnie temu należał do Niemców, obecnie była to ziemia niczyja. Stałe posterunki pilnowały jedynie wylotów najważniejszych ulic, ruinami nikt się specjalnie nie interesował, okolica należała do spokojniejszych.

Poświeciłem na mapę, wyglądało, że trzeba skrócić w lewo. Podziemia Breslau obrosły legendą – słyszałem, że plotki rozpuszczano na rozkaz samego Gauleitera Hankego, na podobnej zasadzie co wieści o Wunderwaffe czy nadciąganiu oddziałów generała Schörnera. Mówiono o drugim, ukrytym mieście, twierdzono, że wyloty niektórych tuneli wychodzą daleko poza obszar Breslau, że w podziemnych składach znajdują się nieprzebrane ilości żywności, broni i amunicji...

Stopniowo ciemność traciła na intensywności, niedaleko za jakimś załomem musiało znajdować się wyjście. Zgasilem latarkę, wyciągnąłem broń. Cóż, zobaczymy, czy moja ekipa stanęła na wysokości zadania – nie kontaktowałem się z nimi niemal dwa tygodnie, wcześniejsze ustalenia były mocno orientacyjne. Zarówno jeśli chodzi o czas, jak i miejsce spotkania.

Ściągnąłem pośpiesznie kombinezon maskujący i schowawszy go do plecaka, ostrożnie wyszedłem na zewnątrz. Wokół nie było żywego ducha, niezdeptany śnieg świadczył, że przynajmniej od wczoraj nikt się tu nie kręcił, a jednak miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Pociągnąłem nosem: dym. Swąd palącej się opony. No, to akurat nic dziwnego, spalonych pojazdów nie brakowało po obu stronach frontu. A jednak... Spoza granicy percepcji dochodził jakiś niepokojący sygnał. Nic, co można by zanalizować czy nazwać, raczej przeczucie niż wrażenie, a przecież równie realne co ostrzegawczy krzyk. Albo zwariowałem, albo ktoś zorganizował zasadzkę. Nie byle jaką zasadzkę: tu i teraz mogło chodzić tylko o mnie. Znaczy o pułkownika Razumowskiego. Chyba że polowano na majora Rotha... Szlag!

Cofnąłem się ostrożnie, ponownie schroniłem w bramie kamienicy, zamknąłem oczy. Wiedziałem, że wzrok mi nie pomoże, zobaczymy, jak inne zmysły. Wstrzymałem oddech. Jak zwykle w takim wypadku lekki, ledwie słyszalny szum krwi zmieniał się stopniowo w miarowe dudnienie, wreszcie zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Dopiero wtedy zaczerpnąłem tchu. Przez mgnienie poczułem dziwny zapach, a może raczej cień zapachu? Nie wiedzieć dlaczego, kojarzył mi się z metalem. Nie z zardzewiałym żelastwem, ale gładką, wypolerowaną stalą. Co za diabelstwo?

I znowu wsłuchałem się we własne ciało, odciąłem od wszystkiego, co zewnętrzne,

by w końcu zaczerpnąć smakującego jak wino powietrza. Gdzieś z oddali dochodziło krakanie kruków i echa strzałów, ale wokół panowała cisza. Cisza... Kruki! Dlaczego nie widać kruków? Zerknąłem na śnieg: czysty. Żadnych odcisków ptasich łap. A przecież gdzie indziej było ich pełno, w Breslau nie brakowało żeru. Ludzka i zwierzęca padlina walały się na każdym kroku. Czyli jednak zasadzka... Zaraz, zaraz! Jaka, do cholery, zasadzka?! Toż o miejscu i czasie akcji wiedzieli tylko moi ludzie i niemieccy spadochroniarze. Ci pierwsi zresztą tylko w ogólnym zarysie: trudno było ustalać konkrety, nie znając dokładnie okoliczności, w jakich przyjdzie mi przekradać się na drugą stronę. Co do *Fallschirmjäger*, to żaden z nich nie miał możliwości powiadomienia kogokolwiek o detalach mojej wycieczki. Pozostaje zatem tylko jedna możliwość: w okolicy ukrywa się ktoś z mojej ekipy – w końcu to strefa przyfrontowa, chuj wie kto i skąd się pojawi. No dobrze, ale przecież pokazałem się na zewnątrz? Dlaczego nikt nie wyszedł z ukrycia? Hmm... Pokazałem się? Niby tak, ale zależy, gdzie czai się obserwator. Jeżeli w tej samej kamienicy, na jednym z wyższych pięter, widział co najwyżej czubek mojej głowy. Przez chwilę. Dlatego się nie ujawnił. Cóż, zagadka rozwiązana, chyba żeby nie: zawsze możliwy jest mniej optymistyczny wariant. Trudno, trzeba zaryzykować, nie mogę przecież cisnąć przez okno granatu...

Zdecydowanym krokiem wyszedłem na podwórze, odwróciłem się twarzą do budynku. W pierwszym momencie niczego nie zauważyłem, po dłuższej chwili poruszyło się coś, co początkowo wziąłem za kupę gruzu. Szeroki w barach, przysadzisty mężczyzna okryty był ni to chałatem, ni to płachtą zszytą ze strzępów materiału do złudzenia przypominających oprószone śniegiem cegły. Nawet twarz osłoniętą miał czymś w rodzaju maski. W rękę trzymał karabin z celownikiem optycznym. Jednym susem zeskoczył na bruk, cały czas celując we mnie. Przezorny, psia jego mać!

– Przedstawcie dokumenty! – zażądał stłumionym przez grubą tkaninę głosem.

A to żartowniś! Przedstawiłem.

– Towarzyszu pułkowniku, melduje się...

Wyczekałem, aż opuści lufę, po czym błyskawicznym podcięciem powaliłem go w śnieg.

– Za co?!

– Za to! – burknąłem, podtykając mu pod nos legitymację.

– Nie rozumiem...

Wymownym gestem zacisnąłem pięść.

– Dajcie mi jeszcze raz popatrzeć! – krzyknął pospiesznie.

– Patrz! Tylko tym razem uważniej!

– Naprawdę nic nie widzę...

Westchnąłem cierpiętniczo: praca dowódcy nigdy się nie kończy.

– Porównaj ze swoją, matole!

Lewartow zdjął z twarzy maskę, przetarł zaczerwienione od niewyspania oczy – ciekawe, ile godzin czekał na mnie na mrozie? – i przyjrzał się obu dokumentom.

– Wszystkie znaki i pieczęcie na miejscu, odpowiedni gatunek papieru... – wymruczał. – Zaraz! Zszywki! Nasze są matowe.

– No, wreszcie!

– O to chodziło?

– A jakże! My robimy zszywki ze zwykłej stali, oni z nierdzewnej. Po paru tygodniach widać już różnicę.

Podaliśmy chłopakowi dłoń, pomogłem dźwignąć się z ziemi. Objęliśmy się serdecznie. Wreszcie wśród swoich...

– Oni tak zawsze z tymi zszywkami?

– Skąd! Abwehra nigdy nie dopuściłaby do takich fuszerek. Podejrzewam, że to efekt przejęcia wywiadu wojskowego przez SS.

– Tak czy owak, warto zapamiętać.

– Pewnie. A co u was? Wszystko w porządku? – spytałem.

– Wszyscy zdrowi – odparł wymijająco chłopak.

– Poruczniku Lewartow!

– Elena...

– Co z nią?!

– Niby nic specjalnego, ale...

– Gadaj!

– Jest taki pułkownik artylerii – zaczął niechętnie. – Niejaki Zorin. Zaraz po tym, jak wyjechaliście, zorganizował wieczorek poetycki. Wiecie, jak to jest: ludzie się nudzą, to i łążą na różne takie...

– I?

– Tam się poznali. Rozumiecie, to nie wygląda na przelotny romans.

Zakląłem pod nosem: niby dorośli ludzie, a wystarczy ich zostawić na tydzień czy dwa bez nadzoru i czort jeden wie co wymyślą. Za dużo wolnego czasu, ot co!

– Mówisz, że to na poważnie?

– Dla Eleny na pewno – potwierdził. – Zachowuje się jak typowa WPŻ. Co do faceta nie mam pewności, ale gość jest od niej starszy ponad dwadzieścia lat, ma żonę i dwójkę dzieci. Choć podobno powiedział jej o tym od razu...

Ponownie zmełłem w ustach przekleństwo: terminu WPŻ, *wojenno-polewaja žena*, używano wobec kochanek oficerów. Niby nic nadzwyczajnego, trudno sobie wyobrazić, żeby żołnierze ignorowali te wszystkie siostrzyczki, telefonistki czy panienki regulujące ruch. Tym bardziej że w odróżnieniu od armii niemieckiej w naszej nie ma burdeli. Przynajmniej oficjalnie... Z drugiej strony Elena nie jest sanitariuszką, jeśli coś chlapnie w łóżku, wszyscy za to zapłacimy. Nie mówiąc już

o tym, że cała sprawa może być prowokacją NKWD czy Smiersza. Wiedziałem, że ani Abakumow, ani Beria nie przepadają za mną. Gdyby podległe im służby skompromitowały kogoś z mojej grupy, miałbym szczęście, gdyby skończyło się tylko na degradacji. Szlag by to...

– Aha, jeszcze jedno...

– Co znowu?!

– Przyjechała Lidia Zosimowna. Czeka na was.

No tak, ciekawe, co może się jeszcze spieprzyć? Lidia Zosimowna Siwers, autentyczna przedrewolucyjna arystokratka, była żywą legendą *wojennej rozвідki*. Pracę dla GRU rozpoczęła jeszcze w czasach rewolucji i od tej pory cieszyła się niewzruszonym zaufaniem wszystkich szefów naszej firmy. Nigdy nie wdawała się w rozgrywki personalne, mimo że funkcja kierowniczkich archiwum dawała jej dostęp do informacji, które mogły sprawić problemy nie to, że jakiemuś generałowi, ale i niejednemu członkowi Politbiura. Do tego wszystkiego dysponowała fotograficzną pamięcią i ogromną wiedzą, stąd czasem proszono ją o konsultację w co bardziej skomplikowanych sprawach. Tych udzielała jednak na miejscu – Lidia Zosimowna nigdy i w żadnych okolicznościach nie opuszczała Moskwy. Jeśli mnie odwiedziła, musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego.

– Czego chce?

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Stwierdziła, że ma dla was informację, i tyle.

No tak, założę się, że wieść raczej nie należy do gatunku tych radosnych. Ech, gdybym wierzył w Boga, pewnie doszedłbym do wniosku, że ktoś tam na górze bardzo mnie nie lubi...



Lidia Zosimowna Siwers wyglądała jak nobliwa starsza pani: srebrne włosy ułożone w schludny koczek, elegancki czarny kostium, sznur pereł na szyi... Tylko chłodny błysk oczu w odcieniu przypominającym toledańską stal skłaniał do zastanowienia. Od stereotypu odbiegała także szczupła, rozumna twarz o ascetycznym wyrazie. W jej rysach było coś, co przypominało wizerunki chrześcijańskich świętych – nieugięta wiara połączona z nadludzką wręcz determinacją. Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, aby zauważyć, że tej akurat starszej pani lepiej nie wchodzić w drogę.

Tymczasem jednak Lidia Zosimowna wyglądała na zadowoloną: właśnie poczęstowałem ją herbatą. Nie byle jaką herbatą, lecz ulubionym gatunkiem mojego

gościa, Rosyjską Karawaną. Stół zaścielony był śnieżnobiałym obrusem, porcelanowa zastawa pochodziła z miśnieńskiej manufaktury, a na srebrnej paterze pyszniły się ciepłe jeszcze ciasteczka. Widać, że moja ekipa nieźle się tu urządziła...

– Znakomite – pochwaliła wypieki, sięgając po kolejne ciastko.

Bez słowa dolałem jej herbaty, choć na usta cisnęły mi się dziesiątki pytań. Jednak wiedziałem, że Lidia Zosimowna poinformuje mnie o celu swojej wizyty, dopiero kiedy sama tak postanowi i ani sekundy wcześniej. Wszelkie próby ponagłania z góry skazane były na niepowodzenie.

– Mamy problem – oznajmiła wreszcie, odstawivszy filiżankę. – Zygfryd von Bredow zginął niedawno podczas bombardowania Drezna.

Zakląłem, śmierć Archiwisty czyniła moją misję niemal niewykonalną. A za tydzień czy dwa towarzysz Stalin zażąda efektów...

– Aż tak źle? – spytała. – Nie natrafiłeś na żaden ślad?

Zamrugąłem zaskoczony: w głosie Lidii Zosimowny zabrzmiał wyraźnie wyczuwalny niepokój. Co się dzieje? Nie przypominałem sobie, żeby do tej pory okazywała żywsze emocje. Chyba że rzecz dotyczyła jej ulubionej herbaty... Coś było nie tak, bardzo nie tak.

– Nawiązałem kontakt z córką Archiwisty – poinformowałem. – Jednak ona nic nie wie. Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, czym zajmował się Zygfryd von Bredow, ale tylko w ogólnych zarysach.

– Wie o archiwum?

– Tak.

– Jakież domysły na temat zawartości?

– Według niej ma to związek z planowanym odrodzeniem Trzeciej Rzeszy. Archiwum ma zawierać dane agenturalne na temat głęboko zakonspirowanych struktur wywiadu i dokumentację techniczną prototypów nowych rodzajów broni.

– Zdajesz sobie sprawę, ile to jest warte?

Bez słowa przytaknąłem. Nie ulegało wątpliwości, że opisane w archiwum projekty będą wymagały dopracowania, ale wiadomo było też, że przynajmniej część z nich wyprzedza obecnie stosowane rozwiązania o dziesięć, a może więcej lat. Wystarczy wspomnieć rakiety V1 czy V2... Niemniej smakowitym kąskiem był także spis niemieckich agentów: prędzej czy później dotychczasowi sojusznicy staną się rywalami, a wówczas wywiady wszystkich stron zetrą się w bezlitosnej walce. I jak to na wojnie – wygra ten, kto pierwszy odkryje sekrety przeciwnika.

– Rozumiem, że nie ma szans na odzyskanie notatek von Bredowa? – spytałem z rezygnacją.

– On zginął w swoim mieszkaniu, amerykańskie samoloty zrównały z ziemią całą dzielnicę. W dodatku użyto bomb zapalających. Jeśli nawet coś tam było... – Lidia Zosimowna wzruszyła ramionami.

No tak, jakżeby inaczej...

– Może zostawił coś u córki? – dodała pocieszająco.

– Niewykluczone – przyznałem. – Tyle że ona nic o tym nie wie. To może być cokolwiek.

– Musisz zyskać jej zaufanie. Absolutne zaufanie – podkreśliła z naciskiem Lidia Zosimowna.

– Staram się – odburknąłem.

– Jest jeszcze jeden problem.

– Słucham?!

– W poszukiwaniu archiwum Himmlera włączył się towarzysz Beria.

– A to z jakiej racji?! Tę misję powierzono GRU!

– Kilka dni temu w ręce NKWD wpadło dwóch esesmanów, którzy pomagali von Bredowowi. Sami niewiele wiedzą, to szeregowi żołnierze, ale podali nazwisko swojego dowódcy, niejakiego Eugena Fischera. Ten ma znać miejsce ukrycia przynajmniej części dokumentów.

– I co z tego?! To była nasza misja! Głównodowodzący...

– Słusznie zauważyłeś: była – przerwała mi bez ceregieli Lidia Zosimowna. – A Gławkom zmienił zdanie. Postawił na konkurencję. Nie pierwszy raz przecież... Teraz to rozgrywka pomiędzy NKWD a *wojennoj razwiedkoj*. I fory w niej ma towarzysz Beria, bo *Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł* robi takie rzeczy, jakich my nie jesteśmy w stanie... Stąd on jest niezbędny, my nie.

Parsknąłem pogardliwie: pewnie! *Wojennaja razwiedka* walczy przeważnie z prawdziwym, nie wyimaginowanym wrogiem. Nie zapełnimy więziami obozów i kopalni złota, nie przeprowadzimy masowych egzekucji „wrogów proletariatu” ani kolejnej czystki. Nie to, co ludzie o „gorących sercach i czystych dłoniach”.

– Przysłał was generał...

– Tak – ponownie weszła mi w słowo.

– Jakie są zasady gry?

– Beria ma wyłączność na działania na terenach zajętych przez nasze wojska, my na obszarze kontrolowanym przez Niemców.

Z trudem powstrzymałem się przed splunięciem: Beria jak zwykle grał znaczonymi kartami, czas pracował na jego korzyść. Obszar Trzeciej Rzeszy kurczył się z każdą godziną.

– A jeśli odkryję, że dokumenty znajdują się poza obszarem naszej kompetencji? Mam przekazać namiary Berii?

– Myślę, że w razie czego nie będziemy fatygować Generalnego Komisarza – odparła Lidia Zosimowna, oglądając paznokcie. – To zajęty człowiek.

– Mam za mało ludzi na takie numery!

– Zgadza się. Dlatego nie przyjechałam sama.

– Co takiego?!

– Dysponujemy odpowiednim sprzętem, łącznie z samolotami, pod twoją komendę oddano też liczącą setkę ludzi grupę operacyjną. Gdybyś zdobył jakieś informacje, zajmę się koordynacją działań. Będę też na miejscu, gdybyś potrzebował pomocy. Jakiegokolwiek pomocy – zaakcentowała.

No, no, znaczy nie jest aż tak źle: mam ludzi, sprzęt i Lidię Zosimownę. Trzeba tylko zawczasu zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo, bo jeśli wyjdzie poza teren sztabu ubrana tak jak teraz, nie przeżyje nawet kwadransa.

Użyłem leżącego na stole srebrnego dzwoneczka i do pokoju weszła dwudziestokilkuletnia kobieta w stroju pokojówki. Upięte wokół głowy blond warkocze, niebieskie oczy i rysy twarzy zdradzały jej narodowość. Na tacy niosła dzbanek herbaty i kolejną partię ciasteczek. Wnioskując po zapachu, dopiero co wyjętych z pieca.

– Zawołaj moich ludzi – rzuciłem szorstko.

Nieznajoma dygnęła i ruszyła pospiesznie wypełnić polecenie. Lidia Zosimowna uniosła brwi: rozkaz wydałem po niemiecku.

– Kim ona jest? – spytała.

– Nie mam pojęcia – odparłem z rozdrażnieniem. – Zapewne Elena uratowała kolejną aryjską dziewicę przed losem gorszym od śmierci.

– Rozumiem, że to nie pierwszy raz?

– A jakże!

– A może to któryś z twoich chłopaków? – Wykonała nieokreślony gest.

– Ci mają dużo lepszy gust, ta tutaj to przecież żadna piękność, no i nie muszą stosować takich metod – zapewniłem. – Żaden z nich nie ma problemów z kobietami.

– *Komandir...*

Stanęli przede mną na baczność: Tima Kotuszew, Elena i Witia Potapow. Lewartowa wysłałem do łóżka, żeby odespał zarwaną noc. Za parę godzin będzie ubezpieczał mój powrót do Breslau.

– Spoczniej! – mruknąłem. – Nie wszyscy naraz! – zastrzegłem się przezornie.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, panna Szewieliewa z piskiem radości rzuciła mi się na szyję, a Tima wraz z Witią podnieśli nas oboje, krzycząc gromko: *uraa*. Banda wariatów, ot co! Rozpuścili się jak dziadowskie bicze.

– Ciekawy model stosunków służbowych – zauważyła z lekkim rozbawieniem Lidia Zosimowna.

Machnięciem ręki zaprosiłem wszystkich do stołu, dokonałem krótkiej prezentacji.

– Skąd wzięliście tę Niemkę? – spytałem.

– To dobra kucharka – powiedziała obronnym tonem Elena.

Witia wywrócił wymownie oczyma, Tima siedział z kamiennym wyrazem twarzy. Jak to Tima...

– Sprawdziliście ją chociaż?

– *Tak toczno!*

– I?

– To pokojówka jakiejś miejscowej arystokratki. Znaleźliśmy ją w schowku na szczotki, kiedy przeszukiwaliśmy pałacyk – poinformował Potapow. – Syn tej baronessy był pułkownikiem SS, więc pomyśleliśmy, że rzucimy okiem na chałupę.

– Jak widzę, znaleźliście nie tylko ją. – Obrzuciłem wymownym spojrzeniem porcelanę i srebra.

– O, przepraszam! Tam już niewiele zostało, wyszabrowaliśmy to z całej okolicy – oznajmił z godnością Potapow. – A wszystko po to, aby odpowiednio was podjąć, *komandir*. No i, rzecz jasna, waszego gościa – dodał z lekkim ukłonem.

– Co do gości...

– Tak?

– Zorganizujesz ochronę dla Lidii Zosimowny. Myślę, że drużyna wystarczy. Gdyby musiała gdzieś wyjechać...

– Razumowski! Nie życzę sobie...

– Nie chcę, żeby coś wam się stało – oznajmiłem spokojnie. – Potrzebuję was.

– Wykluczone! Ja...

– Komu powierzono dowództwo całej operacji? – przerwałem jej ponownie.

– To cię nie upoważnia do wydawania mi poleceń! Ochrona, też coś! Może jeszcze każesz mi się przebrać w mundur?!

– Uchowaj Boże! – zawołałem. – Toż w tej kreacji à la baronowa von Dupenszpadel wyglądziecie tak dziewczęco! Tylko że nasi żołnierze mogą was wziąć za wroga klasowego i odpowiednio potraktować. Nie mówiąc już o możliwości natknięcia się na niemieckich dezertarów czy inny Werwolf!

– Postaram się wam nie przeszkadzać – zapewnił Potapow, całując z galanterią dłoń Lidii Zosimowny. – Proszę...

Zaczerwienione ze złości policzki mojego gościa stopniowo przybrały naturalny kolor.

– Herbatki? – zaproponował Wiktor. – A może jeszcze ciasteczek?

– Poproszę – powiedziała normalnym już tonem Lidia Zosimowna. – A ty, Razumowski, patrz i ucz się! Kobietom się nie grozi, kobiety się przekonuje!

– Dziękuję za wskazówki – odparłem kwaśno.

Dalszą rozmowę przerwało nam przybycie adiutanta Głuzdowskiego.

– Towarzyszu pułkowniku – zwrócił się do mnie mężczyzna w mundurze majora – dowódca was oczekuje.

– Już idę – zapewniłem, wstając od stołu.

Oficer skinął głową i wyszedł bez słowa. Miałem nadzieję, że jego zachowanie nie odzwierciedla stosunku Głuzdowskiego do mojej skromnej osoby. Wrogów i tak mi

nie brakowało. Z drugiej strony trudno się dziwić: jeśli towarzysz Stalin poinstruował Głuzdowskiego z wrodzonym sobie wdziękiem...

– *Komandir*, muszę z wami porozmawiać. To pilna sprawa – odezwała się Elena.

Przyjrzałem jej się uważniej: dziewczyna promieniała. Można ją było nazwać co najwyżej niebrzydka – zbyt wiele cech odziedziczyła po ojcu, jednak teraz stalowoszare oczy nabrały głębi, cera stała się świetlista, nawet nieco zbyt ostre, jak na kobietę, rysy twarzy złagodniały. Nie ma co, niezły majster z tego Zorina. Miłość, cholera...

– Jeśli trzymałaś język za zębami, to może nie trzeba się aż tak spieszyć? – zasugerowałem zimno.

Myślałem, że coś odburknie, ale niespodziewanie zadrżały jej wargi, po policzku spłynęła samotna łza. Zanim się zorientowałem, szłochała już w moich ramionach.

– Ja nie chciałam... – wymamrotała. – To się stało tak nagle...

Delikatnie rozgiąłem zaciśnięte na moim ubraniu palce dziewczyny, niezgrabnie pogładziłem po głowie.

– Podaj wszystkie dane Lidii Zosimownie, ona sprawdzi go przez nasze kanały.

– Kogo mam sprawdzić? I czy to naprawdę konieczne? Bo jak wnioskuję, rzecz nie ma nic wspólnego z misją? – skrzywiła się niechętnie Lidia Zosimowna.

Umilkła, kiedy rzuciłem jej spojrzenie, które odpowiedziało nie tylko na zadane pytania, ale i kilka innych, niepostawionych wprost.

– Wykonać! – poleciłem, wychodząc.



Adiutant Głuzdowskiego zaprowadził mnie do położonej opodal, niewielkiej willi. Budynek nie wyglądał na siedzibę sztabu, raczej prywatne gniazdko generała. Dowódca Szóstej Armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego, niewysoki, korpulentny mężczyzna o okrągłej, dobrodusznej twarzy, siedział za bogato zastawionym stołem. Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem spod krzaczastych, nawisłych brwi, przywitał uściskiem dłoni. Plotka głosiła, że jest wnukiem polskiego zesłańca i synem Gruzina. To ostatnie było o tyle prawdopodobne, że urodził się w Tbilisi, dawnym Tyflisie. Nie miałem odwagi sprawdzić tych informacji – centrum łączności obsadzone było przez ludzi Głuzdowskiego.

– Siadajcie, pułkowniku – mruknął, wskazując mi krzesło. – Macie coś dla mnie? Czy może nie powinienem nawet pytać, żeby nie zostać oskarżony o sabotowanie waszej misji?

– Moje działania istotnie koncentrują się wokół powierzonego mi zadania –

odparłem ostrożnie. – Jednak jestem gotów udzielić wam wszelkiej pomocy, towarzyszu generale. Rzecz jasna, w miarę możliwości. *Wojennaja razwiedka* pracuje dla armii.

Po chwili namysłu Głuzdowski skinął aprobująco głową.

– Rzeczywiście – stwierdził. – *Wojennaja razwiedka* pracuje dla nas. Zjecie coś?

– Chętnie.

Co prawda już wcześniej zaspokoilem głód – zatroszczyła się o to moja ekipa – ale czort wie kiedy dostanę kolejny gorący posiłek.

Generał bez słowa napełnił mój talerz, nalał wódki i wymownym gestem wskazał zakąski.

– Czym chata bogata – zaprosił bez cienia ironii w głosie.

Sam także poczęstował się gęstą, smakowitą pochlopką. Widać, że kucharzył Rosjanin, nie Niemiec.

Przez jakiś czas słyhać było jedynie delikatne pobrzękiwanie sztućców, przerywane czasem dźwiękiem trącanego szkła. Głuzdowski nie spieszył się z pytaniami, a ja nie widziałem powodu, aby samemu rozpocząć rozmowę. Generał kilkakrotnie dolewał mi wódki i rekomendował zakąski: a to marynowane grzybki, a to kiszone ogóreczki, a to kawior. Postronny obserwator doszedłby pewnie do wniosku, że usługuje mi przy stole, lecz w rzeczywistości każdy jego ruch był dokładnie przemyślany i wymuszał na mnie odpowiednią reakcję. Pan generał postanowił napić się wódki? Cóż – nalewał i Razumowskiemu, po czym wznosił kieliszek w bezgłośnym toaście. Chwalił smak malutkich, nie większych od paznokcia podgrzybków? Wypadało się poczęstować... Nie znałem bliżej Głuzdowskiego, ale jeśli kontrolował swoją armię jak naszą biesiadę, był prawdziwym wirtuozem. Wreszcie otarł serwetką wydatne usta i uniósł wzrok znad stołu. Znaczy koniec posiłku...

– Macie coś dla mnie? – zapytał.

– Niestety, nic pocieszającego. Garnizon liczy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, do tego dochodzi Hitlerjugend i formacje pomocnicze. Wszystkie instytucje działają sprawnie, w mieście nie ma paniki. Co prawda von Ahlfen nie posiada specjalnego doświadczenia, ale ten problem zostanie rozwiązany na dniach.

– Tak?

– Hanke naciska, żeby dowódcą Breslau uczynić Niehoffa.

– Z jakim skutkiem?

– Nie mam pojęcia, towarzyszu generale, ale gdybym miał zgadywać...

Głuzdowski otworzył srebrną papierośnicę, poczęstował mnie i sam zapalił. Pauza trwała paręnaście sekund, akurat tyle, abym dał radę sformułować odpowiedź.

– Podobno Hanke jest w łaskach u Hitlera. A korzyści z zamiany niedoświadczonego dowódcy na Niehoffa są oczywiste. W dodatku Niehoff to

fanatyk, wiadomo, że będzie się bił do końca.

– Wasze sugestie?

– Nie czuję się kompetentny. Jestem tylko...

Urwałem powstrzymany leniwym gestem generała.

– Sugerowanie pewnych rozwiązań to część analizy – przypomniał.

– Myślę, że ataki na większą skalę nie mają sensu – odparłem. – Von Ahlfen nie podda miasta, nie w tym momencie. Tym bardziej jeśli doszły go słuchy, że Hanke powątpiewa w jego kompetencje. Jeżeli dowództwo obejmie Niehoff, sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej.

– Jak z zapasami?

– Nie miałem dostępu do danych kwatermistrzostwa, jednak z tego, co zauważyłem, garnizon Breslau ma pod dostatkiem broni, amunicji i żywności. Powoli zaczynają się problemy z medykamentami, ale i tu nieprędko sytuacja stanie się tragiczna.

– Wnioski?

– Kontynuować oblężenie.

– Zdajecie sobie sprawę z sytuacji? Już krążą plotki o mojej nieudolności, żołnierze zaczynają opowiadać dowcipy na temat Szóstej Armii, NKWD sugeruje Głównodowodzącemu, żeby zastąpił mnie kimś innym.

– Nie wątpię – mruknąłem. – Towarzysz Beria ma w tym swój interes.

– A mianowicie? – zmarszczył brwi Głuzdowski.

– Niestety, nie macie dopuszczenia do tej informacji, towarzyszu generale – odezwałem się przeprasząc. – Stąd nie mogę wyjawić wam detali. Ujmując rzecz w skrócie: zarówno GRU, jak i NKWD prowadzą poszukiwania czegoś niezmiernie cennego. Ludzie Generalnego Komisarza mogą działać na terenach już wyzwolonych, my na zajętych przez Niemców.

– Więc dlatego Genkomowi zależy na jak najszybszym zdobyciu Breslau?

Bez słowa skinąłem głową.

– Jednak jeśli nie zdobędę miasta w najbliższym czasie, towarzysz Stalin zdejmie mnie z funkcji.

– Niekoniecznie.

– A to niby dlaczego?

– Przełamanie obrony Breslau nie ma specjalnego znaczenia, nasze armie i tak poszły na Berlin, a miasto jest izolowane. Co innego moja misja. Jeżeli znajdę to, czego szukamy, wygra *wojennaja razwiedka*, w przeciwnym wypadku NKWD.

– A tymczasem czekał ci będą... – Głuzdowski zacisnął usta.

– Będą – przyznałem. – Tyle że Głównodowodzący wysłucha ich dopiero wtedy, kiedy poniosę klęskę. Jeśli wygram, wszelkie działania, wliczając w to długotrwałe oblężenie, zostaną uznane za usprawiedliwione.

Generał zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się dymem.

– Jak oceniacie swoje szanse?

– Trudno powiedzieć. – Bezradnie wzruszyłem ramionami.

– Tak też myślałem – westchnął Głuzdowski. – Czym mogę pomóc?



Zapukałem do drzwi von Bredowów, po chwili użyłem dzwonka. Dochodzące z wewnątrz szmery wskazywały, że ktoś jest w domu.

– Otwórzcie – zawołałem. – To ja.

Zgrzytnął zamek, usłyszałem brzęk łańcucha.

– To pan, majorze?

– Może mnie wpuścisz, Horst? – zaproponowałem ze znużeniem. – Mam coś dla was.

– Nie rozumiem?

– Będziemy rozmawiać w progu?

– Przepraszam, proszę wejść.

Bez słowa pomaszerowałem do salonu i wręczywszy chłopakowi plecak, z głuchym stęknieniem zwałem się na krzesło.

– Gdzie twoja matka?

– Wyszła na chwilę do sąsiadki.

Zerknąłem na zegarek: dochodziła dwudziesta druga, nic dziwnego, że ledwo łązę. Mój dzień rozpoczął się o piątej rano.

Leciutko skrzypnęły drzwi i do pokoju zajrzała Klaudia. Na bosaka i w koszuli nocnej.

– Czy ona nie powinna spać? – spytałem.

– Powinna – odparł Horst z rezygnacją w głosie. – Tylko że nie chce.

– Chodź tu! – burknąłem pod adresem małej.

Podeszła ostrożnie, nie wyjmując palca z buzi. Sięgnąłem do plecaka, pokazałem dziewczynce tabliczkę czekolady.

– Przywiozłem prezenty – poinformowałem. – Ale dostaną je tylko grzeczne dzieci. Jutro.

– Ja chcę teraz!

– Teraz pójdziesz spać.

– Chcę czekolady!

No, no, najwyraźniej Klaudia von Bredow miała problemy z wykonywaniem poleceń. Najwyższy czas, żeby coś z tym zrobić. Podsunąłem czekoladę chłopakowi.

– Naprawdę mogę?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Ja też! – tupnęła nogą Klaudia.

– Jutro – powtórzyłem spokojnie. – Cała czekolada była dla ciebie, ale ponieważ byłaś niegrzeczna, zjedliśmy ci kawałek. Zaraz zjemy kolejny. Jeszcze trochę i zostanie ci tylko papierek.

Mała spojrzała na mnie z przerażeniem, po czym popędziła do łóżka niczym ścigany jelonek. Ot, co znaczy właściwa motywacja!

– Za pięć minut sprawdzę, czy śpisz! – uprzedziłem surowym tonem.

Odpowiedział mi zduszony szloch.

– Może zajrzę do niej? – powiedział niepewnie Horst. – Bo chyba płacze.

– Niech sobie popłacze. Za chwilę będzie spała.

– Jest pan pewien? Bo jak mama wróci...

– Chcesz się założyć?

– Raczej nie, podejrzewam, że mógłby pan wygrać – odpowiedział z krzywym uśmiechem.

– Zamknij drzwi od pokoju Klaudii – poprosiłem. – Nie chce mi się szeptać.

– Będzie się awanturowała.

– Nie będzie – uciałem.

Chłopak posłusznie wykonał polecenie, przez moment nasłuchiwał nerwowo.

– Wygląda na to, że rzeczywiście zasnęła – stwierdził z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Przecież mówiłem. Aha, mam coś i dla ciebie.

– Nie trzeba...

Umilkł, kiedy podałem mu nóż w skórzanej pochwie.

– Najnowszy model – poinformowałem. – Rosjanie nazywają go NR-43.

– NR?

– *Noż razwiedzczika* – powiedziałem po rosyjsku. – Cyfra określa rok, w którym wprowadzono go na uzbrojenie.

– *Nosz razwedczyka* – powtórzył, nieudolnie naśladowując mój akcent. – Co to znaczy?

– Nóż zwiadowcy. Mógłbyś zerknąć do jakiegoś słownika. Kto wie czy rosyjski ci się nie przyda? – dodałem zgryźliwie.

Horst przyjął pozycję szermierczą, wykonał kilka niezgrabnych cięć.

– Nie tak – westchnąłem. – To nie szabla. Nożem walczy się z bliska i atakuje z zaskoczenia.

Stuknąłem go gwałtownie w czoło i zamarkowałem pchnięcie.

– Widzisz? Odrzucenie głowy w tył odsłania szyję, później wystarczy jeden ruch.

Błyskawicznym ruchem zmieniłem uchwyt na odwrotny, zakręciłem nożem między palcami.

– Nauczy mnie pan walczyć? – spytał z roziskrzonym wzrokiem.

– Walczyć? Nie mam na to czasu, ale mogę pokazać ci kilka sztuczek – odparłem z udawaną niechęcią. – Tylko wiesz co? Raczej nie opowiadaj o tym matce...

Chłopak przytaknął skwapliwie.

– Lepiej, żeby i tego noża nie widziała – mruknął.

– To go schowaj, zanim wróci. A teraz rozpakuj plecak, będzie mi potrzebny.

Przymknąłem oczy, rozmasowałem skronie. Czas spać. Jutro z samego rana muszę zjawić się u von Ahlfena. Generał zażyczył sobie, abym złożył mu szczegółowe sprawozdanie. Może dowiem się przy okazji czegoś na temat ewentualnej zmiany na stanowisku dowódcy Festung Breslau. Sztabowcy plotkują jak przekupki na targu. Wypadałoby też skontrolować moich spadochroniarzy. Lepiej mieć na nich oko, niż później żałować.

– Skąd pan to wziął? – Horst z osłupieniem wpatrywał się w okazały stos konserw, tabliczek czekolady i puszek z kawą.

Cóż, w Breslau od dawna nie można było dostać prawdziwej czekolady, a jedynie jakieś erzace, kawa, prawdziwa kawa była czymś z sennych marzeń. Kazałem Elenie załadować plecak różnościami, widać dziewczucha przyłożyła się do roboty.

– A jak myślisz? – burknąłem.

– Pan naprawdę był po drugiej...

Przerwałem mu ospałym gestem.

– Zaufałem ci, Horst – powiedziałem poważnie. – Mam nadzieję, że nie będę tego żałował. Jeśli pochwalisz się komuś tym nożem albo chlapiesz coś na temat żarcia, mogę nie wrócić z kolejnej... wycieczki.

– Potrafię dotrzymać tajemnicy – oznajmił, prężąc się na baczność.

– To dobrze. Twoją matkę sam poproszę o dyskrecję. Czas już na mnie. – Ziewnąłem. – Będę się zbierał.

Zanim doszedłem do wyjścia, chłopak otworzył przede mną drzwi. Kiedy się żegnaliśmy, wyczułem w jego głosie szczery podziw, niemal uwielbienie. Też znalazł sobie idola... Znaczący wszystko idzie zgodnie z planem.

Wspinając się po schodach, słyszałem pospieszny stukot damskich obcasików – pewnie *Frau* von Bredow wracała od sąsiadki. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zawrócić. Biorąc pod uwagę sytuację, każda minuta spędzona z Ingą była na wagę złota, jednak ostatecznie zwyciężył rozsądek: potrzebowałem odpoczynku. Wiedziałem, że jeśli popełnię błąd, nie dostanę drugiej szansy.

Zostawiłem klucz w zamku – nie miałem ochoty na niespodziewaną wizytę sąsiadki. Porozmawiam z nią jutro. Jutro...

Dotknąłem czołem chłodnej szyby, za oknami mojej sypialni przeciwlotnicze reflektory cięły czarną kurtynę nocy niczym gigantyczne nożyce, gdzieś w oddali wyły syreny, wybuchały bomby. Kolejna noc w Breslau...



Szum krwi w uszach przypominał do złudzenia odgłos wydawany przez tłukące o brzeg sztormowe fale: przycichał momentami, aby w chwilę później powrócić w agresywnym crescendo. Tym razem wstrzymywaniu oddechu towarzyszyły barwne, zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy. Przed oczyma wirowały mi twarze dawno zmarłych przyjaciół i wrogów, czasem mignęła zamazana sylwetka o ni to ludzkich, ni to zwierzęcych kształtach. Wreszcie wszystko pochłonęła ciemność, dotarłem do celu: oto katakumby chaosu. Początek ścieżki koszmarów...

Każdy, kto ją przejdzie, uzyska kontrolę nad wizjami obrazującymi rozmaite warianty przyszłości. O ile ją przejdzie. Alternatywą był obłąd lub śmierć przez wykrwawienie. Pęknięcie naczyń krwionośnych to jeden z pierwszych objawów wstąpienia na ścieżkę. Tak przynajmniej twierdził anonimowy autor książki *Doskonałych*.

Jednak zanim zagłębiłem się w mrok, koncentrację przerwał mi natrętny, uporczywie powtarzający się dźwięk: tuk-tuk, tuk, tuk-tuk. Zirytowany, gwałtownie wypuściłem powietrze z płuc. Niemal natychmiast poczułem ciepło na twarzy. Zakląłem, widząc, jak krew zalewa mi piżamę. Szlag! Jeszcze tego mi brakowało. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ktoś dobija się do drzwi.

Popędziłem do łazienki, zdarłem z siebie poplamioną bluzę i wsadziłem głowę pod zimną wodę. Na szczęście krwotok skończył się równie szybko, jak się zaczął. Ciekawe, komu jestem niezbędny o tej porze? Dochodziła szósta rano. Zerknąłem przez wizjer. No tak, mogłem się domyślić: sąsiadka przyniosła mi śniadanie...

– Mogę wejść? – spytała, patrząc niepewnie na mój nagi tors.

Bez słowa wpuściłem ją do mieszkania.

– Jesteś sam?

– Skąd! – odburknąłem. – Właśnie upchnąłem w szafie kwartet rozpustnych tancerek.

– Jedz, póki ciepłe – poprosiła.

Narzuciłem szlafrok, zasiadłem do stołu. Rzeczywiście warto było się pospieszyć: ciepłe bułeczki, kawa, jajecznica z prawdziwych jajek... Dawno już nie jadłem takiego śniadania.

– Chciałam ci podziękować – powiedziała. – Za... prezenty. Dobry rok nie widziałam w sklepie prawdziwej czekolady.

– Nie ma za co – odparłem obojętnie. – Mam nadzieję, że wszystkim smakowało.

– Smakowało – zapewniła. – Klaudia obudziła mnie już godzinę temu, domagając

się swojej porcji.

– Rozumiem, że to jej zawdzięczam ciepłe bułeczki?

– Mniej więcej – przyznała ze wstydliwym uśmiechem. – Nie wiem, czy sama zerwałabym się tak wcześniej.

Niespodziewanie w aromat potraw wplótł się inny zapach. Pochyliłem się lekko, usiłując zidentyfikować nieznaną woń: brzoskwinia, przydymiona śliwka, goździk, mech... To było coś nowego, do tej pory *Frau* von Bredow nie używała perfum. Pewnie zostało jej parę kropel na dnie flakonika – mogłem się założyć, że kosmetyki są w Breslau towarem deficytowym. Jak to na wojnie.

– Mógłbyś zjeść z nami obiad – zaproponowała zniechęcona. – Jeśli chcesz.

– Chętnie, o ile tylko zdążę. Nie wiem, jak długo zatrzymają mnie w sztabie.

– Poczekamy na ciebie – zapewniła.

– Dziękuję – powiedziałem, odsuwając talerz. – Wszystko było pyszne.

Kiedy wstała, aby sprzątnąć naczynia, ponownie poczułem zapach perfum. Odrobinę bardziej intensywny niż przed chwilą. Każda kobieta wie, że najlepiej nanosić je tam, gdzie tuż pod skórą znajdują się największe arterie: na szyję, w zgięcie łokci i kolan. Emocje powodują przyspieszenie tętna i podniesienie temperatury ciała, a wówczas woń perfum staje się wyrazistsza. Tylko skąd te emocje? Czyżby moja sąsiadka zmieniła zdanie na temat kontaktów z mężczyznami?

Przyjrzałem jej się uważniej: wyglądała jak zazwyczaj, a jednak ciut inaczej. Ulubiona szara sukienka Ingi została skrócona o kilka centymetrów, a zamiast wygodnych domowych kapci *Frau* von Bredow włożyła dzisiaj szpilki wysmuklające i tak zgrabne łydki. Chyba ktoś chciał zrobić wrażenie na majorze Rocie...

– Możesz otworzyć mi drzwi?

Wyjąłem jej tacę z dłoni, odstawiłem na stół. Unikała mojego wzroku, ale nie odsunęła się nawet o milimetr.

– Ja... – zaczęła niepewnie.

Musnąłem delikatnie jej policzek, kiedy mnie objęła, rozgniotłem wargi w zaborczym pocałunku. Nie bronila się przed pieszczotami moich ust i dłoni, oddawała je z desperacką namiętnością. Rozpalona, gładka jak jedwab skóra pachniała chyprem z dodatkiem niemal nieuchwytniej kobiecej woni. Krągłe, jędrne piersi nabrzmiały pod moim dotykiem i z ust Ingi wydobył się przeciągły jęk. Podwinąłem jej sukienkę, badając kuszącą krzywiznę bioder, gładząc wewnętrzną stronę ud. Jeszcze moment i wziąłbym ją tu i teraz, ale nagle ciszę przerywaną jedynie naszymi oddechami rozdarł dzwonek telefonu.

– Może... odbierz – zaproponowała, ciężko dysząc. – To pewnie coś ważnego.

Zakląłem pod nosem, jednak posłusznie sięgnąłem po słuchawkę. Nie miałem przyjaciół w Breslau. To musiał być ktoś ze sztabu.

– Roth, słucham – rzuciłem lakonicznie.

Nieznany, suchy głos poinformował mnie, że generał von Ahlfen odwołał spotkanie.

– Co się stało? – spytała niespokojnie Inga.

– Von Ahlfen nie ma dzisiaj dla mnie czasu. Zjem z wami obiad, ale najpierw...

Porwałem kobietę na ręce i zaniósłem do sypialni. Próbowła coś mówić, być może protestować, zamknąłem jej usta pocałunkiem. W mgnieniu oka wyswobodziłem ją z ubrania i bielizny. Nie byłem specjalnie delikatny: pod moimi palcami trzaskały jakieś koronki, ale Inga się nie skarżyła, jej pragnienie dorównywało mojemu. Reagowała na każdy mój ruch z nieświadomym, przesiąkniętym erotyzmem wdziękiem, krzycząc z rozkoszy, kiedy znaczyłem jej ciało zębami i paznokciami. Żadnemu z nas nie była potrzebna długa gra wstępna; kiedy w nią wszedłem, była więcej niż gotowa. Oplotła mnie nogami, dostosowała się do szybkiego, gwałtownego ruchu bioder, oddając się z gwałtowną, niemal dziką namiętnością. Kiedy skończyliśmy, moje wargi były słone od potu i łez Ingi, czułem bicie jej serca, wdychałem słodko-gorzki zapach skóry i włosów.

Nie wiem, jak długo leżeliśmy bezwładnie, z otępiętymi, wypalonymi rozkoszą zmysłami. W końcu przetoczyłem się na bok, usiadłem z wysiłkiem, czując pod stopami chłodną podłogę. Ktoś musiał zachować rozsądek, jeszcze chwila i do moich drzwi zaczęły się dobijać dzieci Ingi...

Pomaszerowałem do łazienki, nie zawracając sobie głowy zakładaniem szlafroka, wszedłem pod prysznic. Tego mi było trzeba – zimnej wody. W dużych ilościach. Rzecz jasna, nie zakochałem się w Indze, ale tak czy owak, zwykła łózkowa gimnastyka nie powinna wywoływać aż takich emocji. Tyle że wywołała. Jedyne plus w tym, że być może nie tylko u mnie...

Wróciłem do sypialni w cywilnych spodniach i grubej flanelowej koszuli. Ot, strój w sam raz na niezobowiązujące spotkanie w rodzinnym gronie.

Inga siedziała na skotłowanym łóżku, wygładzając drżącymi rękoma pomięte ubranie. Widząc mnie, zakryła skromnie piersi. Wyglądało na to, że od czasu śmierci męża raczej nie udzielała się... towarzysko. W przeciwnym wypadku zachowywałyby się swobodniej. Podałem jej szlafrok, sukienkę i to, co zostało z jej bielizny, położyłem na krześle.

– Nagrzałem trochę wody – poinformowałem. – Gdybyś chciała skorzystać...

Podziękowała uśmiechem i pospieszyła do łazienki. Zerknąłem na zegarek: siódma. Lada moment Horst będzie musiał udać się na zebranie Hitlerjugend. Lepiej, żeby *Frau von Bredow* doprowadziła się jak najszybciej do porządku. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko scysji z chłopakiem.

– Mógłbyś przynieść moje rzeczy? – zawołała.

Przyniosłem i podałem przez uchylone drzwi. Najwyraźniej sama Inga była skrupowana nie tylko swoją nagością, ale i wcześniejszą reakcją na moje pieszczoty.

Ubrała się w iście rekordowym tempie i stanęła w progu, nerwowo przyglądając włosy.

– Porozmawiamy? – spytała.

Nakazałem jej gestem, aby się odwróciła, co uczyniła z wdziękiem rasowej modelki. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało w porządku, jedynie na sukience widać było parę niemal niewidocznych zagięć. Kobieta pewnie zauważyłaby je od razu, ale miałem nadzieję, że młody von Bredow okaże się mniej spostrzegawczy.

– Porozmawiamy – obiecałem. – Później.

– O Boże! – krzyknęła, podnosząc oczy na ścienny zegar. – Już kwadrans po siódmej. Muszę natychmiast wracać!

– Idź. Niedługo przyjdę. I zostaw naczynia, sam je umyję.

Podziękowała skinieniem głowy i wybiegła z mieszkania, zabierając ze sobą tacę.

Podszedłem do okna i zza firanki obserwowałem ulicę. Nie musiałem długo czekać: po paru minutach Horst wybiegł z domu i popędził w stronę Tiergartenstrasse. Cóż, czas odwiedzić sąsiadkę...



Siedziałem z przymkniętymi oczyma w wygodnym bujanym fotelu, Inga szła. Monotonny turkot maszyny i dobiegający z sąsiedniego pokoju śpiew Klaudii działały na mnie usypiająco. Mimo wyraźnego skrępowania – *Frau von Bredow* czerwieniła się przy każdym przypadkowym dotknięciu – widać było, że moje towarzystwo sprawia jej przyjemność. Usadowiła się tuż przy mnie, tak że niemal czułem ciepło jej ciała. Milczeliśmy. Inga najwyraźniej zastanawiała się, jak zacząć rozmowę, ja nie widziałem powodu, aby przejmować inicjatywę: każdy zwiadowca błyskawicznie uczy się cierpliwości.

– To, co się stało – odezwała się wreszcie. – Czy ty także... – urwała bezradnie.

– Ja także – odparłem zwięźle. – Zwykle nie jest to aż tak intensywne.

– Rozumiem – powiedziała z ulgą.

– Dlaczego pytasz? Przecież byłaś mężatką?

– Gregor był o dwadzieścia lat starszy i nie przykładał do tego specjalnej wagi – wyjaśniła.

Na jej twarz ponownie wypłynął malinowy rumieniec. Wymruczałem coś współczująco, ale nie skomentowałem wyznania Ingi. Czekałem. Przez lata pracy w *wojennej rozwidce* nauczyłem się ufać własnej intuicji. A teraz miałem przemożne wrażenie, że to nie ostatnie, ani nawet najważniejsze pytanie, jakie chce mi zadać sąsiadka.

– Ale ja nie o tym...

– Tak?

– Czy można jakoś wydostać się z Breslau?

Spojrzałem na nią ostro: prowokacja? Tylko w jakim celu? Nawet gdybym podjął dyskusję na ten temat, w razie donosu nie byłaby w stanie niczego udowodnić. Jej słowo przeciwko mojemu, ot i wszystko... Urządzenia podsłuchowe? Teoretycznie możliwe, ale nie widziałem powodu, dla którego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu. Policja, nawet ta tajna, miała obecnie dużo ważniejsze sprawy niż inwigilacja majora Rotha. A w razie spalenia mojej legendy nikt by mnie nie podsłuchiwał, zostałbym natychmiast aresztowany, o ile nie rozstrzelany na miejscu. Nie, to wszystko bzdura: Inga po prostu desperacko szuka wyjścia z sytuacji, chce ratować dzieci...

– Zapomnij – odparłem krótko.

– Przecież tobie się udało!

– Ciszej! – syknąłem. – Lepiej, żeby Klaudia nas nie słyszała, bo jak coś powtórzy...

– Przepraszam – wyszeptała drżącymi wargami. – Przepraszam, Aleks.

– Nie gniewam się. Tak czy owak, to nierealne. Nie macie odpowiednich dokumentów, nie znacie języka, nie potraficie walczyć. Zapomnij – powtórzyłem.

– Znam rosyjski, a Horst potrafi strzelać.

– Znasz rosyjski?

– Mój ojciec był przez wiele lat dziekanem Wydziału Sławistyki na Uniwersytecie w Heidelbergu. Studiowałam tam trzy lata.

– A później?

– Nie zakończyłam nauki, jeśli o to ci chodzi. Spotkałam Gregora, urodziłam syna.

– Dlaczego nie nosisz nazwiska męża?

– On pochodził z mieszczańskiej rodziny i mój ojciec... – Wzruszyła wymownie ramionami.

– Co do twojego ojca, myślałem, że zajmował się archiwistyką?

– To jego druga pasja, pierwszą są języki.

– *Pogoworim, diewuszka?* – zaproponowałem.

– *Pogoworim* – odparła z ciężkim teutońskim akcentem.

Konwersowaliśmy po rosyjsku kilka minut. Inga odpowiadała z ociąganiem, niezbornie, wyraźnie szukając w pamięci odpowiednich zwrotów. Rozumiała z grubsza, o co mi chodzi, ale okazała się zupełnie bezradna wobec pospolitych idiomów.

– Wieszac makaron na uszach? – powtórzyła ze zdumieniem. – *Łapsza* to makaron?

– Makaron – przytaknąłem z westchnieniem. – To wyrażenie znaczy tyle co: oszukiwać, mydlić oczy. Jeśli napotkasz rosyjski patrol, aresztują cię, zanim zdążysz

skończyć zdanie.

– Ale...

– Inga! – warknąłem, tym razem naprawdę zły. – Nie zrobię tego! Nie wyprowadzę ciebie i dzieci z Breslau! Bo tu macie szansę przeżyć, tam żadnych! Nie jestem w stanie załatwić wam dokumentów, bo i te moje pozwalają jedynie na włączenie się w strefie przyfrontowej. Do tego trzeba by mieć jakiś środek transportu, przejść linię frontu, przejechać kilkaset kilometrów. Na pewno nie obyłoby się też bez walki. Nie dałbym rady was obronić, nie w pojedynkę. I jeszcze jedno: założę się, że Horst umie strzelać równie dobrze, jak ty znasz rosyjski...

Inga zagryzła wargi, widziałem, że z całych sił stara się powstrzymać szloch.

– Horst powiedział, że zgłosi się na ochotnika do oddziałów Herzoga – powiedziała z rozpaczą. – Przeszedł kurs posługiwania się granatnikiem i chce bronić miasta.

Złożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia: a więc o to chodzi... Zapewne Horst oznajmił matce o swojej decyzji, kiedy tylko wróciła ode mnie. Stąd i desperacja *Frau von Bredow*. SA-Obergruppenführer Otto Herzog był dowódcą Volkssturmu, sformował też dwa bataliony z członków Hitlerjugend. Te ostatnie zdążyły już się wsławić bezwzględnością i odwagą, ale ponosiły ogromne straty: chęć do walki nie może zastąpić wyszkolenia. Jeśli Horst do nich dołączy, nie wróżyłem mu długiego życia...

– To rzeczywiście problem – przyznałem.

– Mógłbyś go przekonać, żeby zrezygnował? – Spojrzała na mnie błagalnie. – Przecież nie musi brać udziału w walce.

Mało brakowało, a parsknąłbym śmiechem. Przekonać?! Młody von Bredow widział już pewnie oczyma duszy Żelazny Krzyż na swojej trumnie i zawodzące z rozpaczyny półnagie walkirie. I napawał się tą wizją. Dzieciaki nie boją się śmierci, to dla nich pojęcie abstrakcyjne.

– Nie jestem pewien, czy da się tu cokolwiek zrobić. – Pokręciłem głową. – Wiesz, że władze uważają stawianie oporu za „święty obowiązek”. I nikt nie zwraca uwagi na wiek, w walce biorą udział młodszy od Horsta. Jeżeli sam się zgłosi...

– A gdybym porozmawiała z Herzogiem?

– Ani się waż! – warknąłem. – Wiesz, co grozi za defetyzm! I dlaczego nie uciekliście wcześniej? Zanim Rosjanie zamknęły okrążenie?

– Ojciec obiecał, że zorganizuje nam transport, dzięki pracy dla Himmlera miał dostęp do wyższych urzędników. Ostrzegął, że ewakuacja w środku zimy jest niebezpieczna, że brakuje pociągów, a linie kolejowe i drogi są bombardowane. Załatwił z dowództwem, żeby pozwolono nam zostać. Boję się o niego, gdyby mógł, na pewno nawiązałyby z nami kontakt przez sztab von Ahlfena.

– No dobrze – mruknąłem. – Spróbuję pogadać z Horstem. Ale – uniosłem ostrzegawczo palec – nie obiecuj sobie zbyt wiele.

– Dziękuję – powiedziała z wdzięcznością. – Czuję się taka bezradna. Sytuacja pogarsza się z każdym dniem, a ja nie mogę nic zrobić.

– A co byś zrobiła?

– Żeby ratować dzieci? Wszystko.

Uniosłem brwi w niewypowiedzianym pytaniu. Przez dłuższą chwilę Inga patrzyła na mnie z namysłem. Liczyłem na jej inteligencję i nie zawiodłem się.

– Absolutnie wszystko – potwierdziła. – Czy masz jakiś...

Położyłem jej palec na ustach, bez słowa zaprowadziłem do łazienki.

– O co...

Ponownie uciszyłem ją gestem, odkręciłem kran. Nie sądziłem, żeby ktoś zainstalował tu podsłuch, ale lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować.

– Istnieje pewna opcja – szepnąłem kobiecie do ucha. – Gdyby wszystko inne zawiodło.

– Jaka?

– Archiwum Himmlera.

– Nie rozumiem...

Przesunąłem dłonią po szyi Ingi, zatrzymałem kciuk na tętnicy. Jej serce biło równo i spokojnie, chyba rzeczywiście nie zorientowała się jeszcze, o co mi chodzi.

– Te dokumenty są bezcenne. Gdybyśmy znaleźli jakieś wskazówki, które pozwoliłyby ustalić, gdzie zostały ukryte, Rosjanie zgodziliby się na wszystko. W zamian za informacje. Także na wyjazd rodziny von Bredow w dowolnie wybrane miejsce. I wypłacenie kwoty, która pomogłaby wam zacząć nowe życie.

Poczułem pod palcami szaleńczy trzepot pulsu, odwróciłem wzrok. Nie chciałem patrzeć jej w oczy. Wiedziałem, że w razie potrzeby moje ręce będą szybsze niż reakcja Ingi. Wystarczy okrzyk oburzenia, gwałtowny ruch czy fałsz w głosie, a umrze, zanim upadnie na posadzkę.

– Nic nie wiem o archiwum – wyszeptała pospiesznie. – Nic poza tym, co ci powiedziałam.

Z wolna cofnąłem dłoń, ale Inga sama przysunęła się do mnie.

– Ojciec zostawił u mnie notatki, lecz nie wiem, czy coś nam to da. Wyglądają na konspekty wykładów. Być może jest w nich jakaś informacja. Pomożesz mi?

– Pomogę – zapewniłem.

– Co mam zrobić?

– Musisz przeszukać mieszkanie, znaleźć wszystko, co zostawił tu twój ojciec. Nieważne, jak błahe by ci się to wydawało. Wszystko – podkreśliłem.

– I co wtedy?

– Przejrzemy to kartka po kartce. Jeśli nic nie znajdziemy, przekażę papiery znajomemu. On dysponuje odpowiednim sprzętem.

– Jakim, do licha, sprzętem?!

W oczach Ingi pojawił się nieufny błysk.

– Myślę, że najwyższy czas zakończyć tę rozmowę – odparłem chłodno.

– Chciałabym, żebyś mi wytłumaczył...

– A ja chciałbym, żebyś nie zadawała mi takich pytań. A przynajmniej nie tym tonem – stwierdziłem, przerywając jej bezceremonialnie. – Obiad zjem w garnizonowej kantine. Jutro pogadam z Horstem, tak jak obiecałem.

– Nie jestem przyzwyczajona, żeby...

– Zauważyłem – ponownie wszedłem Indze w słowo. – Ja także nie przyzwyczałem się do pewnych rzeczy. Na przykład do braku zaufania ze strony osób, które powinny mi ufać. No ale to już twój wybór – zakończyłem rozmowę. – *Auf Wiedersehen, Frau von Bredow!* – Skłoniłem się lekko.

– Aleks!

Cóż, najwyższy czas pokazać hrabiance Indze Matyldzie Judycie von Bredow jej miejsce w szeregu. Bywa, że lepiej doprowadzić do konfrontacji, niż przekonywać o dobrych intencjach. Nie miałem wątpliwości co do wyniku naszego małego starcia: Inga świetnie wiedziała, że tylko ja mogę jej pomóc. Być może potrzebowała czasu, żeby to sobie uświadomić. Bo co innego jej pozostawało? Czekać, aż Breslau padnie i jakiś rosyjski żołnierz zawoła za nią: *Komm, Frau?* Wolne żarty...



ROZDZIAŁ TRZECI

Wyciągnąłem papierosa, podziękowałem, kiedy Becker podał mi ogień. Nie poczęstowałem sierżanta, bo ten postanowił chwilowo prowadzić zdrowy tryb życia. Z relacji znającego go od paru lat Lisa wynikało, że potrwa to jakieś dwa, góra trzy dni. Jak zwykle po przepiciu... Poprzedniego wieczoru Becker zafundował sobie gigantycznego kaca: na swoje szczęście, w czasie wolnym. W przeciwnym wypadku musiałbym go osobiście wprowadzić na wąską i wyboistą ścieżkę cnoty.

– Idzie – odezwał się, uchylając okno.

– Horst! – zawołałem. – Horst!

– Dzień dobry, panie majorze.

Młody von Bredow wyglądał na zmieszanego.

– Wskakuj! – poleciłem, otwierając drzwi.

Udało mi się pożyczyć wóz od znajomego oficera, odkryty schwimmwagen niespecjalnie nadawał się na zimowe przejażdżki.

– Spóźnię się do pracy – powiedział niepewnie.

– Dzwoniłem do nich – zapewniłem. – Masz dzisiaj wolne.

– Ale o co chodzi?

– Dowiesz się – uciałem. – Wsiadaj!

Wyraźnie zaciekawiony chłopak zajął miejsce w samochodzie.

– Co teraz?

– Będziesz pilotował sierżanta. On nie zna miasta, ja także. Podam ci nazwy kilku ulic, a ty powiesz nam, jak najszybciej tam dojechać. Pamiętaj, liczy się każda

sekunda!

– Ale...

– Zaczynamy! Frankfurterstrasse! – Ostentacyjnie podwinąłem rękaw, poprawiłem rozłożoną na kolanach mapę.

– Musimy zawrócić na Kaiserstrasse i przejechać przez most.

Zaryczał silnik i czarny mercedes pomknął naprzód jak strzała.

– Teraz w lewo! – poleciał Horst.

Ponad godzinę spędziliśmy, ganiając po Breslau, trzeba przyznać, że chłopak rzeczywiście świetnie orientował się w terenie. No i dobrze – dzięki temu moja propozycja wyda się bardziej prawdopodobna. Jeżeli dam radę przekonać Horsta, żeby nie rzucał się z panzerfaustem na czołgi, zarobię dodatkowe punkty u Ingi.

– Dobra, wystarczy – zdecydowałem. – Teraz do koszar.

– Poszło sporo benzyny – zauważył Becker. – Ten pański znajomek prosił, żeby uważać na paliwo.

– Zwrócisz mu – odparłem obojętnie.

– Ja?!

– Ile wygrałeś wczoraj u tego gościa z kwatermistrzostwa? Sto litrów? Sto pięćdziesiąt?

Sierżant odchrząknął niepewnie, wskazując ruchem głowy chłopaka.

– Spokojnie, to swój.

Młody von Bredow uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

– Miałem zamiar opchnąć towar, a zysk przeznaczyć na własny fundusz emerytalny – zauważył cierpko Becker.

– Tak też zrobisz. Nie licząc tych głupich paru litrów dla kapitana Haukego.

– To rozbój na równej drodze!

– Raczej drobna grzywna za uprawianie hazardu i opilstwo – sprostowałem. – A jak będziesz dalej marudził, opodatkuję cię za zadawanie się z łatwymi kobietami. Muszę przecież pilnować, żeby moi żołnierze nie stali się roznośicielami chorób wenerycznych – oznajmiłem podniosłym tonem.

– Skąd pan wie...?

– O wesołych panienkach z Friedrich-Wilhelm-Platz? – dokończyłem. – Zapomniałeś, gdzie dawniej służyłem?

Becker jęknął głucho, ale nie podnosił już tematu benzyny.

– Tak lepiej – stwierdziłem z aprobatą.

Przez resztę drogi sierżant trwał w pełnym urazy milczeniu.



Horst zmierzył wzrokiem przeciwnika, uśmiechnął się, zaciskając pięści: Lis nie wyglądał na cięższego, a chłopak przewyższał go wzrostem o głowę. Cóż, każdy musi uczyć się na własnych błędach...

– Zaczynajcie! – zawołałem.

Młody von Bredow zaatakował serią bokerskich ciosów, zakończył sekwencję podstępny kopniakiem w goleń. Lis niczym torreador zszedł z linii ataku, po czym powalił Horsta energicznym podcięciem.

Drzwi sali gimnastycznej uchyliły się lekko i Becker wymownym gestem wezwał mnie do wyjścia. Uśmiechnąłem się mimo woli, słysząc za plecami łomot i bolesne stęknienie: wyglądało na to, że Horst w błyskawicznym tempie uczy się pokory.

– Strzelnica gotowa – zameldował sierżant.

– Broń?

– Przygotowaliśmy pełen zestaw: od pistoletów po panzerfausta – odparł, wruszając ramionami. – Po czorta ten cały cyrk? Naprawdę uważa pan, że potrzebny nam przewodnik?

– Nie mam pojęcia, Karl. Kto wie? Jeśli linia frontu przesunie się w głąb miasta...

Becker splunął przesadnie przez lewe ramię.

– W tym jest coś jeszcze, prawda? – zapytał domyślnie.

– Prawda. Gówniarz chce się zgłosić na ochotnika do Herzoga, a jego matka wolałaby, żeby sobie jeszcze trochę pożył.

– Ładna chociaż ta matka?

– Nie twój zakichany interes – burknąłem. – Ładna – przyznałem, widząc, że przypatruje mi się spod oka. – Poza tym...

– Tak?

– Nie jestem zwolennikiem wysyłania do walki dzieciaków.

Becker skrzywił się, jakby rozgryzł coś wyjątkowo paskudnego.

– Tego typu deklaracje mógłby pan zatrzymać dla siebie – zauważył. – Nie żebym specjalnie żałował, kiedy pana rozstrzelają, ale mogą nam wtedy przydzielić dowódcę, który skasuje mnie nie na pięć, a na pięćdziesiąt litrów benzyny.

– Jestem wzruszony twoją troską – mruknąłem.

Trzasnęły drzwi, usłyszałem zbliżające się kroki.

– Załatwione – zameldował Lis.

– Jaki wynik?

– Sześć do zera.

Mina chłopaka nie pozostawiała cienia wątpliwości, kto przegrał.

– No dobrze – westchnąłem. – Pozostało strzelanie.

– Z jakiej odległości? – ożywił się młody von Bredow.

– Myślę, że darujemy sobie tarcze – stwierdziłem z namysłem. – Szkoda czasu.

Zauważyłem pod ścianą budynku kilka butelek. Widać strzelnicę wykorzystywano

także w bardziej rekreacyjnych celach.

– To w jaki sposób...

– Sierżant rzuci w górę butelkę, ty postarasz się w nią trafić. W walce cel przeważnie się porusza. Nie mówiąc o tym, że potrafi odpowiedzieć ogniem – dodałem wyjaśniająco.

– Nigdy tak nie strzelałem.

– I co z tego? Nie brałeś też udziału w walce wręcz, nie zniszczyłeś żadnego czołgu, a jednak chcesz walczyć. Decyzja, rzecz jasna, należy do ciebie, ale chciałbym, żebyś zdawał sobie sprawę ze swoich... kompetencji.

– No dobrze – wzruszył ramionami Horst. – Z czego mam strzelać?

– Twój wybór. Tylko zostaw w spokoju panzerfausta, sierżant nieco przesadził – zażartowałem.

Horst podszedł do długiego na kilka metrów, osłoniętego drewnianym zadaszaniem stołu zawalonego wszelkiego typu bronią. Po krótkim namyśle sięgnął po parabellum. Pewnie strzelał z niego już wcześniej. Broń miała dostatecznie „bojowy” wygląd, żeby robić wrażenie na smarkaczach z Hitlerjugend.

– Do roboty! – zarządziłem. – I jeszcze jedno, Horst, postaraj się nie zastrzelić sierżanta, nie mam drugiego na zamianę...

Lis wyszczerzył zęby w uśmiechu, Becker wydawał się nieco mniej rozbawiony. Z niezadowoloną miną podniósł butelkę po jakimś winie i stanął kilkanaście metrów od młodego von Bredowa.

– Już!

Becker błyskawicznym zamachem posłał butelkę w powietrze, niemal jednocześnie rozległy się strzały. Jak zauważyłem, chłopak zdążył kilkakrotnie nacisnąć spust, tyle że ani razu nie trafił. Znacząco zachował zimną krew, gorzej z celnością...

– A pan dałby radę? – spytał wyzywająco Horst. – Czy tylko robicie sobie ze mnie żarty?

– Karl.

– Tak?

– Weź dwie.

– Naraz?

– Naraz.

Sierżant bez słowa podniósł dwie butelki i zajął pozycję. Zerknąłem na wyłożoną na stole broń: wśród pistoletów były i konstrukcje zagraniczne, w tym tetetka, ale ostatecznie zdecydowałem się na dwa mausery HSc.

– Postaw te butelki tak, żebyś mógł po nie łatwo sięgnąć, i weź jeszcze dwie, wyrzucisz je raz za razem, najszybciej jak tylko dasz radę.

– Jest pan pewien, majorze? – odezwał się Becker sceptycznym tonem.

– Skąd! Uwielbiam publicznie robić z siebie idiotę!

Wokół zebrało się jeszcze paru żołnierzy, cóż, im większa widownia, tym lepiej...

– Teraz!

Poczekalem, az obie butelki znajdą się na maksymalnej wysokości, po czym nacisnąłem spusty. Odgłosowi strzałów natychmiast zawtórował dźwięk rozpryskującego się szkła. W sekundę później zestrzeliłem kolejne. Na twarzy Beckera zastygł grymas zdumienia: nieczęsto spotyka się kogoś, kto potrafi strzelać „po macedońsku”, z obu rąk. Horst wpatrywał się we mnie z niemal bałwochwalczym uwielbieniem.

– Wystarczy? – upewniłem się.

– Wystarczy! – zapewnił gorąco chłopak.

– Chodź, musimy pogadać.

– Dobrze, że się nie zakładałem – mruknął sierżant, odbierając ode mnie broń.

– Za dziesięć minut w samochodzie – poleciłem.

Becker potakująco skinął głową.

– Dlaczego on nie mówi „tak jest!”? – spytał młody von Bredow. – Przecież regulamin...

– Regulamin jest dobry na paradach – przerwałem mu, wzruszając ramionami. – Sierżant jest weteranem, a takich się szanuje. Grunt, żeby pamiętał, kto tu rządzi. Ale do rzeczy...

– Słucham.

– Twoja matka wspomniała mi, że postanowiłeś zgłosić się do Herzoga. Oczywiście zrobisz, co zechcesz, ale po tym, co dzisiaj widziałem, nie sądzę, abyś wniósł specjalny wkład w obronę Breslau. Brakuje ci wyszkolenia. Z drugiej strony znasz dobrze miasto, a mnie potrzebny jest ktoś taki.

– Mama poprosiła pana, żeby...

– Poprosiła – przyznałem. – Tylko że niczego jej nie obiecywałem: moim obowiązkiem jest troska o powierzonych mi ludzi. Gdybyś się nie nadawał, nie rozmawialibyśmy – podkreśliłem z naciskiem. – Być może nasze życie będzie zależało od tego, czy dotrzemy na czas w odpowiednie miejsce, stąd przydałby nam się przewodnik.

– Ale ja chcę walczyć!

– To nie jest konkurs życzeń! – odparłem szorstko. – Będziesz kiepskim żołnierzem, bo brakuje ci podstawowych umiejętności, za to jako przewodnik możesz rzeczywiście pomóc w obronie Breslau. Wybieraj!

– Dostanę przydział do „Kampfgruppe Roth”?

– Do czego?!

– Nie wiedział pan, że żołnierze nazywają tak pański oddział?

– A to matołki – wymamrotałem.

– Więc?

– Oczywiście, że dostaniesz. Postronne osoby nie mogą przebywać na terenie koszar. Z oczywistych względów: nasze działania są ściśle tajne. A ty będziesz ćwiczył wraz ze wszystkimi, no i brał udział w akcjach.

– A co z mundurem?

– Becker coś ci znajdzie. Dostaniesz też broń i wyposażenie. Naszym zadaniem jest zwiad, nie walka, ale musimy być przygotowani na wszystko.

Chłopak nie potrafił powstrzymać pełnego zadowolenia uśmiechu, pewnie widział się już w roli germańskiego wojownika chroniącego miasto przed czerwoną zarazą...

– Zgadzam się – powiedział, usiłując nadać głosowi głębszy, męski ton.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

– Nie rozumiem?

– Tu nie jestem twoim sąsiadem, tylko dowódcą. Oczekuję, że każde moje polecenie wykonasz natychmiast i bez dyskusji. Szczególnie dotyczy to zachowania w sekrecie naszych działań: nie masz prawa rozmawiać na ten temat nawet z matką. Czy to jasne?

– Tak jest!

– Przed akcją będziesz nocował w koszarach, razem z resztą grupy, takie są zasady gry. Zapamiętaj: najmniejsza niedyskrecja będzie traktowana jako zdrada i karana śmiercią!

– Rozumiem.

Horst pobladł, ale nadal patrzył mi w oczy. Cóż, miejmy nadzieję, że młody von Bredow potrafi trzymać język za zębami. W Breslau zabijano za mniejsze rzeczy. Niedawno rozstrzelano burmistrza Spielhagena tylko dlatego, że ten poprosił o przeniesienie do Berlina. Uznano to za defetyzm. Egzekucji dokonano na rynku, tuż przy pomniku Fryderyka Wilhelma, po czym ciało wrzucono do Odry. Gazety w rodzaju „Schlesische Tageszeitung” uprzedzały, że „kto obawia się śmierci w chwale, ten umrze w hańbie”, i każdy mieszkaniec Breslau wiedział, iż podobne ostrzeżenia należy traktować ze śmiertelną powagą.

– Do wozu! – zakończyłem rozmowę.

– *Jawohl!*



Wróciwszy do siebie, od razu zauważyłem ślady działalności Ingi: wymyte naczynia, wypastowane podłogi, suszące się w łazience pranie... Na stole w salonie leżała gruba sterta dokumentów. Zapewne hrabianka von Bredow przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że musi mi zaufać: znakomicie! Teraz pozostaje tylko sprawdzić papiery.

Nie przypuszczałem, żeby Zygfryd stosował jakieś specjalne zabezpieczenia – szyfry czy mikrofotografie to domena zawodowców, a ojciec Ingi był co najwyżej uzdolnionym amatorem, ale tak czy owak, wypadało przejrzeć te szpargały. Niezła robótka, biorąc pod uwagę, że na oko ważyły dobre dziesięć kilogramów...

Uśmiechnąłem się pod nosem, słysząc dźwięk elektrycznego dzwonka. Najwyraźniej moja sąsiadka wolała chwilowo zachować dystans: pukanie to czynność daleko bardziej intymna od wduszenia bakelitowego przycisku.

Bez słowa wpuściłem Ingę do mieszkania, usunąłem dokumenty ze stołu.

– Przepraszam – powiedziała, patrząc na mnie ze skruszoną miną. – Nie chciałam cię urazić. Przyniosłam wszystko, co znalazłam.

– Zapomnijmy o tym – mruknąłem.

– I dziękuję, że wziąłeś Horsta do siebie. Jesteś pewien, że będzie bezpieczny?

Spojrzałem na nią ostro, ale w głosie Ingi nie wyczułem agresji ani podejrzliwości. To było tylko pytanie zatroskanej matki.

– Bardziej niż z Herzogiem. Co mam ci powiedzieć? Sama wiesz, że ludzie giną, nawet nie wychodząc z domów. Poza tym on chce walczyć. Nie powstrzymasz go, nie jesteś w stanie. A ja zapewnię mu trening, po którym nie będzie myślał o głupotach, tylko zaśnie, zanim jeszcze zwali się na łóżko. Do tego dostanie mundur, na którego widok będą piszczwały wszystkie okoliczne dziewczęta. Nie bez znaczenia jest też przydział do „Kampfgruppe Roth” – dodałem z sarkazmem. – Wnioskując z pogłosek, to nobilitacja.

Inga odpowiedziała mi pełnym wdzięczności uśmiechem.

– A co z tym? – Wskazała papiery.

– Przejrzysz je, szukając wszystkiego, co odbiega od normy. Znasz swojego ojca, więc będzie ci łatwo znaleźć jakieś... anomalie. Jeżeli to nic nie da, weźmiemy się za te papierzyska od drugiej strony.

– To znaczy?

– Bo ja wiem? Szyfry, atrament sympatyczny, mikrokropki – wyjaśniłem lakonicznie.

– Co takiego?

– Mikrokropka to punkt odpowiadający wielkością kropce uzyskiwanej za pomocą zwykłej maszyny do pisania. Tyle że sporządza się ją za pomocą mikroskopu i specjalnego aparatu fotograficznego. Dzięki temu może zawierać sporo zminiaturyzowanych danych tekstowych, a nawet szczegółowe rysunki techniczne czy mapy. Mam znajomego, który może się tym zająć.

– Zachowałam się jak ostatnia idiotka, prawda? – westchnęła, zagryzając wargi.

– Jako oficerowi i gentlemanowi nie wypada mi odpowiadać szczerze na to pytanie – odparłem z kamienną twarzą.

Uderzyła mnie żartobliwie, po czym wtuliła się w moje ramiona.

- Tęskniłam – wyznała. – Nie wiem dlaczego, ale przy tobie czuję się spokojna.
 - To aura stepowego wilka połączona z charyzmą...
- Przerwała mi gorącym pocałunkiem.
- Teraz muszę zająć się Klaudią, ale wieczorem... – szepnęła kusząco.
 - Cóż, masz swój klucz. Możesz zakraść się do mnie, kiedy jestem nagi i bezbronny.
 - Och, skończ z tymi bzdurami! Pocałuj mnie.
- Pocałowałem.



Odłożyłem lupę, przetrąłem łzawiące oczy – dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Inga nie znalazła w papierach ojca niczego nadzwyczajnego, a wyrywkowy ogląd kropek przy użyciu silnego szkła powiększającego nie wyjawiał nijakich sekretów. Lupa nie dawała co prawda powiększenia, które pozwoliłoby przeczytać ukryty tekst, ale umożliwiała wychwycenie charakterystycznych dla mikrofotografii detali. Tyle że w skontrolowanych dokumentach takowych nie było. Także zastosowane przeze mnie odczynniki nie ujawniły ukrytego tekstu. Jednym słowem: niewypał. A czas leci, towarzysz Stalin nie będzie czekał w nieskończoność. Nie mówiąc już o komisarzu Berii... Założyłbym się, że ten ostatni zrobi wszystko, aby mnie zdyskredytować w oczach Głównodowodzącego. Niestety, nie mogłem mu się odwdziżyć tym samym: działaliśmy na różnych poziomach. Jedynym wyjściem było odnalezienie archiwum Himmlera.

Zgrzytnął klucz w zamku: Inga. Od pewnego czasu *Frau* von Bredow nie zawracała sobie głowy pukaniem. Nasze wzajemne kontakty weszły w nową fazę. Nie żebym miał coś przeciwko, fizyczna więź gwarantowała, że Inga niczego przede mną nie ukrywa. No, niemalże gwarantowała...

- I jak? – spytała, przyglądając mi się z troską.
 - Niczego nie znalazłem – odparłem ze znużeniem.
- Inga postawiła na stole termos z kawą, napełniła kubek.
- Wypij – zaproponowała. – Od razu lepiej się poczujesz.

Łyknałem gorącego napoju: jak na razie jedynym efektem pobytu w Breslau było zasmakowanie w kawie. Tej na szczęście nie musiałem sobie żałować, wystarczyło zrobić wypad na drugą stronę. Niestety, plotki na temat objęcia stanowiska komendanta twierdzy przez Niehoffa potwierdziły się – lada dzień miała nastąpić zmiana dowódcy. Podejrzewałem, że następcy von Ahlfena będzie zdecydowanie

trudniej zaimponować. Ech, zewsząd tylko problemy...

– Co zrobimy? – spytała.

– Pokażę to znajomemu, może on coś wykryje? – odparłem bez przekonania.

Teoretycznie rzecz biorąc, dane dotyczące archiwum mogły być zaszyfrowane w całkiem niewinnym tekście, możliwe też, że Zygfryd von Bredow użył atramentu sympatycznego, którego nie byłem w stanie wykryć. Teoretycznie. Bo miałem do czynienia z amatorem, a nie wysoko kwalifikowanym zawodowcem. O ile Zygfryd pozostawił w ogóle jakieś notatki na temat archiwum, uczynił to nieoficjalnie i wyłącznie na użytek córki. Stąd było raczej wątpliwe, żeby zasięgnął porady fachowca, bo ten natychmiast doniósłby o tym przełożonym. A cokolwiek by mówić o ojcu Ingi, z pewnością nie był idiotą. Wykluczone, aby w tak głupi sposób naraził nie tylko siebie, ale i rodzinę. Tak więc wracamy do punktu wyjścia: należy założyć, że dokumenty nie zawierają żadnych tajnych treści – Inga nie byłaby w stanie poradzić sobie z szyfrem czy atramentem sympatycznym. Wniosek? Istnieją tylko trzy możliwości: Zygfryd nie pozostawił danych na temat archiwum Himmlera, notatki zaginęły w Dreźnie, wreszcie możliwe, że istotnie ukrył na użytek córki pewne informacje, ale w taki sposób, że ona sama nie potrafi do chwili obecnej skojarzyć, jak i gdzie. Nie ma sensu rozpatrywać pierwszej i drugiej opcji, tu nie dam rady niczego zdziałać, ostatnia daje pewne nadzieje. Wystarczy tylko – bagatela! – odnaleźć wskazówki, jakie pozostawił Zygfryd von Bredow...

Rozmyślania przerwały mi pocałunki, tłumiona latami zmysłowość Ingi znajdowała ujście w spontanicznych pieszczotach i nacechowanym erotyzmem zachowaniu. To wszystko, rzecz jasna, tylko gdy byliśmy sami. Publicznie odgrywaliśmy role dobrych znajomych.

– Przestań – mruknąłem z roztargnieniem. – Muszę pomyśleć.

– Koniecznie w tym momencie? – upewniła się kpiąco. – Wiesz, że mam na sobie czarne jedwabne podwiązki?

– Mężczyzna powinien ćwiczyć silną wolę – oznajmiłem chłodno, podnosząc do ust kubek z kawą.

– Chętnie ci w tym pomogę – zapewniła ze złośliwym uśmiechem. – Ach, prawie bym zapomniała: nie jestem pewna, czy włożyłam dzisiaj bieliznę. Bywam taka roztargniona...

Zakląłem bezsilnie, moja dłoń niemal bez udziału woli przesunęła się po udzie Ingi. Poczulem pod palcami śliski jedwab pończoch, powyżej jakieś koronki i gładszą od jedwabiu, gorącą skórę. Inga zamarła w bezruchu, słyszałem tylko jej urywany, coraz szybszy oddech. Pieściłem ją powoli, z leniwym okrucieństwem, widząc, jak przygryza wargi, aby stłumić narastający jęk. W chwilę później stanąłem za nią, podwinąłem sukienkę.

– Nie każ mi długo... czekać – wydyszała.

Spełniłem jej prośbę. Paznokcie Ingi szarpały obrus, a pośladki napierały na mnie w oszalałym rytmie, niczym rzucona sztormem łódka. W końcu musiałem zakryć jej usta, bojąc się, że ktoś usłyszy krzyk. Nasze ciała zadrżały, jednocześnie osiągając spełnienie.

– Kochany – wyszeptała. – Kochany...

Pocałowałem ją w kark, klapssem w pupę zachęciłem, aby doprowadziła się do porządku. Nie mieliśmy czasu na czułości: Inga musiała położyć córkę spać.

Kiedy wyszła, po raz kolejny począłem analizować sytuację. Dlaczego nie możemy znaleźć notatek Zygryda? Gdzie je ukrył? Co zrobiłbym na jego miejscu? Przecież mógł po prostu powiedzieć córce o archiwum Himmlera. Tylko czy rzeczywiście? Musiał zdawać sobie sprawę, że wystarczy jedno niedyskretne pytanie, a Inga znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wtajemniczeni w plan Himmlera zabiją bez litości każdego, kto zacznie szukać dokumentów. Po cholere w takim razie pozostawiać jakiegokolwiek notatki, skoro ich przeczytanie grozi śmiercią? Z drugiej strony profesor von Bredow nie był fanatykiem i z pewnością orientował się, że dni Trzeciej Rzeszy są policzone. Do tego nienawidził i panicznie bał się komunistów. Z pewnością chciał wywieźć rodzinę z oblężonego miasta. Taaak... A co, jeśli nie mógłby tego zrobić? Gdyby zginął? Czy na wypadek swojej śmierci nie zostawiłby córce wiadomości, która pozwoliłaby jej negocjować ze zdobywcami Breslau? Tak! To jedyny racjonalny wniosek. Od samego początku musiał traktować archiwum jako kartę przetargową, dlatego tak ochoczo zgodził się pomóc w ukryciu dokumentów. Gdyby żył, nie pisałby córce ani słowa, bo sam mógłby zająć się negocjacjami. Jednak musiał liczyć się z możliwością śmierci i odpowiednio zabezpieczyć. Tylko jak? To nie może być coś oczywistego, bo wówczas Inga mogłaby przedwcześnie natrafić na trop archiwum. Wniosek? Zygryd ukrył dane w taki sposób, żeby wpadły w ręce Ingi dopiero po jego śmierci...

Niestety, nie znałem jej na tyle, aby przewidzieć, co zrobi, dowiedziawszy się o zgonie ojca. Rzecz jasna, nie chodziło tu o kwestie uczuciowe, lecz konkretną, fizyczną czynność. Coś, co prędzej czy później skłoni ją do wzięcia w ręce notatek Zygryda. Nastawi płytę z ulubioną piosenką zmarłego? Sięgnie po rodzinną Biblię? Odwiedzi przyjaciela? Szlag by to trafił... Istniała nieskończona ilość możliwości. W ten sposób do niczego nie dojdę. Pozostaje mi tylko jedno: zapytać Inge.



Obudziło mnie lekkie skrzypnięcie podłogi: deski w centrum salonu były nieco wypaczone. Po chwili usłyszałem ostrożne kroki, ktoś zbliżał się do drzwi sypialni.

Bez specjalnego pośpiechu sięgnąłem po pistolet, po latach spędzonych w *razwiedce* trzymanie broni w zasięgu ręki przerodziło się w nawyk równie naturalny co codzienne mycie zębów. Nie wyczuwałem zagrożenia, tylko jedna osoba mogła spacerować o tej porze po moim mieszkaniu – Inga von Bredow.

Zerknąłem na fosforyzujące wskazówki zegarka, dochodziła pierwsza w nocy.

– Wejdz – mruknąłem.

– Myślałam, że już śpisz.

– Spałem.

– Przepraszam, nie chciałam...

Pociągnąłem ją na łóżko, okryłem kołdrą. Miała zimne stopy, musiała skradać się na bosaka dobre kilka minut.

– Dzieciaki śpią?

– Tak. Horst padł od razu jak ścięty, mała jak zwykle marudziła.

– Mam pytanie. Dość... specyficzne.

– Tak?

Umościła się w moich ramionach, przytuliła.

– Myślałem trochę o tych dokumentach. Zastanawiałem się, dlaczego nie znaleźliśmy w nich żadnych notatek na temat archiwum.

– Mówiłeś, że chcesz je jeszcze komuś pokazać?

– Rozmyśliłem się. To strata czasu. Twój ojciec nie jest szpiegiem, tylko uczonym. Nie wiedziałby, jak użyć atramentu sympatycznego czy szyfru.

– Więc?

– Co byś zrobiła, gdyby umarł?

– Co takiego?!

– Uprzedzałem, że pytanie jest specyficzne.

Inga wysliznęła się z łóżka, słyszałem, jak szuka zapalek. Po chwili zabłysła lampa naftowa.

– O co ci chodzi? – zapytała z niepokojem w głosie. – Masz jakieś wiadomości o moim...

– Skąd! – przerwałem jej szybko. – To problem czysto teoretyczny.

– Nie rozumiem?

– Przypuszczam, że ojciec nie chciał ci mówić o archiwum, wiedział, czym może grozić najmniejsza niedyskrecja. Jeśli pozostawił jakieś informacje na ten temat, to tylko na wypadek swojej śmierci.

– Wątpię, żeby...

– Załóżmy przez moment, że to prawda. – Powstrzymałem Inge stanowczym gestem.

– Załóżmy – zgodziła się, przygryzając wargi.

– Co byś zrobiła po jego śmierci?

– Poza tym, że bym rozpaczała? – rzuciła gorzko.
Bez słowa dotknąłem jej dłoni. Po dłuższej chwili splotła palce z moimi.
– Myślisz, że przewidział, jak zareaguję, i zostawił notatki w takim miejscu, że rzuciłyby mi się w oczy?
– Tak.
– Nie wiem – powiedziała bezradnie. – Nie mogę o tym myśleć. Przepraszam.
Płomień lampy pełgał niespokojnie, to oświetlając twarz Ingi, to pogrążając ją w półmroku, ale nawet wtedy widziałem, jak drżą jej wargi. Nie było sensu naciskać.
– No dobrze – westchnąłem. – Nie mówmy już o tym.
– Ja wiem, że to ważne, że to szansa dla mnie i dzieci, ale nie mogę się zmusić do takich rozważań. Myślałam, że jestem bardziej odporna, ale teraz śmierć jest tak bliska, tak realna...
– Rozumiem.
Kiedy przywarła do mnie, pogłaskałem ją uspokajająco.
– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty – wyznała szeptem. – Tylko przy tobie czuję się bezpieczna. Kiedy pomyślę, że mógłbyś...
– Może porozmawiajmy o czym innym? – zaproponowałem. – Nie ma sensu zadreć się takimi myślami.
– O czym?
– Bo ja wiem? O czym chcesz. I wejdź pod kołdrę, bo marzniesz.
Przytuliła się do mnie, ale nie było w tym geście śladu erotycznego napięcia. Szukała w moich ramionach jedynie pocieszenia.
– Zdrzemnij się – szepnąłem. – Obudzę cię za godzinę.
Potarła z wdzięcznością nosem o moje ramię, zamknęła oczy. Zasnęła niemal natychmiast. Wpatrywałem się w sufit, słuchając, jak deszcz bębni o szyby. Noc była wyjątkowo spokojna. Wiedziałem, że powinienem myśleć o misji, ale mój umysł uparcie trwał w stanie półletargu. Wreszcie i sam zapadłem w sen, czując pod dłonią spokojny, równy rytm serca Ingi.



Wysiadłem z wozu, nonszalanckim gestem odprawiłem Beckera do koszar. Sierżant jak zwykle podwiózł nas na Salzstrasse. Horst poprawił pas i rozejrzał się wokół z pozorną obojętnością. Niestety, w pobliżu nie było blondwłosych ślicznotek, które mogłyby się zachwycić mundurem czy marsową miną chłopaka. Cóż, życie nikomu nie szczędzi drobnych rozczarowań...

– Pamiętaj, ani słowa matce! – przypomniałem.

Horst przytaknął posłusznie. Dziś po raz pierwszy uczestniczył w akcji, zabezpieczając wraz z innymi moją wycieczkę na drugą stronę. „Kampfgruppe Roth” szykowała się do wypadu na rosyjską stronę: musiałem wyrzucić odpowiednie wrażenie na generale Niehoffie.

Weszliśmy w bramę, poprzedzani stukotem uderzających o bruk podkutych butów. Na podwórzu mężczyzna w mundurze jakiejś paramilitarnej organizacji trzymał za rękę wyrywającą się Inge von Bredow. No, no, wygląda na to, że zjawiliśmy się w samą porę...

Horst rzucił plecak i klnąc wściekle, sięgnął do rękawa. Powstrzymałem go gwałtownym szarpnięciem za kołnierz.

– Czeka! – szepnąłem.

Nieznajomy nie zauważył, że ma widownię, ale na twarzy Ingi odmalowała się ulga.

– Krzycz – nakazałem jej gestem.

Krzyknęła. W oknach kamienicy pojawiły się sylwetki ciekawskich.

– Nie ruszaj się stąd! – rzuciłem groźnie, wyswobadzając z uchwytu chłopaka.

Zanim podbiegłem do Ingi, napastnik zdążył się odwrócić. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia na mój widok, otworzył usta, unosząc w obronnym geście ręce, ale nie miałem zamiaru z nim dyskutować. Kopnąłem go w krocze, poczekałem, aż zegnije się w pół, poprawiłem kolanem w twarz. Kiedy upadł, nadepnałem mu na kark: powalony wił się na ziemi jak robak.

– Idź do domu! – poleciłem Indze.

– Ja...

– Natychmiast!

Uśluchała, choć w jej oczach na moment pojawił się buntowniczy błysk.

– Horst!

– Tak?

– Opuść mu gacie do kolan i przytrzymaj nogi.

– Co pan chce...

– Pouczyć go, żeby nie napastował kobiet – warknąłem, zdejmując pas. – Jak myślisz, dwadzieścia uderzeń wystarczy?

– Proponowałbym trzydzieści – wycedził mściwie. – Ten gnojek prześladowuje mamę od dłuższego czasu.

– Niech będzie trzydzieści. – Wzruszyłem ramionami. – Nie lubię powtarzać takich lekcji, a ten tutaj nie sprawia wrażenia specjalnie bystrego. Możliwe, że trzeba dostosować poziom przekazu do jego możliwości intelektualnych...

Mężczyzna próbował coś bełkotać, ale napałem stopą, wciskając mu głowę w śnieg. Rozejrzałem się dyskretnie: lokatorzy obserwowali spektakl nie tylko z okien, niektórzy wyszli nawet na podwórze. Nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek

chciał nam przeszkodzić, wręcz przeciwnie, na twarzach kilku kobiet zauważyłem wyraz nieskrywanej satysfakcji. Czyżby facet nie ograniczał się do zaczepiania Ingi?

Uderzyłem z rozmachem, wkładając w cios całą siłę. Na gołym tyłku nieznajomego pojawiła się purpurowa pręga.

– Kto to w ogóle jest? – spytałem konwersacyjnym tonem.

– Aktywista miejscowej organizacji NSDAP – odburknął Horst. – Niejaki Rudolf Furst.

Kolejne razy padały przy akompaniamencie przeraźliwego wycia: Rudiemu udało się przekrócić głowę na bok, a głos miał jak dzwon...

– Nie wolno napastować kobiet – poinstruowałem leżącego, ocierając pot z czoła. – W szczególności cudzych kobiet.

Horst spojrział na mnie ostro, nieznacznym ruchem głowy nakazałem mu milczeć.

– Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa – młody von Bredow powrócił do liczenia uderzeń.

Miałem wrażenie, że opuścił parę, ale kto by tam zwracał uwagę na takie drobiazgi?

– Może teraz ty? – zaproponowałem. – Umęczył mnie gadzina.

Nie musiałem powtarzać dwa razy, Horst przystąpił do pracy z prawdziwym entuzjazmem. Do tego jakimś cudem udało mu się trafić końcem pasa między nogi ofiary i skowyt Rudolfa przeszedł z falsetu w sopran. A mówią, że to kobiecy rodzaj głosu. Z drugiej strony podobno dysponowali nim kastraci; biorąc pod uwagę, gdzie celował Horst, niewykluczone, że Rudi znajdował się blisko tego stadium...

Przerwałem egzekucję, kiedy na śniegu pojawiły się pierwsze krople krwi, wołałem, żeby facet był w stanie sam wrócić do domu.

– Idziemy – powiedziałem, zabierając chłopakowi pasek. – Wystarczy.

– Dlaczego pan to powiedział? – spytał w chwilę później. – No, to o cudzych kobietach.

– Na wszelki wypadek.

– Nie rozumiem?

– Furst może chce się zemścić – wyjaśniłem. – Wątpię, aby odważył się zaatakować oficera do specjalnych poruczeń komendanta miasta. Zdaje sobie sprawę, że poszedłby za to pod ścianę. Co innego twoja matka... Mógł przecież dojść do wniosku, że interweniowałem przez przypadek. Teraz wie, że jeśli spróbuje coś jej zrobić, odpowie za to przede mną.

– Aha. Przepraszam, pomyślałem...

– Za dużo myślisz. A teraz ścigamy się: kto pierwszy dotknie drzwi! – zawołałem, wciskając mu czapkę na oczy.

– To nieuczciwe! – zaprotestował z oburzeniem.

Dobiegliśmy do mieszkania von Bredowów, śmiejąc się i przepychając na

schodach.

– Jesteście wreszcie – stwierdziła z ulgą Inga. – Nic wam nie jest?

– Nam? Nic a nic – odparł Horst.

Widać było, że chłopak pęka z dumy.

– Siadajcie, obiad jest gotowy, zaraz przyniosę.

– Może najpierw umyjemy ręce? – zaproponowałem. – Trochę się ubrudziliśmy...

Nie wiadomo jakim sposobem Inga niespodziewanie znalazła się w moich ramionach.

– Tak się bałam – szepnęła.

– Już nic ci nie grozi, mamó – oświadczył z zakłopotaniem Horst. – Pan major poinformował tę świnię, że jesteś jego kobietą.

– Co takiego?!

– To tylko wybieg. Teraz będzie się bał cię zaczepiać.

– Aleks! Jak mogłeś! Przecież on... – Wskazała bezradnie syna. – On...

– Horst, czy twoja delikatna psychika wytrzymała ten straszny cios? – spytałem, przewracając oczyma.

– Chodzi o to, co pan powiedział o mamie? – upewnił się chłopak.

– Dokładnie. Nie czujesz aby zawrotów głowy albo chęci, żeby zwinąć się w kłębek i płakać jak mała dziewczynka?

– Na razie nie.

– Aleks!

– Spokojnie, jak widzisz, twój syn jest cały i zdrowy, a ja co najwyżej będę musiał raz czy dwa pocałować cię publicznie. Dla uwiarygodnienia legendy – dodałem pośpiesznie.

– Nie przy mnie! – zastrzegł się Horst. – Mam wrażliwy żołądek.

Chwyciłem go za ucho i lekkim kopniakiem skierowałem do łazienki.

– Idź się myć – rozkazałem.

Uciekł, chichocząc złośliwie. Inga osunęła się na krzesło, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły.

– To pierwszy raz – wyszeptała.

– Proszę?

– Horst się śmiał. Po raz pierwszy od śmierci Gregora.

– Może podaj już ten obiad? – mruknąłem.

Też jej się zebrało na wspominki o mężu...



Mimo oczywistego talentu kulinarnego gospodyni posiłek można było nazwać co najwyżej jadalnym: w rzadkiej kaszy pływały kawałki zwiędłych warzyw, czasem trafił się kawałek tłustego mięsa. Najwyraźniej w Breslau zaczynały się problemy z zaopatrzeniem.

– Może powinnam to wszystko zmiksować i przerobić na zupę-krem? – odezwała się frasobliwie Inga.

Cóż, brak zaangażowania biesiadników rzucał się w oczy.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała groźnie. – Powiedziałam jakiś dowcip?

– Nie, po prostu przypomniało mi się coś zabawnego – odparłem wykrętnie.

– To może opowiedz? Wszyscy się pośmiejemy.

– Kiedy nie bardzo mogę...

– Bo?

– To nie nadaje się...

– Dla dzieci?

– Skąd! Raczej dla osób przy stole.

Teraz już nie tylko Inga wpatrywała się we mnie z ciekawością. Nawet Klaudia uniosła głowę znad talerza.

– Opowiedz! – poprosiła.

– Gdy skończycie jeść.

– To wszystko? – Szturchnęła widelcem niezbyt apetycznie wyglądającą, rozpapraną breję.

– Wszystko – odparłem twardo. – Albo nic nie powiem.

Przez kilka minut słychać było tylko szcęk sztućców: rodzina von Bredow solidarnie niszczyła resztki gulaszu.

– Już! – zameldował Horst.

– Cóż, co do miksowania... Swego czasu podjęto próbę produkcji mydła z ludzkich odchodów.

– Z czego? – spytała Klaudia.

– Z kupy – odpowiedział, wykrzywając się, Horst.

– No więc odpowiednio... ekhmm... ingrediencje mieszano i mieszano, aż w końcu powstało mydło. Przetestowanie nowego produktu powierzono jednemu z wysokich rangą urzędników. Powodzenie projektu w istotny sposób wpłynęłoby na gospodarkę Rzeszy. Urzędnik postanowił ogolić się przy użyciu nowego mydła.

– Fu! – mruknęła Inga.

– W sąsiednim pokoju czekał w napięciu sztab ekspertów – kontynuowałem.

– I co? – ponaglił Horst. – I co?

– Dygnitarz stwierdził, że mydło znakomicie się pieni i doskonale nadaje do golenia. Niestety, był też zmuszony przyznać, że kolor i zapach pozostały identyczne jak w... eee... produkcji wyjściowym. Ostatecznie uznano eksperyment za nieudany.

Morał z opowieści? Jak by nie mieszać, prawda zawsze wyjdzie na jaw...

Młody von Bredow wybuchnął śmiechem, po chwili zawtórowała mu siostra.

– Ja chcę mydło z kupy! – zawołała.

– Mam nadzieję, że to nie aluzja do mojego gulaszu? – odezwała się złowrogo Inga, ale widziałem, że sama zasłania usta dłonią. – To był dowcip w bardzo złym guście – stwierdziła, starając się zachować powagę.

– Zapewne – zgodziłem się potulnie. – Jestem tylko prostym żołnierzem.



Obserwowałem w napięciu pakującą walizki Inge: ubrania, konserwy, odrobina alkoholu... W sumie nic nadzwyczajnego. Niestety. Nic, w czym Zygfryd von Bredow mógłby ukryć notatki. A te były mi potrzebne, och, jak potrzebne! Jeśli moje rozumowanie było poprawne i ojciec Ingi rzeczywiście pozostawił jakąś wzmiankę na temat archiwum Himmlera, musiał ukryć wiadomość w taki sposób, aby mieć pewność, że nie zostanie ona porzucona w przypadku ewakuacji. Dlatego poprosiłem Inge, żeby spakowała niezbędne rzeczy tak, jakby miała wyjechać z miasta. Kiedy *Frau* von Bredow skończy, informacje powinny znaleźć się w którejś z walizek. Teoretycznie...

Zagryzłem wargi, widząc, jak Inga owija troskliwie figurkę z miśnieńskiej porcelany. Może coś wewnątrz? Ech, szlag by to trafił... Teraz z kolei do walizki powędrował gruby, oprawiony w płótno zeszyt. Pamiętnik? Album ze zdjęciami?

Podszedłem do okna, zerknąłem na zegarek: jeszcze dziesięć minut. Dałem Indze pół godziny, przypuszczałem, że gdyby musiała naprawdę uciekać z Breslau, przygotowania nie zabrałyby jej więcej czasu. Przedmiot, w którym Zygfryd ukrył przesłanie dla córki – o ile je ukrył – na pewno znajduje się wśród rzeczy, które ta zabrałaby w pierwszej kolejności.

Zacisnąłem pięści – korciło mnie, żeby wyrzucić wszystko na podłogę, popuć nożem ubrania, rozbić porcelanową figurkę... Niestety, musiałem zachować zimną krew: jeśli Inga zacznie coś podejrzewać, nigdy nie znajdę miejsca, gdzie ukryto archiwum Himmlera. Bardzo wątpiłem, żeby profesor von Bredow przekazał informację otwartym tekstem. Zapewne zrobił to w taki sposób, że tylko córka będzie wiedziała, o co chodzi.

– Już – powiedziała Inga. – Gotowe.

Podziękowałem jej skinieniem głowy, rozpocząłem od największej walizki. Byłem pewien, że w ubraniach nic nie ma, ale postanowiłem przeszukać je w pierwszej kolejności. Dla porządku. Stopniowo na podłodze rosła sterta odzieży: koszule,

bielizna, sukienki... Tak jak się spodziewałem, niczego nie znalazłem. Cóż, przejdźmy do bardziej interesujących przedmiotów.

Butelka wódki nie kryła żadnych tajemnic, podobnie jak bochenek chleba i suchary. Zobaczymy, co z konserwami... Wszystkie wyprodukowano w zeszłym roku, tak więc na upartego Zygfyrd mógł w nich coś ukryć. Sprawdziłem dokładnie wieczka, ale na żadnym nie wykryłem śladów manipulacji. Także ich waga i położenie środka ciężkości nie wykazywały odchyień od normy. Szlag...

– Nie czytaj! – zawołała Inga, widząc, że sięgam po zeszyt. – To zbyt osobiste.

– Co to takiego?

– Coś w rodzaju dziennika – odparła wymijająco.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową: *Frau von Bredow* nadal nie zdawała sobie sprawy, o jaką stawkę idzie gra.

Przekartkowałem zeszyt – wszystkie zapiski sporządzono tym samym kobiecym charakterem pisma. Znaczy znowu pudło.

Uniosłem w górę figurkę porcelanowej pastreczki, obejrzałem dokładnie pod światło. Nie wyglądało, aby coś ukryto w środku. W sumie nic dziwnego, miśnieńska manufaktura słynęła z jakości swoich wyrobów, a nie z zaopatrywania ich w sekretne schowki... W walizkach pozostało jedynie kilka przedmiotów: sporej wielkości album, pasek od spodni, koc i fotografia w eleganckich drewnianych ramkach. Ta ostatnia przedstawiała starszego mężczyznę o obrzękłej, ciastowatej twarzy i wyblakłych oczach. Bez trudu domyśliłem się, że to podobizna świętej pamięci Gregora...

Przesunąłem palcami wzdłuż szwów, pomajstrowałem chwilę przy klamrze paska, ale nie znalazłem żadnej skrytki. Odłożyłem koc i zdjęcie męża Ingi: jeśli będzie trzeba, wyjmę je z ramek pod nieobecność gospodyni. Lepiej nie przeciągać struny, nie byłem pewien, jak Inga odniesie się do tej idei.

Odetchnąłem głęboko i otworzyłem album: ostatnia szansa... Rodzinne fotografie przemieszane były z dziecinnymi bazgrołami. Ich autorem niewątpliwie był jakiś maluch, ale rzucało się w oczy, że niektóre detale wykonała osoba dorosła. Poczulem przypływ nadziei – czyżbym natrafił wreszcie na przesłanie Zygfyroda von Bredow?

– Co to jest? – spytałem szorstko. – Kto to rysował?

– Klaudia – odpowiedziała Inga. – Razem z moim ojcem, on przepada za małą. Potrafi się z nią bawić całymi godzinami.

Przyjrzałem się uważnie rysunkom: były rozmiarów fotografii. Ktoś musiał pociąć kartki na mniejsze kawałki tak, żeby zmieściły się w albumie przeznaczonym dla zdjęć pocztówkowego formatu.

– Dlaczego rysunki są takie małe?

– Ojciec ciął kartki z bloku na kawałki, mówił, że w ten sposób wystarczy ich na dłużej.

– Mieliście problemy z pieniędzmi?

– Skąd! Dopóki nie rozpoczęło się oblężenie, wpływy z naszych majątków przychodziły dość regularnie.

– Więc po czorta to oszczędzanie? Twój ojciec miał jakieś skłonności w tym kierunku?

– Nie – odparła z namysłem. – Jeśli już, to w drugą stronę, bywał wręcz rozrzutny.

– Klaudia lubi rysować?

– Bo ja wiem? Od czasu do czasu, jak chyba każde dziecko w tym wieku. Nie sądzę, żeby miała jakieś skłonności artystyczne, jeśli o to ci chodzi.

– Zawsze bazgrała na takich karteluszkach?

– Tylko pod koniec zeszłego roku, w czasie zabawy z dziadkiem. Przeważnie robiła to na kartkach normalnej wielkości.

– Skąd te fotografie?

– Z tego samego okresu: ojciec wykonywał wówczas jakieś zlecenia dla Ministerstwa Kultury, nieustannie podróżował, a ponieważ chcieliśmy spędzić trochę czasu razem, zabrał nas ze sobą. Odwiedzaliśmy poligony, systemy umocnień, jeździliśmy z miasta do miasta, a on cały czas fotografował. Zrobił kilka tysięcy zdjęć.

Zlecenia dla Ministerstwa Kultury? Akurat! Raczej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo SS...

– Schowaj to wszystko – poleciłem. – Ja zajmę się albumem.

– Znalazłeś tam coś? – spytała szybko.

– Czort wie, trzeba się temu dokładnie przyjrzeć, ale całość wygląda dość dziwnie. Zauważyłem, że jest tu sporo zdjęć twojego ojca. Gdyby zmarł, pewnie prędzej czy później wróciłabyś do tych fotografii?

Inga bez słowa skinęła głową. Cóż, wyglądało na to, że znalazłem wreszcie coś, co mogło doprowadzić mnie do archiwum Himmlera. Pozostawało tylko – bagatela! – odszyfrować zapiski Zygryda...



ROZDZIAŁ CZWARTY

Powoli, bezgłośnie wypuściłem powietrze z płuc, przywarłem do okularu celownika optycznego. Karabiner 43 wyposażony był w czterokrotnie powiększającą lunetę i tłumik. Nacisnąłem spust. Dźwięk wystrzału był wyraźnie słyszalny, przypominał ostre uderzenie w worek bokserski – przydziałowy schalldämpfer to żadne cudo, ale miałem nadzieję, że i tego wystarczy dla naszych celów. Atakowaliśmy rosyjski posterunek. Zgodnie z tym, co ustaliłem z Głuzdowskim, w promieniu dwóch kilometrów nie powinno być żadnych większych sił: trwała dyslokacja jednostek. Odcinek, na który przeniknęliśmy, powinien być zabezpieczony przez pododdziały 288. Stalingradzkiego Pułku Piechoty. Tyle że nie był: 288. Stalingradzki wycofał się godzinę wcześniej, a w grafiku mającego go zastąpić 243. Pułku Piechoty istniała dwugodzinna luka. Teoretycznie. Bo nikt nie mógł zagwarantować, że jakiś nadgorliwiec nie pojawi się przed czasem...

Mojemu strzałowi zawtórowały kolejne, a do ziemianki, w której przebywali pozostali Rosjanie, wskoczyli z bagnietami w rękach Hartmann i Lis. Zagryzłem wargi: wystarczy głośniejszy hałas i będziemy mieli szczęście, jeśli ujdziemy z życiem...

Po chwili obaj pojawili się na zewnątrz.

– Gotowe! – zameldował Hartmann, owijając bandażem zakrwawione ramię.

Tymczasem Lis podbiegł do stojącego obok posterunku zisa, uruchomił silnik. Znaczący wszystko w porządku. Na razie.

– Ruszamy! – rozkazałem.

Spadochroniarze błyskawicznie zajęli miejsca na pace ciężarówki, ja rozsiadłem się w szoferce. Jak wszyscy miałem na sobie rosyjski mundur, jako jedyny dysponowałem dokumentami, które mogły od biedy zadowolić rosyjski patrol. Przy pobieżnej kontroli... Największym problemem był język: w całej grupie tylko Lis i sierżant Becker znali parę rosyjskich zwrotów. Miałem nadzieję, że żaden z nich nie będzie musiał ich użyć. Nie oszukaliby nawet pijanego Rosjanina.

– Teraz w prawo – poleciłem. – Jakies trzysta metrów dalej powinien być ten skład.

Cóż, nadeszła chwila prawdy: jeżeli przy magazynie będą się kręcić jacyś dodatkowi klienci, pozostanie nam jedynie zawrócić.

– Trzy samochody – powiedział Lis. – Damy radę.

Skinąłem głową, wyskoczyłem, kiedy tylko zaparkował. Dwie ciężarówki i wóz osobowy, tak jak się umawiałem.

Zauważywszy mnie, wartownik zgasił papierosa, popatrując niespokojnie. Nic dziwnego, odruch – poprzedniego dnia był jeszcze w sztrafbacie.

Podąłem mu dokumenty, uderzyłem, kiedy po nie sięgał. Najpierw nożem w brzuch, później rozwidleniem pomiędzy wskazującym palcem a kciukiem w krtań. Upadł wstrząsany drgawkami, kiedy leżał, skrzyłem mu kark. Wszedłem do magazynu, *Fallschirmjäger* ruszyli za mną. Kilku żołnierzy przestawiało jakieś skrzynie, enkawudzista w stopniu majora popijał herbatę przy kulawym stoliku. Wnioskując z zadowolonej miny oficera, herbata mogła być wzmocniona.

– A wy co za jedni? – rzucił arogancko.

No proszę, drugi dzień w mundurze bezpieczeństwa, a już uważa się za władcę świata...

– Przyjechaliśmy po zaopatrzenie – odburknąłem. – Dwieście Czterdziesty Trzeci.

Podniósł się zza stołu z pociemniałymi z wściekłości oczyma.

– Jak rozmawiacie ze starszym rangą?! – warknął. – Wasze nazwisko!

Wbiłem mu nóż w krocze – gest cokolwiek symboliczny, ale nie mogłem się powstrzymać – kiedy zawył z bólu, zaatakowałem tętnicę podobojczykową techniką nazywaną w GRU „jastrzębim szponem”. Na szczęście facet miał na sobie gruby płaszcz, w przeciwnym wypadku uświłbym się strasznie – w takich wypadkach krew tryska na odległość metra i więcej. Ciche „plop, plop” za moimi plecami świadczyło, że reszta ekipy włączyła się do akcji.

Po chwili w magazynie nie było ani jednego żywego Rosjanina. Poza mną, rzecz jasna...

– Do roboty! – warknąłem. – Pamiętajcie, na ciężarówki ładujemy lekarstwa, co lepsze żarcie i gorzałę, w takiej właśnie kolejności. Karl, szukaj dokumentów!

Sam pochyliłem się nad zabitym oficerem, zabrałem mu raportówkę. Popatrzmy: mapa strefy przyfrontowej, legitymacja NKWD, rozkaz wyjazdu podpisany przez samego komisarza Berię. No, no, mają chłopaki fantazję... Dokumenty wystawiono na majora Wiaczesława Frołowa, ale wiedziałem, że nieboszczyk nazywał się Kubrykin,

Jefim Kubrykin. Wybrałem go osobiście z długiej listy sztrafników. Podobnie jak innych. Wszyscy byli gwałcicielami, bandytami i mordercami. Gdyby nie wojenne czasy, dawno gryźliby piach. A tak zaproponowano im odkupienie swoich win. Kubrykin, dawny major wojsk łączności, zgwałcił i pobił do nieprzytomności piętnastolatkę, po czym zabił przypadkowego przechodnia, który nadbiegł, słysząc krzyk dziewczyny. Niedawno zaproponowano mi przywrócenie stopnia i przejście do NKWD, o ile zadeklaruje udział w tajnej operacji. No to zadeklarował. Ba, nawet udało mu się odkupić winy własną krwią, choć zapewne nie tego się spodziewał. Cóż, życie jest pełne niespodzianek, a Kubrykina uprzedzano, że misja jest niebezpieczna. Mimo to postanowił zaryzykować...

Przeszedłem do sąsiedniego pomieszczenia, udając, że nadzoruję załadunek: żołnierze wynosili świńskie półtusze, skrzynie koniaku, czekolady i konserwy. Wsunąłem film w specjalnym ognioodpornym pojemniku między worki z kaszą – te nie powinny budzić niczyjego zainteresowania, w magazynie były ciekawsze rzeczy. Poprzedniego dnia sfotografowałem album Zygfrieda von Bredowa, strona po stronie. Miałem nadzieję, że kiedy wybiorę się na kolejną wycieczkę, Lidia Zosimowna podsunie mi jakieś sugestie odnośnie do archiwum Himmlera. Ja chwilowo nie miałem żadnych.

Spojrzałem na zegarek – jeszcze dziesięć minut, góra kwadrans. Później trzeba się zmywać. Najchętniej zakończyłbym akcję już teraz, ale major Roth musiał zapracować na swoją legendę.

– Pospieszcie się! – zawołałem.

– Trochę to dziwne – stwierdził, podchodząc, Becker.

Sierżant trzymał w ręku spory, solidnie wyładowany worek.

– Co takiego?

– Ten skład. Z jednej strony mąka, kasza i słonina, z drugiej francuskie koniaki i kubańskie cygara.

– Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego – odburknąłem. – To pewnie zaopatrzenie dla sztabu armii. Zwyczajne żarcie dla żołnierzy ochrony, luksusowe towary dla oficerów.

– Myśli pan, majorze, że sam Głuzdowski...

– Co tam nakradłeś? – przerwałem mu bezceremonialnie.

– Nic specjalnego, trochę cygar, parę butelek wina, jakiś koniak... Chyba nie zamierza pan mi tego zabrać? Wie pan, ile to będzie warte w Breslau?

– Pod warunkiem, że zanim wyjedziemy, zdążysz zapakować jeszcze dwa takie worki.

– Jeden dla pana, a drugi...?

– Dla generała Niehoffa. Mam się u niego stawić zaraz po powrocie.

Becker zaklął pod nosem i rzucił się między półki. Nie wiedziałem, gdzie utknięto

co cenniejsze rzeczy, ale mogłem się założyć, że sierżant znajdzie je w mgnieniu oka. Grunt to odpowiednia motywacja.

– Dla mnie tylko papierosy, nie lubię cygar – zaznaczyłem. – Pimke! – wrzasnąłem.

– Tak?

– Co z lekami?

– Brałem to, co pan kazał: penicylinę i środki przeciwbólowe – odparł przyciszonym głosem.

Obaj wiedzieliśmy, że o penicylinie lepiej nie trąbić wokół.

– Znalazłeś jeszcze coś ciekawego?

– Nie, tylko środki opatrunkowe i parę kompletów narzędzi chirurgicznych.

– Obędziemy się bez tego – zdecydowałem.

– Jestem za – mruknął. – Wozy i tak będą przeładowane, chyba że weźmiemy trzecią ciężarówkę.

– Nie mamy czasu. Jeszcze pięć minut i znikamy!

– *Jawohl!*



Zakląłem, kiedy zarzuciło wóz na wybojach: cóż, polna droga to nie autostrada, a kierowca wdusił gaz do dechy. Miał powód, ścigali nas Rosjanie.

– Uczepili się jak rzep psiego ogona! – wycedził ze złością Becker.

– Jeszcze najwyżej pół kilometra – pocieszyłem sierżanta.

– O ile przeżyjemy – burknął pod nosem.

Wystrzelona na oślep seria z pepeszy podziurawiła plandekę ciężarówki.

– Karabin! – warknąłem, sięgając do tyłu.

Ktoś włożył mi w dłoń mausera. Wolałbym własną broń, ale nie było czasu do stracenia – liczyły się sekundy. Rosyjski GAZ był zdecydowanie szybszy niż nasza mała karawana.

– Uwaga, snajper! – krzyknął kapral Pimke.

Wychwyciłem błysk słońca w okularze lunety, kiedy jeden ze ścigających nas żołnierzy złożył się do strzału. Jego gest był równie naturalny, co ruch ślizgającej się po ostrzu kropli deszczu, nacechowany mrozącą krew w żyłach, morderczą nonszalancją. Widziałem w życiu dostatecznie wielu świetnych strzelców, aby wiedzieć, że mam do czynienia z jednym z nich.

– Przytrzymajcie mnie! – poleciłem, podnosząc się do klęku.

Słyszałem, jak ktoś klnie, podając w wątpliwość prowadzenie się matki Rosjanina i mój zdrowy rozsądek, ale kilka dłoni uchwyciło mnie za pas, pozwalając wycelować.

Przez moment mignęła mi twarz wrogiego snajpera, zaraz jednak skierowałem lufę w dół. Strzeliliśmy niemal jednocześnie i obaj trafiliśmy: ja w oponę, on we mnie...

– Zostają w tyle! – zawołał Becker.

Odpowiedziało mu radosne wycie spadochroniarzy.

– Świetny strzał! – pogratulował mi sierżant. – Choć nadal nie rozumiem, dlaczego nie pozwolił pan użyć granatów? Jestem pewien, że to by ich powstrzymało, a hałas nie... Majorze! Majorze!

Wypuściłem z ręki broń, jeszcze przez chwilę dochodziły mnie jakieś krzyki, później wszystko pochłonął mrok.



Ocknąłem się, czując zapach środków dezynfekcyjnych i lekarstw. Ostrożnie pokręciłem głową, starając się rozluźnić mięśnie, poruszyłem rękoma i nogami, odprawiając znajomy do bólu rytuał. Który to raz odzyskiwałem przytomność w szpitalu? A kto by tam liczył... Czuję mdłości, znaczy niedawno mnie operowano, wiedziałem, że to normalna reakcja organizmu na znieczulenie.

– Nareszcie doszedł pan do siebie – powiedział z ulgą Becker.

Zamrugąłem oczyma, po dłuższej chwili obraz się wyostrzył: sierżant siedział tuż obok, przeglądając nerwowo jakąś książkę.

– Co się stało? – wymamrotałem.

– O mało pana nie wykończył ten snajper, ot, co się stało! – wybuchnął Becker. – Gdyby użyć granatów...

– ...to ściagałby nas nie jeden samochód, a kompania ruskich czołgów – wszedłem mu w słowo. – Kilka strzałów to nic wielkiego w strefie przyfrontowej. Granaty świadczyłyby już o czymś poważniejszym.

– Niepotrzebnie pan ryzykował – mruknął nieprzekonany.

– Co ze mną?

– Postrzał w ramię. W sumie niby nic strasznego, ale pocisk przebił biceps i trafił pana w bok. Nieźle przeorał mięsień... – Becker sięgnął po kartę pacjenta – przedni zębaty. Zemdlął pan z upływu krwi.

– Mdleją małe dziewczynki – odburknąłem. – Oficerowie i gentlemani tracą przytomność.

– Stracił pan przytomność jak mała dziewczynka – odparł z uśmiechem. – Hartmann musiał nieść pana na rękach.

– Gdzie jestem?

– W tym szpitalu nad Odrą. Zapomniałem, co to za ulica. Pomyślałem, że pańska

przyjaciółka będzie miała niedaleko, a i personel postara się lepiej niż gdzie indziej. W końcu zrobiliśmy im niezły prezent.

– Dokumenty?

– Z ciekawszych rzeczy tylko to, co znalazł pan u tego komisarza.

– Trudno.

– To całkiem sporo. Ma pana odwiedzić sam generał Niehoff.

– Kiedy?

– Jak tylko zamelduję, że pan się ocknął.

– Co z naszym łupem?

– Podzieliłem wszystko tak, jak pan kazał: dwie półtusze i trochę towarów luksusowych do kantyny oficerskiej. Jedna dla nas. Kucharz mówi, że wystarczy na parę dni, do tego gorzała i słodycze, reszta zarcia i lekarstwa dla szpitala. Wręczyłem też co trzeba adiutantowi Niehoffa. Pańską dolę dałem Horstowi na przechowanie. Dobrze zrobiłem?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Aha, jakaś lekarka chce z panem pomówić.

– Dawaj ją tu.

– Dzwonić do sztabu?

– Dzwon.

Ledwo wyszedł, w drzwiach pojawiła się kobieta w białym kitlu. Poznałem ją od razu, to ona badała Horsta po nalocie.

– Luiza Wajnert – przedstawiła się krótko.

Wyglądała na równie zmęczoną jak ostatnio. Najwyraźniej miała co robić.

– Aleksander...

– Znam pana, majorze – przerwała mi ze znużonym uśmiechem. – Chciałam podziękować.

– Nie ma za co.

– Jak najbardziej jest. Poprosiłam pana o pomoc i otrzymałam ją. Jestem naprawdę wdzięczna. Niemniej jednak chciałabym uściślić pewną kwestię.

– Tak?

– Co w zamian? Odkąd skończyłam sześć lat, nie wierzę już w Świętego Mikołaja i ludzką bezinteresowność. Te lekarstwa, które pan zdobył, są dla nas bezcenne.

– Nic poza tym, co oczywiste: w razie konieczności zajmiecie się moimi ludźmi w pierwszej kolejności i z wykorzystaniem wszelkich możliwych środków. Może pani swobodnie dysponować wszystkimi lekami z wyjątkiem penicyliny. Tę proszę pozostawić na szczególne wypadki.

– Tylko tyle?

– A co, chce pani dorzucić do rachunku swoje piękne, białe ciało?

Ściągnęła z namysłem usta, jakby rzeczywiście zastanawiała się nad moim

pytaniem.

– Odpowiedź brzmi „nie”, ale tylko dlatego, że gdybym się zgodziła, musiałabym pana leczyć nie tylko z ran, ale i z zawału serca.

– À propos ran: jak szybko mogę się wypisać?

– Tak się panu spieszy do kolejnej awantury?

– Mam parę spraw do załatwienia.

– Musi pan poleżeć przynajmniej trzy dni, później nosić rękę na temblaku.

– Jak długo?

– Minimum tydzień, co nie znaczy, że potem będzie pan mógł od razu dźwigać ciężary.

– Rozumiem.

– To wszystko?

– Zastanawiam się, czy nie pomogłaby mi pani w pewnej sprawie... Rzecz jest dość delikatna, stąd nie mogę tego załatwić oficjalnymi kanałami.

– O co chodzi?

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, chodzi o osobistą przysługę, leki tak czy owak zostaną u was.

– Słucham, majorze – rzuciła z lekkim zniecierpliwieniem.

– Szukam pewnego człowieka. Najprawdopodobniej przebywa na terenie Breslau. Może używać kilku nazwisk, między innymi: Dankell, Wertelli, Baum, von Ziethen...

– Dlaczego nie poprosi pan o pomoc swoich kolegów z Abwehry? Tak, wiem, czym się pan dawniej zajmował! Ludzie plotkują.

Odetchnąłem głęboko, zacisnąłem zęby.

– Długo by tłumaczyć – wycedziłem. – Ten człowiek jest... kontuzjowany i potrzebuje pomocy medycznej, albo przynajmniej okresowych badań.

– A konkretniej?

– Granat, w bliskiej odległości – wyjaśniłem zwięźle. – Poharatało mu nogi i podbrzusze.

– I przeżył? – zdziwiła się szczerze lekarka.

– Na to wygląda – odparłem posepnie.

– Uważa pan, że istnieje jakaś dokumentacja medyczna? – stwierdziła domyślnie.

– Owszem. Dlatego zwracam się do pani.

– Zna pan szczegóły?

– Podobno jeszcze rok temu miał problemy z chodzeniem: granat uszkodził mięśnie i ścięgna nóg. W ramach rehabilitacji zalecono mu masaże.

– Myśli pan, że mu się polepszyło? – spytała z niedowierzaniem. – Ile on ma lat?

– Pod siedemdziesiątkę, może trochę mniej. I tak, jestem pewien.

– Podsumujmy: starszy, ciężko kontuzjowany mężczyzna z obrażeniami, które uczyniłyby kalekę z młodzieniaszka, wymagający rehabilitacji, choć w coraz lepszym

stanie zdrowia... Czy coś pominęłam?

Nie odpowiedziałem, nie było sensu nalegać. Jeśli *Frau Wajnert* zechce mi pomóc, zrobi to z własnej woli. Wiedziałem, że poszukiwania trzeba prowadzić ostrożnie, bardzo ostrożnie: von Ziethen wymykał mi się już kilkakrotnie, za każdym razem pozostawiając za sobą trupy. Na szczęście, teraz nie bardzo miał gdzie uciekać. Jeżeli jest w Breslau, znajdę go prędzej czy później. I zabiję.

– No dobrze – powiedziała wreszcie. – Zobaczę, co da się zrobić.



Odgłos energicznych kroków był pierwszym sygnałem, że za drzwiami mojej izolatki dzieje się coś wykraczającego poza codzienną rutynę. Ktokolwiek szedł korytarzem, nie spieszył się jak sanitariusze. Kilku mężczyzn idących w nogę... Cóż, nie trzeba było Sherlocka Holmesa, aby domyślić się, że generał Niehoff składa mi zapowiedzianą wcześniej wizytę. Z asystą.

– Wejść! – zawołałem, słysząc pukanie.

No, no, ciekawe, czemu zawdzięczam taką uprzejmość? Komendant twierdzy Breslau nie musiał pukać: wszędzie był u siebie.

– Panie generale, major...

– Proszę leżeć, Roth!

Niehoff niecierpliwym gestem odprawił swoją świtę i zamknął drzwi. Przyjrzałem mu się z ciekawością: generał był szczupłym mężczyzną o szpakowatych skroniach, wydatnym orlim nosie i wąskich, zaciśniętych w grymasie zdecydowania ustach. Jego oczy patrzyły twardo i uważnie, dostrzegały każdy szczegół. Szlag! Od razu widać, że nie jest to ktoś, kogo można zlekceważyć. Najmniejszy błąd i przybędzie mi kolejny medal. Nadany pośmiertnie.

Przesunąłem wzrokiem po mundurze Niehoffa: Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębu, baretki Czarnej Odznaki za Rany, Szturmowej Odznaki Piechoty, Krzyża Żelaznego pierwszej i drugiej klasy...

Z zamyślenia wyrwało mnie chrząknięcie, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że generał nadal stoi, najwyraźniej czekając, aż zaproponuję mu krzesło. Pospiesznie zaprosiłem go do zajęcia miejsca za rozchwierutany stolikiem.

Podziękował lekkim skinieniem głowy, założył nogę na nogę.

– Jak pan się czuje? – zapytał.

– Nic mi nie jest. Dzień, dwa i będę mógł podjąć służbę. W ograniczonym zakresie – przyznałem, widząc, że unosi brwi.

– Poproszę o raport z akcji.

No, no, ten nie ma zwyczaju krążyć wokół tematu...

– Głównym celem, podobnie jak do tej pory, była infiltracja strefy przyfrontowej – zacząłem. – Co prawda tym razem nie udało się zdobyć żadnych konkretnych informacji, ale za to jeden z zabitych przez nas oficerów okazał się specjalnym wysłannikiem komisarza Berii. Dokumenty, jakie przy nim znaleziono, upoważniają do kontrolowania jednostek NKWD i Smiersza. Wystarczy wymiana zdjęć i przez kilka najbliższych tygodni będę mógł poruszać się bezpiecznie po terytorium wroga. Włączając w to wyjazdy poza obszar działania armii Głuzdowskiego.

– Rosjanie nie zauważą, że ten człowiek przepadł?

– Raczej nie. O ile można się zorientować z papierów, wysłannik Berii dopiero co przybył na miejsce. Zakładam, że nie zdążył się jeszcze zameldować w sztabie Szóstej Armii. A gdyby nawet, nie mam przecież zamiaru odwiedzać Głuzdowskiego. Podpaliłem magazyn, w którym zastałem majora Frołowa, tak więc Rosjanom trudno będzie zidentyfikować ciało. Myślę, że wezmą to za atak dywersyjny.

– Połączony z szabrowaniem składu?

– Oczywiście – potwierdziłem sucho. – Dzięki temu akcja nie wzbudzi podejrzeń Ruskich.

– Dlaczego dał pan część... zdobyczy mojemu adiutantowi?

– Czuję się głupio, zatrzymując to wszystko dla siebie.

– Co z resztą?

– Większość przekazałem szpitalowi i kuchni oficerskiej, trochę pozwoliłem zatrzymać żołnierzom. Dla podniesienia morale.

– Uważa pan, że tego potrzebują?

– Nie mam zastrzeżeń co do ich postawy, ale z każdego człowieka da się wykrzesać nieco więcej. Przy odpowiedniej motywacji. Uważam, że odrobina alkoholu i papierosów to niezbyt wysoka cena.

– Chce pan uprzyjemnić im życie?

– Bynajmniej. Chciałbym jedynie, aby pamiętali, że nadal możemy zwyciężyć. Żeby myśleli o tym, paląc zdobycznego papierosa i pijąc rosyjską wódkę.

Wyraz twarzy mojego rozmówcy nie zmienił się nawet na jotę – Niehoff byłby znakomitym pokerzystą – jednak w jego oczach ujrzałem przelotny błysk aprobaty.

– Nie miał pan problemów z... dystrybucją dóbr?

– Nie rozumiem?

– Żołnierze nie domagali się czegoś więcej?

Roześmiałem się mimo woli: kiedyś w Armii Czerwonej próbowano wprowadzić coś, co nazwano „świadomą dyscypliną”. Według geniuszy, którzy to wymyślili, żołnierz komunista powinien odznaczać się na tyle wysokim stopniem samokontroli, żeby dyscyplina – w klasycznym rozumieniu tego słowa – była zbędna, a polecenia przełożonych powinny mieć jedynie charakter sugestii. Koncepcja okazała się

tragicznym niewypałem: puszczeni samopas żołnierze tak się rozhulali, że trzeba było przydzielić każdemu oddziałowi komisarza z prawem rozstrzeliwania na miejscu niepokornych. To z kolei w cudowny sposób podziało na morale i aż przyjemnie było patrzeć, jak najgorsze mendy wychodzą ze skóry, aby odczytywać wręcz myśli przełożonych. Rzeczą miała miejsce dawno temu, jeszcze w czasie wojny domowej, ale każdy rosyjski dowódca dobrze zapamiętał tę lekcję. Ja także. Gdyby któryś z moich podwładnych zaczął się czegoś ode mnie domagać, załatwienie sprawy zajęłoby mi nie więcej niż kilka sekund: akurat tyle, ile potrzeba na wyjęcie pistoletu z kabury...

– Wątpię, żeby ktoś o tym nawet pomyślał – odparłem sucho.

I znowu lekkim, niemal niezauważalnym gestem generał wyraził satysfakcję. O co tu, do cholery, chodzi?

– Kierował pan kiedyś ekipą dochodzeniową. Z pańskich akt wynika, że z sukcesem?

Rzeczywiście, w spreparowanym przez naszych specjalistów dossier majora Rotha znalazła się wzmianka na ten temat. Cóż, najlepszym kłamstwem jest to, które ociera się o prawdę, a ja istotnie byłem doświadczonym oficerem śledczym. Tyle że jako pułkownik Razumowski...

– Udało mi się rozwiązać kilka problemów – przyznałem.

– Co by pan powiedział na małą konsultację? Przez najbliższe dwa tygodnie i tak nie da pan rady pełnić swoich obowiązków.

– Przez tydzień – poprawiłem.

– Niechby i przez tydzień – zgodził się Niehoff. – Rozumie pan, chodzi o kwestię natury... kryminalnej. Co prawda zajmuje się tym już doświadczony detektyw, jednak być może dochodzenie przekroczy ramy konwencjonalnego śledztwa. Niewykluczone też, że trzeba będzie podjąć działania leżące poza zasięgiem kompetencji policji...

Uniosłem brwi, ale się nie odezwałem: generał wyraźnie czegoś nie dopowiadał. No nic, i tak prędzej czy później dowiem się, o co chodzi. Biorąc pod uwagę, że komendant twierdzy Breslau pofatygował się do mnie osobiście, raczej prędzej niż później: sprawa musiała być pilna.

– Szczegóły wyjaśni panu komisarz Witte – stwierdził, podnosząc się z krzesła. – Tymczasem proszę zapoznać się z dokumentacją. Hans! – rzucił niecierpliwie, otwierając drzwi.

Po chwili trzymałem już na kolanach sporą tekturową teczkę.

– To wszystko, co mamy – zapewnił Niehoff. – *Kriminalkommissar* Witte odwiedzi pana jutro. Tymczasem proszę odpoczywać.

Po krótkim pożegnaniu – generał nie należał do zbyt wylewnych – zostałem sam. Umościłem się na łóżku, z westchnieniem rezygnacji sięgnąłem po akta. Zapowiadał się upojny wieczór...



Dopiąłem jedną ręką kołnierzyk, poprawiłem temblak, wszystko to pod karcącym spojrzeniem doktor Wajnert. Moja lekarka nie była zachwycona faktem, że wstałem z łóżka w dzień po postrzale. Inna rzecz, że czułem się znakomicie, jak na swój stan: fachowo opatrzone rany niemal nie bolały, a transfuzja krwi sprawiła, że byłem w stanie poruszać się, nie czując zawrotów głowy. Niestety, mimo nalegań medyków nie mogłem pozwolić sobie na dłuższy odpoczynek. Sprawa, którą miałem się zająć, śmierdziała na odległość. Nie żeby było to specjalnym zaskoczeniem: od dłuższego czasu przełożeni obarczali mnie tylko takimi...

Zerknąłem na zegarek: dochodziła dziesiąta. Jeśli komisarz Witte jest punktualny, powinien lada moment zapukać do moich drzwi. Z samego rana odwiedziła mnie Inga, ale nie rozmawialiśmy długo, *Frau von Bredow* musiała opiekować się córką, mała Klaudia zachorowała.

– Wariactwo – wymamrotała lekarka. – Padnie pan gdzieś na ulicy i znowu spotkamy się w operacyjnej, dobrze, jeśli nie w prosektorium.

– Kusząca perspektywa – odparłem, wkładając czapkę. – Kiedy pomyślę, jak pani małe, białe rączki rzucają na wagę laboratoryjną mój wyłuskany z czaszki mózg... – Poruszyłem wymownie brwiami.

– Roth, nie oberwał pan aby w głowę? – spytała z kwaśnym uśmiechem. – Widziałam w szpitalu psychiatrycznym pacjentów, którzy gadali z większym sensem niż pan.

Zwinąłem się w ciasnym skřęcie, napałem przedramieniem na gardło chudego, pomarszczonego człowieczka. Nieznajomy pojawił się w izolatce bez najmniejszego szmeru czy skrzypnięcia drzwi: ot tak – niczym dzinn z butelki. Albo się starzeję, albo facet ma talent.

– *Kriminalkommissar* Witte – wycharczał przybysz, wczepiwszy się w mój rękaw.

Odstąpiłem spiorunowany wścickłym spojrzeniem załzawionych jak u jamnika oczu.

– Przepraszam – powiedziałem. – Mógł pan zapukać.

– To nie powód do takiej napaści!

– Smar – mruknąłem.

– Co takiego?!

– Poczulem zapach smaru do broni – wyjaśniłem znużonym tonem. – Stąd moja reakcja. Przeważnie czuć go, kiedy ktoś wyciągnie świeżo wyczyszczony pistolet.

– Nie czyściłem... – mężczyzna urwał nagle jak rażony gromem. – Naprawdę poczuł pan zapach smaru? – zapytał już innym tonem.

- Naprawdę. A co?
 - Naprawiałem córce rower i rzeczywiście użyłem smaru do broni. Niczego innego nie miałem pod ręką – dodał, wzruszając ramionami. – Ale przecież się myłem...
 - Zapewniam pana, komisarzy, że major Roth jest zdrowy na umyśle – wtrąciła lekarka. – Oczywiście to tylko wstępna diagnoza. Nie było czasu na dokładne badania, a sam pan wie, jak to jest z tymi żołnierzami...
 - Wiem – przytaknął Witte, masując szyję.
 - Zapach smaru! – parsknęła. – Nic nie czuję, a mam znakomity węch.
 - Ja za to czuję Femme Rochas – odparłem, uśmiechając się słodko. – Ktoś wyperfumował się za uszkami. Czyżby randka, pani doktor?
- Nieoczekiwanie twarz Luizy Wajnert pokryła się rumieńcem, kobieta wyładniała, stała się niemal pociągająca.
- Nie pańska sprawa! – burknęła. – I ani słowa więcej! Proszę pamiętać, że za kilka dni ściągnę panu szwy, a nie chciałby pan chyba, żeby była niedelikatna?
 - Uchowaj Boże! – zawołałem. – Idziemy, komisarzy?
 - Idziemy – westchnął.



Leżały na stalowych blatach: nagie, nieruchome i martwe. Umierały w strachu, rozpacz i upodleniu, lecz teraz na ich twarzach nie było widać żadnych uczuć, tak jakby udzielił im się zimny majestat śmierci. Cztery kobiety – wszystkie zgwałcone i zamordowane w ciągu ostatniego miesiąca. Nic dziwnego, że władze były zaniepokojone: po Breslau rozpełzły się plotki o maniaku-mordercy. I żeby tylko o to chodziło...

Fotografie zwłok obejrzałem już wcześniej, ale i tak przez dobrą chwilę studiowałem rany, w wyniku których zginęły. Bez wątpienia napastnik posłużył się jakimś ostrzem i wiedział, gdzie celować. Nic dziwnego w mieście, w którym stacjonowało kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Ciała znaleziono porzucone w rzadko odwiedzanych zaułkach, ale ekspertyza wykazała, że kobiety umarły gdzie indziej: morderca musiał dysponować samochodem i znakomicie znać teren. Ani chybi miejscowy...

- I jak? – spytał Witte. – Zauważył pan coś szczególnego?
- Być może – mruknąłem.
- I cóż takiego?

W głosie policjanta wyraźnie zabrzmiało niedowierzenie.

- Proszę nie traktować mnie jak idioty, Witte – poprosiłem. – To męczące. Emilia

Mentzel została zabita przez kogoś innego niż pozostałe.

– Żartuje pan?!

– Nie, trzy kobiety zamordowano pchnięciami noża bojowego albo bagnetu i rozmieszczenie ran odpowiada pewnej specyfice: to miejsca, gdzie celowałyby żołnierz. Dobrze wyszkolony żołnierz – podkreśliłem.

– Dobrze wyszkolony?! Taki nie musiałby uderzać dwa razy!

Westchnąłem z rezygnacją: najwyraźniej ośli upór był charakterystyczną cechą komisarza...

– Ile osób zabił pan nożem?

Odpowiedziało mi milczenie.

– A mnie się zdarzało. Wie pan, o czym się myśli w takiej chwili? O dwóch rzeczach: aby nie pobrudzić ubrania i załatwić sprawę bez krzyku i konieczności pogoni za ofiarą. Dlatego bardzo rzadko zabija się jednym ciosem. Pierwsze uderzenie ma na celu unieruchomienie przeciwnika, drugie można wówczas zadać precyzyjnie, wiedząc, że nie napotka się na żaden opór. Proszę zobaczyć, co my tu mamy: pchnięcie w nerkę i cios w serce. Ta z kolei otrzymała uderzenie w żołądek i kiedy zgięła się wpool, napastnik wbił jej ostrze w kark, przeciął rdzeń kręgowy. Wreszcie ostatnia z trójki: cios w płuco i znowu w serce. Proszę też zwrócić uwagę, że niemal nie widać innych oznak przemocy: żadnych siniaków czy śladów po więzach. Zaledwie tu i ówdzie nieco zdartej skóry.

– No tak, czwarta ma parę sińców i zginęła od jednego ciosu, ale...

– Nie o to chodzi – wszedłem komisarzowi w słowo. – Tu ostrze miało nieco inny kształt, to widać po ranie, i co ważniejsze, napastnik znał anatomię, ale z pewnością nie był żołnierzem, ten nigdy nie celowałby w tętnicę szyjną. Nie w takiej sytuacji.

– Niby dlaczego?

– Upaprałyby się niemożliwie, wyobraża pan sobie, jak tryska krew z rozciętej tętnicy? A on musiał przecież jeszcze uciec. Nie mógł chodzić po ulicy w zakrwawionym ubraniu, zatrzymałby go pierwszy napotkany patrol, a tych, jak pan wie, obecnie nie brakuje...

Policjant milczał przez chwilę, wreszcie niechętnie skinął głową.

– Możliwe – przyznał z ociąganiem. – Coś jeszcze?

– Wygląd i wiek.

– Nie rozumiem?

– Rozumie pan, rozumie – mruknąłem. – Tylko żał panu rozstawać się z ulubioną teorią.

– No dobrze – parsknął. – Mentzel rzeczywiście jest starsza i nie tak ładna jak pozostałe, jednak nie widzieliśmy jej żywej. Czasem o atrakcyjności decyduje nie tylko wygląd.

– Niby tak – odparłem bez przekonania. – Jednak łatwo zauważyć, że tamte

stanowią wręcz archetypy aryjskiej urody: wysokie, długonogie, z dużym biustem, blondwłose, o nordyckich rysach twarzy.

– Nie ma pan poczucia absurdalności tej rozmowy? Toż dyskutujemy w kostnicy nad fizycznymi zaletami nieboszczek... No i skąd żołnierz zna takie terminy jak „archetyp”? – spytał złośliwie.

Uśmiechnąłem się mimo woli: rzeczywiście jeszcze dwa lata temu nie mógłbym nawet myśleć o używaniu podobnego słownictwa. Jednak krew Doskonałych obdarzyła mnie kilkoma cechami, w tym fotograficzną pamięcią. W naszej robocie to rzecz bezcenna, tak więc zacząłem czytać wszelkiego typu encyklopedie i słowniki. Hasło po hasle...

– Może wrócimy do tematu? – zaproponowałem.

– Proszę bardzo. Co pan sądzi o guziku?

Zagryzłem wargi: guzik... Znalezione go przy ciele Emilii Mentzel. Na pozór nic nadzwyczajnego – zwykły metalowy guzik ozdobiony groszkowym wzorem. Typowy dla wojskowego umundurowania. Zaniepokojenie dowództwa wywołały oznaczenia na wewnętrznej stronie. Te pozwoliły zidentyfikować go jako element umundurowania polowego SS. Litery RZM były inicjałami *Reichszeugmeisterei der NSDAP* – monachijskiego Biura Kontroli Jakości NSDAP, a wpisane w podwójny okrąg runy Sieg stanowiły znak odbioru SS. Gdyby w Breslau rozeszły się słuchy, że esesmani gwałcą i zabijają kobiety...

– Nie jestem przekonany, że Mentzel zabił żołnierz – powtórzyłem.

– Być może da się ustalić coś więcej – powiedział Witte. – Nasi specjaliści zidentyfikowali fabrykę, która wyprodukowała guzik. Litery FLL na odwrocie to skrót od słów „Friedrich Linden, Ludenscheid”.

– Tymczasem moglibyśmy obejrzeć mieszkanie *Frau Mentzel* – zasugerowałem.

– Dlaczego nie? – westchnął policjant. – Tyle że tam nie ma niczego szczególnego. Moi ludzie przeryli je wzdłuż i wszerz.

– Ale nie sprawdził pan tego osobiście?

– Nie – odparł Witte.

W jego tonie wychwyciłem nutę niepokoju.

– Zamordowano ją przedwczoraj, a ja byłem zajęty czym innym. Poszukiwania uzbrojonego dezertera – dodał wyjaśniająco. – Takie sprawy mają teraz priorytet.

– Rozumiem.

Wyszliśmy z kostnicy, postawiłem kołnierz: wiał silny wiatr. Przy policyjnym samochodzie kręciła się dziewczyna w płaszczu i berecie BDM, szofer komisarza Wittego. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że w jej rysach jest coś znajomego. Olśniło mnie, kiedy otworzyła drzwi policjantowi i przez moment stanęli obok siebie.

– Może przedstawiłby mnie pan córce? – rzuciłem.

Witte odpowiedział niechętnym grymasem, za to dziewczyna obdarzyła mnie

spontanicznym uśmiechem.

– Przyłapał cię, tato – oświadczyła z satysfakcją.

Była raczej sympatyczna niż ładna, o okrągłej, obsypanej piegami buzi. Już nie dziecko, jeszcze nie kobieta. Brązowe jak u ojca oczy miały figlarny wyraz.

– Monika Witte – oznajmiła, wyciągając dłoń.

– Aleksander Roth – odwzajemniłem się z lekkim ukłonem.

– Uważaj na niego, córeczko – uprzedził policjant. – On lubi dusić ludzi.

– Komisarzu...

– Dusić? – spytała, ruszając. – I gdzie jedziemy?

– Bismarckstrasse – burknął.

– Co z tym duszeniem?

– Twój ojciec mnie zaskoczył – wyjaśniłem. – Dziś rano w szpitalu. Wyrósł za moimi plecami jak duch, bez najmniejszego szmeru, więc zareagowałem odruchowo i nieco zbyt gwałtownie. – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– On uwielbia to robić – zachichotała. – Przez kilka lat pracował w wydziale zajmującym się inwigilacją i podłapał kilka sztuczek.

– Tylko nie sztuczek! – zaprotestował Witte. – Umiejętność skrytej obserwacji podejrzanego to sztuka!

– Jak mi się wydaje, na razie jesteśmy po tej samej stronie – zaznaczyłem łagodnie. – I nic mi nie wiadomo, jakobym był podejrzanym.

Komisarz odchrząknął, wyraźnie nieprzekonany, zerknął przez moment w boczne lusterko.

– Wracając do sprawy: kim była Mentzel? Gdzie pracowała? W aktach znalazłem tylko wyniki sekcji zwłok i dokumentację z miejsca zbrodni.

– Nie zdążyłem dołączyć tych danych – wyjaśnił komisarz. – Dostałem je dopiero dzisiaj rano.

– Więc? – kontynuowałem.

– Pracowała jako lekarka w znanym panu szpitalu.

– Żartuje pan?! Dlaczego nikt o niej nie wspomniał? Nikt z personelu? Taki temat do plotek, a tu głucha cisza.

– Ze względu na okoliczności postanowiono wyciszyć sprawę – odparł, wskazując ostrzegawczym gestem córkę. – Szpital powiadomiono, że Mentzel zginęła w czasie nalotu – dodał ciszej. – A śmierć pod bombami to obecnie raczej codzienność niż sensacja. I nikt nie chce o tym rozmawiać, bo wiadomo: dziś on, jutro ty...

– A tamte?

– Liza Hoffmann, Hanna Sartorius, Gabriela Kleist – wyrecytował. – Pierwsza zginęła Gabriela Kleist, później dwie pozostałe, dzień po dniu. Dlatego wywarło to takie wrażenie: ludzie się wystraszyli. Wszystkie to sierotki.

– Nie rozumiem?

– Przepraszam, zawodowy żargon. Tak nazywamy ofiary, które nie mają bliskich i przyjaciół.

– Wszystkie trzy?

– Tak, ale to akurat nic niezwykłego. Nie teraz. Przybyły do Breslau, uciekając przed Rosjanami. I nie zdążyły wyjechać, zaraz potem Ruscy zamknęli okrążenie.

– Mimo wszystko to trochę dziwne. Wygląda, że wybrano je właśnie ze względu na brak osób, które mogłoby zaniepokoić ich zniknięcie.

– Być może. Tak czy owak, ten wątek to raczej ślepa uliczka. Być może coś spłynie w przyszłości, próbujemy skontaktować się z ich rodzinami, ale sam pan wie, jaka jest sytuacja...

Wiedziałem. Drogi zapchane były uciekinierami, w miastach panował chaos, rwała się łączność. Prawdopodobieństwo znalezienia kogoś, kto znał zmarłe kobiety, było bliskie zeru.

– No dobrze – westchnąłem. – Może chociaż poszczęści nam się z tą Mentzel.

– Gdzie zaparkować? – spytała panna Witte.

– Przy tamtej kamienicy – pokazał komisarz.

– Mam pewnie zostać w samochodzie?

– Niech idzie z nami – zaproponowałem. – Inaczej strasznie zmarznie.

– Wolałbym nie mieszać córki w tego typu historie – stwierdził kwaśno policjant.

– Przecież nie proponuję jej wizyty w kostnicy – mruknąłem. – To zwykłe mieszkanie, ale jak pan chce...

– Tato...

– No dobrze – westchnął Witte. – Chodźmy.

Emilia Mentzel mieszkała na pierwszym piętrze niespecjalnie okazałej kamienicy. Schody wyglądały, jakby nikt nie sprzątał ich przynajmniej od miesiąca. Wokół panowała nienaturalna cisza, najwyraźniej sąsiedzi *Frau* Mentzel uciekli wcześniej z Breslau.

– Mam nadzieję, że nie zapomniałem kluczy – wymamrotał komisarz.

Zerknąłem policjantowi przez ramię: masywne, zaopatrzone w trzy nowoczesne zamki drzwi nie dziwiłyby w dzielnicy willowej, ale przecież nie tutaj. Lokatorzy kamienicy w najlepszym wypadku należeli do klasy średniej.

– Ciekawe, czego ona się tak obawiała... – rzuciłem.

– Och, wie pan, jak to jest z kobietami – wzruszył ramionami Witte.

– Dziękuję, tato!

– Z samotnymi kobietami – doprecyzował pospiesznie policjant. – Proszę, gotowe! – zawołał.

Kwatera była dwupokojowa, do tego łazienka i malutka kuchnia. Na pozór nic nadzwyczajnego. Otworzyłem szafę, wysunąłem kilka szuflad. Kątem oka zauważyłem, że panna Witte podeszła do stojącej pod lustrem komody, podniosła

jakiś flakonik. Tymczasem komisarz wszedł do przedpokoju i zatrzymał się jak wryty.

– Niemożliwe... – wyszeptał.

– Co takiego?

– To oryginalny Thuillier – powiedział, wskazując zegar ścienny.

– Co proszę?

– Jean Pierre Thuillier był szwajcarskim zegarmistrzem, działał w osiemnastym wieku – odparł, nie odrywając wzroku od czasomierza. – Niesamowity egzemplarz. I w pełni sprawny!

Pokiwałem głową i cisnąłem na stół kilka irchowych woreczków z górnej szuflady. Zabrzęczało. Zważyłem w ręku jeden z nich, wysypałem zawartość. Złote i srebrne monety: ruble, dolary, reale, talary Marii Teresy...

– Nieźle, jak na skromną lekarkę – zauważyłem.

– Istotnie to zastanawiające – przyznał komisarz. – Jednak...

– Zastanawiające?! – parsknąłem. – To chyba zbyt łagodne określenie. Ile wart jest ten zegar?

– Trudno powiedzieć, nie jestem fachowcem.

– Ja tym bardziej – uciałem. – Proszę podać orientacyjną kwotę.

– Sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt tysięcy marek...

– Tych monet jest przynajmniej na dwa razy tyle.

– Łapówki? – uniosła brwi panna Witte.

– Może to prywatna kolekcja? – zasugerował komisarz.

– A jakże! Szczególnie to. – Wskazała szafę.

– Nie rozumiem?

– Trzy futra: jedno z norek, dwa sobolowe. I każde w innym rozmiarze...

– Co to za perfumy? – spytałem, patrząc na trzymany przez dziewczynę flakonik.

– Chanel. Na toaletce są jeszcze Amour Amour, Quesais je? i Adieu Sagesse Jeana Patou.

– No, no – mruknąłem.

– Co znaczy: no, no? – parsknął Witte.

– Mniej więcej tyle, że funkcjonariusz, który przeszukał mieszkanie tej Mentzel, jest wyjątkowo uczciwym człowiekiem i totalnym głąbem jako śledczy. Żadnej lekarce nie byłoby stać na coś takiego. Albo sprzedawała nielegalnie medykamenty, jak pan wie, sporo z nich jest reglamentowanych, albo kupczyła własnymi...

– ...wdziękami – dokończyła z satysfakcją Monika Witte.

– Biorąc pod uwagę, jak wyglądała, bardziej prawdopodobna jest pierwsza opcja – dodałem.

Komisarz spojrział na mnie z wyrzutem, ale w jego oczach dostrzegłem błysk ironii. Ki czort? W co on gra? To ma być ten „doświadczony detektyw”, jak reklamował go Niehoff?

– Chyba wypadaloby przeprowadzić dokładne przeszukanie i sporządzić spis cennych przedmiotów – zaproponował, zabierając córce perfumy.

– Tato!

– One i tak ci nie pasują – zauważyłem. – Spróbuj Amour Amour.

– Naprawdę pan tak uważa?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Perfumy Chanel są dla dojrzałych kobiet, możesz ich użyć za dziesięć albo i dwadzieścia lat.

– No nie wiem... – odparła, dotykając szklanym korkiem przegubu.

– Amour Amour są odpowiednie dla dziewcząt w twoim wieku – zapewniłem.

– Rzeczywiście aromat jest przyjemny, ale słabszy niż Chanel.

– Sprawdź za kilka godzin, potrzeba czasu, żeby woń perfum zmieszała się z zapachem skóry.

– Nie pozwolę na kradzież dowodów rzeczowych!

– Pewnie – burknąłem. – Lepiej, żeby przeleżały w magazynie, skąd i tak rąbnie je jakiś policjant, aby zrobić wrażenie na żonie czy dziewczynie...

Monika Witte popatrzyła na ojca smutnym i bez wątpienia wytrenowanym przez lata praktyki wzrokiem.

– Nie ma mowy! – powtórzył komisarz z dużo mniejszą pewnością siebie. – To przestępstwo.

– Bo ja wiem? Uważam, że te perfumy należałoby poddać analizie – powiedziałem, starając się nie roześmiać.

– Jakiej, do licha, analizie?!

– Węchowej. Kto wie co zawiera buteleczka? Proponuję, żeby badanie zawartości powierzyć pannie Monice i zobligować ją do składania regularnych raportów na ten temat.

Dziewczyna pisnęła z radości i pocałowała mnie w policzek.

– Tatusiu, proszę...

– Och, róbcie, co chcecie, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego! – stwierdził z rozdrażnieniem Witte.

Tym razem to on został obdarzony pocałunkiem.

– Da pan sobie sam radę z inwentaryzacją? – spytałem.

– Dlaczego sam?

– Czas na mnie. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Nie boi się pan, że zabiorę zegar do... dalszych badań?

– Niespecjalnie.

– Odwiozę pana – zaoferowała się Monika Witte.

– Dziękuję, nie trzeba, mam własny transport.

– To ten samochód, który jechał za nami od szpitala? – powiedział komisarz.

No proszę, a jednak zauważył, pomyślałem. Może nie jest taki całkiem do niczego...

– Owszem – przyznałem. – Nie jestem w formie, dlatego wolałem, żeby kilku moich ludzi kręciło się w pobliżu. Na wszelki wypadek.

– Jakie ma pan plany na jutro? Bo trzeba zamknąć dochodzenie.

– Wizyta w szpitalu? – zaproponowałem.

– Niech będzie – mruknął. – O której po pana podjechać?

– O dziewiątej. Mieszkam na...

– Wiem, gdzie pan mieszka – uciął.

Pożegnaliśmy się i wyszedłem na ulicę, gwizdnięciem wezwałem samochód. Za kierownicą siedział Hartmann, Becker czaił się w pobliskiej bramie. No i dobrze, znaczy pilnują mi pleców, tak jak im poleciłem. Coraz bardziej wątpiłem, żeby Mentzel zabił jakiś esesman, ale odrobina ostrożności nie zawadzi. Z ręką na temblaku wiele bym nie zdziałał, a w całej sprawie było coś, co mi się nie podobało. Na razie nie potrafiłem sprecyzować swoich podejrzeń, ale podświadomość biła na alarm.



Inga ponownie napełniła mój talerz, kiedy pochwaliłem posiłek, podziękowała zmęczonym uśmiechem. Jej poszarzała z wyczerpania twarz świadczyła o nieprzespanych nocach, musiała martwić się o małą Klaudię. No, to akurat nic dziwnego, *Frau von Bredow* bywała nadopiekuńcza. Za to Horst tryskał energią, dzieląc się wrażeniami z filmu „Kolberg”. Słuchałem wygłaszanych przez chłopaka peanów z kamienną twarzą – chodziło o sztandarową produkcję Trzeciej Rzeszy, powstałą na zamówienie ministra oświecenia publicznego i propagandy Josepha Goebbelsa. Fabuła była prosta i dopasowana do aktualnych potrzeb: garnizon twierdzy Kołobrzeg odpiera ataki potężnej francuskiej armii przy pomocy – a jakże! – chłopów i mieszczan. Słyszałem już wcześniej o tej produkcji, mimo iż rzecz dotyczyła czasów wojen napoleońskich, film w oczywisty sposób sugerował, jaką rolę w obronie Rzeszy powinien odegrać *Volkssturm*. Obraz zrealizowano z niewiarygodnym rozmachem, ściągając dla potrzeb scen batalistycznych całe jednostki Wehrmachtu, mimo tragicznej sytuacji na froncie. Podobno Goebbels był zachwycony osiągniętym efektem, twierdząc, że oddziaływanie filmu będzie można porównać z efektem wygranej bitwy. Problem w tym, że Niemiec nie mógł już uratować żaden sukces militarny: zbyt duża dysproporcja sił. Wysiłki podejmowane w celu odwrócenia nieuniknionej klęski przypominały próbę zawrócenia przyływu kopniakami...

– Zna pan najnowsze wieści z frontu? – spytał z roziskrzonym wzrokiem Horst. –

Oddziały generała Schörnera odbiły Lauban i idą na pomoc Breslau! To początek końca ofensywy bolszewików!

Nie odpowiedziałem, w milczeniu kończyłem gulasz.

– Aleks? – odezwała się zaniepokojonym tonem Inga. – Myślisz, że to tylko propaganda?

– Widziałem w gazecie zdjęcie szesnastoletniego Wilhelma Hübnera – powiedział obronnym tonem Horst. – Odznaczono go Krzyżem Żelaznym za męstwo w walkach o Lauban.

– Odbicie Lauban? – westchnąłem. – Nie, to nie propaganda. Podobnie jak wyczyny dzieciaków z Hitlerjugend. Tyle że to w najmniejszym stopniu nie zmienia sytuacji: Rosjanie nadal mają ogromną przewagę w ludziach i sprzęcie.

– Nasi są już blisko! – zripostował chłopak. – Jeszcze trochę i...

– Umiesz grać w szachy, Horst? – wszedłem mu w słowo.

– Umiem – odparł, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Załóżmy, że jesteś szachowym arcymistrzem i siadasz do gry z zupełnym dyletantem. Tylko że ty masz wszystkiego dwie figury, a twój przeciwnik pełen komplet. Jak myślisz, kto zwycięży?

– To porównanie nijak się ma do rzeczywistości! – stwierdził oburzony chłopak. – Nasze wojska...

– Istotnie – potwierdziłem. – Rosjanie nie są dyletantami, a nasze wojska to zbieranina: jednostek z doświadczeniem frontowym jest tyle, co kot napłakał, a i te uzupełniono smarkaczami, którzy do tej pory karabin widzieli tylko na strzelnicy. A Volkssturm? Przypatrzyłeś się tym dziadkom, którzy ledwo powłóczą nogami? Oni mają stawić czoło doborowym rosyjskim oddziałom? Zapomnij! – Roześmiałem się sarkastycznie.

– Doborowym?! To tylko czerwone bydło zagnane do walki knutami komisarzy!

– Cytujesz „Das Reich” czy „Schlesische Tageszeitung”? – spytałem zimno. – Bo chyba sam w to nie wierzysz?

Myślałem, że Horst wybuchnie gniewem, ale tylko zacisnął usta. Wiedziałem, że ryzykuję, nie ulegało wątpliwości, że w Hitlerjugend nauczono go odpowiednio reagować na brak entuzjazmu wobec oficjalnej propagandy, jednak nie miałem wyjścia: jeśli chciałem rozwikłać zagadkę archiwum Himmlera, rodzina von Bredow nie mogła liczyć na pomoc z zewnątrz.

– No dobrze – powiedział wreszcie. – Niech pan poda przykład bohaterstwa Rosjan! Kogoś takiego jak Wilhelm Hübner!

– Zdajesz sobie sprawę, że to zakrawa na zdradę? Jedna sprawa zastanawiać się nad powodzeniem akcji Schörnera, inna wychwalać męstwo wrogich żołnierzy...

– Może zmienimy temat? – odezwała się zaniepokojona Inga.

– Przecież jesteśmy tu tylko my – odburknął chłopak. – I z donosem nikt nie poleci.

Słucham! – ponaglił.

– No dobrze. – Wzruszyłem ramionami. – Choćby porucznik Nazarow. Zginął niedawno, na początku lutego. Jego pułk ochraniał przyczółek, z którego Rosjanie zamierzali zaatakować Liegnitz. Nasi wykonali uderzenie wyprzedzające, rzucając większość sił na wzgórze, którego bronił pluton Nazarowa. Jego zdobycie spowodowałoby demontaż całego pasa obrony Rosjan. Ci odparli kilka szturmów, ale w końcu dwóm naszym czołgom i trzem działom samobieżnym wraz z desantem udało się zbliżyć do linii rosyjskich okopów. Rosjanie walczyli zawzięcie: zatrzymali dwa działa, obrzucając je granatami, a ich artyleria spaliła jeden czołg. Jednak nasi też nie odpuszczali: drugi czołg i ostatnie ocalałe działo wdarły się na wzgórze...

– I co? – nie wytrzymał Horst.

– Nazarow rzucił się pod gąsienice czołgu z dwoma granatami przeciwpancernymi. Zginął na miejscu, miał dziewiętnaście lat.

– Co ze wzgórzem?

– Pozostało w rękach Rosjan. Nazarow uszkodził czołg, a załoga działa postanowiła się wycofać...

– Powinni bić się do końca! – burknął chłopak.

– Bez silnego wsparcia piechoty, otoczeni przez wroga? – Uniosłem brwi. – Zginęliby w kilka minut i stracili sprzęt. Nie możemy tak walczyć, to wrogowie mają umierać, nie my. Bo na jednego naszego żołnierza oni mogą wystawić dwudziestu...

– Więc nie wierzy pan w odsiecz dla Breslau?

– Niespecjalnie – przyznałem.

– To dlaczego... – urwał nagle, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

– Tak?

– Dlaczego broni pan miasta? Skoro uważa pan, że nie mamy szans?

– A co innego mógłbym robić w tej sytuacji?

– Rozumiem – odparł niepewnie. – Więc Breslau...

– Dość tych dyskusji! – oświadczyła z naciskiem Inga. – Ani słowa więcej! Horst, przypilnujesz siostry – poleciała. – Ja wychodzę.

– Coś się stało? – spytałem.

W głosie Ingi wyczułem napięcie, nieledwie histerię.

– Klaudia ma czterdzieści stopni gorączki – odparła, zagryzając usta. – Lekarz przez tydzień dawał jej syropki od kaszlu, aż w końcu doszło do zapalenia płuc. Przeklęty konował! – wybuchnęła. – Teraz mówi, że małej potrzebna jest penicylina, bo na co innego już za późno. Sulfonamidy nie działają, a z penicyliną sam wiesz, jak jest...

Wiedziałem: jeśli chodzi o wytwarzanie penicyliny, Niemcy byli daleko w tyle za Anglią, Stanami Zjednoczonymi czy nawet ZSRR, o masowej produkcji nie było mowy. Na czarnym rynku ceniono ją wyżej od złota i brylantów, a jej sprzedają

trudniły się wyspecjalizowane gangi. Byłem pewien, że w Breslau nie ma penicyliny. Nie licząc, rzecz jasna, tej, którą przywiozłem doktor Wajnert...

– W porządku – powiedziałem. – Idź. Jakby co, będę u siebie.

– Dziękuję, będę spokojniejsza, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, przeszedłem do pokoju Klaudii. Mała leżała w łóżku, szklisty wzrok i mimowolne ruchy dłoni świadczyły, że znajduje się na granicy utraty przytomności. Dotknąłem jej czoła, żar poczułem już z odległości kilku centymetrów. Kiedy się nachyliłem, usłyszałem rżący, urywany oddech. Cóż, tym razem Inga nie przesadziła: Klaudia umierała. Nie jestem lekarzem, ale jak wszyscy zwiadowcy przeszedłem solidne szkolenie medyczne, wątpiłem, czy dziecko przeżyje dłużej niż dwa dni.

Dziewczynka wyraźnie ucieszyła się na mój widok, jej oczy pojaśniały na moment, tak jakby jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że mogę jej pomóc. Tyle że nie widziałem żadnego powodu, dla którego miałbym to robić. Po każdego z nas przyjdzie kiedyś śmierć. Ta we własnym łóżku, w otoczeniu najbliższych nie jest jeszcze najgorsza. A wojna nie wybiera: dawniej umierały rosyjskie dzieci, teraz przysła pora na niemieckie. Ot i wszystko...



Poprawiłem poduszkę, ułożyłem się wygodniej, ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Nie, nie miałem wyrzutów sumienia! Nie odczuwałem satysfakcji z powodu choroby Klaudii, jednak nie czułem się też zobligowany jej pomóc. Bo i niby dlaczego? Powróciły wspomnienia z Leningradu, ni stąd, ni zowąd przysła mi na myśl Tania Sawiczewa. Tania... Nigdy jej nie poznałem, choć możliwe, że minęliśmy się kiedyś na jednej z ulic Leningradu. Gdy rozpoczęła się blokada miasta, miała jedenaście lat. Później zaczęli umierać jej bliscy. Po jednej z siostr pozostał notatnik, w którym Tania robiła krótkie zapiski, dokumentując kolejne zgony. Jeden po drugim. W końcu pod literą W odnotowała: „Wszyscy umarli”. I pod Z: „Została tylko Tania”. Tania Sawiczewa doczekała końca oblężenia, zmarła w lipcu czterdziestego czwartego. Z wyczerpania: dystrofia, szkorbut i gruźlica zrobiły swoje. Podobnie jak brak nadziei i chęci do życia. Tuż przed śmiercią Tania oślepla.

No dobrze, ale skąd takie skojarzenia? Moja podświadomość najwyraźniej połączyła z jakichś powodów Tanię z małą Klaudią. Jeśli nie wyjaśnię sprawy, nie zasnę. Wiedziałem, że brak kontroli nad własnymi emocjami to pierwszy i często ostatni sygnał ostrzegawczy: jeżeli wyjdę ze swojej roli, wzbudzę podejrzenia, będzie to oznaczało koniec misji. Najprawdopodobniej także koniec pułkownika

Razumowskiego...

Pomyślmy logicznie: dlaczego nie chcę ratować Klaudii? Załóżmy, że dałoby się ją ocalić: w tym stadium choroby nawet penicylina może okazać się nieskuteczna. No właśnie, dlaczego? Żądza zemsty? Bzdura! Nie walczę z dziećmi. W takim razie co? Przecież powinienem zachowywać się jak major Roth, a ten bez wahania pomógłby małej. A może to kwestia antypatii do rodziny von Bredow? Irracjonalna i podświadoma chęć odwetu za to, że okoliczności zmusiły mnie do opieki nad grupką Szwabów? Po krótkim namyśle odrzuciłem i tę możliwość: nie czułem wrogości ani do Ingi, ani do Horsta. I nic dziwnego, misje takie jak moja wymagają czegoś więcej niż talentu aktorskiego, jeśli nie potrafisz wczuć się w rolę – zginiesz. Nie możesz udawać sympatii dla wroga, musisz ją poczuć. Dlatego szpieczy – przynajmniej ci dobrzy – nieustannie balansują na krawędzi równowagi psychicznej. Bo aby wypełnić zadanie, trzeba zdradzić ludzi, których uznałeś za bliskich... No dobrze, więc tym bardziej – o co chodzi? Zachowuję się jak major Roth, rozumiuję jak major Roth, jestem majorem Rothem! Dlaczego w takim razie myśl o uratowaniu córki Ingi budzi we mnie taki sprzeciw? Toż teoretycznie mamy tu same plusy: *Frau* von Bredow będzie mi wdzięczna za ocalenie życia Klaudii i zrobi wszystko, aby się zrewanżować. A przecież będę potrzebował jej pomocy przy odszyfrowywaniu notatek Zygryda: było więcej niż pewne, że te naszpikowane są odniesieniami do spraw znanych tylko Indze. Podobnie zareaguje Horst. W dodatku czort wie czy uda mi się zachować w tajemnicy fakt, że dysponuję penicyliną. Co prawda o sprawie wiedzieli tylko Becker i Pimke, a ci będą milczeć – obaj rozumieli, że mnóstwo osób chciałoby się dostać do naszych zapasów. O dyskrecję poprosiłem też doktor Wajnert i wymogłem na niej obietnicę, że każdy przypadek zastosowania leku ma być konsultowany ze mną. Nie wątpiłem, że kobieta dotrzyma słowa, świetnie znała wartość penicyliny i zdawała sobie sprawę, że niejeden by zabił, aby uratować najbliższych albo zdobyć fortunę, sprzedając preparat na czarnym rynku... Tak, ryzyko było minimalne, ale przecież istniało. Dlaczego więc nie zlikwidować zagrożenia w zarodku? Uratuję Klaudię i wszyscy będą szczęśliwi... Tylko co dalej? Czy fakt, że przyłożę rękę do wyleczenia małej, nie sprawi, że przekroczę granicę, której przekraczać w żadnym wypadku nie powinienem? Nie chodziło o przełożonych – ci zaakceptują wszystko, co doprowadzi do przejęcia archiwum Himmlera. Problem tkwił we mnie. Zamarłem: to sobie chciałem udowodnić, że nadal kontroluję sytuację, że jeśli będzie trzeba, poświęcę kogoś ze „swoich” wrogów. Poczulem mrozącą krew w żyłach pewność: tak, w tym rzecz! Przydarzyło mi się to, przed czym przestrzega się wszystkich pracowników wywiadu: nadmiernie wczułem się w odgrywaną postać. Jeszcze nie straciłem kontroli nad sytuacją, ale rodzina von Bredow budziła we mnie coraz większą sympatię. Szlag! Jeśli doprowadzę do śmierci dzieciaka, może to zagrozić całej operacji. Jeżeli uratuję małą, istnieje obawa, że pewnego dnia obudzę się jako

major Roth, a nie pułkownik Razumowski... I kiedy to wszystko się zaczęło? Jak do tego doszło? Toż początkowo ledwo mogłem opanować niechęć wobec Ingi! A teraz? Bez namysłu zabiłbym każdego niemieckiego żołnierza czy cywila, który wszedłby mi w drogę, ale gdybym miał wybierać pomiędzy Ingą i jej dziećmi a jakimś bandziorem ze sztrafbatu, pewnie długo bym się nie zastanawiał. Mimo że tamten nosiłby rosyjski mundur... Ba, żeby tylko to! Wiedziałem, że mogę poświęcić życie Klaudii, Horsta czy samej Ingi. Jeśli będzie trzeba. Jeszcze mogę... Bo sama myśl budziła we mnie coraz większą niechęć. Na jak długo wystarczy mi determinacji? Co będzie za tydzień, dwa czy miesiąc? Nie od parady Klaudia kojarzyła mi się z Tanią: gdzieś w głębi ducha nie widziałem już różnicy pomiędzy niemieckimi i rosyjskimi dziećmi...

Zacisnąłem pięści z bezsilną złością. Co robić?! Co, do cholery, robić?! Śmierć Klaudii pomogłaby mi zachować równowagę psychiczną, powstrzymała pogłębiającą się zażyłość z rodziną von Bredow, ale nie było żadnych gwarancji, że nie zagrozi powodzeniu całej operacji. Jeżeli Inga pograży się w żałobie, o pomocy w odczytywaniu notatek Zygryda będę mógł tylko pomarzyć. A za niepowodzenie misji przyjdzie mi drogo zapłacić, zatroszczy się o to towarzysz Stalin. Osobiście. Przy całkowitym poparciu Berii i Abakumowa...

Dalsze rozmyślenia przerwało mi natarczywe pukanie. Cóż, zapewne *Frau* von Bredow chciała poinformować mnie, że nie znalazła w Breslau penicyliny. Przyszedł czas na podjęcie decyzji...

Narzuciłem pospiesznie szlafrok i otworzyłem drzwi. Błady jak ściana Horst mamrotał coś nieskładnie pod nosem.

– Co się stało?!

– Mama jest ranna... Klaudia... – wyrzucił z siebie łamiącym się głosem.

Zakląłem wściekle i popędziłem do mieszkania sąsiadów. Inga tuliła córkę, szlochając rozpaczliwie, pokrwawiona i posiniaczona twarz mojej sąsiadki świadczyła, że poszukiwania penicyliny na czarnym rynku nie zakończyły się najlepiej.

– Co się stało?! – powtórzyłem. – Jak mała?

– Zabrali mi pieniądze i biżuterię – załkała. – A Klaudia straciła przytomność, ma taką gorączkę, że aż parzy...

Zacisnąłem zęby, wystarczyło spojrzeć na Inge, żeby wyobrazić sobie jej reakcję na śmierć córki: kołysała dziewczynkę w ramionach, wpatrzona nieprzytomnym wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Potrzeba będzie miesięcy, może lat, żeby doszła do siebie. Szlag!

– Horst! Zamocz w zimnej wodzie jakieś prześcieradło. Natychmiast! – ponagliłem.
– A ty daj mi dziecko.

Chłopak pobiegł do łazienki, ale Inga nie zareagowała, więc nacisnąłem nerw na jej

ramieniu i wyjąłem Klaudię z bezwładnych rąk. Syknąłem, kiedy zaboląła niezagojona rana.

– Co robisz?! – krzyknęła. – Ja...

Uciszyłem ją solidnym policzkiem.

– Milcz i nie przeszkadzaj! – warknąłem. – To nie czas na histerię!

Ściągnąłem z małej przeпоconą piżamkę i owinąłem ją w mokre prześcieradło.

– Potrzebny jest jeszcze zimny okład na głowę. Inga!

– Ona umiera!

– Nie, chyba że damy jej umrzeć! Pospiesz się, trzeba obniżyć temperaturę!

Horst wcisnął mi w dłoń jakieś mokre szmaty.

– Wystarczy? – zapytał nerwowo.

– Powinno. Dopilnuj, żeby kompres się nie zsunął – poleciłem.

– A pan?

– Ja postaram się załatwić penicylinę.

– To niemożliwe! – krzyknęła dziko Inga. – Żaden szpital nie ma...

Zmroziłem ją spojrzeniem, jakim powstrzymywałem zbuntowanych żołnierzy. To było pierwsze i ostatnie ostrzeżenie, Inga to zrozumiała.

– Kazałem ci zamknąć buzię – przypomniałem beznamiętnym tonem. – Zajmijcie się Klaudią, muszę na chwilę wyjść.

Na schodach usłyszałem wycie syren: kolejny nalot. No ładnie, jak bal, to bal... Pospieszyłem do swojego mieszkania, dopadłem telefonu. Na szczęście działał. Ostatnio coraz częściej szwankowały dostawy gazu i elektryczności, rwała się łączność. Nasze lotnictwo powoli miażdżyło obronę Breslau, zamieniając w gruzy całe dzielnice.

Zadzwoiłem do szpitala, poprosiłem doktor Wajnert. Los się do mnie uśmiechnął – była na miejscu.

– Pamięta pani naszą umowę? – zagailem bez wstępu.

– Owszem – potwierdziła. – W czym mogę pomóc?

– Potrzebuję pani na Salzstrasse. Z penicyliną – dodałem ciszej.

– Teraz?! Mam dyżur.

– Natychmiast. Chodzi o pięcioletnią dziewczynkę z zaawansowanym zapaleniem płuc i wysoką gorączką. Dostawała sulfonamidy, ale nie podziałały.

– Trwa nalot...

– Nie będą bombardować okolic szpitala, może mi pani wierzyć!

Przez chwilę słyszałem tylko oddech lekarki.

– W porządku – powiedziała. – Idę.

Podąłem jej adres Ingi, z westchnieniem ulgi odłożyłem słuchawkę. Miałem nadzieję, że zdążymy uratować małą, zachowanie *Frau von Bredow* dało mi przedsmak tego, co może zdarzyć się po śmierci Klaudii. Nie miałem wyjścia: albo

ocaleń dzieciaka, albo notatki Zygryda odczytają analitycy *wojennej rozwiadki*. Za kilka lat...

Kiedy wróciłem, Klaudia miała otwarte oczy, ale spazmatyczny kaszel dziecka nie napawał optymizmem.

– Chyba ma trochę mniejszą gorączkę – powiedziała z rozpaczliwą nadzieją w głosie Inga.

– Na pewno – przytaknąłem. – Inaczej byłaby dalej nieprzytomna.

– Boli mnie – poskarżyła się cicho mała.

– Zaraz przestanie. Za chwilę przyjdzie pani doktor i zrobi ci zastrzyk – poinformowałem.

– Nie lubię zastrzyków.

– Ja też. – Wzruszyłem ramionami.

– Co z penicyliną? – spytała niespokojnie Inga.

– Będzie, tak jak obiecałem.

– Ale skąd...

– Czy to ważne? – wszedłem jej w słowo. – Horst, wyjdź przed dom i wypatruj lekarki. To ta sama, która badała cię po nalocie na Salzstrasse.

Chłopak skinął głową i narzuciwszy kurtkę, zniknął za drzwiami.

– Nic mu nie będzie? Bo przecież słyhać, że trwa bombardowanie.

– Bomby spadają przynajmniej pół kilometra stąd – wyjaśniłem.

– To prawdziwa penicylina? Bo przecież wiem, że żaden szpital jej nie ma, pytałam. A i na czarnym rynku... – urwała w pół zdania.

– Prawdziwa – zapewniłem. – Nie powiem ci nic więcej, a ty nie będziesz pytała, skąd ją wziąłem. Nie chcę ci robić wyrzutów – stwierdziłem z udanym wahaniem w głosie – ale gdybyś powiedziała mi wcześniej, w jakim stanie jest Klaudia...

Cóż, najlepszą obroną jest atak, a lepiej, żeby moja sąsiadka nie zastanawiała się zbyt długo nad tym, jakim cudem pojawił się u mnie nagle niedostępny preparat...

– Och, wiem, że zachowałam się jak idiotka! – przyznała, zagryzając wargi. – Nie przypuszczałam, że możesz mi pomóc.

– Mniejsza z tym – mruknąłem. – Co z twoją twarzą?

– Próbowałam kupić penicylinę od przemytników, ale nie wyszło. Podali mi adres kobiety, która podobno sprzedaje pokątnie lekarstwa. Sprzedawała – poprawiła się po chwili. – Okazuje się, że zginęła niedawno w bombardowaniu.

– Mentzel?

– Tak, skąd znasz jej nazwisko?

– Nieważne! – Machnąłem ręką.

– Ktoś powiedział mi o człowieku, który miał mieć dostęp do rzadkich medykamentów. Umówiłam się z nim przez pośrednika. Ustaliliśmy cenę i miejsce spotkania. Kiedy tam przyszedłam, czekali już na mnie. We dwóch. Zabrali mi

pieniądze, biżuterię, zerwali nawet kolczyki z uszu. A później próbowali... – Zerknęła niespokojnie na córkę.

– Rozumiem. Nic ci się nie stało?

– Wyrwałam się im i wybiegłam na ulicę, kiedy zaczęłam krzyczeć, nadszedł patrol, a oni uciekli. Proszę, nie mów nic Horstowi!

– Nie powiem – obiecałam.

Inga wzdrygnęła się, słysząc głośniejszy wybuch, opiekuńczym ruchem przytuliła córkę.

– Co z tą lekarką? Może coś jej się stało?

– Wszystko w porządku – zapewniłam. – Słyszę ją i Horsta. Są już na schodach.

– Jak możesz ich usłyszeć w takim hałasie?

– To się nazywa podzielność uwagi...

– Skąd wiesz, że to oni?

Od konieczności udzielania dalszych wyjaśnień uwolniło mnie przybycie doktor Wajnert i Horsta. Oboje byli cali i zdrowi.

– Woda, mydło, ręcznik! – zadysponowała lekarka, ledwie rzuciwszy okiem na dziecko.

– Zaprowadzę panią do łazienki – zaproponowałam.

– Mała gorączkuje? – spytała półgłosem.

– Od kilku dni – odparłam ponuro. – Dzisiaj miała czterdzieści stopni... Jak pani myśli, penicylina pomoże?

– Powinna, ale trudno mi dawać jakąś gwarancję.

– Proszę nie wdawać się w żadne wyjaśnienia co do penicyliny – poprosiłam.

– A oni nie wygadają?

– Nie, później wyjaśnię im, co i jak.

– Jak pan sobie życzy, majorze.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, bez słowa przygotowała strzykawkę.

– Niech pan ją przytrzyma – rzuciła. – Będzie bolało.

– Może ja... – zaczęła niepewnie Inga.

– Nie! – ucieła stanowczo lekarka. – Jeśli dziecko zacznie się wyrywać, zmarnuję zastrzyk, a nie mam penicyliny na kilogramy! Majorze...

Odrzuciłam prześcieradło, unieruchomiłam małej nogi. Na szczęście nie protestowała, wydawało się, że znowu traci przytomność. W chwilę później zakrzyczała rozpaczliwie, ale nie próbowała się szarpać.

– Już po wszystkim – oznajmiła doktor Wajnert. – Jutro przyjdę dać jej kolejny zastrzyk.

– Ile to potrwa? – zainteresował się Horst.

Po minie chłopaka można było poznać, że dopiero teraz zrozumiał, w jak ciężkim stanie jest jego siostra.

– Kilka dni. Jak dobrze pójdzie...

– Ile jestem pani winna? Bo to nie są przecież szpitalne zapasy? – dociekała Inga.

– Rozliczyłam się już z majorem Rothem – poinformowała ją chłodno lekarka. – A teraz proszę o ciszę.

Przez moment osłuchiwała Klaudię za pomocą stetoskopu, mierzyła tętno i sprawdzała reakcję na bodźce.

– Dziecko jest w ciężkim stanie – oświadczyła wreszcie. – Trzeba pilnować, żeby temperatura nie przekraczała czterdziestu stopni, zostawię wam leki przeciwgorączkowe, i dbać, aby mała się nie odwodniła. Ktoś musi przy niej cały czas czuwać, przynajmniej przez kilka dni.

– Dopilnuję tego – zapewniła Inga.

– Mogłaby pani jeszcze obejrzeć jej twarz? – Wskazałem gestem sąsiadkę. – Pobito ją dzisiaj.

– Nic mi nie będzie!

– Lepiej zdezynfekować rany, jeśli przyplącze się jakaś infekcja, nie będziesz mogła zajmować się Klaudią – uprzedziłem.

– No dobrze – westchnęła Inga.

Doktor Wajnert ostrożnie obmacała kości policzkowe i szczękę mojej sąsiadki, przemyła jakimś płynem płatki uszu.

– Na szczęście to nic poważnego – uznała.

– W takim razie dziękuję i do jutra.

Odprowadziłem lekarzkę do wyjścia, zamknąłem za nią drzwi. Dzień był intensywny, ledwo trzymałem się na nogach. Najwyższy czas iść spać: za oknem ciemniało, niedługo na niebie pojawią się pierwsze gwiazdy, rozblyszą reflektory przeciwlotnicze.

Inga pocałowała mnie w policzek, przytuliła się na moment. Nawet nie zauważyłem, jak podeszła, cholerne zmęczenie...

– Chodź, odprowadzę cię do mieszkania, jeszcze padniesz na schodach. Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć – powiedziała.

– Co z małą?

– Położyłam ją do łóżka, pewnie już zasnęła. Horst jej przypilnuje. No chodź.

Bez słowa wsparłem się na ramieniu kobiety: chyba rzeczywiście za wcześnie wypisałem się ze szpitala. Inna sprawa, że nie bardzo miałem wybór... Inga dowlokła mnie jakoś do łóżka, zasypiając, czułem, jak zdejmuje mi buty. Znużenie zważyło się na mnie niczym głaz, pozbawiło resztek energii. Mimo wyczerpania dręczył mnie niepokój; nie byłem pewien, czy penicylina uratuje Klaudię, do tego trzeba było zakończyć dochodzenie i rozszyfrować zapiski Zygfrйда von Bredowa. Cóż, w tym stanie wiele nie zdziałam. Zobaczymy, co przyniesie jutro. Jutro...



ROZDZIAŁ PIĄTY

O budził mnie zapach jedzenia: jajecznica na bekonie, kawa, grzanki. Cóż, całkiem nieźle, jak na poranek w Breslau. Zakląłem, spojrzawszy na zegarek, dochodziła dziesiąta. Nie ma co – ładny poranek. A miałem spotkać się z komisarzem godzinę temu... Dobrze, jeśli nie zadzwonił do Niehoffa, żeby poinformować go o opieszałości majora Rotha. Ostatnie, czego mi było trzeba, to problemy z komendantem miasta.

– Wstawaj, śpiochu – powiedziała, całując mnie, Inga. – Śniadanie ci wystygnie.
– Nie wiem, czy zdążę je zjeść – mruknąłem. – I tak jestem spóźniony.
– Jeśli chodzi ci o tego komisarza, to wytłumaczyłam mu wszystko przez telefon.
– Jaki telefon?
– Dzwonił godzinę temu.
– I nic nie słyszałem?!
– Spałeś jak zabity. Komisarz był bardzo miły, powiedział, że najważniejsze jest twoje zdrowie.

Nie skomentowałem ostatniego stwierdzenia. Witte zatroskany o moje zdrowie? Koń by się uśmieł...

Podniosłem się z niechętnym stęknieniem, wykonałem kilka ostrożnych skłonów: o dziwo, mięśnie i stawy reagowały jak dobrze naoliwiony mechanizm. Tak jakbym ostatnich kilkunastu godzin nie przeleżał bezwładnie niczym worek zboża. Poruszyłem lewą, zranioną ręką, ale nie poczułem bólu. Znaczy nie jest tak źle.

Inga pomogła mi nałożyć szlafrok, posmarowała grzankę. Spojrzałem na nią uważnie: nie wyglądała na zmartwioną stanem córki. Wręcz przeciwnie, mimo że na

jej twarzy nadal widać było ślady nieprzespanych nocy, zdawało się, że świeci własnym blaskiem.

– Co z Klaudią? – spytałem.

– Wszystko w porządku, gorączka spadła, mała ma tylko trzydzieści osiem stopni, jest przytomna, a nawet coś zjadła. Po raz pierwszy od trzech dni. Ta penicylina działa cuda!

– Świetnie! – wymamrotałem z pełnymi ustami.

Cóż, jeden kłopot mniej. Zapewne w moim głosie zabrzmiała prawdziwa, niczym niemaskowana ulga, bo *Frau* von Bredow uścisnęła mnie radośnie.

– Polubiłeś ją, prawda?

– Też coś! Dawno nie widziałem tak rozpaskudzonego dziewczyska. I czyja to wina? – Oskarżycielskim gestem wycelowałem widelec w sąsiadkę. – Założę się, że ledwo otworzyła oczęta, zażądała czekolady w ramach rekompensaty za straty moralne.

– Cóż... – Inga wydeła buntowniczo wargi. – Sam przyznasz, że zastrzyk był dość bolesny. Do tego gorączka i...

– Spasie się jak prosiak – odparłem brutalnie. – Nie sądzę też, żeby dieta czekoladowa była tym, czego jej teraz najbardziej potrzeba. Lepiej porozmawiaj o tym z doktor Wajnert.

– Porozmawiam – obiecała. – A ty mógłbyś wyjaśnić to małej...

– Co takiego?!

– No, że nie może na razie zajadać się czekoladą – odparła, spuszczać wzrok. – Pewnie masz rację, ale trudno mi jej czegokolwiek odmówić, a ciebie posłucha...

– Mnie? A to z jakiej racji?! Jestem dla niej obcym człowiekiem!

– Obcym? Na pewno nie. Dzieci wyczuwają pewne rzeczy. Ona cię uwielbia. I szanuje...

Odchrząknąłem dyplomatycznie: nie chciałem spierać się z Ingą, ale wątpiełem mocno, aby Klaudia uwielbiała cokolwiek poza czekoladą. Co najwyżej darzyła mnie pewnym respektem jako dostarczyciela tejże.

– Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł.

– Proszę! – Inga rzuciła mi spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

– No dobrze – westchnąłem z rezygnacją. – Niewykluczone, że odniosę pewien sukces w tych negocjacjach, w końcu jestem od niej większy...

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu: ja jadłem, a *Frau* von Bredow wpatrywała się we mnie z taką uwagą, jakbym był co najmniej światowej sławy pianistą albo znanym aktorem.

– Uratowałeś nas – stwierdziła, w końcu przerywając milczenie. – Gdyby coś się stało dzieciom...

Skrzywiłem się niechętnie, nie miałem ochoty słuchać podziękowań. Miałem

zamiar jak najszybciej zakończyć misję i wynieść się z Breslau.

– Nie gadajcie nikomu o tej penicylinie – zdecydowanie zmieniłem temat. – Horst ma trzymać buzię na kłódkę także przed żołnierzami z oddziału.

– Dlaczego?

Wiedziałem, że takie pytanie padnie prędzej czy później – Inga nie znosiła nieudomówień – i zastanawiałem się, czy nie posłać jej w diabły. Biorąc pod uwagę, że uratowałem życie jej córce, pewnie by to przełknęła. Tyle że nie było takiej potrzeby: mogłem powiedzieć jej prawdę. No, większość prawdy...

– Bo zabraliśmy ją Rosjanom i przeznaczylismy dla potrzeb „Kampfgruppe Roth” – zaakcentowałem ironicznie nazwę jednostki. – Wolałbym, żeby informacja o tym, że uszczupliłem nieco nasz zapas, się nie rozeszła. Rozumiesz, tam było na dwie, góra trzy kuracje. Przeważnie to ja chodzę na drugą stronę, reszta mnie ubezpiecza, interweniuje tylko w razie jakichś problemów. Gdyby się na mnie wkurzyli, mogliby nagle zacząć oszczędzać amunicję...

– Rozumiem – odparła, blednąc. – Porozmawiam z Horstem.

No, no, czyżby naprawdę martwiła się o mnie? A może tylko o siebie i dzieci? W końcu gdyby nie ja, rodzina von Bredow byłaby w tym momencie mocno... zdekompletowana.

– To dobrze, będę się zbierał. Komisarz Witte pewnie klnie mnie w żywy kamień, niezależnie od tego, co powiedział przez telefon. I jeszcze jedno: gdybyś spotkała gdzieś tych ludzi, którzy cię pobili, natychmiast uciekaj. Mentzel nie zginęła w bombardowaniu, została zamordowana. Mam wrażenie, że cały ten biznes z lekami stał się ostatnio mocno ryzykowny...

– Skąd wiesz o Mentzel?

Zamiast odpowiedzieć, uszczypnąłem Inge w nos, niczym natrętne dziecko.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – oznajmiłem dobitnie.

Inga naburmuszyła się ostentacyjnie, ale nie wyczułem w niej prawdziwego gniewu, tak jakby uznała, że mam prawo do podobnych poufałości. I do ignorowania pytań jaśnie oświeconej hrabianki...

– Może ci pomóc? – zaproponowała, widząc, jak usiłuję pozbyć się szlafroka, nie używając zranionej ręki.

– Poproszę.

Frau von Bredow ściągnęła ze mnie piżamę, ale nie kwapiła się, aby podać mi ubranie.

– Nie taką pomoc miałam na myśli – zachichotała, widząc moją reakcję. – Ale jak trzeba, to trzeba. Chciałabym i ja wnieść swój wkład w obronę Breslau...

Kołysząc kusząco biodrami, z rozmyślną powolnością zaczęła rozpinać sukienkę. Kiedy tkanina ześliznęła się na podłogę niczym druga skóra, została w samej bieliźnie. Wsunęła palce we włosy i uwolniła bujne sploty zebrane na co dzień w skromny

koczek.

– Jestem już spóźniony – zaprotestowałem niemrawo, kiedy zaczęła ściągać pończochy.

– Decyzja należy do pana, majorze, ale kilka minut nie zrobi chyba specjalnej różnicy – odparła z prowokacyjnym uśmiechem.

– Kilka minut?

– Cóż, nie musi być pan specjalnie subtelny, w końcu mamy wojnę...

Chwyliłem ją za włosy, stopniowo zaciskając pięść, jednocześnie darząc brutalnymi, zwierzęcymi pieszczotami. W jej oczach ból mieszał się z rozkoszą i typowo kobiecą satysfakcją. Tak, nie ulegało wątpliwości: Inga rzucała mi wyzwanie, chciała sprawdzić, jaką ma nade mną władzę... Zraniona ręka zaprotestowała nagłym skurczem – czort z tym! Najwyżej szwy się rozejdą. A bo to pierwszy raz?

– Naprawdę wiesz, co robisz? – spytałem cichym, złowrogim tonem.

– Czyżbyś nie miał żadnych mrocznych pragnień? Wiesz, w rodzaju tych, które pierzchają wraz ze świtem, o których nie wypadałoby powiedzieć żadnej porządnej kobiecie? Możesz je zrealizować ze mną, teraz. Będę twoja na każdych warunkach...

– Na każdych? – upewniłem się, wzmacniając uścisk.

– Tak! – potwierdziła zdecydowanie.

W jej spojrzeniu nie było lęku, jedynie pragnienie. Cóż, komisarz Witte będzie musiał poczekać...



Doktor Wajnert z niecierpliwym sapnięciem założyła ostatni szew i niezbyt delikatnie obandażowała ranę. Szczęście, że dostałem wcześniej miejscowe znieczulenie...

– Wariactwo! – wymamrotała. – Cała moja robota poszła w diabły! W dodatku wygląda pan, jakby tarzał się z wściekłą kotką: wszędzie ślady po zębach i paznokciach! Na litość boską, nie słyszał pan o bezpiecznym seksie?!

Uśmiechnąłem się mimo woli, rzeczywiście, po moim obnażonym torsie widać było, że aktywnie spędzałem czas. Aktywnie i w towarzystwie...

– Mamy wojnę, niebezpieczeństwo czai się za każdym rogim.

Lekkie skrzywienie ust lekarki powiedziało mi, że nie uznała mojego żartu za zabawny. Cóż, mieszkańcy Breslau mieli dosyć wojny, nawet jeżeli bali się o tym mówić. Sen z powiek spędzała im nie tylko bliskość śmierci, ale i strach przed nadciągającą Armią Czerwoną. Okrzyk: *Die Russen kommen!* trwożył najodważniejszych. I nic dziwnego, bo wszyscy wiedzieli, że wraz z Rosjanami

nadchodzi zemsta. Niczym nieograniczona, krwawa, okrutna. Niektórzy Niemcy wierzyli jeszcze w obietnice Hitlera i Wunderwaffe, ale większość obserwowała z rozpaczą koniec swojego świata. Rozumieli, że nawet jeśli przeżyją, nic już nie będzie takie samo. I mieli rację: teraz to ich dzieci będą głodowały, domy zostaną zamienione w burdele, a kobiety staną się wspólną własnością. A jeśli ktoś ośmieli się zaprotestować, zginie z ręki bezkarnego żołdactwa. Więc nie będą protestować, nie będą o nic pytać, patrząc na wracające w podartych ubraniach żony i córki, nie zainteresują się, skąd nagle w domu pojawiła się rosyjska konserwa czy bochenek chleba. Staną się mistrzami samoobłudy. Ale prawda o tym, co przyjdzie im przeżyć, zostanie na zawsze w ich duszach, w żrących jak kwas myślach. Do końca, do ostatniego dnia...

– To wszystko – stwierdziła sucho doktor Wajnert, wrywając mnie z zamyślenia.

Podziękowałem, pospiesznie zakładając mundur. Lepiej, żeby Witte nie wiedział, dlaczego puściły mi szwy: kiedy przyjechałem do szpitala, komisarz był wyraźnie wściekły, ale kiedy zobaczył krwawą plamę na rękawie, jego złość natychmiast zamieniła się w zatroskanie. Jak się wydawało, autentyczne zatroskanie. Nie, nie miałem złudzeń! Moja kondycja mogła martwić policjanta tylko z jednego powodu: czegoś ode mnie potrzebował...

– Mogłaby pani zawołać komisarza? – spytałem, dopinając guziki.

– Oczywiście.

– I proszę nigdzie nie odchodzić! – uprzedziłem. – Musimy z panią porozmawiać.

– Nie wiem, czy gabinet zabiegowy to najodpowiedniejsze miejsce – mruknęła, otwierając drzwi.

– Będzie musiał wystarczyć – uciałem.

– Jak pańskie ramie? – zatroszczył się Witte.

– Nic mi nie jest. Trzeba było ponownie założyć kilka szwów, to się czasem zdarza.

Doktor Wajnert wyglądała, jakby miała zamiar uzupełnić moją wypowiedź, ale ledwie dostrzegalnym gestem pokręciłem głową. O dziwo, usłuchała.

– Ma pan to? – zwróciłem się do policjanta.

Witte przytaknął, rzucając na stół pokazny plik dokumentów.

– Co to jest? – zmarszczyła brwi lekarka. – I do czego jestem panom potrzebna?

– Zna pani doktor Mentzel? Znała ją pani? – poprawiłem się szybko.

– Owszem, jak i wszyscy w naszym szpitalu – odparła ostrożnie. – Dlaczego pan pyta?

– Ona nie zginęła w bombardowaniu, zamordowano ją – wyjaśniłem zwięźle. – Podejrzewamy, że sprzedawała leki na czarnym rynku.

Doktor Wajnert pobladła, widać było, że nie udaje zaskoczenia, ale i nie zaprotestowała przeciwko oskarżeniu koleżanki o kradzież medykamentów. Czyżby coś wiedziała? Witte musiał dojść do podobnego wniosku, bo jego rysy zastygły

w zimnym, nieprzyjaznym grymasie, już nie przypominał jamnika, raczej ogara na tropie.

– To poważne przestępstwo, na mocy prawa wojennego zagrożone śmiercią – oznajmił z naciskiem. – Jeśli okaże się, że ktoś z personelu orientował się w sytuacji i nikogo nie powiadomił... – zawiesił wymownie głos.

Lekarka poderwała się z miejsca, stając oko w oko z niewysokim komisarzem.

– Mam się czuć podejrzana?! – warknęła.

Mimo oczywistego wzburzenia w jej głosie pojawiła się podskórna nuta: strach. Być może zdawała sobie sprawę, że Witte postanowił odegrać rolę złego policjanta, ale przecież nie kłamał: za przywłaszczenie mienia mającego znaczenie dla obronności państwa szło się pod mur. A sądy doraźne nie bawiły się w subtelności. Było ironią losu, że powołane dla celów eksterminacji „podludzi”, teraz zbierały krwawe żniwo wśród obywateli Rzeszy...

– A jak pani uważa?

– Może porozmawiamy spokojnie? – zaproponowałem.

– Mam się tłumaczyć za kobietę, którą ledwo znałam?!

– Obowiązkiem każdego obywatela jest...

– Cisza! – krzyknąłem. – Dość tego! Nie jest pani o nic oskarżona – zwróciłem się do Luizy Wajnert – ale sprawa istotnie jest poważna. Komisarz ma obowiązek zameldować o przestępstwie przełożonym, a wówczas zajmie się tym *Standgericht*. Jak działają tego typu instytucje, świetnie pani wie. Wszyscy wiemy...

– Majorze! – zaprotestował Witte.

– Istnieje tylko jeden sposób uniknięcia naprawdę sporych nieprzyjemności – kontynuowałem, nie zwracając uwagi na policjanta.

– A mianowicie? – uniosła brwi lekarka.

– Wyjaśnić sprawę na poczekaniu.

– Nic nie wiem na temat interesów Emilii Mentzel!

– Rozumiem, ale może nam pani przecież pomóc.

– Powiedziałam już...

Powstrzymałem ją gwałtownym gestem. Umilkła.

– Mentzel musiała mieć współnika lub współników. Bo przecież z tych medykamentów trzeba się rozliczyć. Gdyby to pani zabrała z magazynu lekarstwa, jutro, a najdalej pojutrze do pani drzwi pukałaby policja. A tymczasem Mentzel działała przez dłuższy czas i na trop tej całej afery wpadliśmy przypadkiem.

– Można spytać, w jaki sposób?

– Przeszukaliśmy mieszkanie Mentzel i znaleźliśmy tam wiele przedmiotów, na które nie byłoby stać przeciętnej lekarki – włączył się komisarz. – Ponieważ pani koleżanka nie miała bogatych krewnych, wniosek sam się narzucał...

– Pan też tak uważa, majorze? – spytała doktor Wajnert, ostentacyjnie ignorując

policjanta.

Skinąłem potakująco głową.

– Proszę mi wierzyć, to nie były prezenty od kochanka. No i ktoś ją zabił... Jeżeli nie zlikwidujemy tego biznesu, trupów może być więcej.

– Naprawdę nie wiem, jak mogłabym pomóc – odparła niepewnie lekarka. – W szpitalu nikt jej nie lubił i rzeczywiście dawało się zauważyć, że jest nieco zbyt dobrze ubrana, jak na swoje zarobki, ale to samo można powiedzieć o wielu innych osobach...

Pewnie! Wystarczyło, że mąż czy inny krewny przywiózł z frontu albo i obozu koncentracyjnego kilka kilogramów biżuterii zrabowanej Żydom, Rosjanom czy Polakom. Fakt, że nie cała zdobycz trafia do skarbcza Trzeciej Rzeszy, nie stanowił nijakiej tajemnicy.

– Dokumenty – powiedziałem. – Może pani sprawdzić dokumentację prowadzoną przez Mentzel. Ani ja, ani komisarz zupełnie się na tym nie znamy.

Rysy lekarki wyostrzyły się na moment, gdybym mrugnął lub odwrócił głowę, niczego bym nie zauważył. Niby nic wielkiego – ot, lekkie napięcie mięśni, mimowolne drgnienie warg. Tak jakby przez jej twarz przesunął się cień. Początkowo pomyślałem, że to naturalna w tej sytuacji złość – chcieliśmy ją obciążyć dodatkową robotą – dopiero po chwili dotarło do mnie prawdziwe znaczenie przelotnego grymasu: strach. Doktor Wajnert się bała. Nie, nie chodziło o sąd doraźny! To było coś zdecydowanie bardziej konkretnego, wręcz osobistego.

Pomyślmy... Witte wystraszył ją, przypominając o karach groźących za kradzież leków, ale dość szybko się opanowała i później nie ustąpiła mu nawet o krok. Wzdrygnęła się, dopiero kiedy wspomniałem o dokumentacji prowadzonej przez Mentzel. Tylko o co tu może chodzić? Przecież wiedziała, że po Mentzel zostały jakieś papiery. Poczula się winna? Bzdura! Gdyby miała coś wspólnego z machlojkami swojej koleżanki, wyczułbym to od razu. Kiedy dowiedziała się, że tamta handlowała lekami, wkurzyła się, a nie przestraszyła. To coś innego...

– Da pani radę do jutra? – upewnił się policjant.

– W żadnym wypadku! Zajmie mi to przynajmniej dwa, albo i trzy dni – odparła, starannie omijając go wzrokiem.

Cóż, widać było, że *Kriminalkommissar* Witte nie ma najlepszych notowań u doktor Wajnert...

– To niech się pani postara! – odburknął.

– Nie podlegam pańskim rozkazom!

– Przestańcie zachowywać się jak dzieci! – poprosiłem. – Jesteśmy po tej samej stronie. Nikomu z nas nie zależy na dodatkowych problemach.

– Przepraszam – powiedział niespodziewanie Witte. – Nie chciałem pani urazić. Po prostu ta sprawa... – Zaciśnął zęby. – Nie mogę o tym mówić, ale niech mi pani

wierzy: im szybciej wyjaśnimy udział Mentzel w tej aferze, tym lepiej.

Z trudem zachowałem obojętny wyraz twarzy: komisarz nie grał roli złego policjanta, naprawdę był wściekły. Coś musiało się wydarzyć, coś niedobrego...

– Musimy z majorem jechać do kostnicy – kontynuował. – Poczekam na korytarzu – dodał, zwracając się do mnie.

– Co z tą kostnicą? Znowu kogoś zabili? – spytała niespokojnie lekarka.

– Nie mam pojęcia – odparłem, wzruszając ramionami. – A jak się dowiem, to pewnie nie będę mógł rozmawiać na ten temat. Przejrzyj pani te papiery?

– Skoro tak ładnie prosicie...

– On nie jest taki zły. Gdyby chciał, już dawno zameldowałby o podejrzeniu kradzieży leków. Tylko że ta kwestia to zaledwie odprysk innej paskudnej sprawy. Stąd kiepski humor komisarza – wyjaśniłem.

– No dobrze, zrobię, co będę mogła.

Podziękowałem lekarce skinieniem głowy i poszedłem szukać policjanta. Pewnie niedługo dowiem się, co go tak rozwścieczyło. Żeby mi tylko oko nie zbiełało...



Ku mojemu zdumieniu Witte zaprowadził mnie do sali, gdzie spoczywały oglądane już przez nas wcześniej zwłoki trzech kobiet. Obok leżało jeszcze jedno ciało, tyle że przykryte białą płachtą. Pewnie nieodżałowanej pamięci Mentzel...

– Sprawa nie jest taka prosta, jak się panu wydawało – oznajmił, widząc mój pytający wzrok.

Uniosłem brwi: znaczy pan komisarz zauważył coś, na co nie zwrócił uwagi major Roth. Być może, nikt nie jest nieomylny. Tylko dlaczego w głosie policjanta nie słychać żadnej satysfakcji? Bo nietrudno się domyślić, że miał być to rewanż za niezbyt ciepłe powitanie, jakie zgotowałem mu przy naszym pierwszym spotkaniu: pewnie szyja boli go do tej pory...

– A konkretnie?

– Niech pan jeszcze raz obejrzy rany – zaproponował zmęczonym głosem.

Pochyliłem się nad odkrytymi ciałami, posłusznie badając kształt i usytuowanie sinych teraz śladów po ostrzu. Nie zauważyłem niczego niezwykłego, chociaż... Tak, szerokość ran była chyba nieco większa, niż powinna. Być może komuś zakleszczył się nóż i wyciągając... Nie! Wszystkie były zbyt szerokie, jak na zwykły nóż czy bagnet! Cholera! Jak mogłem tego od razu nie zauważyć?!

– Co to była za broń? – spytałem.

– Saks.

– Co takiego?!

– To rodzaj noża używanego przez dawnych Germanów – poinformował mnie sucho Witte. – Od początku wiedziałem, że to nie wojskowe ostrze, ale nie przypuszczałem, że to się tak szybko... – urwał, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Rozumiem, że zdarzyło się coś, co popsuło panu przyjemność z demonstrowania mi przewagi intelektualnej?

– O tak – powiedział z goryczą. – Ale podejrzewam, że i panu nie będzie do śmiechu, obaj siedzimy w tym po uszy...

Podszedł do okrytego ciała i jednym ruchem zerwał z niego płachtę. Pod płótnem znajdował się trup mężczyzny w średnim wieku. Co dziwne, ułożono go na brzuchu. Na plecach nieboszczyka widać było nieduże skrzydła...

Zamrugalem z niedowierzaniem, podszedłem bliżej i poczułem, jak usta układają mi się do bezgłośnego gwizdnięcia: ktoś przeciął nieszczęśnikowi żebra po obu stronach kręgosłupa, wyłamał je i przez powstałe otwory wyciągnął na wierzch płuca. Na przedramionach i nogach, tuż powyżej kostek, widać było ślady po więzach. No, to akurat nic dziwnego, zapewne operację przeprowadzono bez znieczulenia...

– Co pan o tym myśli, majorze?

– Ten, kto to zrobił, był szalony jak szczur w zamkniętym sraczu... Co to ma, kurwa, być?! Jakiś rytuał?

– A jakże! Starogermański. To ofiara dla boga Odyna, a zarazem skandynawski rytuał zemsty. Można sobie wybrać, co kto woli.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że obaj jesteśmy w to...

– ...zamieszani? – poddał ochoczo. – Już tłumaczę. Od dłuższego czasu po mieście krążą plotki o jakiejś tajnej organizacji skupiającej esesmanów. Czort wie co to jest: ni to sekta, ni to bractwo, a może coś w rodzaju pogańskiego kultu? Jedna rzecz nie ulega wątpliwości: są w to zamieszane jakieś kobiety. Stąd moje, i nie tylko moje, zaniepokojenie, kiedy znaleziono martwą Mentzel, a przy jej trupie guzik od munduru SS. No, sprawa jest wyjaśniona, czy też niemal wyjaśniona... Prawdopodobnie miał pan rację: Mentzel zamordował współnik, względnie jakiś zboczeniec, a guzik to albo przypadek, albo próba skierowania śledztwa na fałszywy trop. Lada dzień powinniśmy ostatecznie zamknąć sprawę. Inna rzecz z tymi trzema... Początkowo ich śmierć nie budziła specjalnych emocji: ot, ofiary kolejnego gwałciciela. Ze względu na całe to zamieszanie namnożyło się tu wszelkich kanałii... A braki kadrowe nie pozwalają nam się zająć wszystkim jak należy: połowa moich ludzi albo zginęła, albo walczy na froncie. Mniejsza z tym! – Machnął ręką. – Później namieszała ta Mentzel, stąd panika w dowództwie. Gdyby okazało się, że to dzieło naszych dzielnych chłopców z SS, trzeba by błyskawicznie i niekoniecznie oficjalnie załatwić ten problem, dlatego zwrócono się do pana.

Przytaknąłem powoli, wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje: miałem ustalić

winnych i dopilnować, żeby zniknęli. Zniknęli definitywnie i bez śladu. Dowództwo chciało uniknąć drażnienia mieszkańców Breslau. Za wszelką cenę. Wśród cywilów i tak szerzyło się niezadowolenie, wysiedlani z przeznaczonych do wyburzenia domów ludzie nie kryli niechęci wobec decyzji komendanta Breslau, sprzeciw budziło też niszczenie zabytków i bezlitosne egzekwowanie obowiązku obrony miasta. Gdyby rozeszła się wieść, że esesmani gwałcą i mordują młode kobiety, kto wie czy nie wybuchłyby zamieszki.

– Wiedziałem, że zabójstw dokonano za pomocą nietypowej broni – podjął Witte. – Oczywiście z wyjątkiem Mentzel. Ją zamordowano czymś w rodzaju lancetu. Kiedy doszedł pan do wniosku, że baba handlowała kradzionymi lekami, przyjąłem tę hipotezę i uspokoiłem się. Na cały dzień... Dziś rano znaleziono tego tutaj. I znowu w robocie był saks, tak jak w przypadku trzech poprzednich zabójstw.

– No dobrze – wtrąciłem. – A jak to się wiąże z SS? Może jakiś wariat...

Witte bez słowa podniósł rękę nieboszczyka: na ramieniu widniała wytatuowana grupa krwi.

– To esesman?

– Esesman – potwierdził komisarz. – Niejaki Egon Falke. *Unterscharführer* Egon Falke...

No tak, teraz wszystko jasne: rytualny mord na esesmanie i zabójstwa trzech kobiet – to wszystko dokonane za pomocą tego samego typu dawnej broni. Do tego pogłoski o tajemniczej organizacji wśród naszych czystych rasowo wojowników i gwałty... Czyżby też rytualne? Nic dziwnego, że Witte się denerwuje. Tylko co mi do tego? W końcu poproszono mnie jedynie o konsultację. Parę dni i wrócę do swojego oddziału. Ba! Trudno mi nawet zarzucić, że nic nie zrobiłem, bo przecież praktycznie rozwiązałem sprawę Mentzel. A tym, że istnieją tropy wiodące do SS, niech się martwią inni.

– Biorę udział w śledztwie jedynie chwilowo, za kilka dni muszę wrócić do swoich obowiązków.

– Obawiam się, że nie – odparł z lekkim zakłopotaniem Witte. – I to częściowo z mojej winy...

– Mógłby pan to wyjaśnić?

– Musiałem zameldować o nowym morderstwie, sam pan rozumie: zabito esesmana, przy czym niepokój budzi też sposób, w jaki tego dokonano, no i powiązania z wcześniejszymi zbrodniami. Mamy sytuację kryzysową. Informację przekazano do Berlina, a tam postanowiono, że dla celów wyjaśnienia sprawy zostanie powołana specjalna grupa śledcza pod nadzorem kogoś stamtąd. – Komisarz wykonał nieokreślony gest.

– Jak to pod nadzorem?

– Za kilka godzin ma do nas przylecieć niejaki pułkownik Krebs.

– To policjant?

– Nie. Podobno służył wcześniej w Abwehrze...

– A obecnie?

– Czort wie. W zamieszaniu, jakie obecnie panuje, trudno o jakiegokolwiek precyzyjne informacje. A i łączność działa tyle o ile... Wreszcie nie mam upoważnienia, żeby go sprawdzać. Ważne jest co innego: Berlin uznał, że należy jak najszybciej wyjaśnić, kto i dlaczego dokonuje tych morderstw. I oczywiście powstrzymać sprawcę lub sprawców, aby nie doprowadzić do spadku morale wśród cywilów. W związku z tym, że Breslau ma być ważnym elementem przyszłej kontrofensywy, uznano to za kwestię priorytetową.

– Dalej nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną?

– Musiałem złożyć meldunek o naszych dotychczasowych działaniach, bo na razie to ja oficjalnie kieruję śledztwem. No i powiedziałem też kilka słów na pański temat. W efekcie Berlin zdecydował, że wejdzie pan w skład grupy dochodzeniowej...

Zacisnąłem zęby: tego mi jeszcze brakowało! Jeśli okaże się, że mój „kolega” z Abwehry pracował w sekcji wschodniej, tam, gdzie zgodnie z opracowaną przez *razwiedku* legendą miał działać i major Roth, nic mnie nie uratuje. Dostanę przydział nie do ekipy śledczej, ale plutonu egzekucyjnego... A wszystko to przez tego kurdupla o wyglądzie jamnika!

Moje myśli musiały odbić się na twarzy, bo Witte postąpił krok w tył.

– Naprawdę nie mogłem pominąć pańskiego udziału w dochodzeniu! – zapewnił pospiesznie. – Przecież nie wypadało, żebym przypisał sobie cudze zasługi!

Zmełłem w ustach przekleństwo, ale rozluźniłem napięte mięśnie: nie było sensu robić awantury, policjant zrobił to, co wydawało mu się słuszne. Misja na tyłach wroga to nie poobiedni spacer i trzeba brać pod uwagę, że zagrożenie może pojawić się w każdej chwili. Znikąd. Cóż, jeśli pułkownik Krebs okaże się zbyt dociekliwy, trzeba będzie go jakoś zniechęcić do wtykania nosa w moje sprawy. W końcu tropimy grupę niebezpiecznych przestępców i niejedno może się zdarzyć...

– No dobrze – burknąłem. – Niech tam... Co zrobimy? Bo rozumiem, że zastanawiał się pan już nad naszym następnym krokiem?

– Myślę, że razem damy sobie radę – powiedział z ulgą w głosie policjant. – Niestety, nie bardzo mogę liczyć na moich ludzi, bo ci najlepsi zostali dawno powołani do wojska, a pozostali tacy jak ten, który przeszukiwał mieszkanie Mentzel. Co zrobimy? Poczekamy na wiadomości od doktor Wajnert, a później...

– Miałem na myśli te rytualne zabójstwa – przerwałem niecierpliwie. – Bo założę się, że będzie to pierwsze, o co zapyta pułkownik Krebs.

– Niestety, z tym jest problem – odparł Witte. – Bo zgodzi się pan chyba, że naszym priorytetem jest ślad wiodący do SS?

Bez słowa skinąłem głową.

– Jak można się domyślić, nie da rady ustalić alibi wszystkich esesmanów, nie teraz, nie w tym zamieszaniu. A i do sprawdzenia mielibyśmy niełichą gromadkę: pułk SS Besslein, pułk majora Schulza, nie licząc pojedynczych osób w innych jednostkach. Biorąc pod uwagę, ilu mam ludzi, potrwałoby to przynajmniej miesiąc, a wyniki byłyby niekompletne.

– Co z SD?

– Sprawdziłem wszystkich pracowników *Sicherheitsdienst*, to nie oni – odparł bez chwili wahania komisarz. – Z rozpędu skontrolowałem nawet funkcjonariuszy Gestapo...

– Jest pan pewien?

– Bez najmniejszych wątpliwości, nie jest ich wielu i wszyscy mają alibi na czas tych morderstw.

– Co teraz?

– Istnieje jeszcze jedna opcja: Otto von Dallewitz.

– Kto?

– Hrabia von Dallewitz. Ma pod sześćdziesiątkę i swego czasu był związany z miejscową lożą masońską oraz kilkoma organizacjami o profilu okultystycznym. Do tego jest wybitnym naukowcem, specjalistą w zakresie alchemii, magii i wszelkiego typu kultów. Jeżeli na terenie Breslau działa jakaś sekta czy tajne stowarzyszenie, von Dallewitz o tym wie. Problem w tym, że trudno nawiązać z nim kontakt: w swojej willi przyjmuje tylko wybranych.

– Ale policja...

– Niestety – rozłożył ręce Witte. – Ledwo uzyskałem pozwolenie na rozmowę z panem hrabią. Rozmowę – zaznaczył. – Nie przesłuchanie.

– I co?

– *Graf* von Dallewitz pokazał mi drzwi.

– Naprawdę nie da rady się z nim dogadać? Albo go przycisnąć?

– Przy jego koneksjach? Wykluczone! Z Berlina przyszła szyfrówka w tej sprawie. Kazano nam dać mu spokój. Jednak możliwe, że pan by go przekonał.

Spojrzałem na policjanta jak na wariata: przed chwilą pierwszy raz w życiu usłyszałem nazwisko von Dallewitz. Mogłem się założyć, że hrabia nigdy nie słyszał mojego. Wreszcie major Roth nie był nawet szlachcicem, tylko synem drobnego kupca z Pomorza. Gdzie mu tam do arystokracji!

– A to jakim cudem?!

– Myślę, że von Dallewitz zgodziłby się z panem porozmawiać, gdyby przedstawiła mu pana *Frau* Inga. Jej ojciec przyjaźnił się z nim za młodu.

No proszę, jamnik nie jamnik, a jednak zna się na swojej robocie. Raz-dwa dowiedział się o mojej sąsiadce. I o tym, co mnie z nią łączy...

– Mogę zapytać. – Wzruszyłem ramionami.

– Świetnie! – ucieszył się Witte. – Ja tymczasem pogonię naszego medyka, może sekcja zwłok powie nam coś o sprawcach.



Zapach, jaki poczułem w mieszkaniu Ingi, świadczył, że obiad jest niemal gotowy. Jak zwykle o tej porze, można by się przyzwyczaić... Podejrzewałem, że dobra, jakie podarowałem mojej sąsiadce, pozwoliły jej na mały handel wymienny z korzyścią dla wszystkich stołowników: jakość posiłków zdecydowanie się poprawiła, odkąd *Frau von Bredow* mogła dysponować czekoladą, kawą czy dodatkowymi konserwami. Cóż, nic dziwnego, w obłożonym Breslau były to prawdziwe przeboje czarnego rynku.

Westchnąłem, słysząc przez zamknięte drzwi podniesiony, piskliwy głos Klaudii. A już miałem nadzieję na spokojne popołudnie...

Inga siedziała przy łóżku córki, usiłując uspokoić małą. Bez skutku. Klaudia płakała rozpaczliwie, popatrując ze strachem na szykującą strzykawkę doktor Wajnert.

– Dobrze, że pan przyszedł – powiedziała z ulgą lekarka. – Trzeba przytrzymać dziecko.

– Nie chcę zastrzyków! – krzyknęła Klaudia.

– Umrzesz bez tego – stwierdziłem szorstko.

– To umrę! Pójdę do nieba i zostanę aniołkiem!

– Akurat! Zaśniesz i nie obudzisz się więcej, a my zezjemy twoją czekoladę – przedstawiłem jej inną, dużo bardziej materialistyczną wizję.

– Nieprawda!

– Prawda! Zmarli nie jedzą słodczy!

– Ani trochę? – spytała z niedowierzaniem Klaudia.

– Nie są im do niczego potrzebne – zapewniłem. – Jeść mogą tylko żywi.

– Boję się igły. Jest taka duża.

– Nie ma się czego... – zaczęła Inga.

Uciszyłem ją, kładąc palec na ustach.

– Ja też bym się bał – przyznałem.

– Będzie bolało?

– Będzie – potwierdziłem. – Ale tylko przez chwilę.

– No to mnie trzymaj – zezwoliła dziewczynka, wydymając wargi.

Usiadłem niechętnie na łóżku: zabawa w tatusia małej Klaudii von Bredow niespecjalnie mi się podobała. Zacisnąłem usta, czując pod dłonią szaleńczo bijące serce dziecka. To tylko mała Szwabka, pomyślałem. Rozpaskudzona i wredna, przedstawicielka rasy nadludzi. Gdyby miała parę lat więcej, pewnie rzucałaby

kamieniami w przewożonych w bydłych wagonach więźniów. Jak inne niemieckie dzieciaki.

– Już – oświadczyła doktor Wajnert. – Byłaś bardzo dzielna – pochwaliła małą.

– Nie płakała – oświadczyła ze zdumieniem Inga.

– Chcę czekolady!

– Aleks?

– Jeden mały kawałek – zdecydowałem.

– Wiem, że ma pan i inne obowiązki, ale dobrze by było, gdyby był pan obecny w czasie kolejnego zabiegu – powiedziała doktor Wajnert. – Został już tylko jeden zastrzyk.

– Postaram się, ale niczego nie obiecuję – mruknąłem. – A co do tych innych obowiązków...

– Jutro, tak jak się umówiliśmy – przerwała mi pospiesznie lekarka. – Jeszcze nie skończyłam przeglądać dokumentów.

– Dobrze, niech będzie jutro.

Leżąca do tej pory na moich kolanach Klaudia zerwała się nagle, widząc wracającą matkę. Spojrzałem spod oka na Inge, ta – wbrew mojej prośbie – przyniosła całkiem spory kawałek czekolady. Zabrałem go, zanim zorientowała się, co robię, i wrzuciłem do ust, zostawiając Klaudii jedną kostkę. Spodziewałem się kolejnego ataku hysterii, ale ku mojemu zdziwieniu dziewczynka tylko zachichotała.

– Łakomczuch! – stwierdziła.

– No, ty coś o tym wiesz – burknąłem, szczypiąc ją niezbyt delikatnie w pupę.

Zapisała radośnie, chowając się za matkę.

– Widać, że wraca do zdrowia – zauważyła doktor Wajnert.

Lekarka spakowała torbę i pożegnała się pospiesznie, jakby obawiała się, że będę naciskał w sprawie dokumentów. W jej oczach ponownie ujrzałem obawę. Czyżby coś odkryła? Tylko co takiego? Nie wierzyłem, że jest zamieszana w sprawę kradzieży leków. No nic, zobaczymy, co powie jutro, to ostateczny termin, na dłuższą zwłokę nie zgodzę się ani ja, ani komisarz.

– Obiad będzie za kwadrans – poinformowała oschłym tonem Inga.

Uniosłem brwi: czyżbym znowu zrobił coś nie tak? Moja sąsiadka była wyraźnie nie w humorze.

– Może zjem w kantynie? – zasugerowałem chłodno.

– Nie, to tylko... – Machnęła bezradnie ręką.

– Co takiego?

– Żółć mi się uląła – wymamrotała niechętnie. – Nie zwracaj uwagi.

– Mogę nie zwracać, ale nie lepiej to wyjaśnić?

– Klaudia – odparła, spoglądając na mnie gniewnie. – Gdybym ja zjadła jej czekoladę, kwiczałaby przez tydzień. Kiedy ty to zrobiłeś, uznała to za świetny

dowcip... I nie waż się robić min!

- Jakich, do licha, min?
- Patrzysz na mnie jak nauczyciel na niegrzeczną uczennicę. Albo niezbyt bystrą...
- Jak chcesz, to zamknę oczy – zaproponowałem uprzejmie.
- Inga pogroziła mi pięścią, ale widać było, że złość jej mija.
- Pobaw się ze mną – zażądała Klaudia, ciągnąc mnie za rękę.
- Jak?
- *Ine, mine, mei, Zucker in den Brei* – zanuciła.
- I co?
- Śpiewaj razem ze mną!
- Nie potrafię.
- Nie znasz tego? – zdziwiła się Inga.
- Najwyraźniej. To jakaś dziewczynska wyliczanka, a ja nie byłem nigdy małą dziewczynką – oświadczyłem z godnością.
- *Butter in den Kuchen, du musst suchen* – dokończyła *Frau von Bredow*. – A teraz oboje do stołu – poleciała.
- Horst nie będzie z nami jadł?
- Nie, uprzedził, że zostanie w koszarach. Widać spodobało mu się żołnierskie życie – dodała z lekką ironią.
- Co to znaczy „żołnierskie życie”? – spytała z ciekawością Klaudia.
- To znaczy, że twój brat pali papierosy i pije wódkę i nikt za to na niego nie krzyczy tak jak w domu – wyjaśniłem zwięźle.
- Aleks!
- Nie martw się – mruknąłem. – Nic mu nie będzie. Tu robił to samo, tylko po kryjomu. A w koszarach nikt nie pozwoli mu się upić, bo wiedzą, że wywróciłbym ich na lewą stronę.
- Jeszcze o tym porozmawiamy – obiecała złowieszczco. – A teraz idźcie myć ręce!



Po raz ostatni zaciągnąłem się papierosem i cisnąłem niedopałek do kosza, zgasiwszy go uprzednio o podeszwę buta. Nie żebym był fanatykiem porządku, ale tego się po mnie spodziewano, niemieccy oficerowie nie wyrzucali śmieci gdzie bądź. Poprawiłem kołnierz płaszczka, temperatura oscylowała wokół zera; *Frau von Bredow* nie życzyła sobie, żebym palił przy dziecku. O tym, żeby wrócić do swojego mieszkania, nawet nie pomyślałem.

Trzasnęły drzwi i na podwórko wyszła dziewczyna w uniformie BDM. O ile

pamiętałem, Związek Niemieckich Dziewcząt skupiał panienki do siedemnastu lat, a ta wyglądała na wyjątkowo... dojrzałą. Narzucony na ramiona płaszcz nie ukrywał okazałych, rozpierających regulaminową bluzeczkę piersi ani kobiecych kształtów. W dodatku dziewczyna obdarzyła mnie wyraźnie prowokacyjnym uśmiechem. Ki czort? Kilkakrotnie widziałem ją na klatce schodowej, musiała mieszkać w mojej kamienicy.

– Ma pan ogień, majorze? – spytała niskim, ochrypłym głosem.

Bez słowa podsunąłem jej zapalniczkę.

– Nasza przyszłość jest zagrożona – poinformowała, przypalając papierosa. – Co pan sądzi o czystości rasy?

– Jestem za – odparłem ostrożnie.

Zauważyłem, że dziewczyna ma niezłe w czubie: chwiała się lekko, a w jej oddechu można było wyczuć zapach alkoholu.

– Będą gwałcić, przekłete zwierzęta...

– Kto?!

– Bolszewicy. Kiedy zdobędą miasto, rzucą się na kobiety i dziewczęta, takie jak ja. Jest tylko jeden sposób, żeby zapobiec skutkom tej hańby: wcześniej zajść w ciążę. Nie będę nosić bolszewickiego bękarta! Niech mnie pan zapłodni, majorze! Chcę urodzić niemieckie dziecko.

Przyjrzałem jej się uważniej. Z pewnością nie była najtrzeźwiejszą osobą w okolicy, ale nie wyglądała na aż tak pijaną, żeby nie wiedzieć, co robi. Inna rzecz, że miała chyba nie po kolei w głowie. Też sobie wybrała inseminatora! Jakby nie mogła znaleźć jakiegoś esesmana, z tym ich programem Lebensbornu. Gdyby poprosiła, pewnie któryś zrobiłby jej tę uprzejmość. Choć daleko jej było do urody i klasy mojej sąsiadki, miała pod dostatkiem walorów... pozaintelektualnych.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, znienacka pojawiła się Inga. Jej mina świadczyła o tym, że słyszała każde słowo. No tak, kuchenne okno wychodziło na podwórze, wystarczyło, że je uchyliła...

Cofnąłem się, na wypadek gdyby doszło do rękoczynów pomiędzy obiema czystymi rasowo konkurentkami o moje względy, ale dziewczyna miała inne plany: zerknęła tylko w płonące lodowatą furią oczy Ingi i natychmiast uciekła. Mądra decyzja! Hrabianka von Bredow nie wyglądała na skłoną do negocjacji. Ktoś tu chyba traktował mnie jak swoją własność...

– Bezczelna gówniara!

– Kim jest ta dziewczucha? – spytałem ubawiony.

– To Amelia Fichte – wycedziła Inga przez zaciśnięte zęby. – Mieszka z babcią na drugim piętrze. Dawno skończyła siedemnaście lat, ale nadal łązi w ciuchach BDM.

– Ona tak zawsze czy tylko teraz, w związku z obłądzeniem?

– A czort ją wie! Przecież jej nie śledzę. Ale słyszałam, że ta opcja z zapłodnieniem jest ostatnio dość popularna. Ludzie wariują – dodała ciszej. – Podobno niektóre

kobiety popełniają samobójstwo jeszcze przed wkroczeniem Rosjan, inne wcześniej zabijają własne dzieci...

– Idiotyzm – mruknąłem niechętnie. – Nie słyszałem, żeby bolszewicy mścili się na dzieciach.

– Jesteś pewien?

Przytaknąłem. Nasi nie patyczkowali się ze Szwabami, a niemieckie kobiety traktowali jak wspólną własność, ale dzieci nikt nie krzywdził. No a przynajmniej nie bezpośrednio, bo pewnie obserwacja zabaw, jakim oddawali się krasnoarmiejcy, nie należała do przyjemności... Słyszałem, że gdzieś na Pomorzu pijany sierżant próbował zaciągnąć w ruiny dziesięciolatkę. Zarobił kulkę od własnych kumpli.

– Wracajmy – zaproponowałem. – Lepiej nie zostawiać Klaudii samej, musimy też porozmawiać.

– To coś ważnego?

– Potrzebuję twojej pomocy, żeby pogadać z pewnym człowiekiem.

– Mojej pomocy? Spodziewasz się, że ktoś może odmówić spotkania z oficerem do specjalnych poruczeń komendanta Breslau? – odparła zdziwiona.

– Owszem. Von Dallewitz – rzuciłem ponuro. – Niedawno posłał w diabły komisarza Wittego. Problem w tym, że prowadzimy wspólnie ważne śledztwo, a lada moment dowództwo zażąda od nas wyników...

– Hrabia Dallewitz – mruknęła. – Tak, to do niego podobne. Oczywiście zrobię, co będę mogła, ale raczej nie licz na wiele.

– Dlaczego? – spytałem zaciekawiony, przepuszczając ją w drzwiach.

Z sąsiedniego pokoju dochodził śpiew Klaudii, mała nawet nie zauważyła, że matka wyszła na moment.

– To dość szczególny człowiek. Mój ojciec się z nim przyjaźni, ale mimo to...

– Tak?

– Ma fiksację na punkcie swojego pochodzenia, kontakty utrzymuje zasadniczo tylko z ludźmi z własnej sfery. Jak rozumiem, nie jesteś raczej arystokratą?

– Niestety nie – odpowiedziałem, sadzając ją sobie bezceremonialnie na kolanach.

– Muszę się przyznać, jaśnie pani, że pochodzę z mieszczaństwa. Mój ojciec był kupcem – dodałem, gryząc ją lekko w ucho.

Pisnęła przestraszona, ale nie wyglądała na niezadowoloną.

– To może być problem – stwierdziła, przybierając wyniosłą minę. – Von Dallewitz jest siedemnastym hrabią tego nazwiska. Nie zadaje się z plebsem.

– Ja ci pokażę plebs!

– Pokaż – jęknęła. – Z największą niechęcią muszę też poruszyć sprawę honorarium...

– Jakiego, do licha, honorarium?!

– Cóż, Dallewitz nigdy nie był dobrodusznym staruszkiem, wizyta u niego może

okazać się nieprzyjemna. Musisz mi to jakoś wynagrodzić.

– Co proponujesz?

Inga zbliżyła usta do mojego ucha i wysunęła kilka sugestii dotyczących tego, co moglibyśmy robić, kiedy zostaniemy sami.

– Bądź poważna – zaprotestowałem bez przekonania.

– Jestem bardzo poważna – zapewniła.

– Wracając do jaśnie oświeconego hrabiego...

Skrzypnęły drzwi i Inga odsunęła się ode mnie pospiesznie.

– Przedstawię cię, to wszystko, co mogę zrobić – powiedziała. – Niestety, później będziesz musiał radzić sobie sam: nie mam na niego żadnego wpływu. Von Dallewitz jest obrzydliwym mizoginem, uważa kobiety za istoty niższe. Przyjmie nas, to mogę zagwarantować, ale jeśli go czymś nie zaintrygujesz... – Rozłożyła bezradnie ręce.

Klaudia wyjrzała ostrożnie przez uchylone drzwi, ale nie patrzyła na nas, jej uwagę przyciągnęła – a jakżeby inaczej! – leżąca na stole tabliczka czekolady.

– Ani się waż! – warknąłem groźnie.

Dziewczynka uśmiechnęła się przebiegle i zniknęła w swoim pokoju.

– Może lepiej schować słodycze?

– A jeszcze lepiej dać małej po łapach, gdy je wyciągnie nie po to, co powinna – wysunąłem kontrpropozycję.

– Jestem zwolenniczką nowoczesnych metod wychowawczych – oznajmiła Inga, wydymając usta. – Bez stosowania kar cielesnych. Jakby pan nie wiedział, majorze Roth, to coraz popularniejsza idea.

– Daje się zauważyć – przyznałem. – Dlatego wokół pełno jest rozwydrzonych dzieciaków...

– Aleks!

– Wracając do tematu: czym interesuje się von Dallewitz? To znaczy wiem, że wszelkiego typu mistyką, ale...

– Nie chodzi o mistykę – przerwała mi Inga. – Jego obsesją jest nieśmiertelność.

– Co takiego?!

– No przecież mówię: nieśmiertelność. Magia, alchemia, wszystko, co może doprowadzić do przedłużenia życia i nieśmiertelności.

– On tak na poważnie?

– Jak najbardziej. Interesuje się alchemicznymi traktatami, rytuałami magicznymi, fakiryzmem, wszystkim, co daje choćby cię szansy na spełnienie marzenia o wiecznym życiu. Przy czym chodzi o egzystencję w fizycznym ciele, a nie rajskie bytowanie – podkreśliła.

No, no... Pana hrabiego pociąga nieśmiertelność? Świetnie! Jeśli dobrze rozegram sprawę, to on będzie nalegał na rozmowę ze mną, a nie odwrotnie. Nie przewidywałem też większych problemów odnośnie do śledztwa: dysponowałem

informacjami, które powinny zaciekawić von Dallewitza. Zgodnie z legendą byłem synem kupca, tak więc miałem zamiar zorganizować wszystko na zasadach handlowych: coś za coś.

– Jak z jego wykształceniem? – spytałem.

– Posiada ogromną wiedzę, dlatego mój ojciec się z nim przyjaźni. A raczej przyjaźnił, ostatnio ich kontakty nieco się rozluźniły. Bywało, że zasięgał opinii hrabiego w kwestiach lingwistycznych: von Dallewitz zna kilka języków, w tym tak egzotyczne jak chiński.

Mimo woli złożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia, chiński... Chyba pod moim okienkiem zaświeciło wreszcie słońeczko.

– Dolicz sobie dwadzieścia procent – powiedziałem.

– Jakie dwadzieścia procent?

– Do honorarium. Za informacje, są tego warte.

Figlarny błysk w oku Ingi uświadomił mi, że moja propozycja zostanie potraktowana dosłownie. Bardzo dosłownie. Cóż, działania na tyłach wroga to nie bajka...



Zapukałem ponownie, ale nikt nie poprosił mnie, żebym wszedł. Co, u licha? Toż godzinę temu umówiłem się z lekarką, że ta przyjmie mnie natychmiast po powrocie do szpitala. Droga mogła jej zająć dziesięć, góra piętnaście minut: od kamienicy na Salzstrasse do szpitala było niedaleko. Inni pacjenci? Bzdura! Jej dyżur skończył się o szesnastej.

Zniecierpliwiony nacisnąłem klamkę i oniemiałem: gabinet był pusty. Jasna cholera! Czyżby intuicja mnie zawiodła i Luiza Wajnert brała jednak udział w kradzieży leków? Brawo, Razumowski!

– Co pan tu robi, majorze?

Odwróciłem się z ręką na pistolecie. Przede mną stał niemłody, szpakowaty mężczyzna w białym kitlu. Jego twarz była mi skądś znajoma. Zaraz, zaraz... Francke! Tak, to on uzupełniał moją kartę zdrowia zaraz po przybyciu do Breslau.

– Szukam doktor Wajnert, jestem umówiony na zdjęcie szwów.

– Ja to mogę zrobić – zaproponował. – Luiza chyba już poszła do domu.

– Kiedy ją pan widział?

– Jakiś kwadrans temu na korytarzu. To do niej niepodobne, żeby zapomniała o wizycie pacjenta, ale wszyscy jesteśmy zmęczeni, a ona czasem zostawała po godzinach.

– W co była ubrana?

– Nie rozumiem?

– Miała na sobie płaszcz, tak jakby wychodziła do domu, czy tylko szła korytarzem?

– Chwileczkę, niech pomyślę... Nie, była w fartuchu – odparł ze zdziwieniem. – Nie rozumiem, gdzie się mogła podziać?

– Proszę przypomnieć sobie wszystkie detale – poprosiłem. – To może być ważne. Gdzie się kierowała, czy miała coś w ręku?

– Tak! Niosła zeszyt w szarej oprawie. Wyglądał na jeden z tych, w których prowadzimy dokumentację. Wie pan, zapisujemy, kto jakie leki pobrał z magazynu, nazwiska pacjentów, dawki...

– Jak pan myśli, gdzie mogła iść?

– Chyba na drugie piętro – zasugerował niepewnie.

– Co tam jest?

– Pracownia rentgenowska, magazyny i gabinet dyrektora.

Zanim dokończył zdanie, pędziłem już na górę. Klnąc wściekle, wydobyłem broń. Wajnert, ty głupia babo...

Pierwsze drzwi były zamknięte na klucz, na szczęście otwierały się do wewnątrz, wywaliłem je kopniakiem pod klamkę. Stalowe regały zastawiono lekami, na podłodze piętrzyły się jakieś pudła. Magazyn.

– Co się dzieje, majorze? – usłyszałem za plecami zaniepokojony głos. – Co pan wyrabia?!

Widać Francke pobiegł za mną. A czort z nim! Też sobie wybrał czas na konwersację!

Kolejne drzwi ozdabiała okazała mosiężna tabliczka. Gabinet dyrektora. Ten był otwarty. Padające z korytarza światło wydobyło z mroku biurko i fotel. W pomieszczeniu nikogo nie było. Nie, chwileczkę! Już wychodząc, poczułem słaby metaliczny zapach krwi. Zapaliłem światło, ale nie dostrzegłem niczego nadzwyczajnego: fotel był pusty. Skąd zatem ta woń? Brudne narzędzia chirurgiczne w gabinecie dyrektora? Bzdura! Podeszedłem bliżej i zakląłem ponownie: Wajnert leżała za biurkiem, masywny mebel zasłaniał całkowicie ciało. Nie musiałem wołać lekarza, Francke dyszał mi w kark.

– Proszę się nią zająć! – rozkazałem. – Co jej jest?

– Chwileczkę! – uciszył mnie nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Widać było, że w obliczu realnego zagrożenia lekarz nie wpadł w panikę. Sprawnymi, wyćwiczonymi do perfekcji ruchami sprawdził tętno i obmacał okrwawioną głowę kobiety.

– Żyje – oznajmił lakonicznie. – Ma uszkodzoną czaszkę. Sanitariuszy z noszami, przygotować salę do operacji! – rzucił, nie odwracając głowy.

Wykonałem polecenie, nawet nie zastanawiając się, co robię. Nawyk. W takich sprawach na wojnie rządzą łapiduchy, nieważne, w jakiej armii. Za moment Luiza Wajnert leżała już na stole operacyjnym, a kilka pielęgniarek cięło na niej ubranie. Miałem nadzieję, że przeżyje, jeśli zabierze do grobu tajemnice szpitalnych przekrętów, śledztwo może utknąć w martwym punkcie – dokumenty, które studiowała, zniknęły. Cóż, dobrze, że chociaż zdążyła dać Klaudii ostatni zastrzyk penicyliny...



Spodziewałem się jakiegoś naprędce zmobilizowanego rezerwisty, ale pułkownik Krebs wcale nie sprawiał wrażenia emeryta. Wysoki, szczupły mężczyzna o ostrych, jastrzębich rysach twarzy i oszczędnych ruchach wytrawnego szermierza otoczony był aurą kompetencji. Zadziwiające w tym miejscu i czasie, bo przecież trudno było brać na poważnie jego misję: Breslau ważnym elementem przyszłej kontrofensywy? Koń by się uśmieł... W coś takiego mógł uwierzyć tylko wariat albo fanatyk. Problem w tym, że Krebs nie wyglądał ani na jednego, ani na drugiego.

– Jestem wami rozczarowany, panowie – oznajmił, kiedy zapoznaliśmy go z sytuacją. – Co prawda wątek związany z tą, jak jej tam...

– Mentzel – odpowiedział usłużnie komisarz Witte.

– ...nie łączy się raczej z naszym śledztwem, jednak wypadaloby zamknąć tę sprawę – dokończył.

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność – wymamrotałem. – Powinienem dopilnować bezpieczeństwa doktor Wajnert.

– Powinien pan – przytaknął. – Nie możemy czekać, aż *Frau* Wajnert odzyska przytomność. O ile ją odzyska... Logika wymaga, żeby ostatecznie wyjaśnić wszelkie detale śmierci Mentzel, zanim skoncentrujemy się na poszukiwaniu morderców esesmana i tych trzech kobiet. Musimy ustalić, ustalić w sposób niebudzący najmniejszych wątpliwości, że obie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. A do tego potrzebujemy zabójcy Mentzel.

– Niestety, rokowania nie są pomyślne – poinformowałem. – Doktor Wajnert ma uszkodzoną czaszkę: ktoś uderzył ją w potylicę z ogromną siłą. Po operacji zapadła w śpiączkę. Nawet jeśli przyjdzie do siebie, niewykluczone, że będzie miała problemy z pamięcią...

– Tak więc w sprawie Mentzel wracamy do punktu wyjścia? – uniósł brwi Krebs.

– Niezupełnie – westchnąłem. – Krąg podejrzanych jest dość wąski, a zniknięcie szpitalnych dokumentów i atak na lekarkę potwierdzają, że byliśmy na dobrym tropie.

Znalezienie zabójcy to tylko kwestia czasu.

– Jaki konkretnie czas ma pan na myśli?

– Kilka dni.

– Wykluczone! Jest godzina – zerknął na zegarek – jedenasta trzydzieści. Jutro o tej samej porze chcę znać tożsamość człowieka zamieszanego w tę aferę. Jeśli spóźnicie się, panowie, choć o minutę, postaram się, aby wcielono was do oddziałów broniących Breslau.

Czułem, jak niemal bez udziału woli moje wargi rozciągają się w zimnym, bezradosnym uśmiechu. Krebs obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, tak żebym wiedział, iż zauważył wyzwanie, po czym skłoniwszy się lekko, wyszedł z komisariatu. Co z tym facetem jest nie tak? Żaden oficer nie puściłby płazem podobnego zachowania, tymczasem ten zachowuje się, jakby rzecz nie była warta wzmianki. I przecież nie ze strachu. Pułkownik Krebs zaczynał mnie niepokoić...

Z zamyślenia wyrwało mnie dzwonienie szkła: *Kriminalkommissar* Witte usiłował nalać sobie wody. Tyle że nie za bardzo mu wychodziło. Błada twarz i drżące dłonie policjanta świadczyły, że groźby Krebsa trafiły na podatny grunt.

– To blef – odezwałem się pogardliwie. – Facet może co najwyżej odsunąć nas od śledztwa. A i to wątpliwe, bo ktoś musi je przecież zakończyć. Nawet jeśli jest geniuszem dedukcji, zanim przestudiuje materiały, zanim zorientuje się w miejscowych układach, miną dni, o ile nie tygodnie. Bzdura! – zakonkludowałem.

– Nie ma ludzi niezastąpionych – odezwał się ochrypłym głosem Witte.

– A zna pan kogoś, kto może nie tylko objąć z marszu pańskie stanowisko, ale i spełniać z powodzeniem przypisane do niego obowiązki? Sam pan mówił, że najlepsi policjanci dawno dostali przydział na front.

– Niby tak – odparł nieco pewniejszym tonem. – A co z panem?

– Ze mną? Myśli pan, że generał Niehoff znajdzie kogoś innego do wypadów za linię frontu? W sytuacji kiedy większość oficerów, którzy mogliby mnie zastąpić, zna po rosyjsku tylko dwa słowa: „wódka” i „dupa”? Wolne żarty!

– To musiał zrobić jakiś pracownik szpitala albo przynajmniej ktoś, kto miał tam swobodny wstęp. Obcy zwróciłby uwagę – zauważył, wracając do tematu.

Przytaknąłem gestem, zapaliłem papierosa. Komisarz odmówił poczęstunku, najwyraźniej jeszcze nie doszedł do siebie. Nie dziwiłem mu się, gdyby wysłano go do walki, nie pożyłby długo. Wyrobienie odruchów, które pozwalają żołnierzowi przetrwać w boju, wymaga lat. A Witte był policjantem. Do tego pewnie martwił się o córkę...

– Nie damy rady do jutra – kontynuował. – Nie zdążymy sprawdzić alibi wszystkich pracowników szpitala.

– Może nie będzie to konieczne – stwierdziłem, formując z papierosowego dymu eleganckie kółeczko.

- Tak?
- Mam pewną koncepcję...
- No dalej, Roth! Niech pan nie ciągnie kota za ogon!
- Gra pan w pokera? – odpowiedziałem pytaniem.
- Tak, ale jakie to ma teraz znaczenie, na litość boską?!
- Krebs podbił stawkę. Ja chcę wyrównać i sprawdzić karty. A dochodzeniem zajmę się później.
- Zwariował pan! Wyślą nas na front!
- Ja już jestem na froncie – zauważyłem spokojnie.
- Wariactwo! Nasze kariery...
- Kariery? – przerwałem mu bezceremonialnie. – Niech pan się martwi o życie, a nie karierę: najdalej za miesiąc do Breslau wejdą Ruscy.
- Myślałem, że Witte zaprotestuje, ale nie, komisarz tylko przełknął ślinę.
- Najpierw trzeba przeżyć ten miesiąc – powiedział cicho. – Być może pan sobie poradzi, ale ja... – Wzruszył z rezygnacją ramionami.
- Mógłby pan znaleźć dla mnie pewnego człowieka? – spytałem pozornie bez związku.
- Jakiego, do licha, człowieka?! Co takiego zrobił?
- To długa i nieciekawa historia. Szukam go z przyczyn osobistych. Chciałbym, żeby go pan znalazł, a później o wszystkim zapomniał.
- Co będę z tego miał? – zapytał bez ogródek policjant.
- Mordercę Mentzel. Na jutro, na jedenastą trzydzieści. Obwiązanego czerwoną wstążeczką.
- To żart?
- W żadnym wypadku.
- Wie pan, kto to jest?
- Nie wiem, ale dowiem się w ciągu kilku godzin.
- Jakie mam gwarancje?
- Poza moim słowem? Będzie pan brał udział w aresztowaniu, ja nie mam takich kompetencji.
- Co zrobił ten człowiek, o którego panu chodzi? Muszę wiedzieć, zanim zobowiązę się do czegokolwiek – zastrzegł się stanowczo.
- Zaryzykuje pan konfrontację z Krebssem?
- Zaryzykuję – potwierdził.
- Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie, ale twarz przybrała wyraz uporcu. Westchnąłem ciężko: ot, osioł. Osioł skrzyżowany z jamnikiem...
- Co mi przeszkodzi skłamać?
- Nie da pan rady mnie oszukać – oznajmił spokojnie Witte. – Jest pan lepszym detektywem ode mnie, ale ustępuje mi, jeśli chodzi o wyciąganie informacji od

przesłuchiwanych i inwigilację. Będę wiedział, czy mówi pan prawdę.

– Świetnie pan sobie poradził z doktor Wajnert! – zauważyłem złośliwie.

Komisarz odpowiedział pełnym samozadowolenia uśmiechem.

– Nabrał się pan, prawda? Myślał pan, że naprawdę jestem na nią wkurzony? Gdybym nie przycisnął Wajnert, nie zgodziłaby się nam pomóc. No a przynajmniej nie tak szybko.

Spojrzałem na niego ostro, ale nie wyglądało, żeby blefował. Szlag, rzeczywiście dałem się nabrać...

– Znajdzie go pan?

– Znajdę. O ile mnie pan przekona.

– No dobrze – mruknąłem. – Niech będzie. Używa takich nazwisk, jak: von Ziethen, Dankell, Wertelli i Baum. Może ma jakieś nowe. Próbował mnie zabić.

– To prawda – odezwał się z namysłem Witte. – Tyle że nie cała. W tym jest coś jeszcze.

– Zabił kilku moich przyjaciół – odparłem zduszonym, nieswoim głosem.

Słowa z trudem przeciskały się przez nagle odrętwiałe usta, nawet w moich uszach zabrzmiało to jak warkot wściekłego psa. Witte wzdrygnął się nerwowo.

– Chyba nie chce go pan...

Nie odpowiedziałem, zapaliłem kolejnego papierosa.

– Więc? – rzuciłem ostro. – Co pan zdecydował?

Komisarz poluzował krawat, tak jakby ten uciskał mu szyję, przez chwilę wyłamywał niespokojnie palce.

– Odszukam go dla pana – obiecał wreszcie, odwracając wzrok. – A teraz proszę mi powiedzieć wszystko, co pan o nim wie.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zza ściany dochodziło brzęczenie jakiejś aparatury, korytarzem chodzili ludzie, słychać było strzępki rozmów i szcęk instrumentów. Ot, zwykłe szpitalne odgłosy. Siedzieliśmy z komisarzem w gabinecie dyrektora, popijając koniak. Alkohol wyszabrowałem z wiszącej na ścianie apteczki, zapewne właściciel trzymał go w celach medycznych. Cóż, potrzebowaliśmy tego lekarstwa: obaj od rana byliśmy na nogach, teraz przyszło nam jeszcze czekać, aż doktor Emma Schramm zakończy operację. *Frau* Schramm była przyjaciółką Luizy Wajnert. Z tego, co się zorientowałem – jedyną przyjaciółką.

– Po czorta chce pan się widzieć z tą lekarką? Myśli pan, że Wajnert jej coś powiedziała? – zagaił policjant.

Koniak wywarł zbawienny wpływ na komisarza: Witte odzyskał rumieńce i nie wydawał się już tak zdenerwowany. A może uwierzył, że znajdę mordercę?

– Wątpię – mruknąłem.

– Więc o co chodzi?

– Wie pan to samo co ja.

Policjant przewrócił oczyma, ale nie skomentował. I dobrze, sam rozumiałem, że zachowuję się dziecinnie...

– Perfumy – powiedziałem. – Pamięta pan, jak poczułem *Femme Rochas*?

– Tak, przypominam sobie, prawie się pokłóciliśmy.

– Wnioski?

– Pomyślmy... Używanie perfum w szpitalu nie ma specjalnego sensu, bo zapach

i tak zostanie zagłuszony wonią tych wszystkich lekarstw i środków odkażających.

– Chyba że wybranek pani doktor także tu pracuje albo przynajmniej od czasu do czasu przebywa – wtrąciłem.

– Możliwe, że umówiła się z nim na mieście i właśnie wychodziła...

– W czasie dyżuru?

– Myśli pan, że nie dałaby rady zwolnić się na godzinę? Tego dnia nie było jakiegoś szczególnego napływu rannych.

– Niewykluczone – przyznałem. – Jednak jest coś jeszcze.

– Tak?

– Ona się bała. Bała się, jeszcze zanim zaczęła przeglądać te dokumenty, najwyraźniej coś skojarzyła.

– Myśli pan, że obawiała się, iż mordercą może okazać się obiekt jej uczuć?

– Lub najlepsza przyjaciółka... Bo zamiast czekać na mnie, tak jak się umówiliśmy, polazła na górę, żeby z kimś porozmawiać. Porozmawiać w cztery oczy, może zażądać wyjaśnień. Dyrektor jest chory od tygodnia, więc wzięła klucz od jego gabinetu.

– I zabójca skorzystał z okazji?

– Tak to sobie wyobrażam – potwierdziłem. – Fakt, że została uderzona w potylicę, świadczy, że ufała swojemu rozmówcy, kimkolwiek by on był. Inaczej nie odwróciłaby się do niego tyłem.

– Albo do niej. Z drugiej strony cios był tak silny, że spowodował pęknięcie czaszki...

– Równie dobrze mogła to zrobić kobieta: ten kaduceusz z brązu, którym została uderzona Wajnert, to bardzo poręczna rzecz. Dyrektor używał go jako przycisku do papieru.

– Na kogo pan stawia?

– Na kochanka – odparłem zdecydowanie. – Kogoś, kto miał dostęp do magazynów i mógł, przynajmniej w pewnym stopniu, dysponować lekami.

– Ale stany magazynowe się zgadzają – odpowiedział niepewnie.

– Gdyby wszystko było w porządku, nie zniknęłyby zeszyt z notatkami Mentzel. Tam musiało być coś, co pozwoliłoby zdemaskować całą aferę.

– Przeglądałem go i niczego nie zauważyłem.

– Ja też rzuciłem okiem – przyznałem. – Z podobnym skutkiem, ale żaden z nas nie jest lekarzem. Wajnert musiała coś znaleźć. Dlatego sprawca postanowił ją uciszyć na zawsze...

Dalszą rozmowę przerwało nam pukanie, po chwili w drzwiach stanęła Emma Schramm. Wreszcie... Przyjaciółka doktor Wajnert zbliżała się do czterdziestki, ale widać było, że przykłada dużo większą wagę do swojego wyglądu niż tamta. Ostry, niemal sceniczny makijaż podkreślał duże, ciemne oczy lekarki i uwydatniał kości

policzkowe, nadając jej twarzy lekko egzotyczny wygląd. Otaczał ją drażniący, nadmiernie intensywny aromat perfum.

– Uraz kręgosłupa – wyjaśniła, opadając z wdziękiem na podsunięte przez komisarza krzesło. – Dlatego to tak długo trwało. Nie znoszę dłużej w kręgosłupie – oznajmiła.

– Chcielibyśmy spytać o panią Wajnert... – zaczął policjant.

– Biedna Luiza! – przerwała mu bezceremonialnie. – Tak to jest, jak kobieta zakocha się po czterdziestce: trudno trafić na odpowiedniego mężczyznę...

Widząc, że grzebie nerwowo po kieszeniach, odruchowo sięgnąłem po papierośnicę. Zakląłem w duchu, przypominając sobie poniewczasie, że wypchana jest luksusowymi papierosami ze zdobytego składu. Tymczasem w Breslau trudno było dostać nawet Juno.

– To chyba jakaś obca marka? – Patrzyła ze zdumieniem na ustniki ozdobione wizerunkiem carskiego dwugłowego orła.

Cóż, wygląd angielskich papierosów o rosyjskiej nazwie Sobranie nie zmienił się od czasów cara, nasi musieli zgarnąć gdzieś niezły łup...

– Prezent od znajomego – wyjaśniłem enigmatycznie, podając jej ogień. – Wracając do rzeczy: wie pani, kto był sympatią Luizy Wajnert?

– Ba! Pytałam ją, ale nie chciała mi zdradzić – odparła, zaciągając się z przyjemnością. – Tak jakby to była jakaś wielka tajemnica... Naprawdę znakomity tytoń! – pochwaliła.

– Nie ma pani żadnych sugestii? Może coś pani zapamiętała? Cokolwiek?

– Luiza wspomniała chyba kiedyś o magazynach.

– A konkretnie?

– No, że spotka się z nim w magazynie. Odniosłam wrażenie, że nie tyle chodziło o miejsce schadzki, co o to, że on tam zachodził z racji swojej pracy. Choć oczywiście nie mogę być pewna...

– Kto dostarcza wam leki?

– Przeważnie przywozi je Heinrich Lehmann, ale bywa, że odwiedza nas i Lukas Raabe. Dyrektor Raabe kieruje dystrybucją medykamentów na terenie całego miasta.

Witte otworzył notatnik, ale powstrzymałem go gestem, lepiej dać się wygadać *Frau Schramm*. Pewnie powie nam więcej, niż da się wywnioskować ze służbowych zapisków komisarza.

– Co pani o nich wie?

– Ja?! – wykrzyknęła z udanym przestraczem lekarka. – Nie czuję się kompetentna – oznajmiła, wypinając kokietyjnie biust.

– Na pewno ma pani jakieś przemyślenia – zachęcił ją łagodnym tonem policjant. – Tak inteligentna kobieta jak pani musiała poczynić jakieś obserwacje...

– Cóż... – Skromnie spuściła wzrok. – Jeśli to pomoże w wyjaśnieniu tego

tragicznego wypadku...

Obaj z komisarzem zapewniliśmy ją, że jak najbardziej pomoże.

– Lehmann to młody człowiek, ma dwadzieścia trzy lata, gdyby nie astma, dawno byłby na froncie. Choć nigdy nie widziałam, żeby miał atak. Zaświadczenie o niezdolności do służby wojskowej wydała mu Luiza. Taaak... Nie chciałabym być złośliwa, ale ona chyba coś do niego czuła – dodała, strzepując popiół.

– Jest pani pewna? – spytałem, starając się, żeby w moim głosie zabrzmiała stosowna dawka niedowierzania.

– Oczywiście! – zapewniła pobłaźliwie. – Kobiety w pewnym wieku zawsze zakochują się w młodzieniaszkach.

– Taki czaruś z tego Lehmann?

– Och, jest nawet przystojny na swój chłopięcy sposób, ale ja wolę dojrzałych mężczyzn – oznajmiła, rzucając mi powłóczyście spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

– A ten drugi, jak mu tam? Raabe?

– Mało interesujący. – Skrzywiła się niechętnie. – Mrukliwy, pedantyczny, nie widzi świata poza pracą.

– A z wyglądu? – wtrącił Witte.

– Nic nadzwyczajnego. Ma swoje lata. Pewnie przekroczył pięćdziesiątkę.

– Mógłby zainteresować panią Wajnert?

– Tylko jeśli Luiza lubi z gruba ciosanych brutali.

– Brutali?

– Wie pan, kiedyś spytałam go, czy nie mógłby mi w czymś pomóc...

– I co?

– Odpowiedział „nie”. Rozumie pan? Ot tak: „nie” i już!

– Rzeczywiście nieuprzejme – przyznałem ugodowo.

Wymieniliśmy spojrzenia z komisarzem: było wątpliwe, aby Emma Schramm powiedziała nam jeszcze coś sensownego. Najwyraźniej w kontaktach z mężczyznami interesowała ją głównie zabawa w doktora.

– Dziękujemy pani – powiedział wreszcie Witte. – Bardzo nam pani pomogła...

Kiedy wyszła, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Nie zapytał jej pan o alibi – wytknąłem.

– Pan także.

– Dawno nie widziałem tak głupiej baby. Pewnie mogłaby zdzielić po głowie przyjaciółkę, szczególnie gdyby ta weszła jej w paradę na planie... uczuciowym, ale kombinacje z lekami? Wykluczone! – stwierdziłem stanowczo, otwierając papierośnicę.

Tym razem policjant pozwolił się poczęstować.

– Od razu lepiej – westchnął, wydmuchując dym.

Rzeczywiście: zapach tytoniu był zdecydowanie bardziej atrakcyjną opcją niż woń

tandetnych perfum *Frau Schramm*...

– Co robimy? – spytał komisarz.

Uniosłem brwi z autentycznym zdziwieniem: komisarz równie dobrze jak ja wiedział, co trzeba zrobić, ale pytanie świadczyło, że zależy mu na moim zdaniu. Zdumiewający postęp w porównaniu z oślim uporem, jaki wykazywał na początku naszej znajomości.

– To, co zwykle. – Wzruszyłem ramionami. – Trzeba aresztować i przesłuchać obu delikwentów, przeprowadzić rewizje w mieszkaniach, pewnie nie zawadziłoby też zajrzeć do domów ich przyjaciół i krewnych.

– Który to?

– Trudno powiedzieć, ale wydaje mi się, że raczej starszy. W trakcie tej rozmowy o perfumach Wajnert wyglądała na lekko zawstydzoną, nie zażenowaną. Gdyby chodziło o kogoś dwa razy młodszego, pewnie zareagowałaby silniej.

– Być może – przyznał z namysłem Witte. – Myśli pan, że znajdziemy to, co u Mentzel? Złoto, cenne drobiazgi?

– Na pewno. Jeśli prowadził ten handel przez dłuższy czas, a wiemy, że tak jest, musiał nabierać różności. Wątpię, aby klienci płacili w markach, obecnie to dość problematyczna waluta, a przecież nie każdy ma carskie ruble czy dolary. Pewnie większość dawała rodzinne pamiątki i kosztowności.

– Cóż, w takim razie trzeba brać się do roboty – westchnął policjant. – W razie jakichś problemów... – zawiesił wymownie głos.

– Tak, oczywiście, proszę dzwonić – zezwoliłem, podając mu rękę. – Do jutra, komisarzu.

– Do jutra.



Śniadanie składało się z jajecznicy z prawdziwych, nieproszkowanych jajek, ciepłych jeszcze bułeczek i owsianki na mleku. Mleko było z puszki: nawet na czarnym rynku istnieją pewne ograniczenia. Nie skarżyłem się, bywało, że jadłem gorsze rzeczy, prawdę powiedziawszy – dużo gorsze. W każdej chwili spodziewałem się telefonu od komisarza, ale noc przeszła spokojnie, najwyraźniej Witte natrafił na jakiś trop. Właśnie delektowałem się ostatnią bułką, kiedy usłyszałem pukanie. Z niechęcią oderwałem się od śniadania i poczłapałem otworzyć drzwi. Ostatnie dni kosztowały mnie sporo nerwów, a w nocy przespałem ledwo parę godzin. Resztę czasu poświęciłem na studiowanie albumu Zygryda von Bredowa. Na próżno.

Komisarz Witte wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego ode mnie. No i nie

dziwota: zapewne całą noc spędził, ganiając za mordercą Mentzel. Widząc, że trze zaczerwienione z niewyspania oczy, zaprosiłem go do stołu i nalałem kawy.

– I jak? – zagailem bez wstępu.

– Mamy go – mruknął, łykając łąpczywie gorący napój. – To Raabe. Na strychu u jego ciotki znaleźliśmy mnóstwo kosztowności, a w garażu kilka kilogramów złotych monet. Jednak...

– Tak?

– Nie chce z nami gadać. Nadal nie wiemy, czy Mentzel była jego jedyną współniczką i w jaki sposób dokonywał tych machlojek. Bo jak powiedziałem wcześniej, stany magazynowe się zgadzają. W tej sytuacji nie jestem pewien, czy pułkownik Krebs uzna sprawę za zakończoną. Wiem, że Raabe pęknie prędzej czy później, problem w tym, że nie mamy czasu.

– Może go jakoś zachęcić?

Trwało dobrą chwilę, zanim Witte zorientował się, co mam na myśli, musiał być naprawdę wykończony.

– Zastanawiałem się nad tym – odparł. – Mam człowieka, który mógłby się tym zająć, ale po pierwsze bywa czasem zbyt... bezpośredni, a wolałbym, żeby nie było śladów, po drugie nie wiadomo, czy dałby radę do jedenastej. Dlatego przyszedłem do pana.

No tak, Witte nadal bał się Krebsa...

– Gdzie jest Raabe?

– Na komisariacie.

– Macie tam jakieś ustronne pomieszczenie?

– Oczywiście – odparł policjant, patrząc na mnie z pewnym niepokojem. – Co pan zamierza?

– Zmotywować go – wyjaśniłem enigmatycznie.

Przeszedłem do łazienki, zdjęłem ze sznurka suszącą się bieliznę i odciąłem kilkumetrowy kawałek cienkiej linki. Wolałbym nieco grubszą, ale i ta powinna się nadać. Wykonałem samozaciskającą pętlę i używając kciuka oraz małego palca, sformowałem ze sznurka zgrabny motek. Założyłem pętlę na lewy nadgarstek, a motek wsunąłem w rękaw munduru. Pewnie mogłem to sobie darować, nie musiałem ukrywać swoich zamiarów: Raabe czekał na mnie w komisariacie, ale zadziałały odruchy – sierżant, który uczył mnie *hojojutsu*, kładł nacisk na wykonywanie technik w taki sposób, aby były nie do zauważenia przez przeciwnika i osoby postronne.

– Idziemy – powiedziałem, wróciwszy do jadalni. – Zobaczymy, jaki twardy jest *Herr Raabe*...



Rozumna w wyrazie, choć z gruba ciosana twarz Raabego rzeczywiście zawierała w sobie pewien rys grubiaństwa, być może nawet brutalności. Czyżby coś jednak było w teoriach Emmy Schramm? Staralem się nie zwracać na to uwagi: w podobnych sytuacjach analiza tylko utrudnia sprawę. Najlepiej traktować poddawanego presji więźnia bezosobowo, jak obiekt, nie człowieka.

Rozpocząłem od nieco zmodyfikowanej wersji *ushirode-gassho*, gdzie umieszczone wysoko za plecami przeciwnika dłonie złączone są ze sobą jak do modlitwy. *Hojjutsu* to stara japońska sztuka wiązania przeciwnika. Używano jej dawniej zarówno do unieruchomienia pokonanego wroga, jak i wymierzania kary przestępcom poprzez długotrwałe krępowanie. Jedną z podstawowych zasad zakładała, że więzy nie mogą blokować dopływu krwi do żadnej części ciała wroga i niszczyć połączeń nerwowych. Specjaliści z *wojennej rozwiadki* uznali to za zbędny humanitaryzm i zmienili niektóre techniki w ten sposób, że powodowały dużo większy ból niż oryginalne. Niestety, po pewnym czasie także nieodwracalne urazy. Cóż, nie od dziś wiadomo, że upór bywa szkodliwy dla zdrowia...

Połączyłem nadgarstki dyrektora Raabego z pętlą zarzuconą na szyję: teraz każda próba wyswobodzenia się z więzów będzie powodowała problemy z oddychaniem, po czym zmusiłem go, aby usiadł na podłodze. Mężczyzna próbował krzyczeć, ale zakneblowałem go chusteczką do nosa i związaawszy mu skrzyżowane w kostkach nogi, połączyłem je z szyją kolejną pętlą. W efekcie krótka, łącząca nogi z szyją linka zmuszała go do nachylenia się w przód, druga, przebiegająca od szyi do skrępowanych na plecach rąk, zaciskała mu się na gardle i powodowała ból naciągniętych do granic możliwości stawów. Ot, udoskonalony przez naszych wariant jednej z japońskich tortur.

– To by było tyle – orzekłem, mocując końcówkę sznura. – Wrócimy za piętnaście minut.

– Jest pan pewien, że to podziała? – spytał Witte.

– Nie sądzę, żeby Raabe wytrzymał dłużej niż kwadrans.

– Nic mu się nie stanie?

– Nie powinno. Zacznie charczeć sporo wcześniej, zanim się zadławi – odparłem obojętnie. – Zostawimy uchylone drzwi.

– Nie robi pan tego pierwszy raz?

– Rzeczywiście – przyznałem.

– Sam pan to wymyślił?

– Skąd! To japońska specjalność. Czasami bywa przydatna: nie zawsze ma się pod

ręką kajdanki, a bywa, że trzeba rozwiązać komuś język.

– Pytam, bo odnoszę wrażenie, że gdzieś widziałem podobne więzy.

– *Hojojutsu* w Breslau? Wątpię.

– Tak to się nazywa?

Przytaknąłem ruchem głowy.

– Skoro uczą tego w Abwehrze...

– Nie uczą. Z podstawami tej sztuki zapoznał mnie znajomy Japończyk.

– Japończyk, Japonia... – wymamrotał Witte, masując skronie. – Nie mogę sobie przypomnieć, z czym mi się to kojarzy.

– Czy to ważne?

– Czort wie, ale biorąc pod uwagę te morderstwa... Mam! – wykrzyknął nagle, uderzając się w czoło. – Obrazy! Widziałem japońskie obrazy w willi von Dallewitsa!

– Obrazy?

– Tak, przedstawiały kobiety skrępowane w podobny sposób jak Raabe!

– I cóż z tego?

– No przecież ten esesman, Falke, także został związany przed śmiercią! Być może pan hrabia wie więcej na ten temat, niż można by było przypuszczać na pierwszy rzut oka. Taaak... Ciekawe, czy ma alibi na czas morderstwa? Bo wiadomo, że interesuje się Dalekim Wschodem!

– Owszem, Falke został skrępowany, ale to nie były więzy *hojojutsu* – zapewniłem stanowczo. – Przypuszczam, że rozkrzyżowano go twarzą do ziemi, przywiązując kończyny, tak aby nie szarpał się w trakcie... operacji.

– A obrazy? – nie ustępował komisarz. – Ile osób w Breslau może dysponować wiedzą o dość, nie ma co ukrywać, egzotycznych praktykach?

– Niewiele, tyle że to dwie różne praktyki.

– Nie rozumiem... Zapewniam pana, że więzy, jakie widziałem na tych obrazach, są do złudzenia podobne do tych, jakie...

– To nic nie znaczy – wszedłem mu w słowo. – Jak wyglądały te kobiety? Były nagie albo przynajmniej roznegliżowane, prawda?

– Być może – przyznał policjant. – I co z tego?

Parsknąłem śmiechem: Witte się zaczerwienił.

– To *kinbaku*, dużo łagodniejsza forma *hojojutsu* – poinformowałem. – Już dawno temu ktoś wpadł na pomysł, że sznura można użyć w celach, nazwijmy to: niebojowych... Uległe kobiety są obsesją Japończyków, stąd więzy. Wreszcie krępować można w taki sposób, żeby nie tylko nie sprawiało to bólu, ale wręcz przyjemność. Być może von Dallewitz interesuje się japońskim malarstwem, możliwe też, że obrazy, które pan widział, są przejawem dość szczególnych upodobań pana hrabiego... Tak czy owak, nie sądzę, aby miało to cokolwiek wspólnego z morderstwem.

Rumieniec przesunął się z twarzy na uszy policjanta, ale zanim Witte zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszeliśmy głuchy łomot. Zerknąłem na zegarek: minęło niecałe dziesięć minut.

– Co się stało? – zapytał nerwowo komisarz.

– Nic specjalnego, Raabe stracił przytomność – odparłem spokojnie. – Chyba przyszedł czas, żeby jeszcze raz zapytać pana dyrektora, czy nie ma nam nic do powiedzenia.



Krebs słuchał naszego sprawozdania spokojnie i nie przerywając. Nie skomentował też faktu, że przekroczyliśmy dany nam termin o dwadzieścia minut: Witte uparł się przy protokołowaniu zeznań dyrektora Raabego. Powinienem być zadowolony – konfrontacja z przysłanym przez Berlin oficerem nie leżała w moim interesie, a jednak coś mi tu nie pasowało. Co prawda fakt, że wyjaśniliśmy w końcu okoliczności śmierci Mentzel i cały szwindel z lekami, przemawiał na naszą korzyść, a żądanie, aby uwinąć się ze wszystkim do jedenastej trzydzieści, podobnie jak i groźba wysłania nas do okopów były czystym idiotyzmem, ale rozkaz to rozkaz, a my się spóźniliśmy. Krebs musiał zdawać sobie sprawę, że brak reakcji podrywa jego autorytet, jednak sprawiał wrażenie, jakby go to nie tylko nie niepokoiło, ale i nie obchodziło. Dziwne. Chyba że uznał, iż zrobiliśmy wszystko w granicach naszych możliwości i nie warto spierać się o drobiazgi. Czort wie, może popadam w paranoję? Bo przecież było oczywiste, że jesteśmy mu niezbędni w celu wyjaśnienia pozostałych zabójstw.

– Konkludując: Raabe przyznał się do zorganizowania grupy sprzedającej kradzione leki, morderstwa Mentzel i napadu na Luizę Wajnert. Aresztowałem też trzy inne osoby biorące udział w tym procederze. Mentzel próbowała handlować na własną rękę, dlatego Raabe ją zabił – powiedział komisarz.

– Dlaczego napadł na Wajnert?

– Przyjrzała się dokumentom i wpadła na trop tej całej afery – wyjaśniłem. – Stany magazynowe zawsze się zgadzały, dlatego przez długi czas nikt nie zwrócił uwagi na ubytek medykamentów. Sama koncepcja była dość sprytna: leki dozuje się w zależności od wagi pacjenta i stopnia zaawansowania choroby. Wystarczyło więc nieco zawyżyć ciężar chorego i wypisać maksymalną, ale przewidzianą przepisami dawkę leku w sytuacji, kiedy mogła być ona sporo niższa. Kombinacja teoretycznie nie do wykrycia, szczególnie biorąc pod uwagę dużą rotację pacjentów: ozdrowieńcy natychmiast wracali do walki, jednak studiując dane za dłuższy czas, rzucało się w oczy, że niektórzy lekarze mieli niemal same ciężkie przypadki...

– Rozumiem – mruknął Krebs. – A ten guzik od munduru SS?
– Raabe podrzucił go, żeby skierować śledztwo na mylny trop, od dłuższego czasu po mieście chodzą słuchy o ekscesach wśród esesmanów. Ekscesach związanych z kobietami – doprecyzowałem. – Stąd też i gwałt na Mentzel.

– Jakież szczegóły?

Pokręciłem przecząco głową.

– Mówi się o orgiach i zapładnianiu ochotniczek – wtrącił komisarz. – Niektórzy przebąkują i o gwałtach. Niestety, nie znam żadnych konkretów, próbowałem dojść do źródła tych plotek, ale bezskutecznie.

– Zapładnianiu? – Zmarszczyłem brwi.

– Tak, podobno chodzi o „odnowienie krwi niemieckiej”, jak w Lebensborn. Jednak ustaliłem, że ta instytucja nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje w Breslau. To raczej prywatna inicjatywa.

– Coś panu przyszło na myśl, majorze? – zapytał Krebs.

– Nic takiego.

– A jednak? – ponaglił.

– Jakiś czas temu zaczęła mnie pewna panienska i poprosiła, abym ją, cytując: „zapłodnił”. Umotywowowała to obawą przed gwałtem ze strony rosyjskich żołnierzy. Spodziewała się, że ci niezadługo zdobędą miasto – wyjaśniłem niechętnie.

– Jak rozumiem, nie miała zamiaru celowo siać defetyzmu? – zasugerował beznamiętnym tonem Krebs.

Witte pobladł i nerwowym ruchem sięgnął do kołnierzyka.

– Nie, była wystraszona i pijana.

– Oczywiście odmówił pan?

– Mniej więcej...

– A konkretnie?

– Nadeszła moja przyjaciółka i dziewczucha uciekła. Nie wiem, czy ma to jakikolwiek związek...

– Ja też nie wiem – przerwał mi bezceremonialnie. – Jednak dobrze by było to sprawdzić. Wie pan, kim ona jest?

– Tak.

– O ile mi wiadomo, w najbliższym czasie będzie pan potrzebny gdzie indziej, jednak przed... – Krebs zawiesił głos, najwyraźniej zastanawiając się, ile może powiedzieć w obecności policjanta.

– ...kolejną wycieczką – poddałem. – Komisarz orientuje się, co robię.

– Wycieczką? Niech będzie. Zanim opuści pan Breslau, proszę porozmawiać z Dallewitzem i tą panienską. I oczywiście przekazać nam wszelkie zdobyte informacje. Za godzinę jest pan oczekiwany w sztabie – dodał, kończąc rozmowę.

Obaj z komisarzem wyprężyliśmy się na baczność w odpowiedzi na chłodny ukłon,

jakim nas pożegnał.

– Nie sądzi pan, że nasz nowy przełożony dziwnie się zachowuje? – spytałem, kiedy za Krebssem zamknęły się drzwi.

– Dziwniej niż facet, który chwyta kogoś za gardło, bo poczuł zapach smaru do broni? – odpowiedział Witte z rozdrażnieniem w głosie. – Nie mam pojęcia, a i niespecjalnie mnie to teraz obchodzi. Bardziej przejmuję się dochodzeniem, które będę musiał prowadzić w pojedynkę, kiedy pan stąd zniknie!

– Nie jadę na urlop! – warknąłem.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, wreszcie policjant wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście, wyczuwam w nim coś osobliwego – przyznał. – Momentami sprawia wrażenie, jakby to, co robimy, go nie interesowało, a przecież nasze śledztwo ma podstawowe znaczenie dla obronności twierdzy Breslau. Tylko co z tego? Kto teraz zachowuje się normalnie? Poza tym mam większe problemy: to dochodzenie dostatecznie trudno prowadzić we dwójkę, a samemu... – Komisarz urwał, zaciskając zęby.

– Pewnie niedługo wrócę.

– O ile pan wróci – poprawił cierpko. – Co będzie, jeśli Krebs znowu postawi mi ultimatum? Tym razem pod pańską nieobecność? Nie jestem tchórzem, Roth, ale znam swoje możliwości, szkolono mnie do chwytania przestępców, a nie walk ulicznych. Kto zaopiekuje się Moniką, jeśli zginę?

– Pomogę panu – obiecałem. – I proszę się nie obawiać, nic mi się nie stanie. Jednak oczekuję, że spełni pan swoją część umowy i znajdzie von Ziethena.

– To najmniejszy problem – machnął ręką Witte.

– Najmniejszy?! Szukam go od kilku lat i jak dotąd zawsze mi się wywijał!

– Być może – oświadczył z irytującym uśmiechem. – Jednak obecnie jego sytuacja jest zupełnie inna.

– Nie rozumiem?

– Na pewno jest w Breslau?

– Tak, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

– W takim razie nie ma swobody manewru, nie może nigdzie uciec – oznajmił komisarz, odginając palec. – Po drugie jest na moim terenie. Po trzecie i najważniejsze, jest tu nowy, przebywa w mieście od niedawna.

– Pewnie załatwił sobie fałszywe dokumenty, być może ktoś mu pomaga. W tej sytuacji trudno będzie...

– Nie tak trudno – zaprzeczył stanowczo policjant. – Nie mnie. Załatwił sobie lewe papiery? Świetnie, tylko co z tego? Musi przecież gdzieś mieszkać i coś jeść. Wystarczy rozesłać policjantów, aby zorientowali się, czy na ich terenie nie pojawił się ktoś nowy. I sprawdzić, co to za człowiek. Możliwe, że facet pozostaje w ukryciu, nie pokazuje się sąsiadom i postronnym, ale nawet wówczas pozostaje kwestia

zaopatrzenia w żywność. Bo przecież musi coś jeść. System kartkowy pozwala...

– Kartki można sfałszować, można też zaopatrywać się na czarnym rynku – przerwałem.

– Niby tak, tylko że nawet wtedy pozostają ślady. A ja mam wszędzie informatorów, pracuję w Breslau ponad trzydzieści lat...

– Także na czarnym rynku?

– Oczywiście – odparł ze zdziwieniem Witte. – Dlaczego pan pyta?

– Niedawno dwóch cwaniaczków pobiło moją przyjaciółkę. Potrzebowała penicyliny, jej córka ciężko zachorowała – dodałem wyjaśniająco. – Chciałbym, żeby pomógł mi pan ustalić personalia tych rekinów wolnego handlu.

– Nie zamierza ich pan chyba...

– Skąd! Niemniej jednak uważam, że pewna... reprimenda byłaby na miejscu. Oni nie tylko ją obrabowali i pobili, ale chcieli też zgwałcić. Na szczęście zdołała uciec.

– Rozumiem... W takim razie proszę w wolnej chwili przyprowadzić panią von Bredow na komisariat, może rozpozna kogoś na fotografii. Mamy dość obszerne akta dotyczące nielegalnego handlu.

Podziękowałem skinieniem głowy.

– Kiedy spotka się pan z Dallewitzem? – spytał.

– Pewnie zaraz po powrocie ze sztabu, bo wygląda na to, że jutro mogą być zajęty czym innym – odparłem bez entuzjazmu. – Postaram się też pogadać z tą małą idiotką, która oferowała mi swoje dziewicze ciało.

– Cóż, życzę powodzenia. Będzie panu potrzebne...



Spodziewałem się kogoś pokroju pruskiego junkra; wyprężonego jak struna mężczyzny o kanciastych rysach twarzy, z monoklem w oku. Nic z tych rzeczy, von Dallewitz okazał się korpulentnym, niewysokiego wzrostu mężczyzną o zadziwiająco dobronudnym wyrazie twarzy. Jedyne dwie równoległe blizny znaczące lewy policzek przywodziły na myśl burszowskie pojedynki. Cóż, wygląd bywa mylący. Także jego zachowanie nie kojarzyło się bynajmniej z mizoginizmem (zdażyłem sprawdzić w słowniku, co dokładnie oznacza to słowo), mimo wcześniejszego ostrzeżenia Ingi. Przywitał ją pocałunkiem w czoło, niby dawno niewidzianą wnuczkę, a kiedy dokonała prezentacji, uprzejmie podał mi rękę. Po chwili siedzieliśmy przy kominku, popijając mocną angielską herbatę, rozmawiając o wszystkim i niczym. *Graf* von Dallewitz z niebywałą maestrią unikał wszelkich poważniejszych tematów. Wspominał swoją młodość, prowadzone wspólnie z ojcem Ingi badania nad

orientalnymi językami, uprzejmie interesował się moją karierą i zdrowiem małej Klaudii. Ani słowa na temat morderstw czy oblężenia Breslau...

Gdyby była to czysto towarzyska wizyta, pewnie napawałbym się chwilą: von Dallewitz okazał się nader uprzejmym gospodarzem. Tyle że miałem konkretne zadanie do wykonania, najwyższy czas przejść do rzeczy.

– Ciekawe obrazy – odezwałem się, przerywając monolog pana domu. – I te więzy *kinbaku*...

– To oryginalny Ito – odparł odruchowo von Dallewitz.

Skinąłem głową, sprawiając wrażenie, jakbym oczekiwał na dalsze wyjaśnienia. Nie doczekałem się. Jedyne wzrok hrabiego stwardniał, niebieskie oczy pociemniały: spod warstwy lodu wychynęła stal.

– Moja gospodyni nadal piecze waniliowe ciasteczka, które tak lubisz – powiedział do Ingi łagodnym, niemal pieszczotliwym tonem, jakiego używa się w stosunku do małych dzieci. – Pewnie ma jeszcze kilka ciepłych, prosto z pieca.

Inga przesłała mi krótkie spojrzenie, znaczące tyle co: „A nie mówiłam?”, po czym wyszła z pokoju.

Sięgnąłem do kieszeni munduru i cisnąłem na stół kilka luźnych kartek.

– Czego pan chce? – rzucił arogancko von Dallewitz.

Już nie udawał uprzejmości, każde słowo wypluwał niczym grudkę cuchnącej flegmy. Parsknąłem śmiechem: rzeczywiście cham i mizogin, dokładnie tak, jak mnie uprzedzano.

– Powiedziałem coś zabawnego?! – wysyczał.

– I owszem – potwierdziłem. – Wie pan, po co przyszedłem, tyle że wbrew pańskim przypuszczeniom to nie ja jestem petentem.

– Doprawdy?

– Tak, chyba że zabraknie panu inteligencji i wiedzy, aby ocenić to, co przyniosłem.

Von Dallewitz poczerwieniał, przez moment myślałem, że wybuchnie gniewem, ale nie: założył jedynie okulary i sięgnął po fotokopie dokumentów, jakie mu zaprezentowałem. Stopniowo mięśnie jego twarzy ściągały się z emocji, a nozdrza rozszerzały, kiedy wciągał ze świstem powietrze. Wyglądało na to, że pan hrabia błyskawicznie zorientował się, z czym ma do czynienia, i nie był w stanie powstrzymać ekscytacji.

– Co to jest? – zapytał chrapliwym, nieswoim głosem.

– Mówi panu coś nazwa „Doskonali”?

Obrzucił mnie szybkim, spłoszonym spojrzeniem. Wiedziałem, że pytanie jest retoryczne i von Dallewitz chce tylko sprawdzić, czy znam wartość dokumentów. Niby hrabia, a gdyby tylko mógł, oszwabiłby mnie jak cwany kmiot miastowego na wiejskim targu. Ot, arystokrata...

– To... bezcenna rzecz. Mistrzowie sekty Doskonałych zapisali wszystkie sekrety w kilku księgach: „Złotej”, „Diamentowej” i „Żelaznej”. Do tego każdy z nich prowadził coś w rodzaju osobistych notatek, będących kompilacją wszystkich trzech. Skąd pan to wziął?!

– O tym później, proszę kontynuować – zachęciłem.

Wiedziałem, że moja twarz nie zdradza żadnych uczuć, wyrażając jedynie lekkie znużenie. Efekt wieloletnich, mozolnych ćwiczeń.

– „Złota księga” zawiera metody leczenia siebie i innych, „Diamentowa” opisuje sposoby zdobycia ponadludzkiej mocy, w tym fizycznej nieśmiertelności, a „Żelazna” techniki walki. Przedstawione w każdej z nich praktyki oparte są na specyficznych technikach oddechowych, ćwiczeniach fizycznych i...

– ...krwi mistrza – dokończyłem.

– Tak! Ale to, co pan przyniósł, to tylko fragmenty, ma pan resztę?

– Resztę czego?

– Notatek i „Żelaznej księgi”! – odparł niecierpliwie von Dallewitz. – No i pozostałe tomy, rzecz jasna!

„Żelazna księga”. Tak więc w końcu dowiedziałem się, co zawiera wolumin, który oddała mi swego czasu babka Anastazja. Tylko po czorta mi jakiś stary traktat? Możliwe, że w czasach, kiedy walczono mieczami z brązu, była to prawdziwa rewelacja, ale teraz mamy granaty i pistolety maszynowe...

– Mam całość notatek i „Żelaznej księgi”.

– A „Złota” i „Diamentowa”?

– Niestety. – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Na ile orientuje się pan w całości zagadnienia?

– Znam cele, do jakich dążyli Doskonali, przetłumaczyłem notatki mistrza, nie wiem, co zawiera „Żelazna księga” – wyjaśniłem zwięźle.

– Przetłumaczył pan? – Spojrzał na mnie podejrzliwie. – Zna pan rosyjski, łacinę i francuski? W dodatku pisownia jest stara, zeszlowieczna...

Zacytowałem z pamięci obszerny fragment, po czym sięgnąwszy po jedną z kartek, przeczytałem na głos kilka zdań po rosyjsku.

– Znakomity akcent – skomentował z niechętnym podziwem. – Nie doceniłem pana. Czego pan chce? – powtórzył, tym razem dużo uprzejmiejszym tonem.

– Informacji. Wszystkiego, co wie pan na temat tych morderstw.

– Tylko tyle? I otrzymam dostęp do...

– Nie tylko. Chciałbym, aby przetłumaczył pan dla mnie „Żelazną księgę”, będę też wdzięczny za wszelkie komentarze.

– Interesuje się pan Doskonałymi?

– Tyle o ile. Raczej teoretycznie.

– Powie mi pan, skąd wziął te materiały?

– Jeśli dojdziemy do porozumienia, odpowiem na każde pańskie pytanie. Także dotyczące Doskonałych, z którymi się zetknąłem.

– Spotkał pan... – Von Dallewitz zmarł jak rażony gromem.

– Spotkałem.

– Zgadza się na wszystko – zadeklarował pośpiesznie.

– W takim razie słucham.

– Nie wiem nic konkretnego – zapewnił, wyłamując nerwowo palce. – Jednak w zeszłym roku odwiedziło mnie kilku esesmanów zainteresowanych nordycką mitologią.

– Tak? – ponagliłem.

– Pytali o magiczne rytuały, w tym także ofiarne.

– Chodziło o składanie ofiar z ludzi?

Von Dallewitz przytaknął z ociąganiem.

– Zapamiętał pan ich nazwiska?

– Proszę zrozumieć, byli moimi gośćmi, nie wypada, żebym...

Powstrzymałem go energicznym gestem.

– Rozumiem. Jednak potrzebuję jakiejś wskazówki.

Wiedziałem, że mogę zmusić go do odpowiedzi – zbyt mocno pragnął zapisków Doskonałych – tyle że nie było takiej konieczności. Wystarczy, że naprowadzi mnie na trop morderców, sam mogę ustalić ich personalia. A w razie potrzeby wrócę, aby powtórzyć pytanie.

– Zanim przyszli do mnie, przeprowadzili swego rodzaju kwerendę. Studiowali opracowania naukowe, sagi, beletrystykę.

Podziękowałem skinieniem głowy: to mi wystarczy. Resztą zajmie się Witte. Mnie pozostaje jedynie przekazać informację policjantowi i sprawdzić, co oznacza słowo „kwerenda”. Ech, ta inteligencja, że też nie chce im się gadać po ludzku...



Staliśmy w bramie kamienicy na Salzstrasse: ja, Inga, Horst i komisarz Witte. Na ulicy czekał na mnie schwimmwagen – jeszcze dziś miałem przekroczyć linię frontu. Inga rozmawiała z synem, ja udzielałem policjantowi ostatnich wskazówek. Niestety, nie udało mi się porozmawiać z panną Fichte, tak więc to Witte będzie musiał sprawdzić, czy dziewczucha wie coś na temat orgii urządzanych rzekomo przez miejscowych esesmanów. Komisarzowi przyjdzie także wykorzystać dane mi przez von Dallewitza wskazówki. Nie żeby było to specjalnie skomplikowane, wystarczyło odwiedzić okoliczne biblioteki i sporządzić wykaz esesmanów, którzy interesowali się

pozycjami na temat magicznych rytuałów i starogermańskich mitów. Jak dobrze pójdzie, to kiedy wrócę, Witte będzie miał już spis podejrzanych. Kto wie? Może i Lidia Zosimowna wpadła tymczasem na pomysł, jak rozszyfrować notatki Zygryda? Oby, bo czas mijał nieubłaganie, a towarzysz Stalin nie słynął bynajmniej z nadludzkiej cierpliwości...

– Zajmę się bibliotekami – zapewnił Witte. – Rzec nie będzie łatwa: część zbiorów przeniesiono, inne uległy zniszczeniu w czasie walk i czort wie w jakim stanie jest dokumentacja, ale może uda mi się ustalić nazwiska tych miłośników germańskiej tradycji.

Odwróciłem głowę, słysząc klakson – sierżant Becker przypominał, że czas się zbierać.

– Dobrze by było – mruknąłem, podając policjantowi rękę. – Horst! Do wozu! – rozkazałem.

Chłopak niezgrabnie objął matkę i popędził do samochodu. Pewnie wstydził się okazywania uczuć, dzieciaki w jego wieku zawsze mają z tym problem.

Inga przywarła do mnie kurczowo, pokrywając twarz gorączkowymi pocałunkami. Cóż, jeżeli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do moich stosunków z *Frau von Bredow*, to w tym momencie zapewne pozbył się ich definitywnie: kobiety żegnają tak tylko swoich mężczyzn, a nie przyjaciół rodziny...

– Uważaj na siebie, Aleks! – poprosiła błagalnym tonem.

– Będę uważał – obiecałem.

Z trudem wgramoliłem się na siedzenie obok kierowcy, cisnąłem do tyłu plecak.

– Jazda! – warknąłem.

Becker wzdrygnął się, słysząc szorstką komendę, i nasz schwimmwagen ruszył gwałtownie, wyrzucając spod kół bryzgi błota. Horst otworzył usta, jakby chciał o coś spytać, ale uciszyłem go jednym spojrzeniem. Nie byłem w najlepszym nastroju. Miałem na sobie rosyjski mundur okryty niemieckim kombinezonem maskującym, co w niepokojący sposób przypominało stan mojego umysłu: gdzieś za plecami pułkownika Razumowskiego czaiło się widmo majora Rotha. I rosło w siłę...



Otoczony kłębami pary Tima Katuszew podszedł do leżących na rozgrzanych kamieniach, powiązanych w pęki brzoźowych witek i polał je zimną wodą. Zapachniało lasem. Kilkoma łykami dopiłem piwo i leniwym ruchem sięgnąłem po kolejną butelkę. Kiedy nasi zdobyli Gliwice, kilku cwaniaczków natychmiast zainteresowało się miejscowym browarem i „zabezpieczyło” zapasy pozostawione

przez lokalnego piwowara, niejakiego Scobla, po czym puściło je w obieg, rzecz jasna, nie za darmo. Jednemu z nich nie dopisało szczęście: wioząc kolejną partię piwa spragnionym klientom, natknął się na patrol *wojennej rozвідki*...

– Najwyższy czas, aby oddzielić mężczyzn od małych dziewczynek – odezwał się Lewartow, sięgając po witki.

Tima niby przypadkiem podstawił mu nogę i w chwilę później kotłowaliśmy się wszyscy, walcząc o brzozowe miotełki. Udało mi się zadać pierwszy cios, ale szybko musiałem wycofać się do kąta, zaatakowany podstępnie przez Witę Potapowa. Nawet siedzący do tej pory z ponurą miną Zorin przyłączył się do zabawy. Po paru minutach bezlitosnej walki, z czerwoną od chłosty skórą, zasiedliśmy z powrotem do piwa.

– Co masz zamiar zrobić z Eleną? – spytałem.

Zorin bez słowa wzruszył ramionami.

– Więc? – ponagliłem.

Co prawda Lidia Zosimowna ustaliła, że wybranek Eleny nie ma żadnych powiązań z Berią czy Abakumowem, ale tak czy owak, nie byłem zachwycony ich romansem. Z zasady nie wtrącałem się w życie osobiste moich ludzi, lecz Elena była wyraźnie zakochana, a Zorin żonaty. Nie trzeba było jasnowidza, żeby dostrzec, czym to się może skończyć. A mnie wystarczało własnych problemów.

– A co ja mogę? – odburknął niechętnie.

– Rozwieść się z żoną? – zasugerowałem.

– Zapomnij! – warknął.

– Mógłbyś wyjaśnić dlaczego?

Mimo że nie podniosłem głosu, chłopcy nie dali się nabrać i momentalnie spoważnieli. Nic dziwnego: znali mnie na tyle długo, żeby wiedzieć, kiedy jestem wkurwiony. A w tym momencie zdecydowanie kończyła mi się cierpliwość.

– Dlaczego? Pół życia zeszło jej na włóczeniu się za mną po garnizonach, urodziła mi dwójkę dzieci, a kiedy wylądowałem w więzieniu w trzydziestym ósmym, nosiła paczki z żarciem i papierosy. Dzięki temu przeżyłem – oznajmił, mierząc mnie spojrzeniem czerwonych z niewyspania, podpuchniętych oczu.

– A Elena?

– Jest młoda, ładna, znajdzie sobie kogoś lepszego – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Niedługo koniec wojny. Wtedy się rozstaniemy...

Westchnąłem ciężko: cokolwiek by mówić o Zorinie, facet miał jaja. Wiedział, że każdy z nas może zrobić z niego krwawą miazgę, ale ani myślał kręcić czy szukać wymówek. Niewielu takich ludzi w naszych skundlonych czasach, niewielu... Może Elena nie wybrała aż tak źle, jak by się to zdawało na pierwszy rzut oka? Bo i czego tu się czepiać? Żałować mu chwili zapomnienia? Wojna to suka i każdemu od czasu do czasu potrzebne jest pocieszenie. A tu, na linii frontu, możliwe są tylko dwie opcje: wódka i kobiety. Po pierwszej pozostaje kac, po drugiej wyrzuty sumienia. Bo za

wszystko trzeba płacić.

– Twoja sprawa – mruknąłem w końcu.

Nikt z chłopaków nie odezwał się słowem. Wszyscy zrozumieli, że sprawa romansu pułkownika Zorina i porucznik Szewieliewej została definitywnie zamknięta.

– Może jeszcze jedno piwo? – zaproponował Lewartow.

Wyciągnąłem rękę, syknąłem, czując, jak rwie mnie blizna po postrzale. Jeszcze jedna do kolekcji.

– Nie baliście się, *komandir*, że Tima nie trafi? – spytał z ciekawością. – Parę centymetrów i...

– Skąd!

Mówiłem prawdę: Kotuszew był synem myśliwego, nauczył się strzelać jako sześciolatek, a w wojsku jeszcze udoskonalił swoje umiejętności. Moja krew – o ile założyć, że w teoriach Doskonałych jest jakieś racjonalne sedno – dała mu niemal ponadludzką koordynację ruchową. W tej sytuacji mogło go zgubić tylko zdenerwowanie. Tyle że aby się bać czy wątpić, potrzeba intelektu. A pod tym względem Tima nadal pozostawał na poziomie ośmiolatka – nie był w stanie pojąć, że coś może okazać się niemożliwe do wykonania...

– Prawie bym zapomniał – odezwał się Potapow. – Przyszła do was poczta.

– Coś ważnego?

– Raczej nie, wygląda, że jakieś komsomołki napisały do anonimowego „obrońcy ojczyzny”.

Skrzywiłem się niechętnie – od kilku lat żołnierze otrzymywali listy pisane przez kobiety z całego kraju: robotnice, nauczycielki, studentki, także i komsomołki. Czasem dołączano do nich drobne prezenty: rękawiczki, szaliki, fotografie. Jak orzekli fachowcy, miało to wzmacniać morale. Zresztą czort wie. Może mieli rację? Nie wszystkie listy sprowadzały się do zachęt, aby dobić faszystowskiego gada. Czasem spod propagandowego bełkotu wyłaniało się coś osobistego: kobiety, których nigdy nie poznałem i nie miałem poznać, opowiadały o swoich bliskich, o rozpacz, miłości, nadziei. Bywało, że czułem niemal zapach ich perfum, muśnięcie palców na policzku, miałem wrażenie, że kątem oka dostrzegam cień na ścianie. Ile warta jest taka chwila w błotnistym okopie na moment przed atakiem? Ech, Razumowski, Razumowski, zebrało ci się na filozofowanie...

Położyłem się na ławie, przymknąłem oczy, wstrzymałem oddech. To ostatnie było już niemal odruchem – praktykowałem rytuały Doskonałych niemal w każdej wolnej chwili. Wątpiłem, czy obdarzą mnie nadludzkimi mocami, ale z pewnością przerywały gonitwę myśli, pozwalały oderwać się od rzeczywistości. A to było mi potrzebne, och, jak potrzebne!

Tym razem błyskawicznie ujrzałem pod powiekami absolutną, atramentową czerń. Doskonali nazywali to „wejściem w mrok”. Kiedy zamykamy oczy, nawet jeśli

dodatkowo przesłonimy je dłońmi, rzadko kiedy widzimy od razu pełną, niczym niezmaconą ciemność. Przeważnie usiana jest ona przebłyskami światła – refleksami oglądanego jeszcze przed chwilą świata. Mijają minuty, a bywa, że i godziny, zanim popadniemy w całkowity mrok. Niestety, to podstawowy warunek ujawnienia się wizji, czy raczej wariantów przyszłości. Bo taki wgląd w to, co może zdarzyć się jutro, nie jest niczym więcej niż skonkretyzowanym przecuciem. Przecuciem opartym na niedostępnych naszej świadomości danych: zapachach, obrazach, głosach; tym wszystkim, na co nie zwróciliśmy uwagi, a co zaalarmowało naszą podświadomość. Być może nie ma w tym żadnej mistyki, ot, po prostu poprzez skupienie na oddechu i wyciszenie emocji dajemy naszemu mózgowi szansę na dodatkową i – być może – pogłębioną analizę. Nie mniej i nie więcej.

Jak zwykle w takich sytuacjach przed moimi oczyma pojawiały się i znikwały pojedyncze obrazy oraz podobne urywkom filmów wizje. Te ostatnie koncentrowały się na postaci wysokiego, szczupłego mężczyzny w mundurze NKWD. Jego twarz wydawała mi się skądś znajoma, ale nijak nie mogłem sobie przypomnieć okoliczności, w jakich go spotkałem. Mężczyzna zbliżał się do mnie i oddalał, jego ruchy przypominały figury dziwnego tańca. Mimo koncentracji nie mogłem zobaczyć jego rąk. Wreszcie skojarzyłem: walka. Walczyliśmy. Ki czort?! Kim jest ten facet i dlaczego się z nim biję? Bo zdecydowanie nie wygląda to na trening...

Wreszcie ujrzałem jego ręce. Nie stosował żadnego konkretnego ułożenia dłoni, te były momentami zaciśnięte jak u boksera, aby po chwili otworzyć się, pozwalając mu uderzyć nadgarstkiem lub czubkami palców. Zawodowiec, psia jego mać! Nie czułem bólu, ale reakcja mojego przeciwnika pozwalała mi określić przebieg starcia. Nie ulegało wątpliwości, że przegrywam. Serie zadawanych z błyskawiczną szybkością ciosów szarpały moim ciałem, kilkakrotnie traciłem wroga z pola widzenia. Tak jakby ten rzucił mnie na ziemię. W końcu wszystko utonęło w morzu szkarłatu. Krzyknąłem, czując przeraźliwy ból, chciałem krzyknąć, ale jedynie zachłysnąłem się własną krwią. Ciekawe, czy to koniec wizji, czy koniec pułkownika Razumowskiego? Moja świadomość zgasła jak świeczka na wietrze. Odpływając w nicość, widziałem tylko czerni.



Gdzieś blisko kapała woda, krople padały z metalicznym pogłosem, który niebawem zamienił się w plusk. Znaczący nie zlew, raczej nieszczelna rura. Nic poważnego, bo wtedy wezwano by hydraulika, a nie podstawiono miskę czy wiadro.

Chciałem unieść powieki, ale te ciążyły mi jak kamienne płyty. Wyglądało na to, że

znajduję się w jakimś budynku, osłonięty przed wiatrem i chłodem, w pościeli: czułem, że moja skóra styka się z miękką tkaniną. Spróbowałem napiąć mięśnie, nie wyszło. Co, do cholery?! Chyba nie paraliż...?

– Leż spokojnie!

Znajomy głos: Lidia Zosimowna.

– Co ze mną? – wyszeptałem.

– Czort wie! Lekarze chcieli ci zrobić trepanację czaszki, ale ten twój Kotuszew nie pozwolił. Powiedział, że już kiedyś miałeś taki atak. No i przystawił chirurgowi pistolet do głowy...

– Dla...

– Dlaczego? Dostałeś krwotoku. Z ust, uszu i nosa, medycy nie wiedzieli, co się dzieje. Straciłeś ze dwa litry krwi. Nie cierpisz aby na hemofilię?

Przez chwilę przeżuwałem w sobie złość, wreszcie udało mi się otworzyć oczy.

– Nie!

Twarz Lidii Zosimowny była zamazana, tak jakbym oglądał ją przez grubą szybę. To akurat nic dziwnego – normalna reakcja organizmu. Potrzeba czasu, żeby wyłączone na dłuższy czas zmysły zaczęły działać jak należy.

– Co z albumem?

– Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

– Tak?

– To rzeczywiście szyfr, czy raczej rodzaj kodu. Nie ulega wątpliwości, że natrafiłeś na dokument, który może doprowadzić nas do archiwum Himmlera. Fotografie dobrano tak, że przedstawiają ten sam obiekt w kilku ujęciach. Po trzy, czasem cztery na jeden budynek albo bunkier. To na pewno nie przypadek.

– A zła?

– Zdjęcia zamieszczone w albumie wykonano w taki sposób, że nie ma na nich żadnych charakterystycznych detali. Nie sposób ich zidentyfikować bez dodatkowych wskazówek. A tych nie mamy...

– Niemożliwe! Budynki na fotografiach muszą mieć jakieś indywidualne cechy! Kolor czy faktura tynku, ilość pięter, może numer domu...

– Owszem, ale to nie wystarcza do identyfikacji. Zdjęcia przedstawiają także bunkry i elementy umocnień. Niemcy w całej Europie budowali identyczne...

– A rysunki? Czy one coś symbolizują?

– Być może. A może dodano je tylko dla niepoznaki. Specjaliści twierdzą, że wyglądają jak typowe bazgroły kilkulatki.

– Zygfyrd von Bredow rysował je razem z wnuczką.

– Możliwe, tylko co z tego? Ekspertyza wykazała, że istotnie dodał tu czy tam jakiś detal, ale większość jest autorstwa Klaudii.

– Może właśnie ten detal jest kluczem do szyfru?

– Wątpię. Na przykład w jednym miejscu domalował trawę. Po prostu poprawił to, co Klaudia zrobiła niedbale. O, tutaj. – Lidia Zosimowna zademonstrowała zdjęcie.

Zmrużyłem z wysiłkiem oczy: rysunek przedstawiał stóg siana. A może pagórek porośnięty trawą?

– I tu.

Na kolejnej fotografii widać było jakieś zwierzę z rogami – wszelkie detale autor potraktował z isticie artystyczną nonszalancją, inna przedstawiała leżącego na trawie człowieka. No, powiedzmy: istotę człękoksztalną...

– Więc nie ma żadnej nadziei?

– Niezupełnie. Zygfryd nie był fachowcem, to, co zrobił, to tylko prowizorka. Pewnie nasi fachowcy rozkodują jeśli nie cały album, to przynajmniej niektóre elementy, problem w tym, że zabierze to przynajmniej kilka miesięcy, a nie mamy tyle czasu. Nie tylko my szukamy archiwum...

Przygryzłem wargi: no tak, ścigamy się z sojusznikami i towarzyszem Berią.

– Inga von Bredow to nasza jedyna szansa – kontynuowała Lidia Zosimowna. – Figuruje na większości fotografii. Musisz uzyskać jej pomoc.

– Kiedy ona niczego nie kojarzy! Wie jedynie, że zdjęcia zrobiono pod koniec zeszłego roku. To, co znajduje się w albumie, to tylko niewielki procent, podobno Zygfryd zrobił ich parę tysięcy! Większość w miejscach, które odwiedziła pierwszy i ostatni raz w życiu! Jeśli dobrał budowle bez charakterystycznych cech...

– A jednak zostawił je w określonym celu. I właśnie jej, nikomu innemu – podkreśliła Lidia Zosimowna.

– Być może liczył na to, że prędzej czy później wywołają konkretne skojarzenia.

– Nie możemy czekać!

– Co zrobimy?

– Nie mamy wyboru, jak tylko wydobrejesz, wrócisz do Breslau i postarasz się wyciągnąć coś z Ingi. I będziemy się modlić, żeby wyprzedzić Bериę...

– Wiadomo coś na temat działań Genkoma?

– Od czasu do czasu dochodzą nas jakieś pogłoski – przyznała niechętnie Lidia Zosimowna.

No tak, trudno wymagać, aby ktoś z *wojennej rozwiadki* przyznał, że mamy swoich ludzi w szeregach bratniej służby. Przecież NKWD to tarcza i miecz proletariatu...

– Jakie? – spytałem bez ogródek.

– Podobno esesmani, których dorwali ludzie Berii, niewiele wiedzą. Co prawda brali udział w ukrywaniu archiwum, ale za każdym razem trasę od punktu wyjściowego do miejsca, gdzie umieszczano konkretny zbiór dokumentów, dzielono na szereg etapów, a ich samych na grupy. Każdy zespół zabezpieczał tylko pewien odcinek, a dokumenty ukrywał osobiście Zygfryd von Bredow w asyście kilku zaufanych Himmlera i dwóch czy trzech więźniów. Ci ostatni zostali później

rozstrzelani...

– Udało się ustalić personalia tych ludzi Himmlera?

– Nie, esesmani nie potrafią ich nawet opisać: ostatni etap trasy konwój zawsze przebywał w nocy, a eskorta nie miała prawa śledzić drogi ani zbliżyć się do ciężarówki von Bredowa. Wiadomo tylko, że tamci byli w długich płaszczach z postawionymi kołnierzami i w kapeluszach naciśniętych na oczy. Także kierowcy nie służyli w SS. Całkiem możliwe, że i ich później zlikwidowano. Zresztą kto wie? Może i von Bredowa nie zabiły wcale amerykańskie bomby? Widać, że ktoś bardzo chce, żeby archiwum pozostało w ukryciu...

– Cóż, przynajmniej tyle dobrego – zauważyłem. – Znaczy nie musimy przejmować się Berią.

– Nie byłabym taka pewna – mruknęła Lidia Zosimowna.

– Nie rozumiem?

– Genkom chce za wszelką cenę zdyskredytować *wojennuju razwiedku* i ciebie osobiście. Chyba uważa, że ma z nami niezalutwowane porachunki. Kto wie co teraz zrobi? Gdzie gwarancja, że nie posunie się do ostateczności?

Zakląłem gniewnie: znałem na tyle Generalnego Komisarza, aby wiedzieć, że Lidia Zosimowna może mieć rację. Wśród wszystkich wad Ławrentija Pawłowicza Berii niepoślednie miejsce zajmowała paranoja. Jeśli doszedł do wniosku, że mu zagrażam, uczyni wszystko, aby się mnie pozbyć. Znaczy pozbyć na zawsze, półśrodki nie wchodziły w rachubę: cmentarze pełne były wrogów Berii albo tych, których Genkom uznał za wrogów.

– Dopóki trwa oblężenie Breslau, jestem względnie bezpieczny – powiedziałem wreszcie. – Tam mnie nie dostanie, a i tutaj, u Głuzdowskiego, raczej nie będzie ryzykował. Co innego później...

– Oby – westchnęła Lidia Zosimowna. – Oby. A teraz śpij, potrzeba ci sił, jutro, a najdalej pojutrze musisz być z powrotem w mieście.

Posłusznie zamknąłem oczy, rzeczywiście muszę odpocząć. Ostatnia wizja przywiodła mnie na skraj wyczerpania. Chyba trzeba będzie zawiesić na jakiś czas zabawy z oddechem, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.



Zmiałem w pięści kartkę, pstryknąłem zdobyczną niemiecką zapalniczką, po czym rzuciłem płonący papier na cynowy talerz zastępujący Witii popielniczkę. Odruch, bo przecież epistoła nie zawierała bynajmniej niczego nadzwyczajnego: ot, kolejny list do anonimowego obrońcy ojczyzny. Tyle że przepisy wymagały, abym zapoznał się

z pocztą i pokwitował to w dzienniku oficera dyżurnego. Co prawda upoważniłem Witkę Potapowa do przeglądania mojej korespondencji, ale nikt nie pozwoliłby mi się za mnie podpisać. Czasem poczta zawierała materiały, od których mogło zależeć czyjeś życie, i każdy oficer dyżurny wiedział, że jakby co, w pierwszej kolejności zostaną sprawdzone procedury. *Cóż, prikaz to prikaz...*

Z westchnieniem sięgnąłem po drugi list. Jego treść była równie banalna, tyle że tym razem zaadresowano go bezpośrednio do mnie. Zmarszczyłem brwi, w postscriptum autorka, niejaka Wiera Sawicka, przesyłała mi pozdrowienia w imieniu własnym i naszego wspólnego znajomego Mumtaza Mahalewicza. Sęk w tym, że oba nazwiska nic mi nie mówiły. Ki czort? Czyżby jakaś pomyłka? Ech, też mi problem. Podpisałem się zamasyście, kwitując odbiór obu przesyłek, i nadusiłem przycisk zapalniczki. Ułamek sekundy później rzuciłem się tłumić ogień gołymi rękoma. Zapach... Papier, na którym napisano list, pachniał perfumami Shalimar. Jaques Guerlain stworzył go zainspirowany historią miłości cesarza Szahdżahana, który poznał swoją wybrankę w ogrodach Shalimar. Ta po ślubie zmieniła imię na Malika-i-Dżahan Mumtaz-i-Mahal. Stąd i mój znajomy Mumtaz Mahalewicz... Olga! List był od Olgi Majkowskiej.

Jednym skokiem dopadłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Co prawda nie sądziłem, żeby mi ktoś przeszkadzał, ale lepiej się zabezpieczyć: korzystałem z pokoju Witki Potapowa.

Rozłożyłem list, powąchałem – bez wątpienia Shalimar. Na osmalonej z lekka kartce pojawiły się brązowe litery: atrament sympatyczny. Zapewne sporządzony z tego, co Olga miała pod ręką. Cud, że cenzura nie zauważyła! Z drugiej strony Majko znał się na rzeczy i mógł podsunąć córce w miarę bezpieczny środek. Na pewno nie sok z cytryny, bo pozostałby zapach, i nie mleko, bo wyczułbym pod palcami lekkie wypukłości. Tak, to musiało być coś innego. Tylko dlaczego Olga ryzykowała, narażając i mnie, i siebie? Przecież wiedziała, że po aferze z kursantami Smiersza znajduje się w ścisłej czołówce poszukiwanych przez NKWD...

Zapaliłem świecę i ostrożnie umieściłem list nad płomieniem. Stopniowo pomiędzy linijkami zapisanymi niebieskim atramentem pojawiał się drugi tekst.

Kochany!

To mój pierwszy i ostatni list do Ciebie. Piszę go w wiosce Filipowo, niedaleko Władywostoku. Jest noc, na niebie gwiazdy, tyle gwiazd... Tak, odzyskałam wzrok. Szkoda, że nie wcześniej, chciałabym choć raz Cię ujrzeć. Ścigają nas czekiści, pieniądze się skończyły, nie mamy już gdzie uciekać. Nie mamy i sił na ucieczkę. Jestem śmiertelnie zmęczona, przez ostatnie tygodnie nie przespaliśmy spokojnie nawet kilku godzin. Ojciec jest ranny, mamy broń, ale tylko garść nabojów. Wiem, że

przyjdą po nas nad ranem. Pościgiem dowodzi dwóch oficerów: jeden przypomina Świętego Mikołaja, drugi wygląda jak wyciosany z granitu. Podobno to najlepsi ludzie Berii. Strzeż się ich! To właśnie ten gruby omal nie zabił ojca. Być może podejrzewają, że pomogłeś nam w ucieczce, ale nie mają żadnych dowodów. I nie będą mieli. Kocham Cię.

Olga

Nie wiem, jak długo siedziałem, wpatrując się w osmaloną kartkę papieru. Słyszałem szum krwi w uszach, czułem ból zaciśniętych kurczowo pięści. Olga... Wiedziałem, że nie żyje, podobnie jak jej ojciec: list nosił datę sprzed dwóch miesięcy. Gdyby ludzie Berii dostali ich żywcem, już dawno przyszliby po mnie.

Nigdy nie będę miał pewności, jak zginęła. Może przystawiła sobie pistolet do skroni, a może zrobił to jej ojciec? Albo specjalnie wystawili się na ogień czekistów... Olga. Tylu rzeczy o niej nie wiedziałem. Nie zdążyłem spytać. A teraz już za późno...

Ponownie użyłem zapalniczki, odczekałem, aż papier zamieni się w popiół, przesiałem jeszcze gorący między palcami. Byłem jak odrętwiały, władzę przejęła moja podświadomość, bazując na wytrenowanych przez lata odruchach. Priorytetem była troska o bezpieczeństwo i zniszczenie wszystkiego, co mogłoby posłużyć jako dowód przeciwko mnie. Dlatego spaliłem ostatnią rzecz, jakiej dotykały dłonie Olgi. Zanim zdążyłem pomyśleć.

Podszedłem do lustra. Nie żeby było co podziwiać: poszarzała cera, worki pod oczyma, nalane krwią źrenice. Oj, nie wyszły mi na zdrowie praktyki Doskonałych... Przez dłuższą chwilę szukałem oznak szoku, żalu, jakichkolwiek emocji. Nie znalazłem. Rysy widzianej w lustrze twarzy wyrażały jedynie lekkie znużenie. Nic więcej. Kolejny odruch. Moje mięśnie automatycznie rozluźniały się w chwili stresu, maskując prawdziwe uczucia. Tylko w oczach dostrzegłem coś, czego bałem się nazwać, zbyt przypominało bunt. W mojej firmie nikt się nie buntuje, nikt nie odmawia pracy. Każda funkcja jest dożywotnia. Dosłownie.

Przekręciłem klucz w zamku, gwałtownym szarpnięciem otworzyłem drzwi.

– Witka! – zawołałem. – Leć po Lidię Zosimownę!

Chłopak bez słowa skinął głową i zerwał się do biegu. Widać wyczuł, że nie żartuję. Nic tu po mnie, czas wracać do Breslau...



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z za okna dochodził ogłuszający huk: nasi ponownie szturmowali miasto. Wczoraj zdobyli lotnisko, teraz miał miejsce chyba największy od początku walk nalot. Wiedziałem, że bierze w nim udział ponad siedemset samolotów. Mimo to wątpiłem, czy Breslau padnie: Głuzdowski miał zbyt małe siły, aby przełamać obronę – garnizon miasta liczył przynajmniej sześćdziesiąt, a może nawet osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Prawda, że sporą część tej liczby stanowił Volkssturm i jednostki o niepełnej sprawności bojowej, ale Niemcy walczyli na swoim terenie, znali każdą uliczkę i zaułek. Nie, jeszcze mam trochę czasu...

Oparłem czoło o spotniałą szybę, szkło przyjemnie chłodziło rozpaloną głowę. Nie jadłem nic od południa – zaraz po powrocie do Breslau zameldowałem się w sztabie, skąd wypuszczono mnie dopiero pod wieczór – ale nie czułem głodu. Wzdrygnąłem się, kiedy blask płonącego nieopodal budynku oświetlił na moment moje okno: na szybie widniało słowo „Olga”. Napisane cyrylicą... Dopiero po dłuższej chwili zdecydowałem się je zmasać. W podjęciu decyzji pomogło mi szybkie, niecierpliwe pukanie. Ani chybi Inga. Powinienem się cieszyć, że sama szuka ze mną kontaktu, ale wizyta *Frau von Bredow* była ostatnią rzeczą, na którą miałem teraz ochotę.

Rzuciła mi się na szyję, ledwo otworzyłem drzwi.

– Aleks, kochany – wyszeptła.

Nie objąłem jej, nie mogłem. Stałem z opuszczonymi rękoma, bezradny, nie wiedząc, co robić. Ot, as wywiadu...

– Nic ci nie jest? – spytała z niepokojem, przesuwając dłońmi po moich ramionach.

– Nic specjalnego – odpowiedziałem apatycznie. – To tylko wyczerpanie.

Inga poprawiła zasłony i zapaliła lampę naftową. Zasłoniłem twarz, wiedziałem, że mój kamuflaż tym razem nie zadziała: zmęczenie materiału. Pod palcami czułem drgające mięśnie.

– Aleks!

Inga przytuliła mnie łagodnym gestem i zaczęła głaskać jak skrzywdzone dziecko. Jej dotyk, zapach, obecność dawały poczucie bezpieczeństwa, kruszyły mury, którymi się otoczyłem. To tylko Szwabka, wróg, pomyślałem z rozpaczą. Obrzucałem ją w myślach najgorszymi przekleństwami, usiłując opanować emocje. Nie pomagało. Kiedy w końcu byłem w stanie się od niej odsunąć, bluzka Ingi była mokra od łez. Moich łez. Opłakiwałem Olgę w objęciach kobiety, która natychmiast wydałaby mnie Gestapo, gdyby tylko wiedziała, kim naprawdę jestem...

– Powiesz mi, co się stało?

– Tam, po drugiej stronie, dowiedziałem się, że zginęła bliska mi osoba.

– Kobieta?

– Kobieta – przytaknąłem.

Przychodzi czas, że każdy, nawet najlepiej wyszkolony szpieg nie ma siły kłamać. Umysł i nerwy wypalone do cna nieustannym napięciem odmawiają posłuszeństwa. To była taka chwila.

– Jak się nazywała?

– To nie ma znaczenia.

– Ma. Powiedz na głos jej imię.

– Olga Majkowska – odparłem posłusznie.

– Kochałeś ją?

– Ja... nie wiem.

– Co się stało?

– Zabili ją komuniści.

– Chodźmy do łóżka – zdecydowała po chwili milczenia. – Tylko się przytulimy – dodała, widząc mój wzrok. – Jesteś zziębnięty.

Wzruszyłem ramionami. Zziębnięty? Możliwe, nie czułem chłodu. Pozwoliłem się rozebrać i ułożyć w pościeli. Spodziewałem się bezsennej nocy albo przynajmniej koszmarów, ale nie wiedzieć dlaczego, sen spadł na mnie, kiedy tylko poczułem ciepło ciała obejmującej mnie Ingi.



Komisarz Witte położył przede mną trzy teczki personalne. Świetnie, znaczy odrobił

lekcje. Zerknąłem na nagłówki: Alois Ledermuller, Heinrich Pratzke i Maks Radett. Trzej esesmani, którzy szukali wiedzy na temat starogermańskich praktyk. Cóż, zawsze to jakiś punkt zaczepienia.

– To wszyscy? – spytałem.

– Niezupełnie, ale dwóch innych wyeliminowałem: jeden został uznany za zaginionego, prawdopodobnie dostał się do rosyjskiej niewoli, a drugi poległ zaraz po zamknięciu okrażenia.

– A ten, jak mu tam? Falke? Też interesował się pogańskimi rytuałami?

– Nie, i nie zdołałem ustalić, czy znał bliżej naszą trójkę. Dopiero na początku roku został przeniesiony do Breslau, wcześniej służył na froncie wschodnim.

– To po cholere go zabili? Jeśli to oni?

– Może coś zauważył? – odparł niepewnie policjant. – Nawet teraz esesmani trzymają się razem, pewnie gdzieś się widywali. Choćby w jakiejś knajpie.

Uniosłem z niedowierzaniem brwi. Knajpy? Dobre sobie! Życie towarzyskie w Breslau już dawno przeniosło się do piwnic. A i sytuacja z jedzeniem czy alkoholem nie była najlepsza, co prawda miasto jeszcze nie cierpiało głodu, ale niewiele do tego brakowało. Na wszelkie ponadnormatywne dobra patrzono podejrzliwie, i nie bez powodu – większość z nich pochodziła z czarnego rynku.

– Dwa miesiące temu działały jeszcze niektóre piwiarnie, a nawet kilka kawiarni – zapewnił mnie Witte. – Trzeba też wziąć pod uwagę miejsca nieformalnych spotkań. Jeśli to jakaś sekta...

– No dobrze – mruknąłem. – Zbadamy to. A co z tą drugą sprawą? Znalazł pan von Ziethena?

– Jeszcze nie, ale można powiedzieć, że natrafiłem na pewien trop.

– A konkretnie?

– Otrzymałem informację, że na przełomie listopada i grudnia zeszłego roku do miasta przybył niejaki signor Wertelli. Najwyraźniej nie brakowało mu pieniędzy, bo zatrzymał się w najlepszym hotelu. Jedna z pokojówek go pamięta... – zawiesił głos.

Westchnąłem głęboko: komisarz najwyraźniej czekał na pochwały i wyrazy podziwu. Tyle że nie byłem w nastroju. Nie dzisiaj.

– Czy to aby ten? – Uniosłem sceptycznie brwi.

– Cytuję z protokołu: „Starszy pan wyglądający na jakieś siedemdziesiąt lat, poruszający się o kulach” – wycedził policjant.

– Być może to on – przyznałem powściągliwie. – Udało się panu ustalić coś jeszcze?

– Owszem.

– Komisarzu, na litość boską...

Nieoczekiwanie Witte roześmiał się, jego twarz na moment straciła surowy wyraz. No ładnie: jamnik w figlarnym nastroju...

– Signor Wertelli został ranny w czasie nalotu i zalecono mu pływanie. W ramach rehabilitacji. Codziennie odwiedzał zakład kąpielowy na Zwingerstrasse.

– Co to za zakład?

– Chce go pan obejrzyć? Basen, z którego korzystał Wertelli, znajduje się w dość charakterystycznym budynku, ozdobionym różnego rodzaju ornamentami i płaskorzeźbami. Podobno część z nich ma znaczenie okultystyczne. – Wzruszył obojętnie ramionami.

– Rozmawiał pan z personelem?

– Jeszcze nie. Ale jeśli panu na tym zależy...

– Sam się tam przejdę – zapewniłem. – To chyba niedaleko?

– No, nie tak znowu blisko, ale samochodem z Salzstrasse nie więcej niż kwadrans.

– Dobrze, jeszcze jedna sprawa: Inga von Bredow. Obiecał pan pokazać jej zdjęcia miejscowych rzezimieszków.

– Pamiętam. Specjalnie odłożyłem dwa albumy z fotografiami osób zajmujących się nielegalnym handlem. Jeśli mężczyźni, którzy ją napadli, mają cokolwiek wspólnego z czarnym rynkiem, znajdziemy ich – zapewnił.

– Mogę zabrać akta tej trójki? – Wskazałem teczki personalne.

– Oczywiście, to tylko kopie.

– A co z tą dziewczyną, która chciała, żebym ją zapłodnił? Przesłuchał ją pan?

– Owszem – stwierdził policjant z kwaśną miną. – Przesłuchałem. Tyle że ona raczej nie ma nic wspólnego z całą sprawą, choć kontaktowała się z Radettem, a być może i pozostałą dwójką podejrzanych.

– Być może? Nie sądzi pan, że trzeba by to wyjaśnić?

– Nie sądzę – odburknął. – To idiotka. Chciała, żeby ci esesmani ją zapłodnili, to wszystko. Rozpoznała na zdjęciu Radetta, co do innych nie była pewna. Rozumie pan: nie była najtrzeźwiejsza, kiedy z nimi rozmawiała.

– Domyślam się, że skoro zwróciła się do mnie, nasi czyści rasowo wojownicy z SS nie okazali się najlepszymi rozplodowcami, jednak...

– Do niczego nie doszło – przerwał mi Witte. – Oni odrzucili propozycję *Fräulein Fichte*.

– Co takiego?!

– Jej dziadkiem był Polak, niejaki Obalinsky. Esesmani uznali ją za niegodną tego, ekhmm... zaszczytu.

– Znacząca dziewczyna chciała mnie wykorzystać, nie informując przy tym, że jest niepełnowartościowa rasowo? – spytałem z mimowolnym rozbawieniem.

– Na to wygląda.

– I wierz tu takiej...

– Co zrobimy z tą trójką? – wrócił do tematu komisarz.

– To zależy, jakie dostanę instrukcje.

– Nie rozumiem? Pułkownik Krebs zapewne zażąda od nas dowodów winy, tak jak w sprawie przekrętów z lekami.

– Nie jestem pewien, czy jego zdanie będzie miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie – odparłem spokojnie. – W sztabie poinformowano mnie, że nasilają się protesty przeciwko wysadzaniu domów. Teraz doszła jeszcze ta sprawa z Kaiserstrasse...

– Jaka, do licha, sprawa?!

– Nie słyszał pan? Ruscy zdobyli lotnisko, więc władze zdecydowały o wyburzeniu całej ulicy. Będziemy budować nowy pas startowy.

Witte zacisnął usta, obaj wiedzieliśmy, czym to się skończy: do budowy prowizorycznego lotniska zostaną skierowani robotnicy przymusowi i wszyscy zdolni do pracy mieszkańcy Breslau powyżej dwunastu lat. Bez lotniska miasto skazane jest na zagładę. A Rosjanie postarają się, żeby nie było to zbyt łatwe. Biorąc pod uwagę, że Luftwaffe od dawna nie potrafiła zapewnić skutecznej osłony powietrznej, nie ulega wątpliwości, że całe przedsięwzięcie zakończy się masakrą bezbronnych cywilów. Cóż, teraz to niemieckie dzieciaki będą kulić się ze strachu, słysząc nadlatujące samoloty...

– Co to ma wspólnego z naszym problemem?

– Podobno ostrzelano siedzibę NSDAP – poinformowałem. – W robocie była broń maszynowa i panzerfausty – dodałem przyciszonym głosem. – Ludzie mają dosyć tego oblężenia, Breslau przypomina beczkę prochu, wystarczy iskra... – zawiesiłem wymownie głos. – Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby zdecydowano o definitywnym rozwiązaniu kwestii tych morderstw. Bez zwracania uwagi na formalności...

– Myśli pan, że ich tak, po prostu... – tym razem to policjant nie dokończył zdania.

– Całkiem możliwe.

Witte spojrział na mnie z niepokojem: świetnie zdawał sobie sprawę, że w razie czego to właśnie ja zajmę się likwidacją esesmanów. Kto wie? Może nawet martwił się o mnie, spodziewając się, że jestem rozdarty między poczuciem obowiązku a wyrzutami sumienia? Ta myśl wydała mi się tak zabawna, że mało nie parsknąłem śmiechem. Ciekawe, co by zrobił, gdybym poklepał go po ramieniu i oświadczył, że jakby co, zabiję ich nie tylko bez wahania, ale i z przyjemnością? Zamaskowałem rozbawienie atakiem kaszlu i pożegnałem się z komisarzem. Czas był wracać do domu. Do Ingi. Miałem nadzieję, że mój nocny występ nie spowoduje problemów w naszych relacjach. Dziś byłem w dużo lepszym nastroju, jedynym następstwem wczorajszego załamania była huśtawka emocjonalna. Czułem się niczym baba w ciąży. Jak one to wytrzymują?



Pocałowałem ją delikatnie w policzek, rezygnując z bardziej zdecydowanych sposobów okazywania uczuć. Nie wiedziałem, jak zareaguje, więc na wszelki wypadek wolałem zachować ostrożność, być może przesadną: zbliżałem się do Ingi jak do miny z opóźnionym zapłonem. *Frau* von Bredow nie była tak powściągliwa – objęła mnie i pocałowała w usta. Cóż, dobrze, że Horst jest w koszarach, sytuacja była nieco niezręczna...

– A ja? – tupnęła nogą Klaudia. – Kiedy dostanę buziaka?

Po chwili wycałowałem i drugą z pań von Bredow, po czym podrzuciłem dziewczynkę w powietrze, udając, że chcę ją upuścić.

– Jeszcze! Jeszcze! – domagała się, chichocząc.

– Jak się czujesz? – spytała cicho Inga.

Widząc, że zabawa się skończyła, Klaudia pomaszerowała do swojego pokoju z mocno naburmuszoną miną.

– W porządku – odparłem, odwracając wzrok.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie będzie – powiedziałem ostro. – Jestem żołnierzem, pamiętasz? Nie pierwszy raz ginie ktoś mi bliski.

Przez chwilę wyglądało, jakby Inga chciała kontynuować dyskusję, ale w końcu pogłodziła mnie tylko po policzku i wyszła do przedpokoju.

– Wybierasz się gdzieś? – zdziwiłem się, widząc, że wkłada buty.

– Obowiązkowe zebranie lokatorów – wyjaśniła. – Zapomniałam cię uprzedzić. Alarmy przeciwlotnicze, zasady postępowania w razie pożaru i takie tam... Ale dobrze, że zaszedłeś, przypilnujesz małej. Chyba że nie masz czasu?

– Przypilnuję – odburknąłem.

– Gdybym długo nie wracała, zupa jest na kuchni. I nie daj się naciągnąć Klaudii na czekoladę, dostała już dzisiaj swoją porcję.

– Nie ma obawy – zapewniłem. – Jakby co, wlepię jej klapsa, zanim zdąży wymówić słowo „czekolada”.

Spodziewałem się kolejnego wykładu na temat nowoczesnego i – jakżeby inaczej! – bezklapsowego wychowania dzieci, ale moja sąsiadka jedynie przewróciła oczyma. Widać nie obawiała się specjalnie, że wprowadzę swoje groźby w czyn.

– Pobawimy się?

Klaudia pojawiła się niczym dzinn z butelki, ledwo zamknąłem za Ingą drzwi, i energicznie pociągnęła mnie za rękę. Wyszczrzyłem groźnie zęby. Jeszcze czego! Niech się smarkuła zajmie lalkami czy tym, co robią dzieciaki w jej wieku!

– Wyglądasz jak wilk – stwierdziła dziewczynka. – Zagryziesz mnie? – spytała z nadzieją w głosie.

Warknąłem. Mała zapiszczała radośnie i rzuciła się do ucieczki. Cóż było robić? Pobiegnę za nią...



Spojrzałem na zegarek: dochodziła szesnasta, Ingi nie było już ponad dwie godziny. Co oni tam, do cholery, robią na tym zebraniu? Wyznaczają sektory ostrzału dla artylerii przeciwlotniczej? Nie żebym się specjalnie dziwił, takie imprezy przyciągają różnej maści dupków, szczególnie tych z kompleksem oratora. Ci zaś uwielbiają sytuacje, kiedy mogą przemawiać, a publika nie ma gdzie uciekać...

– Jestem głodna – oznajmiła Klaudia.

Westchnąłem ciężko: nie dość, że niańka, to jeszcze i kucharka. Pułkownik Razumowski w roli dzielnej pani domu. Nic, tylko sprzedawać bilety, jak na seans cyrkowy. Sukces przedstawienia gwarantowany.

Pomaszerowałem do kuchni, podpaliłem pod zupą. Po krótkich poszukiwaniach udało mi się znaleźć jakieś naczynia.

– Zupę je się w talerzach, a to są miski – poinformowała mnie pobłażliwym tonem dziewczynka.

– Nie szkodzi, dzisiaj zjemy w nich zupę – oświadczyłem kategorycznie.

– Mama mówi, że z misek jedzą tylko świnki...

– Więc zjemy jak dwa wieprzki.

– Będziemy je wylizywać jak prosiaczki? – ożywiła się mała.

– Nie widzę problemu.

– Ja lubię wylizywać talerze, ale mama mi nie pozwala. Krzyczy, że to nieku... niekultu...

– Niekulturalnie – pomogłem.

– No! I buzia się brudzi.

– Buzię umyjemy, a jak oboje będziemy wylizywać, to nikt nie będzie mógł powiedzieć, że drugie było niekulturalne.

Klaudia zastanawiała się przez moment, po czym stanowczo skinęła głową, najwyraźniej zgadzając się w pełni z moim rozumowaniem.

– Lubię cię, wiesz? – powiedziała, przytulając się do mnie niespodziewanie.

– Siadaj do stołu – mruknąłem.

– Będę mogła później porysować?

– Jak wszystko ładnie zjesz – zastrzegłem.

Po chorobie Klaudia nie wykazywała specjalnego zainteresowania posiłkami. Chyba że chodziło o czekoladę...

– No to nalewaj – ponagliła niecierpliwie.

Sprawdziłem, czy zupa nie jest zbyt gorąca, i rozlałem ją do misek. Zapachniało

grzybami i lasem. Cokolwiek by mówić, Inga była doskonałą kucharką.

– Mama też czasem wsadza palec do jedzenia i oblizuje – poinformowała mnie mała. – Ale tylko jak nikt nie widzi...

– Nie zrobiłem tego dla przyjemności – odparłem urażony. – Kontrolowałem temperaturę, bo nie chciałem, żeby ktoś oparzył sobie język.

– A ja mogę? Bo mama mi nie pozwala – dodała z wyraźnym żalem.

– Jak zjesz połowę.

Panienka von Bredow zaczęła operować łyżką z dużo większym zdecydowaniem i po chwili spojrzała na mnie prosząco.

– No dobrze – przyzwoliłem.

Dziewczynka z namaszczeniem zamoczyła kciuk w zupie, po czym z zadowoleniem go oblizwała.

– To prawie tak fajne jak jedzenie czekolady – przyznała.

– Teraz reszta i wylizywanie misek – zarządziłem.

Trzeba przyznać, że nie musiałem długo czekać na wykonanie polecenia: Klaudia zabrała się do rzeczy z prawdziwym entuzjazmem. Gdybym go w porę nie pohamował, zapewne następnym punktem programu byłaby kąpiel.

– Jeszcze nie skończyłam – zaprotestowała, kiedy prowadziłem ją do łazienki.

– Trudno, czasem trzeba się poświęcić – uciałem stanowczo. – Wystarczy, że masz zupę na buzi, wylewanie resztek na głowę to już przesada.

– To co, porysujemy? – spytała, kiedy skończyliśmy ablucje.

– My? Chyba żartujesz?

– A kto mi będzie malował trawę?

– Sama nie potrafisz?

– Mogę spróbować, ale dziadek zawsze mi pomagał.

Ponownie sprawdziłem, która godzina: było już wpół do piątej. W co ja się wpakowałem? I gdzie podziewa się Inga? Przecież ta smarkuła mnie wykończy...

– Zobaczmy, jak ci wyjdzie – stwierdziłem wykrętnie.

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, dziewczynka pobiegła po kredki. Położyłem na stole kilka kartek, po czym wyciągnąłem się na kanapie, uznawszy, że równie dobrze mogę pilnować małej w tej pozycji. Na szczęście rysowanie pochłonęło ją całkowicie i przez dłuższy czas milczała. Błogą ciszę przerywało tylko skrzypienie kredek i szelest papieru.

– Zobacz! – powiedziała, wyrywając mnie z półsnu.

– Co takiego? – Zamrugąłem zaskoczony.

– Mój rysunek – oznajmiła dumnie Klaudia. – To zielona góra. Ładna, prawda? Chociaż ta w albumie jest ładniejsza, bo dziadek pomógł mi kolorować.

– Przypomina kopiec siana – zauważyłem, ziewając.

– Nie, to góra! Zielona. Tak mówił dziadek! A siano jest żółte!

– No, może – przyznałem zgodnie. – Niech będzie: góra.

Nagle zerwałem się z kanapy, popędziłem po album. Razumowski, ty idioto! Przecież mała przekazuje słowa Zygfyda! To nie zielona góra, tylko Zielona Góra: Grünberg! Trzęsącymi się z emocji dłońmi przekartkowałem album: pod niemal identycznym rysunkiem widniało kilkanaście fotografii budynków. Teraz wszystko jasne! Rysunek oznacza konkretne miejsce: miasto, poligon, rejon umocniony, czy co tam jeszcze odwiedzał Zygfryd von Bredow. Zdjęcia precyzują, gdzie ukryto dokumenty. Teraz, kiedy wiem już, że część z nich schowana jest w Grünbergu, wystarczy porównać fotki z zabudową miasta. Dom po domu. Cholera! Tylko o który Grünberg chodzi? Ten pobliski, na Śląsku? A może jakiś inny, w głębi Niemiec? O ile pamiętałem, nazywano tak też dzielnicę jakiegoś szwabskiego miasta. Szlag!

– I co? Ładnie narysowałam? – upomniała się o pochwałę Klaudia.

– Ślicznie!

– Mogę czekolady w nagrodę? – spytała chytrze.

– Dwie kostki, nie więcej – odparłem z roztargnieniem.

Przeglądałem album w poszukiwaniu symboli, które skojarzą mi się z jakimś miejscem. Bez specjalnego skutku: wyglądało na to, że tylko autorka rysunków wiedziała, co przedstawiały. No i Zygfryd, ale ten nic mi już nie powie...

Dalsze rozmyślenia przerwał mi zgrzyt klucza w zamku: Inga wróciła. Dzięki Bogu, że nie wcześniej, bo pewnie nigdy nie odkryłbym sekretu Zygfyda.

– Przepraszam, kochanie – powiedziała od progu. – Zebranie się przeciągnęło, a później zasłabła *Frau Fichte*, wiesz, babcia tej dziewczyny, która cię zaczepiała, i musiałam się nią zająć. Bo panna Amelia jak zwykle hula gdzieś poza domem.

– W porządku. – Machnąłem ręką. – Nic się nie stało.

– Zjedliście obiad? Klaudia była grzeczna?

– Zjadłam wszystko i wylizałam miskę – pochwaliła się dziewczynka. – I moczyłam palec w zupie. A później Aleks mył mi buzię i dał czekoladę...

Inga spojrzała na mnie ze zdziwieniem, uniosła brwi, widząc, że przeglądam album. Przyłożyłem palec do ust i ruchem głowy wskazałem dziecko.

– Później – szepnąłem bezgłośnie.

Posadziłem Klaudię obok siebie i włożyłem jej w ręce album.

– Pokaż mi swoje rysunki – poprosiłem.

Dziewczynka posłusznie przewróciła kilka stron.

– Ten już widziałeś, to zielona góra – powiedziała.

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– A ten tutaj? – Wskazałem leżącego na trawie człowieka.

– Ludzik – zachichotała.

– Jak on się nazywa?

– Nijak. – Klaudia wzruszyła ramionami. – Ale możemy go nazwać.

– Może innym razem – powiedziałem szybko.

Kolejny bohomaz przedstawiał ni to ptaka, ni to samolot ponad zielono-czerwoną paćką. Czerwone kwiaty? A może bombardowana łąka? Cóż, zobaczymy, co powie artystka?

Jednak Klaudia nie zaszczyciła rysunku nawet jednym spojrzeniem i przewróciła kartkę. Zacisnąłem zęby: spokojnie, tylko spokojnie...

– A to jest jeleń – pokazała.

Rzeczywiście, niedbały ołówkowy szkic przedstawiał jakieś bydlę z rogami. Pod kopytami stwora widniała zielona plama. Ani chybi trawa. Jeszcze trochę i stanę się światowej klasy ekspertem w zakresie interpretacji twórczości Klaudii von Bredow.

– Jesteś pewna? – spytałem z powątpiewaniem.

– Tak! To jeleń!

Hmm... pomyślmy: jeleń to po niemiecku *Hirsch*. Na rysunku co prawda nie widać żadnej góry, ale może chodzi o Hirschberg? I znowu pytanie – jeśli nawet, to o który Hirschberg? Bo jest więcej niż jeden.

– Dziadek mówił, że to jeleń? – upewniła się Inga.

– Nie pamiętam – ziewnęła Klaudia. – Chce mi się spać. Jak się położę, to poczytasz mi bajkę, mamusiu?

– Aleks? – Inga scedowała decyzję na mnie.

– Niech idzie spać – postanowiłem. – Pewnie jest zmęczona. Później porozmawiamy.



Zaciągnąłem się papierosem, nie czując smaku tytoniu. Mimo że wieczór był chłodny – jak zwykle wyszedłem palić na podwórko – stałem w rozpiętym płaszczu. Nadnercza pompowały do krwi adrenalinę, dużo adrenaliny. Wiedziałem, że odkryłem sekret notatek Zygryda von Bredow, choć musiałem jeszcze wyjaśnić kilka detali.

Rozmyślania przerwał mi pospieszny stukot obcasów. Ciekawe, kto o tej porze wraca do domu? Nocne życie w Breslau nie istniało. Ci, którzy nie musieli siedzieć w okopach albo gruzowiskach na linii frontu, spędzali wolny czas z bliskimi. Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, że podobna okazja może się nie nadarzyć...

Poznałem ją, dopiero kiedy znalazła się tuż obok: obowiązywało zaciemnienie. Panienska Fichte.

– Poczekaj! – powiedziałem ostro. – Musimy porozmawiać.

Przystanęła posłusznie, ale kiedy schyliłem się, żeby zgasić papierosa, znienacka zanurkowała w bramę. Zwariowała dziewczucha czy co? Złapałem ją za włosy,

powaliłem kopnięciem pod kolano.

– Jestem oficerem do zadań specjalnych komendanta miasta, generała Niehoffa – wycedziłem ze złością. – Jeśli jeszcze raz spróbujesz ucieczki, każę cię aresztować.

Dziewczyna nie broniła się, jedynie zasłoniła twarz rękoma, tak jakby już wcześniej przekonała się, że opór w takich sytuacjach nie ma sensu. Ciekawe.

– Niech pan mnie nie bije – poprosiła cichutko.

– Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy – zapewniłem, podnosząc ją z klęczek. – Chcę tylko zadać kilka pytań.

– Tak?

– Gdzie byłaś?

– U przyjaciół. Spotykamy się czasem w piwnicy. Mieli tam zrobić schron przeciwlotniczy, ale później ktoś powiedział, że konstrukcja stropu jest za słaba. Rozumie pan, zapomnieli zabrać wyposażenia, zostawili tam lampy, koce, ławki, nawet prycze...

No tak, można się domyślić, w jakim celu dziewczyna i jej przyjaciele wykorzystywali ten niedoszły schron...

– Ci twoi znajomi to esesmani?

– Nie!

Odpowiedź padła natychmiast, a w głosie Amelii Fichte zabrzmiało nieskrywane przerażenie. Co się dzieje? Czyżby dziewczyna bała się SS? Toż niedawno sama szukała kontaktu z nimi. I nie ma co ukrywać: nie chodziło jej o zgłębianie teorii narodowego socjalizmu.

– Wcześniej się z nimi spotykałaś, prawda?

– Powiedziałam już wszystko temu policjantowi.

– To powtórzysz jeszcze raz! – warknąłem. – I dodasz to, co pominęłaś!

– Dlaczego pan myśli, że okłamałam komisarza?

W tonie panny Fichte zabrzmiała nuta niepewności. No, no, czyżby Witte czegoś nie zauważył? Lepiej to wyjaśnić. Bo jeśli zlikwiduję esesmanów, a młode kobiety będą nadal ginąć, przyjdzie mi się mocno tłumaczyć. O ile w ogóle ktoś będzie chciał ze mną gadać. Bo możliwe, że dowództwo postanowi wówczas usunąć wszelkie ślady całej afery, włącznie z ludźmi, którzy prowadzili śledztwo...

– Komisarz jest policjantem i ma uprawnienia policjanta – oznajmiłem zimno. – Ja mam wolną rękę. Rozumiesz?

Wyraźnie przestraszona dziewczyna skinęła głową.

– Jeśli dojdę do wniosku, że mnie okłamujesz, może nie skończyć się na więzieniu – kontynuowałem. – Wiesz, jak traktowane są sprawy związane z bezpieczeństwem Breslau. A to jedna z nich.

– Ja...

– No już! Gadaj wszystko, co wiesz!

– Oni mnie pobili – wyszeptała, spuszczać głowę.

– Kto?!

– Radett i inni. Esesmani. Spotkałam się z nimi w tej piwnicy, gdyby nie to, że ogłoszono alarm przeciwlotniczy i ludzie zaczęli zbiegać do schronów, chyba mnie zabili. Na szczęście nie wiedzieli, że nikt tam nie przyjdzie.

– Jak to pobili?

– Krzyczeli, że jestem skundloną suką, przewrócili mnie i kopali. Złamali mi żebro, nie mogłam przez dwa tygodnie wychodzić z domu. W szpitalu powiedziałam, że przysypał mnie gruz w czasie bombardowania...

Znaczący moi germańscy wojownicy nie mają skrupułów, jeśli chodzi o stosowanie przemocy. Widać też, że nie boją się specjalnie policji, bo ta nie byłaby zachwycona ich postępkami. Przed dojściem Hitlera do władzy nikt w Breslau nie zwracał specjalnej uwagi na narodowość, stąd sporo miejscowych miało podobne koligacje jak panna Fichte. Ba! Nie tylko w Breslau. Także jeśli chodzi o przodków, bywało gorzej. Dużo gorzej. Wystarczy wspomnieć choćby posiadającego wyraźnie polskie korzenie generała von dem Bach-Zelewskiego, co nie przeszkodziło mu bynajmniej w zrobieniu kariery w SS. Taak, Radett i spółka sporo ryzykowali. Gdyby Amelia Fichte oskarżyła ich o napaść, mieliby się z pyszna. Kto wie czy nie poszliby pod mur? Wniosek? Nie zamierzali zostawić jej żywej. Chyba że dziewczucha kłamie...

– Kiedy to się stało?

– W styczniu.

– Daj mi latarkę.

Wszyscy mieszkańcy Breslau nosili przy sobie latarki, na wypadek gdyby zmrok zaskoczył ich poza domem albo przyszło im się znaleźć w schronie czy nieznanej piwnicy. Tak jak się spodziewałem, dziewczyna sięgnęła do torebki.

– Wejdźmy do środka – mruknąłem, ciągnąc ją za rękę.

Zamknąłem starannie drzwi wejściowe, oświetliłem jej twarz.

– Pokaż mi to złamane żebro.

Bez słowa rozpięła płaszcz i podciągnęła bluzkę. Nie było widać żadnych siniaków, ale we wskazanym miejscu wyczułem pod palcami zgrubienie, a wokół lekko opuchniętą tkankę. Musieli jej nieźle przyłożyć, gady...

– W porządku – powiedziałem. – Wracaj do domu i nikomu ani słowa o naszej rozmowie. Bo jeśli ich wystraszysz, mogą dojść do wniosku, że lepiej cię uciszyć na zawsze.

Amelia Fichte gorliwie potaknęła.

– Jeszcze jedno: dlaczego do tej pory zostawili cię w spokoju?

– Nie zostawili – wymamrotała. – W kilka dni po tym... wypadku przyszedł do mnie Radett i ostrzegł, że jeśli się poskarżę, to mnie zabiją. Dlatego milczałam. Co teraz ze mną będzie? Czy komisarz mnie aresztuje?

– Tym razem ci się upiecze, ale na przyszłość trzymaj się z daleka od kłopotów – powiedziałem szorstko.

– Dziękuję! Ja...

– Jazda do domu! I zajmij się babcią, źle się czuje.

Poczekalem, aż panna Fichte znajdzie się w swoim mieszkaniu, i powoli ruszyłem na górę. Miałem nadzieję, że Klaudia już śpi, to, o czym chciałem rozmawiać z Inga, nie nadawało się dla uszu dziecka.



Łyknąłem gorącej herbaty, skosztowałem ciasta: było obrzydliwe. Inga upiekła je na bazie marchewki...

– Niedobre, prawda?

– Nienadzwyczajne – przyznałem. – Ale może wróćmy do tematu? Grünberg – przypomniałem.

– Cóż... – odezwała się z wahaniem Inga. – Chyba chodzi o Grünberg na Śląsku. Byliśmy tam w zeszłym roku. Wiem, że taką nazwę noszą i inne miejscowości, jakieś wioski, a może małe miasteczka? Mogliśmy przez nie przejeżdżać. Nie pamiętam. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Ale zerknij na tę fotografię: budynek jest piętrowy, to raczej nie wygląda na wiejską zabudowę.

– Raczej...

– Więc co? Znowu nici z rozszyfrowania notatek ojca?

– Nie, tym razem natrafiliśmy na coś konkretnego – odparłem z namysłem. – Nawet jeśli trzeba będzie doprecyzować, w jakim miejscu ukryto dokumenty.

– Część dokumentów – poprawiła pedantycznie Inga.

– Niech będzie: część. Z tym można już iść do Rosjan...

Frau von Bredow zagryzła wargi.

– To niebezpieczne, prawda?

– Owszem – przyznałem bez ogródek. – Bardziej, niż ci się wydaje.

– Co masz na myśli?

– Załóżmy, że będę miał szczęście: umówię się z Ruskimi i nie dam złapać Gestapo.

Moja sąsiadka wzdrygnęła się gwałtownie na dźwięk słowa „Gestapo”. Cóż, nie dziwiłem jej się – *Geheime Staatspolizei* zapracowała na swoją legendę. Czarną legendę...

– Co dalej? – kontynuowałem.

– Nie rozumiem?

– Co z Horstem? Klaudia robi, co się jej każe, ale nie wiadomo, jak Horst zareaguje na wiadomość, że zdradziliśmy Führera – zaakcentowałem ironicznie ostatnie słowa.

– To mój syn! Nie robi niczego, co zagroziłoby mnie czy małej!

– Ten chłopak to fanatyk! – powiedziałem brutalnie. – I niedorostek. Może mu się wydawać, że jeśli doniesie na nas władzom, wyjdziecie z tego cało.

– Przecież nie musi o niczym wiedzieć! Jeżeli dowie się po fakcie...

Pokręciłem przecząco głową.

– Co znowu?

– Można by tak zrobić, gdyby Breslau się poddało. Tyle że na razie na to nie wygląda. Co, jeśli Rosjanie zdecydują się na szturm? Wówczas nikt nie będzie w stanie zagwarantować bezpieczeństwa tobie i dzieciakom. Mógłbym was wyprowadzić z miasta, ale pozostaje pytanie: co robi Horst? Zresztą nawet biorąc pod uwagę najbardziej optymistyczny wariant, trzeba będzie z nim pogadać. Jeżeli rzuci się na pierwszego spotkanego Rosjanina z okrzykiem *Heil Hitler!*... – zawiesiłem wymownie głos.

– Masz rację, trzeba będzie z nim porozmawiać – stwierdziła z westchnieniem Inga.

– Ale jeszcze nie teraz.

– Owszem, nie teraz.

– A jak on się sprawuje w koszarach? I w akcji? Bo bierzesz go na akcje, prawda?

– Jak przeciętny nastolatek. – Wzruszyłem ramionami. – Pije i pali umiarkowanie, bo żołnierze pilnują, żeby nie przebrał miary. Trochę gra w karty, ale stawki są skromne, możesz się nie niepokoić – dodałem, widząc wzrok Ingi. – Raz zabrali go nawet na Friedrich-Wilhelm-Platz, ale...

– Aleks!

– ...pilnował tylko samochodu – dokończyłem z uśmiechem.

Hrabianka von Bredow szturchnęła mnie bynajmniej nie po przyjacielsku: jak wszyscy mieszkańcy Breslau wiedziała, gdzie urzędują niezbyt cnotliwe panienki.

– Co do jego zachowania w czasie akcji, to mogę powiedzieć jedno: chłopak nie jest tchórzem. Gdyby trafił do Herzoga, do tej pory udałoby mu się już ze trzy razy zginąć na polu chwały...

– Ale robi, co mu każesz? – upewniła się z niepokojem.

– Chodzi ci o to, czy wykonuje moje rozkazy?

– Tak.

– A cóż innego mu pozostaje? Wie doskonale, że nie tolerowałbym najmniejszej niesubordynacji. Zdaje sobie też sprawę, że nie jestem entuzjastą najnowszych metod wychowawczych – dodałem złośliwie. – Wiesz, tych bez przemocy.

Inga ponownie wymierzyła mi kuksańca, ale tym razem tylko udawała oburzenie. W jej oczach widziałem ulgę i wdzięczność.

- Co zrobimy z albumem?
- Postaram się w najbliższym czasie ponownie przejść na drugą stronę i skontaktować z Rosjanami.
- Nie aresztują cię?
- Nie sądzę: wiem, że intensywnie poszukują archiwum. Moja propozycja to dla nich gwiazdka z nieba.
- A później? Co im powiesz?
- Omówię warunki, na jakich prześlemy informacje i sam album. Mam oczywiście zdjęcia, jednak rozumiesz, że trzeba będzie oddać oryginał?

Inga skinęła głową.

- Tylko uważaj na siebie – poprosiła.

Odpowiedziałem uspokajającym uśmiechem, nie miałem powodów do obaw. Już nie. W razie czego mogłem się wytłumaczyć i przed towarzyszem Stalinem – co prawda zagadka archiwum nie została jeszcze rozwiązana, ale miałem to, co najważniejsze: klucz do kodu Zygryda. Reszta to tylko kwestia czasu.



- To ten! – stwierdziła stanowczo Inga von Bredow.

Obaj z komisarzem pochyliłiśmy się nad fotografią przedstawiającą potężnie zbudowanego osobnika. Niskie czółko i wyraz obrośniętej czarną szczecina mordy (słowo „twarz” byłoby tu niezasłużonym komplementem) sugerowały, że intelekt nie jest jego najmocniejszą stroną. Cóż, żeby prowadzić czarnorynkowe interesy w strefie przyfrontowej, nie potrzeba wielkiego rozumu...

- Patrzcie państwo! Toż to Willi Fichter! – wykrzyknął z entuzjazmem Witte. – Myślałem, że uciekł przed zamknięciem okrążenia.

W głosie policjanta wyczułem wyraźnie uchwytną nutę okrucieństwa.

- Cóż to za persona?

– Złodziej, bandyta i gwałciiciel. Do tego morderca policjantów – dodał ciszej. – Do tej pory nigdy nie zajmował się nielegalnym handlem czy oszustwami, pewnie ma jakiegoś wspólnika. Jeszcze dziś zbiorę ekipę i odwiedzimy naszego drogiego Wilusia.

- Wie pan, gdzie mieszka?

– Domyślam się. W jednej z melin w okolicach Schubertstrasse. Szkoda, że moi najlepsi ludzie skończyli właśnie dwunastogodzinny dyżur. Ale kiedy dowiedzą się, że Fichter jest w mieście...

- Porozmawiamy o tym za chwilę – przerwałem mu, wskazując dyskretnym gestem

Inge.

– Tak, oczywiście. Dziękujemy pani za pomoc w śledztwie.

– Rozumiem, że mam zniknąć, aby nie przeszkadzać mężczyznom w załatwianiu ważnych spraw?

– Coś w tym rodzaju – przytaknąłem.

– Nie spóźnij się na obiad – poleciła Inga, całując mnie w policzek.

Komisarz został obdarzony jedynie uśmiechem i pani von Bredow opuściła posterunek, pozostawiając po sobie zapach kosztownych perfum. Ciekawe, skąd ona je bierze? Teraz, w Breslau? Muszę kiedyś o to zapytać...

– Piękna kobieta – stwierdził melancholijnie Witte. – Ma pan szczęście, majorze.

– Nie narzekam – mruknąłem. – Zanim zapomnę: co się dzieje z pułkownikiem Krebssem? Jakoś ostatnio go nie widać?

Policjant skrzywił się, jakby właśnie rozgryzł cytrynę. Wyjątkowo kwaśną cytrynę.

– A cóż on może robić? – odburknął. – Kopie pod nami dołki.

– A konkretnie?

– Przesiaduje w sztabie, w pokoju łączności. Podobno godzinami konferuje z Berlinem. Do tego wiem, że zażądał moich akt, jeździł też do koszar, rozmawiał z pańskimi ludźmi.

No proszę, a to gnojek... A i moi spadochroniarze też dobrzy – żaden nie uprzedził, że ktoś pode mną ryje. Trzeba będzie w najbliższym czasie odwiedzić „Kampfgruppe Roth” i wyjaśnić sprawę. Już ja sobie porozmawiam z sierżantem Beckerem! Z drugiej strony czort wie: może wzięli to za rutynową kontrolę? W końcu nie wtajemniczałem ich w swoje problemy z Krebssem. Tylko czego znowu chce ten dupek? Zemścić się za okazane mu lekceważenie? A może zdopingować nas, żebyśmy bardziej przyłożyli się do prowadzonego śledztwa? Szlag by go trafił!

– No dobrze – odchrząknąłem. – Krebssem zajmiemy się później. Co zrobimy z tym, jak mu tam...?

– Fichterem – burknął komisarz. – Mógłby pan zapamiętać to nazwisko: w końcu ten bydlak pobił pańską przyjaciółkę.

Nie zamierzałem wyjaśniać, że w mojej sytuacji lepiej nie chwalić się dobrą pamięcią...

– Więc? – ponagliłem.

– Trzeba go aresztować, a cóż by innego? – wycodził Witte.

Uniosłem brwi: mina i ton policjanta sugerowały, że ten ma wobec Fichtera zupełnie inne plany. Zdecydowanie mniej humanitarne.

– Co on takiego zmalował? Bo rozumiem, że pańskie zainteresowanie tym osobnikiem nie ma czysto służbowego charakteru?

– I tak, i nie – odparł niechętnie Witte. – Nakaz aresztowania Fichtera wystawiono już w zeszłym roku, zorganizowaliśmy obławę, ale udało mu się wymknąć.

Myśleliśmy, że uciekł z Breslau.

– Co zrobił? – powtórzyłem cierpliwie.

– W czasie obławy zabił dwóch naszych. Jeden z nich był moim bratankiem. Służył w policji dopiero pierwszy rok. Chciał się wykazać – dorzucił gorzko.

– Naprawdę ma pan zamiar go aresztować?

– Spróbuję – zgrzytnął zębami komisarz. – Ale on na pewno będzie się bronił, a wtedy...

– ...a wtedy kolejny Witte wyląduje na cmentarzu – wszedłem mu w słowo.

– To co mam zrobić? – warknął. – Siedzieć z założonymi rękoma? A może wysłać po niego ludzi? Nikt nie zna tych melin tak dobrze jak ja!

– Załatwimy to we dwójkę – zadecydowałem.

– Jest pan pewien? Mogę wziąć kilku...

– Jestem – westchnąłem ze znużeniem. – To tylko drobny żulik, któremu dopisało szczęście.

– Nie taki drobny – odburknął. – I jeszcze jedno: skąd ta nagła chęć pomocy? Przecież to nie pański problem?

Przez chwilę zastanawiałem się, na ile mogę być szczery wobec komisarza, ale w końcu wzruszyłem ramionami. A co się stanie, jeśli powiem prawdę? Jamnik się na mnie obrazi? Śmiechu warte!

– Kto mi znajdzie signora Wertelliego, kiedy polegnie pan śmiercią bohatera, broniąc prawa i porządku w Breslau? – odpowiedziałem pytaniem.

Na twarzy mojego rozmówcy odmalowała się cała gama uczuć: niedowierzanie, oburzenie, wreszcie przemieszane z rozbawieniem zrozumienie.

– W takim razie jedziemy! – zarządził.



Meliny przy Schubertstrasse przypominały moskiewskie: tak samo brudne i śmierdzące jak tamte. Podświadomie spodziewałem się, że będą przewyższać je standardem, tak jak mieszkania w Breslau górowały nad naszymi „komunałkami”, jednak najwyraźniej menele całej Europy działali na podobnym poziomie...

– I tu go nie ma! – skonstatował ze złością Witte.

Mruknąłem coś pocieszająco: rozdrażnienie komisarza wzrastało z każdą przeszukaną chałupą. Mimo kilkogodzinnej włóczędzy po cuchnących norach nie znaleźliśmy żadnych śladów Fichtera, przyszło za to dwukrotnie wzywać patrol, bo Witte nie miał zamiaru przepuścić ani pijanemu w sztok dezerterowi, ani właścicielowi nielegalnej destylarni. Ot i nasze sukcesy!

– Może wystarczy na dzisiaj? – zaproponowałem.

– Jest jeszcze jedno miejsce – odezwał się z wahaniem policjant. – To stara, opuszczona fabryczka, tuż przy dawnym cmentarzu. Próbowali tam zrobić skwerek, ale nie wyszło: zbyt dużo mętów wokoło. Tyle że to odludzie, jakby co, nikt nas nie usłyszy, a i patrole omijają tę okolicę szerokim łukiem...

– Możemy spróbować – zgodziłem się z ociąganiem. – Ale to już ostatnie. Zmęczyło mnie to łażenie.

Witte skinął głową i schował do podramiennej kabury swojego walthera PP. Ciekawe, czy kiedykolwiek musiał użyć broni? Bo do tej pory zademonstrował jedynie mistrzowskie opanowanie sztuki posługiwania się gwizdkiem policyjnym. Tak, w tej dziedzinie *Kriminalkommissar* Witte był prawdziwym wirtuozem...

Przecieliśmy niewielki park, później policjant poprowadził zaułkami przez podwórka i przydomowe ogródki, wreszcie przez dziurę w płocie wyszliśmy na plac starej i wyraźnie od dawna opuszczonej fabryczki.

– To tutaj – syknął Witte. – Większość okien dawno wybito, ale wewnątrz jest niewielki kantorek. Kiedyś rezydował tam nadzorujący produkcję brygadzista. Jeśli ktoś się tu ukrywa, to nie ma lepszego miejsca! Powinniśmy zauważyć go przez okno.

Ruszyłem naprzód, starając się omijać chrzęszczące pod nogami kupki śmieci i gruzu. Komisarz wyprzedził mnie o kilka kroków, widać było, że zna teren.

– Są! – szepnął. – Fichter i ktoś jeszcze. Tego drugiego nie znam – dodał z mimowolnym zdziwieniem.

Wyjrzałem ostrożnie znad najeżonej odłamkami szkła okiennej ramy. Fichter dźwigał jakieś skrzynie, zaś podobny do łasicy facet zajmował się dużo przyjemniejszą czynnością: liczył pieniądze. Wnioskując z obfitości rozłożonych na obdrapanym stole banknotów, zadanie było niełatwe. Nic dziwnego, że zajął się nim wspólnik Wilusia, Fichter sprawiał wrażenie, jakby miał problemy z dodawaniem... Ciekawe, na czym ci dwaj tak się obłowili.

– Nic nie rozumiem – wymamrotał Witte. – Po jakiemu to?

– Co znowu? – warknąłem przyciszonym głosem. – Bierzemy ich czy nie?

– Umie pan czytać z ruchu warg?

– Trochę, nie jestem w tym mistrzem – przyznałem.

– Niech pan zwróci uwagę na tego drugiego. To nie jest niemiecki.

Zerknąłem na liczącego banknoty mężczyznę i zimny pot oblał mi czoło: wargi nieznajomego poruszały się w bezgłośnym szepcie, jak to przy rachowaniu. Nic dziwnego, w takich sytuacjach to niemal niezależny od woli odruch. Tyle że usta łaasicowatego wymawiały nie niemieckie, ale rosyjskie liczebniki: *sorok dwa, sorok tri...* Facet był Rosjaninem! Jeniec wojenny, a może robotnik przymusowy? Bzdura! Nawet gdyby ktoś taki uciekł spod straży, nie byłby w stanie działać na czarnym rynku. Co najwyżej siedziałby, trzęsąc się ze strachu w jakiejś zaplutej piwnicy.

Wniosek? To ktoś od nas. Zwiadowca. Nie z *wojennej rozwiadki*, bo dowództwo by mnie uprzedziło, tak więc pozostawała tylko jedna opcja – NKWD. Beria jak zwykle stosował brudne triki: wbrew umowie wysłał do miasta swojego człowieka, aby ten wyjaśnił zagadkę archiwum Himmlera. Kto wie? Może i napad na Inge nie był przypadkowy? Rola Zygfrida von Bredowa w całym przedsięwzięciu nie była nijaką tajemnicą: wiedzieliśmy o niej my, wiedzieli i czekał. Może agent Berii chciał porwać i przesłuchać hrabiankę von Bredow? Tak, to najbardziej prawdopodobna wersja. Inga nie wyobraża sobie nawet, jakie miała szczęście...

– Co robimy? – ponaglił Witte.

– Raczej nie da rady ich zaskoczyć – mruknąłem.

Komisarz potakująco skinął głową. Stalowe drzwi do hali fabrycznej wyglądały na mocno zardzewiałe, a framugi okien pełne były odłamków szkła po wybitych szybach. Tak źle i tak niedobrze...

– Ten drugi to Rosjanin – poinformowałem. – Musimy go zneutralizować w pierwszej kolejności, bo inaczej nie wyjdziemy z tego żywi.

– Szpieg?

– A ktoś by inny?

– Nie lepiej byłoby go przesłuchać?

– Pewnie lepiej, tylko żeby wziąć go żywcem, potrzebowalibyśmy przynajmniej plutonu żołnierzy – wycodziłem ze złością. – A jesteśmy tu sami, we dwóch.

Witte zacisnął usta w grymasie niechęci, ale nie przedstawił kontrproponycji. Widocznie nie uśmiechało mu się pilnowanie w samotności dwóch niebezpiecznych przestępców, kiedy ja pobiegę po pomoc, a był zbyt uczciwy, żeby zaproponować odwrotny wariant.

– No dobrze, jak to zrobimy?

Zmierzyłem wzrokiem odległość do stołu: jakieś dwadzieścia metrów. Może ciut więcej. Sporo dla pistoletu. Do tego dolna framuga okna znajdowała się na wysokości przynajmniej półtora metra. Zajrzeć do wnętrza nie problem, gorzej ze strzelaniem – nie sposób swobodnie wycelować, tym bardziej że trzeba mierzyć nieco w dół: enkawudzista siedział za stołem. Szlag! Chyba żeby wejść na jakiś podest, tylko skąd go wziąć? Hmm, a gdyby tak wykorzystać policjanta w charakterze podwyższenia? Rzecz była ryzykowna; Witte nie imponował mocną posturą i miał swoje lata, ale to chyba jedyne wyjście.

– Utrzyma mnie pan? – spytałem.

– Nie rozumiem?

– Na czworakach, inaczej nie dam rady wycelować.

– Spróbujmy – zdecydował komisarz.

Poczekaliśmy, aż Witte oprze się na łokciach i kolanach, po czym stanąłem mu na grzbiecie. Usłyszałem głuchy jęk, lecz policjant trwał w niewygodnej pozycji. Powoli

wyciągnąłem pistolet, wymierzyłem w głowę Rosjanina. Skuteczny zasięg lugera wynosi około pięćdziesięciu metrów, tyle że celność broni drastycznie maleje wraz ze wzrostem odległości. Z drugiej strony miałem czas wycelować. Może się uda... Wiedziałem, że muszę zastrzelić enkawudzistę: nie mogłem dopuścić, aby go przesłuchano. Kiedy załatwię człowieka Berii, przyjdzie czas na Wilusia.

Nacisnąłem spust. W tym samym momencie Witte drgnął i zahaczyłem rękawem płaszcza o wystający kawałek szkła. Pudło! Z przekleństwem na ustach zanurkowałem przez okno na betonową posadzkę. Łasicowaty w mgnieniu oka przewrócił stół i przyklęknął, kryjąc się za masywnym meblem. W uderzenie serca później odpowiedział ogniem. Zawodowiec, psia jego mać!

– Pilnuj drzwi! – ryknąłem do komisarza.

Wykonałem przewrót przez bark, co częściowo zamortyzowało upadek, ale i tak zaparło mi dech w piersiach. Na szczęście Fichter popędził do wyjścia, wchodząc na moment w pole ostrzału enkawudzisty. Ten – czort wie dlaczego – postanowił oszczędzić współnika.

Po chwili kucałem już za jakimś żelastwem, słuchając złowrogiego wizgu rykoszetujących pocisków. Cztery strzały. Po dźwięku rozpoznałem broń: enkawudzista używał francuskiego maba. Kiepski wybór – co prawda dziewięcionabojowy magazynek nie w kij dmuchał, ale słabe naboje browninga nie cieszyły się dobrą sławą. Bywało, że kilkakrotnie trafiony przeciwnik był w stanie walczyć dalej. Z drugiej strony wolałbym nie próbować, czy i mnie się uda... Tak czy owak, pozostało mu jeszcze pięć strzałów. Chyba że ma zapasowy magazynek.

Tymczasem od strony wejścia dobiegł mnie okrzyk bólu. Krzyczał – a jakżeby inaczej! – Witte. Cholerny jamnik! Zamiast zastrzelić Fichtera, pewnie próbował go aresztować. A teraz będę miał Wilusia na głowie!

Odwróciłem się, słysząc tupot. Fichter szarżował na mnie, wymachując żelazną rurą. Strzeliłem mu dwukrotnie w pierś, ledwo powstrzymałem się przed poprawieniem w głowę. Odruch. Ale wypada oszczędzać naboje, bo pozostało mi tylko pięć. Znaczący – równowaga sił, bo na komisarza nie ma co liczyć, dobrze, jeśli przeżył starcie z Fichterem. Ech, żeby tak jakiś granat. Już ja bym wykurzył tego gnoja z za stołu! Może dałbym radę przestrzelić grubą drewnianą płytę, ale tamten pewnie tylko czeka, aż się wychylę. Szlag!

Nagle nad moją głową zagwizdały kolejne pociski. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć! Poderwałem się na równe nogi, ale tamten był już przy mnie i zręcznym chwytem pozbawił broni. Widać bał się, że strzelanina ściągnie tu jakiś patrol, i postanowił załatwić sprawę bez zwłoki. Stara fabryka była dobrą kryjówką, ale gdyby z zewnątrz pilnowało jej choć kilku ludzi, zamieniłaby się w śmiertelną pułapkę.

Starliśmy się, wymieniając ciosy i kopnięcia. Facet był wyraźnie lżejszy, ale na pewno nie gorszy: kilkakrotnie przedarł się przez moją gardę i tylko szczęście

uchroniło mnie przed zmiążdżeniem tchawicy. Wyraźnie poczułem, jak jego pięść szoruje o moją szyję. Niewiele brakowało...

Odpowiedziałem potężnym uderzeniem w mostek, może zastopuję go choć na chwilę? Łasicowaty atakował z taką szybkością, że musiałem nieustannie się cofać. Jeśli się potknę, będzie po mnie: hala fabryczna usiana była przerdzewiałymi elementami maszyn i trudnym do rozpoznania szmelcem.

Niespodziewanie mój przeciwnik złożył się w pół niczym scyzoryk i upadł na posadzkę. To wszystko z wyrazem komicznego wręcz zdziwienia w oczach. Czyżby serce odmówiło pracy? Czasami tak bywa, kiedy się oberwie w klatkę piersiową. Grunt to mieć szczęście...

– Nic panu nie jest? – spytał ochrypłym głosem Witte.

No tak, na polu walki pojawił się jamnik. Rzecz jasna, po czasie... Zakrwawiona twarz komisarza świadczyła, że nie wyszedł z przygody bez szwanku. Cóż, dzięki Bogu i za to: nie wiem, jak wytłumaczyłbym się z jego śmierci.

– Żyję – odburknąłem niechętnie, podnosząc pistolet.

– Kiedy ten Rosjanin uderzył pana w gardło, myślałem, że to już koniec.

– Nie uderzył – sprostowałem. – Cios ześliznął się po szyi.

– Widziałem, jak odrzuciło panu głowę! Dostał pan prosto w krtań!

– Niemożliwe. Gdyby tak było, to ja bym tu leżał. – Wskazałem zwłoki enkawudzisty. – Musiało się panu przywidzieć.

– Niewykluczone – odparł bez przekonania Witte. – No nic, trzeba wezwać naszych i skreślić Wilusia z rejestru poszukiwanych. Trochę się boję, jak dowództwo zareaguje na tego drugiego...

– Nie sądzę, żeby się zdziwili – zapewniłem. – Szpiedzy w strefie przyfrontowej to żadne zaskoczenie. Kto wie? Może nawet dostanie pan nagrodę?

– Żeby tylko zdążył ją przepić – mruknął ponuro Witte. – Poza tym, gdyby nie pan...

– Nie ma o czym mówić – przerwałem mu stanowczo. – Wolałbym nie eksponować swojej roli w tym zajściu.

– Nie popisałem się, prawda? – zagryzł wargi komisarz. – Gdybym od razu zastrzelił Fichtera, zdążyłbym panu pomóc.

Odetchnąłem głęboko: napięcie mięśni ustępowało powoli, zaczynałem odczuwać ból, fala adrenaliny opadała.

– I tak, i nie – odparłem wreszcie. – Gdyby nie zwrócił pan mojej uwagi na Rosjanina, zginęlibyśmy obaj.

– Nie rozumiem...

– Nie potrzebowałbym broni, żeby poradzić sobie z Fichterem, więc nawet nie sięgnąłbym do kabury. A wtedy ten Ruski by nas wykończył. Bo założyłbym z góry, że to jakiś miejscowy bandzior, kumpel Wilusia. Tymczasem facet mało mnie nie

załatwił w otwartej walce. Gdyby zaatakował z zaskoczenia, nie miałbym żadnych szans.

– No tak.

Zadowolona mina policjanta dowodziła, że moje wyjaśnienia zdecydowanie poprawiły mu humor. Stary chłop, a łasy na komplementy jak baba...

– Niech pan go przeszuka – poprosiłem, krzywiąc się boleśnie. – Nie bardzo mogę się schylać.

Witte wyczarował skądś kulawy drewniany taboret i podsunął mi z wyrazem troski na twarzy.

– Da pan radę iść? Może wezwać samochód?

– Wezwać, wezwać – westchnąłem. – Tylko zanim pan pójdzie po pomoc, proszę zabrać mu dokumenty. Powinien mieć przy sobie legitymację albo coś w tym rodzaju.

– Naprawdę myśli pan, że narażałby się, nosząc przy sobie...

– Naprawdę! – warknąłem zirytowany. – Przecież on nie spacerował w pobliżu komendantury miasta, tylko ukrywał się na tym zadupiu! Zresztą na pewno ma też nasze papiery i założę się, że nie były jakie. Pewnie niejedyn patrol stawał przed nim na baczność!

– To po cholere mu legitymacja czerwonego komisarza?

– Na wypadek upadku Breslau, drogi kolego – wycedziłem. – Pewnie nie chciał, żeby zastrzelił go pierwszy spotkany Ruski...

Witte pobladł, widocznie wzmianka o możliwości zdobycia miasta przez Rosjan nie poprawiła mu humoru. Cóż, trudno się dziwić. Był na tyle bystry, że zdawał sobie sprawę, co go czeka: o ile przeżyje, trafi do niewoli, a jego córka stanie się rozrywką dla czerwonarmistów...

– Tu jest coś zaszyte! W marynarce!

– Ma pan nóż? – spytałem.

– Nie.

Wyjąłem swój i podałem policjantowi rękojeścią do przodu.

– Uwaga, ostry! – ostrzegłem.

– Miał pan rację, to legitymacja NKWD! Zaraz wezwę ekipę śledczą i samochód.

– W porządku – mruknąłem. – Nigdzie się nie wybieram.

Pochyliłem się ostrożnie, starając rozluźnić mięśnie. Najgorszy ból już minął, jeśli łasicowaty nie poprzestawiał mi kręgow, nic mi nie będzie. I jak on to zrobił, gadzina? Dawno nikt mnie tak nie obił. Może jednak warto zainteresować się „Żelazną księgą” Doskonałych? Przekazałem ją von Dallewitzowi dobre dwa tygodnie temu, do tej pory powinien przetłumaczyć już spory kawałek. O ile jest rzeczywiście taki dobry, jak twierdzi Inga...



Spojrzałem gniewnie w ogromne ścienne lustro, zapiąłem górny guzik munduru. Lustro umieszczono tuż przy wejściu do budynku sztabu, tak aby każdy wchodzący mógł skontrolować, czy nie naruszył aby przepisów ubiorczych. Idiotyzm! Miasto ginie, a oni zajmują się takimi pierdołami! Nic dziwnego, że przegrali wojnę...

Humoru nie poprawiało mi też samo wezwanie: pułkownik Krebs zażyczył sobie naszego towarzystwa. W trybie pilnym.

Drgnąłem trącony łokciem przez komisarza. O wilku mowa. Pułkownik Krebs w mundurze jak spod igły i z monoklem w oku maszerował w naszą stronę.

– *Heil Hitler!* – szczechnął dziarsko Witte, wyrzucając dłoń w nazistowskim pozdrowieniu.

Zgrzytając zębami, uniosłem i ja prawą rękę, wycedziłem niechętnie: *Heil!* Krebs odpowiedział, unosząc pionowo prawą dłoń na wysokość oczu, co zgodnie z przepisami dozwolone było tylko przy witaniu się z osobami stojącymi niżej na drabinie społecznej. A to zasraniec!

– Za mną! – rzucił krótko.

Przeszliśmy prosto do gabinetu Krebsa, na szczęście pan pułkownik uprzejmie zezwolił nam usiąść: nadal czułem się nieszczególnie.

– Proszę zreferować okoliczności zajścia – polecił komisarzowi.

Witte z detalami omówił nasze działania, niestety, w niczym nie umniejszył mojego udziału w sprawie. Wolałbym się nie afiszować, ale co mi mogą zrobić za zabicie rosyjskiego szpiega? Przyznać medal? Niech tam...

Krebs wysłuchał sprawozdania z kamiennym wyrazem twarzy, choć wydawało mi się, że jest z czegoś niezadowolony, a może tylko zdeorientowany? Chyba zaczynałem rozpoznawać nastroje pana pułkownika, mimo że ten oszczędzał mocno mięśnie mimiczne. Tylko o co znowu mu chodzi? Przecież z tego, co powiedział Witte, wynikało jasno, że nie mieliśmy innego wyjścia, jak zastrzelić wrogiego agenta. O inwigilacji czy innych grach operacyjnych nie było sensu nawet myśleć. Nie teraz, w kwietniu czterdziestego piątego, Armia Czerwona była już na przedpolach Berlina...

– Co ze śledztwem? – zapytał, zwracając się tym razem do mnie.

– Wytypowaliśmy trzech podejrzanych esesmanów, z tego, co wiadomo, żaden z nich nie ma oporów przed użyciem siły wobec kobiet.

– A konkretnie?

Po namyśle streściłem mu w kilku zdaniach zeznania Amelii Fichte.

– Uważa pan ją za wiarygodnego świadka?

– W tym wypadku tak. Dziewczyna była śmiertelnie wystraszona. Nie sądzę, aby

kłamała.

– Wnioski?

– Trzeba sprawdzić tę trójkę, bo nadal nie znamy motywów zbrodni. Jest mocno wątpliwe, żeby trzy kobiety podpadły im z tych samych powodów co *Fräulein Fichte*. No i jest jeszcze ten Falke.

– Zdaje pan sobie sprawę z sytuacji? Jeszcze jedno morderstwo i wszystko wymknie nam się spod kontroli!

– Rozumiem, że nie mamy czasu w nadmiarze, ale nie widzę innego wyjścia – odburknąłem zniecierpliwiony. – Chyba że dowództwo zadecyduje o neutralizacji podejrzanych bez wyjaśniania sprawy...

Krebs zacisnął wąskie, bezkrwiste wargi w linię przypominającą ślad po cięciu brzytwą. W gabinecie zapanowała nieprzyjemna cisza.

– Zabraniam, absolutnie zabraniam wszelkiej samowoli w tej kwestii! – powiedział wreszcie.

Wpatrywałem się w niego bez słowa, wysiłkiem woli musiałem powstrzymać wzruszenie ramion. Kwestia tajemniczych morderstw obchodziła mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Teraz, kiedy odkryłem klucz do notatek Zygryda von Bredowa, priorytetem było przekazanie informacji na drugą stronę. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie.

– Myślę, że damy radę wyjaśnić... – zaczął nerwowo Witte.

– Proszę kontynuować śledztwo – polecił Krebs, wchodząc mu w słowo.

Ponieważ pan pułkownik podniósł się zza biurka, sygnalizując koniec audiencji, wymieniliśmy chłodne ukłony, po czym opuściliśmy gabinet. Tym razem obyło się na szczęście bez gimnastyki i wysławiania wodza. No i dobrze, bo gdybym na kolejne *Heil Hitler!* odpowiedział cisnącym się na usta: *Ein Liter!*, mógłbym mieć małe problemy. Ech, wyraźnie potrzeba mi odpoczynku.

– Podwieźć pana? – zaproponował komisarz.

– Dziękuję, mam własny transport.

Włożyłem dwa palce do ust i gwizdnąłem ostro. Becker podjechał niemal natychmiast. Schwimmwagen nie był może idealnym rozwiązaniem, wolałbym pożyczyć mercedesa od znajomego oficera, ale ten postanowił uchronić wóz przed Armią Czerwoną i замуrował go w garażu, przewidując optymistycznie, że jeśli nawet będzie musiał uciekać z Breslau, to kiedyś tu wróci...

– Do domu – zadysponowałem.

Ruszyliśmy. Zauważyłem, że szoferem policjanta jest nadal panna Monika. Cóż, niech się nacieszą swoim towarzystwem, niewiele im już zostało. Sytuacja w mieście pogarszała się z każdym dniem: mimo zaciętej obrony nasi zajmowali dzielnicę po dzielnicy.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że Krebs węszy w koszarach? – spytałem

gniewnie.

– Nie bardzo było o czym mówić – odparł obojętnie sierżant. – Sprawdził rozkład zajęć, zapytał o przeprowadzone akcje i próbował wysondować, co sądzą o dowódcy. Żadna nowość. A bo to pierwsza sztabowa menda w naszym ogródku? Wcześniej przychodził ktoś od von Ahlfena, był i adiutant Niehoffa.

– Jak tam ludzie?

– Wszystko w porządku, gotowi do akcji. Ale mam dla pana rzeczywiście ważną i nieprzyjemną informację...

– Tak?

– Horst wrócił do domu, widać zateęsknił za mamusią. Dałem mu przepustkę na dwa dni.

– Co w tym nieprzyjemnego?

– Nie będzie mógł pan kulać się po dywanie z panią von Bredow...

– Matoł! – mruknąłem z mimowolnym uśmiechem.

– Kiedy kolejna wycieczka?

– Niedługo. À propos sondowania: rozumiem, że opinie na mój temat były pozytywne?

– Och, według chłopaków jest pan następcą Moltkego i Clausewitza, ale co oni tam wiedzą?

– Zazdrościsz mi, bo w odróżnieniu od ciebie jestem i mądry, i przystojny, a mieszkanki Breslau chcą mi oddać to, co najcenniejsze...

– Co do pierwszej i drugiej kwestii, można by się spierać, ostatnia jest poza dyskusją – stwierdził z przesadnie akcentowaną zawiścią.

Mimo żartobliwego tonu w głosie sierżanta pobrzmiwało przygnębienie, a może nawet coś więcej. Spojrzałem na niego uważnie: Becker wyglądał na zmęczonego. Czyżby skutki przepicia?

– Co jest? Znowu chlałeś?

– Nie! – odburknął.

Uwierzyłem mu od razu, sierżant nie był idiotą i wiedział, że jakby co, wyjaśnię sprawę w pięć minut.

– To skąd ten nastrój? Zabrakło ci forsy na dziwki czy karty?

– Skąd?! Za kogo pan mnie ma?

– Więc? – ponagliłem.

Becker milczał przez dłuższą chwilę, już myślałem, że nic nie powie – było oczywiste, że rozmawiamy nieoficjalnie – wreszcie burknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak „kobiety”.

– Słucham?

– Kobiety – powtórzył. – Mam dosyć dziwek. Ile nam jeszcze zostało życia? Tydzień? Dwa? Miesiąc? – Roześmiał się bezradośnie. – Chciałoby się przytulić do

kogoś, kto nie robi tego za pieniądze...

Zatkało mnie: cyniczny Karl Becker marzy o romantycznej miłości. No, może przesadziłem z tą miłością – o odrobinie ludzkiego ciepła. Tylko dlaczego mnie to tak dziwi? Oj, trzeba uważać: traktowanie Szwabów jak odrębnego, pozbawionego wszelkich uczuć gatunku może się na mnie szybko zemścić. To nie czas na pielęgnowanie uprzedzeń. Z drugiej strony nie ma co kryć, że kiepskie samopoczucie sierżanta sprawiało mi sporą satysfakcję. No dobrze: kurewską satysfakcję. Bo przecież Becker to urodzony żołnierz: sprawny, odważny, zdyscyplinowany. Nie tak dawno podpalał pewnie rosyjskie wioski, patrząc z pogardą na uciekających „Ruskich”. A teraz – cóż za zmiana! – marzy jedynie, żeby ktoś przytulił go przed śmiercią.

– Co innego pan – kontynuował. – Widziałem *Frau* Inge: jest w panu zakochana.

Odchrząknąłem niepewnie, nie wiedziałem, co powiedzieć. Mogłem oczywiście zignorować problemy Beckera, ale w sytuacji, w jakiej się znajdowałem, lojalność moich ludzi była nie na wagę złota, lecz życia. Mojego życia...

– Przykro mi, Karl, ale nie potrafię załatwić ci do towarzystwa młodej dziewczycy czystej krwi germańskiej – odparłem z pewnym rozdrażnieniem.

– Germańskiej? Nie jestem fanatykiem – stwierdził. – Nigdzie nie widziałem tak pięknych kobiet jak w Polsce i Rosji. Ale te prędzej wbiłyby mi nóż w brzuch, niż pozwoliły się dotknąć, a gwałcić nie mam ochoty. W Breslau mamy sporo robotników przymusowych, widziałem wśród nich i kobiety. Podobno esesmani wybierają najładniejsze i gwałcą je, kiedy chcą. Bydlaki! – dodał z obrzydzeniem.

Zaraz, zaraz: czysta rasowo dziewczica? Chyba wpadłem na pewien pomysł, choć trudno mówić tu o dziewictwie, a i co do czystości rasowej można by zgłosić drobne zastrzeżenia...

– No dobrze – westchnąłem z udawanym znużeniem. – Co byś powiedział na młodą, ładną, hojnie obdarzoną przez naturę panienkę z obsesją na punkcie zapłodnienia przez aryjskiego wojownika?

– Nie ślini się i nie ma zajęczej wargi? – spytał podejrzliwie sierżant.

– Przecież powiedziałem „ładna”. Powątpiewasz w mój gust?

– Mówi pan poważnie?

– Jak najbardziej, ale jeśli nie jesteś zainteresowany...

– Ależ jestem! Kiedy mógłbym ją poznać?

– Co powiesz na „zaraz”?

– Mam całować ziemię, po której pan stąpa?

– Nie trzeba – roześmiałem się. – Aha, jeszcze jedno: dziewczuszka ma domieszkę słowiańskiej krwi, jej dziadek był Polakiem.

– Przecież powiedziałem, że mi to nie przeszkadza – wzruszył ramionami Becker.

Sierżant zaparkował wóz u wejścia do kamienicy i przywołany skinieniem dłoni,

posłusznie ruszył za mną.

- Przedstawię cię – powiedziałem – ale reszta to już twoja sprawa.
- Ile ona ma lat?
- A bo ja wiem? Dziewiętnaście, może dwadzieścia, nie więcej.
- Skąd pan ją zna?
- Próbowала mnie kiedyś poderwać.
- To rzeczywiście musiała być zdesperowana...

Szturchnąłem go karcąco, po czym zapukałem: staliśmy pod drzwiami Amelii Fichte. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że jeśli otworzy nam babcia dziewczyny, to mój plan nie zadziała – raczej wątpliwe, aby starsza pani pozwoliła wnuczce wyjść z domu w towarzystwie dopiero co poznanego wojaka. Trzeba coś wymyślić, i to szybko.

Wykrakałem. Kobieta, która stanęła w progu, wyglądała na jakieś osiemdziesiąt lat. Cienie pod oczyma i lekkie drżenie rąk świadczyły, że nie czuje się zbyt dobrze.

- Dzień dobry. – Ukłoniłem się grzecznie. – *Frau...*
- Obalinsky – przedstawiła się spokojnie.

No proszę, nie zmieniała nazwiska. Twarda babcia! Kiedy nasi zdobędą Breslau, może jej się to przydać...

– Aleksander Roth, oficer do specjalnych poruczeń komendanta miasta. Chcieliśmy porozmawiać z Amelią Fichte – oznajmiłem oficjalnym tonem.

- W jakiej sprawie? – Zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Panna Fichte wspomniała mi kiedyś, że zna usytuowanie pomieszczenia przeznaczonego pierwotnie na schron, które później zdjęto z ewidencji. Rozumie pani, nie spełniało wymogów bezpieczeństwa. Niestety, obecnie nie możemy pozwolić sobie na wybrzydzenie i zapadła decyzja o ponownym zbadaniu tej sprawy. Sierżant Becker – wskazałem towarzysza – jest ekspertem w zakresie obrony przeciwlotniczej i ma dokonać inspekcji.

Nieufność zniknęła z twarzy staruszki. Najwyraźniej wnuczka wspominała jej o schronie.

- Może herbaty? – zaprosiła.

– Dziękujemy, nie chcielibyśmy się narzucać, a i czas nas goni. Sierżant musi odwiedzić dzisiaj jeszcze kilka takich piwnic.

- Zaraz zawołam Amelię.

Jednak panna Amelia pojawiła się sama, niczym za skinieniem czarodziejkiej różdżki. Obcisły sweterek i kusa spódniczka podkreślały obfity biust i długie nogi, pociągnięte szminką wargi sugerowały, że dziewczyna podsłuchiwała naszą rozmowę.

- Panno Fichte, czy mogłaby pani pokazać sierżantowi ten schron, o którym...
- Oczywiście! – odparła, spuszczając skromnie wzrok.
- Panie majorze... – odezwała się z wahaniem *Frau Obalinsky*.

- Tak?
- Na ulicach jest niebezpiecznie, czy sierżant mógłby odprowadzić moją wnuczkę do domu?
- Słyszałeś, Karl? Odpowiadasz głową za bezpieczeństwo panny Amelii! – powiedziałem surowym tonem.
- Tak jest! – szczerknął słuźbiście Becker.
- No to załatwione, spełniłem obietnicę. A jeśli przy okazji inspekcji schronu ktoś dokona inspekcji Amelii Fichte, to już nie mój problem...



Inga z czułym uśmiechem nałożyła mi na talerz plaster pieczeni, wcześniej kilkakrotnie dolewała zupy. Tego dnia menu było wyjątkowo wystawne: zupa z knedlami i pieczeń wołowa. A wszystko to z okazji odwiedzin Horsta. Horst... Nie trzeba było jasnowidza, żeby zrozumieć, że czeka mnie długa i niekoniecznie przyjemna rozmowa z latoroślą *Frau von Bredow*. Chłopak nie był głupi i na pewno zauważył, że moja zażyłość z jego matką sporo wykracza poza sąsiedzkie relacje. Ech, jakby nie mógł jeszcze trochę posiedzieć w koszarach...

Tymczasem Inga zanurzyła łyżkę w miseczce pełnej podejrzanie wyglądającej pulpy burozielonego koloru. Do tej pory breja była solidarnie ignorowana przez wszystkich biesiadników.

- Musicie spróbować też warzyw – oznajmiła zdecydowanie.
- Jadłem niedawno gotowaną marchewkę – powiedział obronnym tonem Horst.
- Ja już nie jestem głodna! – oświadczyła pośpiesznie Klaudia.
- Przysuńcie talerze! – poleciła groźnie Inga.

Rozkaz spełniono z ociąganiem i, nie ma co ukrywać, wyraźną niechęcią. Klaudia spojrzała na mnie błagalnie, wyginając usta w podkówkę. Odwróciłem obojętnie wzrok: jeśli chodzi o strojenie żalonych min, dziewczysko miało sporą wprawę. Szczególnie dotyczyło to dyskusji nad zwiększeniem dziennego przydziału czekolady...

- Aleks?

Widząc, że nie uda mi się wykręcić od udziału w kolejnym kulinarnym eksperymencie, pozwoliłem nałożyć sobie kilka łyżek papki, skosztowałem.

- I jak? – spytała nieufnie dziewczynka.
- Może być – mruknąłem.
- Co w tym jest?
- Rzepa, kapusta, marchewka, może jeszcze jakaś zielenina.

– Smakuje ci?
– Średnio, ale jadłem już gorsze rzeczy.
– Jakie?
– Na przykład kota.
– Kotka? Takiego jak ma pani Nebe z parteru?
– Uhm.
– Nie żartuj tak przy jedzeniu – poprosiła Inga.
– Nie żartuję – zapewniłem.
– Naprawdę zjadł pan kota? – Horst po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– Naprawdę.
Uśmiechnąłem się pod nosem, widząc wlepione we mnie zaciekawione spojrzenia.
– Najpierw paćka – zarządziłem.
Horst jęknął, ale posłusznie przełknął kilka łyżek, Klaudia buntowniczo wyduła wargi.

– Z twojego talerza! – zażyczyła sobie, tupiąc nogą. – I chcę na kolana!
– Jesteś niegrzeczna! – rzuciłem ostro. – A ja nie lubię niegrzecznych dzieci!
Mała pobladła, jakbym uderzył ją w twarz, usta jej zadrżały i tym razem nie wyglądało to na udawanie.

– Przepraszam – odezwała się cichutko. – Mogę na kolanka?
Bez słowa wyciągnąłem ręce, ale Klaudia, zamiast wdrapać się na kolana, przywarła do mnie wstrząsana cichym szlochem. Ki czort? Toż nie raz i nie dwa widziałem, jak Inga strofuje dziewczynkę i nigdy nie wywoływało to takiej reakcji. A bywało, że moja sąsiadka używała w stosunku do córki dużo mocniejszych określeń niż „niegrzeczna”. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...

– No już, wystarczy tego płaczu – powiedziałem, tuląc Klaudię niezgrabnie. – Trzeba zjeść tę breję.

– Co to jest „breja”? – spytała, pociągając nosem.
– To, co widzisz na talerzu..
– Aha. Pokarmisz mnie?
– No dobrze – westchnąłem cierpiętniczo. – Pokarmię.

Mała bez oporu łykała nieapetyczną papkę i w chwilę później mogłem kontynuować opowieść.

– To było w zimie czterdziestego pierwszego. Zrzucono nas w nocy na spadochronach: mieliśmy przeprowadzić zwiad na tyłach jednego z rosyjskich rejonów umocnionych. Niestety, utknęliśmy w jakiejś wiosce, bo Rosjanie wysadzili kilka mostów, uniemożliwiając normalny ruch wojsk, i kontratakowali. Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem, bo w okolicy rozłożyła się rosyjska dywizja pancerna. Zapasy skończyły się błyskawicznie i nic dziwnego: przy

kilkunastostopniowym mrozie ludzie potrzebują więcej kalorii.

– Powiedz, jak zjedliście kotka! – ponagliła niecierpliwie Klaudia.

– Siedzieliśmy w ogromnej stodole, było tam tyle siana, że w razie czego mogliśmy się schować. W nocy wysłałem jednego z moich ludzi na skraj lasu, żeby zastawił sidła. Liczyłem na to, że może złapiemy jakiegoś zająca.

– I co? – nie wytrzymał Horst.

– Niestety, w sidła wpadły tylko trzy koty, prawda, że odpasione... Tak samo następnego dnia, a raczej nocy. Później dowiedziałem się, że niedaleko były spichrze, gdzie trzymano koty dla ochrony przed myszami: stąd nasze łowieckie szczęście. Żywiliśmy się kocurami przez tydzień.

– I jak smakowały? – spytała Inga z podszytą obrzydzeniem fascynacją w głosie.

– Coś pośredniego między królikiem a kurczakiem, tylko że mięso było strasznie twarde. Ale może nie mieliśmy dobrego przepisu...

Inga i Horst wybuchnęli śmiechem, Klaudia tylko zamruczała. Zerknąłem na małą: dziewczynka spała w najlepsze.

– No ładnie – wymamrotałem. – I co mam z nią teraz zrobić?

– Zaprosiłam kilka przyjaciółek – powiedziała z zakłopotaniem Inga. – Przyjdą za pół godziny. Gdybyś mógł ją położyć u siebie...

– W porządku – burknąłem. – Położę.

– Pomogę panu – zaofiarował się Horst.

– No to chodźmy.

Nie miałem złudzeń: widać było, że chłopak chce ze mną pogadać na osobności. Nie dość, że moje łóżko zajmie panienska von Bredow – a sam miałem ochotę odpocząć! – to jeszcze przyjdzie mi się tłumaczyć.

Horst otworzył przede mną drzwi i popędził na górę. Trzeba przyznać, że uwinął się migiem: kiedy dotarłem do swojego mieszkania, kończył sianie łóżka. Ściągnąłem Klaudii buty i okryłem kocem. Niech śpi, mała paskuda...

Widząc, że chłopak patrzy na mnie pytająco, zaprosiłem go gestem do salonu, postawiłem na stole dwie butelki piwa.

– Chciałeś porozmawiać? – spytałem bez ogródek.

Przytaknął skinieniem głowy, po czym otworzył piwo. Jak zauważyłem, zrobił to z dużą wprawą...

– Pan i moja matka... – zaczął niepewnie.

– Owszem – przyznałem. – Choć to nie twoja sprawa. A co? Masz coś przeciwko?

– Skąd! – zaprzeczył gorliwie. – W żadnym wypadku! Pomyślałem tylko, że skoro tak, to wolałby pan wiedzieć.

– O czym, na litość boską?

– Ona ma dzisiaj urodziny.

No tak: teraz wiadomo, dlaczego smarkacz poprosił o przepustkę i skąd ten babski

sabat u *Frau* von Bredow. Tylko dlaczego Inga nic mi nie powiedziała?

– Nie wiedziałem. Twoja matka nie pisnęła ani słowa.

– Pewnie nie chciała wprawiać pana w zakłopotanie: trudno dziś o coś, co nadawałoby się na prezent.

Nie chciała wprawiać w zakłopotanie? Akurat! Inga Matylda Judyta von Bredow była dumna jak sam diabeł i prędzej umarłaby, niż przyznała, że chciałyby dostać ode mnie jakiś podarek. Tyle że w niczym nie zmieniało to sytuacji: jeśli nie stanę na wysokości zadania, moje notowania mocno spadną, a na to nie mogłem sobie pozwolić. W żadnym wypadku! W moim interesie leżało, aby Inga była nieustannie zachwycona osobą pułkownika Razumowskiego, czy raczej majora Rotha. No to sobie odpocząłem...

– A ty coś jej kupiłeś?

– Przybornik do szycia i srebrny napaśtek.

– Możesz popilnować siostry?

– Oczywiście.

– W takim razie zostań tutaj, a ja pójdę poszukać jakiegoś prezentu.

– Mogę? – Wskazał drugie piwo.

– Ale nie więcej. Policzyłem butelki – dodałem ostrzegawczo.

Horst odpowiedział mi spojrzeniem zranionej sarenki.

– Gdzieżbym śmiał...

– Jasne! – Pogroziłem chłopakowi pięścią.

Zapinając płaszcz, zastanawiałem się, co podarować Indze? Nie żebym naprawdę musiał biegać za prezentem: szykując się do misji w Breslau, zabrałem ze sobą kilka błyskotek. Na wszelki wypadek, bo skąd mogłem wiedzieć, jak rozwinie się sytuacja? I proszę: przydało się! Problem w tym, co wybrać?

Zbiegając po schodach, namacałem w kieszeni niewielkie zawiniątko: trzy pierścionki, delikatny złoty medalion na łańcuszku i spora srebrna broszka wysadzana szmaragdami.

Pomyślmy: złoty pierścionek z pojedynczym brylantem odpada – zbyt podobny do zaręczynowego... Medalion i broszka? Ładne, a i wyglądają na cenne, ale wątpię, żeby Indze zależało na wartości materialnej prezentu. W końcu nigdy nie musiała liczyć się z pieniędzmi. Dopiero teraz w Breslau sytuacja nieco się zmieniła. Cóż pozostaje? Pierścionek ze sporym, oszlifowanym schodkowo rubinem i drugi ze złota i platyny, z szafirowym kaboszonem. Cóż, niewielki wybór, tylko jeden z nich będzie pasował do oczu mojej sąsiadki.

Przyjrzałem się bliżej ażurowej obrączce: misternie cyzelowane, wykonane ze złota roślinne wici ujęte były w wąskie paski platyny. Sam kamień o barwie bezchmurnego nieba także otoczono platynową kryzą. Całość, mimo że masywna, sprawiała filigranowe wrażenie. Gustowny drobiazg, powinien się spodobać. Trzeba jeszcze

tylko znaleźć grawera i zamówić odpowiedni napis z dzisiejszą datą. No, to akurat nic trudnego, szyld grawera widziałem parę ulic dalej, na Elbingstrasse. Ciekawe tylko, czy Inga będzie mogła przekazać go córce, czy też pierścionek dostanie się jakiemuś czerwonoarmiście? Upadek Breslau to kwestia dni, góra tygodni. A dopóki nie znajdę choć części dokumentów z archiwum Himmlera, możliwe są wszystkie opcje. A i później kto wie? Po czorta komuś rodzina von Bredow, jeśli zgarniemy archiwum? Gdzie gwarancja, że moi przełożeni dotrzymają słowa, kiedy dostaną to, czego chcą? A Beria? Czy nie wykończy Ingi i dzieciaków z czystej mściwości, jeśli przegra wyścig z *wojennoj razwiedkoj*? Ech, też mi się zebrało na rozmyślania... Zdecydowanym krokiem pomaszerowałem w kierunku Elbingstrasse.



Pierwszy wręczył swój prezent Horst, później wycalowała matkę Klaudia. Wreszcie przyszła i moja kolej... Życzyłem solenizantce szczęścia: wiedziałem, że w najbliższym czasie będzie jej potrzebne bardziej niż cokolwiek innego, później wsunąłem w dłoń pierścionek. Zdawało się, że Inga nie poświęca mu wiele uwagi – z dużo większym entuzjazmem chwaliła podarek syna – jednak widziałem, jak dotyka go co chwila, tak jakby musiała się upewnić, że ma go nadal na palcu.

Zjedliśmy skromną kolację – przyjaciółki Ingi posiedziały kilka godzin – po czym wróciłem do siebie. Musiałem nie tylko odpocząć, ale i przemyśleć parę spraw. Przestudiowałem dokładnie teczki personalne wszystkich trzech esesmanów, jednak nie znalazłem w nich niczego, co sugerowałoby, że to właśnie oni dokonywali rytualnych mordów. Inna rzecz, że te akurat akta nie były warte nawet papieru, na jakim je napisano. Ot, taki Max Radett: w dokumentach podano, że uczestniczył w akcjach antypartyzanckich na terenie Polski i Białorusi, ale bez jakichkolwiek szczegółów. Rzecz zastanawiająca w oficjalnych przecież materiałach. Miałem nieodparte wrażenie, że ktoś usunął z papierów wszelkie wzmianki, które mogłyby obciążyć Radetta w oczach zwycięzców. Czasem brak informacji także jest informacją. W tym wypadku informacją wskazującą, że nasi aryjscy wojownicy byli zamieszani w jakieś nieprzyjemne sprawy. No dobrze, tylko co z nimi robić? Bo prędzej czy później pułkownik Krebs zażąda, aby mu przedstawić dowody winy lub niewinności esesmanów. A takowych na razie *niet*... Być może w jakichś archiwach znajdują się pełne, nieretuszowane akta personalne całej trójki, wątpliwe jednak, żeby przyznano mi do nich dostęp. Zresztą gdyby nawet, to jakim cudem miałbym się do nich dostać? Mała wycieczka do Berlina? Bzdura! A nikt nie poświęci kilku godzin na ich przedyktowanie, nie w sytuacji, kiedy „Tysiącletnia Rzesza” zdycha, nie

wyszedłszy z wieku młodzieńczego...

Co robić, do cholery? Co robić?! Myśl, Razumowski! Myśl! A gdyby tak rozpocząć inwigilację naszych trzech muszkieterów? To wszystko, rzecz jasna, w ograniczonym zakresie, bo przecież nie da się umieścić agenta w koszarach – ci wszyscy esesmani znają się, jeśli nie osobiście, to choćby z widzenia. Tylko czy taka obserwacja do czegoś doprowadzi? Cóż, nie ma innego wyjścia, bo raczej nie dostanę pozwolenia na przesłuchanie podejrzanych z użyciem sznura od bielizny. A szkoda... Tak czy owak, trzeba pogadać z komisarzem: jedynie on może przydzielić odpowiednich ludzi do tej roboty. I żeby tylko to! Bo przecież ustalenie sprawców tajemniczych morderstw to nie jedyny, ani nawet najważniejszy problem: pozostaje jeszcze kwestia archiwum Himmlera. Niestety, kiedy tylko opadła ze mnie euforia wywołana odkryciem kodu Zygfyryda von Bredowa, nasunęło się kilka wątpliwości. Nie ma co ukrywać – poważnych wątpliwości. Załóżmy, że znajdę dom z fotografii, co dalej? Rozbierać go cegła po cegle? W porządku, można. W Grünbergu. A co, jeśli inne archiwalia ukryto na terenie zajęтым przez naszych zachodnich sojuszników? To nawet nie hipoteza, ale graniczące z pewnością przekonanie. Co wtedy? I jeszcze jedno: według słów Ingi archiwum ma zawierać dane techniczne nowych rodzajów uzbrojenia. Tylko że takich informacji nie zmieści się w tekturowej teczce, widziałem raz w jednym z naszych instytutów badawczych dokumentację nowego typu bombowca: papierów było tyle, że wystarczyłoby na wagon kolejowy... Wniosek? Albo archiwum Himmlera zawiera tylko część materiałów – wtedy gdzie jest reszta? – albo coś tu nie gra. Bo jak ukryć w zwykłym domu przynajmniej kilkanaście skrzyń z dokumentami?

Podszedłem do telefonu, wykręciłem numer komisarza. Na szczęście był na miejscu.

– Trzeba inwigilować tę trójkę – powiedziałem po krótkim powitaniu. – Bo z dokumentów nic nie wynika, ktoś je starannie wyczyścił.

– Doszedłem do tego samego wniosku – odparł niewyraźnie.

Czyżbym przerwał mu kolację? W tle usłyszałem kobiecy głos: pewnie córka.

– Już wyznaczyłem ekipę – kontynuował, przełknąwszy. – To moi najlepsi ludzie. Jednak nie mamy wiele czasu, jeśli to nic nie da, trzeba będzie wymyślić coś innego.

– Co pan proponuje?

– Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym – odparł z rozdrażnieniem. – Pół dnia spędziłem na ściganiu dezertów. Obecnie to nasza główna rozrywka.

– Czy takimi sprawami nie powinna zajmować się żandarmeria?

– Może i powinna – odburknął. – Ale sam pan wie, jak jest, kiedy pada hasło: wszystkie ręce na pokład! A lepiej nie dawać nikomu podstaw do oskarżenia o defetyzm czy choćby brak gorliwości.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Lepiej nie...

– Jakie plany na jutro?

– Chcę obejrzeć ten basen i pogadać z personelem. Zastanawiam się też nad pewną opcją...

– Tak? – ponaglił mnie Witte.

– Chyba dałoby się zdobyć dla nas trochę czasu. Wie pan, na śledztwo.

– A to niby w jaki sposób?

– Może pogadałbym z tymi esesmanami? Bo oni raczej nie wiedzą, że ktoś ich podejrzewa. Nie! Nie mam zamiaru ich o nic oskarżać! Chodzi tylko o to, żeby nie byli tacy pewni siebie. Bo jeśli znowu kogoś zabiją, będziemy mieli kłopoty.

– Rozumiem – powiedział z namysłem Witte. – To chyba niezły pomysł. Sam fakt zainteresowania ze strony dowództwa, a jest pan przecież oficerem do specjalnych poruczeń komendanta miasta, powinien skłonić ich do ostrożności. Tak, to zdecydowanie dobry pomysł!

– W takim razie porozmawiam z nimi w najbliższym czasie – zdecydowałem. – A tymczasem...

– Jest jeszcze jedna sprawa – nieoczekiwanie wszedł mi w słowo komisarz.

– Coś na temat von Ziethena? – spytałem szybko.

– Nie, chodzi o tego Rosjanina, którego zabił pan w fabryce.

– Co znowu?

– On zginął na skutek zmiżdżenia klatki piersiowej. Właśnie dostałem wyniki sekcji zwłok.

– Zmiżdżenia? – powtórzyłem bezmyślnie. – A to jakim cudem? Co prawda trafiłem go w okolicę mostka, ale niemożliwe, żeby mój cios był aż tak silny, zresztą on miał na sobie ubranie, które musiało częściowo zamortyzować uderzenie.

– Powtarzam tylko to, co ustalił lekarz. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć. Bo tu nie chodzi o jedno czy dwa złamania, serce i płuca zamieniły się w krwawą masę, tak jakby ten facet dostał się pod młot parowy, a z żeber pozostały odłamki.

– Może to jakiś przypadek? – odparłem niezdecydowanie. – Bywa, że ludzie mają wyjątkowo kruche kości.

– To już drugi – zauważył ironicznie policjant.

– Nie rozumiem.

– Drugi przypadek. Pierwszym było uderzenie w gardło, którego pan nawet nie zauważył. Co by o tym nie mówić, wolałbym się z panem nie boksować...

– Niech pan wraca do kolacji, komisarzu – mruknąłem. – I proszę przekazać pozdrowienia pannie Monice.

– Skąd pan wie, że...

– Dobranoc! – uciałem stanowczo.

No proszę, co za niespodzianka: czyżby i na mnie zaczęła w końcu działać krew Doskonałych? Znacząco działać podobnie jak na Kotuszewa? Ciekawe... Tylko jak to sprawdzić? Przecież nie będę napierdalał się z jakimiś mętami. A warto byłoby

wiedzieć. Oj, warto...

Pomaszerowałem do kuchni grzać wodę na kąpiel – czasami człowiek potrzebuje odrobiny luksusu. Kto wie co będzie jutro? Festung Breslau dogorywała. Rwały się połączenia telefoniczne, szwankowały dostawy wody i gazu. Tyle że Głuzdowski nadal miał zbyt małe siły, żeby wziąć miasto szturmem: dla dowództwa Armii Czerwonej ważniejsze było otoczenie Berlina. Berlin... Ciekawe, co stanie się z Hitlerem? Czy ucieknie z zagrożonej przez nasze wojska stolicy? A może zginie pod bombami albo połknie truciznę? Wiedziałem, że wysokiej rangi funkcjonariuszom Trzeciej Rzeszy rozdano kapsułki z cyjankiem.

Sprawdziłem temperaturę wody w jednym z mniejszych garnków: może być. Przeniosłem się do łazienki i namydliłem twarz, rozłożyłem elegancką brzytwę w oprawie z kości słoniowej. Ostrze niemal bezgłośnie likwidowało zarost – nic dziwnego, solidna firma: Solingen. Brzytwa oznaczona była monogramem, pewnie wykonano ją na specjalne zamówienie. Monogram mi odpowiadał, tworzyły go dwie litery: A i R. Jak Aleks Roth. Albo Aleksander Razumowski... Cacko było nie tylko przydatne, ale i cieszyło oko. Zabrałem je z podręcznego bagażu pewnego Oberführera. Facet nie protestował, chwilę wcześniej przestrzeliłem mu czaszkę.

Ledwo usłyszałem pukanie – całe szczęście, że pozostawiłem niedomknięte drzwi. Ki czort? Bo przecież nie Inga? Przypuszczałem, że ze względu na wizytę syna *Frau von Bredow* prześpi tę noc we własnym łóżku.

– Chwileczkę! – zawołałem, wycierając twarz.

A jednak...

– Coś się stało? – spytałem zaniepokojony.

– Nie, chciałam ci tylko podziękować za prezent.

– Ja...

Nie dokończyłem: Inga zamknęła mi usta pocałunkiem. Przez kolejne kilka minut odbierałem dowody wdzięczności.

– Dzieciaki już zasnęły?

– Nie. – Skrzywiła się lekko. – Ale mam dobrą wymówkę: można powiedzieć, że wyszłam w celach służbowych.

– A dokładniej?

– Muszę skontrolować strych – wyjaśniła. – Dziś mój dyżur.

Dopiero teraz zauważyłem, że Inga trzyma w ręku latarkę.

– A co tam jest do kontrolowania?!

– Trzeba sprawdzić, czy nikt nie pozostawił łatwopalnych przedmiotów, skrzynie z piaskiem na wypadek...

– Przecież niedawno ktoś łąził po strychu! – przerwałem jej bezceremonialnie. – I założę się, że sprawdzał to samo!

– Taki przepis – odparła, wzruszając ramionami.

– No dobrze – westchnąłem. – Pójdę z tobą, tylko się ubiorę.

Inga uśmiechnęła się z ulgą. Wiedziałem, że boi się ciemności. Ech, baby... To nie ciemność jest straszna, lecz światło dnia: jasne, bezlitosne, wskazujące silnym kryjówki słabych.

– Chodźmy – ponagliłem. – Będę cię trzymał za rękę, tam, gdzie nieskończony mrok, nietoperze i przedwieczne zło...

– Tylko nie nietoperze! – pisnęła Inga, obronnym gestem sięgając do włosów.

Roześmiałem się mimo woli: rzadko kiedy można było zobaczyć, jak hrabianka von Bredow zachowuje się niczym zwykła kobieta.

– Co w tym zabawnego? – burknęła niezadowolona.

– Nic, ja tylko tak... – zapewniłem obłudnie.

Zanim narzuciłem na siebie kurtkę, zarobiłem szturchańca pod żebro.

– Dlaczego bierzesz ze sobą broń? – spytała, widząc, jak wsuwam do kieszeni lugera.

– To na nietoperze – wyjaśniłem z powagą.

– Och, bądź poważny! Przecież wiem, że tam nie ma żadnych nietoperzy – dodała z nutką lekkiego niepokoju w głosie.

– Przynajmniej kilka gatunków nietoperzy uwielbia strychy – zapewniłem.

– Żartujesz?!

– W żadnym wypadku! Gacek, podkowiec mały, mroczek, nocek orzęsiony – wymieniałem.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Zmrużyła podejrzliwie oczy. – Interesujesz się chiropterologią? Bo w wojsku chyba tego nie uczą? Czasami mam wrażenie, że specjalnie udajesz nierozgarniętego, a jak się zapomnisz, to okazuje się, że niejednego zadziwiłbyś erudycją...

Zrobiłem odpowiednio zakłopotaną minę, ale nie skomentowałem słów sąsiadki. Przecież nie będę jej tłumaczył, że owa rzekomo posiadana przeze mnie „erudycja” to efekt dobrej pamięci i żmudnego wertowania rozmaitych, często dość przypadkowo dobranych słowników i encyklopedii. Trzeba zapamiętać i to chirocoś, a przy okazji sprawdzić, co znaczy ten termin. Pewnie ma związek z nietoperzami. Nie ulegało wątpliwości, że raczej nie mogę równać się wiedzą z hrabianką von Bredow. Inga co prawda nie ukończyła studiów, ale przecież nie z powodu braku predyspozycji, a samo towarzystwo ojca dało jej lepsze wykształcenie niż niejedna uczelnia. Rzecz dość kłopotliwa, bo major Roth powinien imponować jej i intelektualnie. Na szczęście od czasu do czasu los mi sprzyjał i mogłem zabłysnąć w oczach *Frau* von Bredow.

Wziąłem ją za rękę i bez słowa poprowadziłem na strych. Dobrą chwilę zabrało mi otwarcie potężnej, zardzewiałej kłódki – a tyle się mówi o niemieckim porządku! – bo zamiast oświetlać drzwi, Inga nerwowo rozglądała się na boki. Zapewne w poszukiwaniu morderczych nietoperzy...

– Dobra – mruknąłem. – Sprawdzaj te swoje skrzynie.

– To tam, pod ścianą – powiedziała niepewnie.

Czułem obawę w jej głosie. To chyba coś więcej niż zwyczajny lęk przed ciemnością.

Ponownie wziąłem ją za rękę, zabrałem latarkę. Natychmiast zacisnęła palce na mojej dłoni, jak przestraszone dziecko.

– Skrzynia – poinformowałem sucho, podnosząc wieko.

– Powinny tu być trzy takie – stwierdziła niespokojnie.

– Z piaskiem – kontynuowałem.

Nie usłyszałem odpowiedzi Ingi, zagłuszyło ją wycie syren. Złapałem ją, kiedy rzuciła się do wyjścia. Widziałem, jak jej wargi wymawiają jeden wyraz: „dzieci”.

– Nie biegnij, bo jeszcze coś sobie zrobisz! Nic im się nie stanie! – krzyknąłem jej do ucha. – Jakby co, Horst zajmie się małą. Nie będą bombardować naszej ulicy!

O dziwo, uwierzyła mi od razu, ale i tak drżała w moich ramionach niczym zraniony ptak. Pocałowałem ją. Przywarła do mnie desperacko, powtarzając moje imię. Tymczasem w barbarzyńską melodię syren wdarło się złowrogie staccato dział przeciwlotniczych. Rozpoczął się nalot.

Wyłuskałem Inge z ubrania, położyłem na wypełnionej piaskiem skrzyni. Nie byłem delikatny: jej strach wyzwolił we mnie mroczną, pierwotną żądzę. Po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy, dbałem tylko o swoją przyjemność. Brutalne, zwierzęce pieszczoty, jakich jej nie szczędziłem, służyły tylko jednemu: podkreśleniu władzy. Była moja, mogłem z nią zrobić, co zechcę.

Kolejna, zadziwiająco bliska eksplozja wstrząsnęła budynkiem, rozległ się trzask pękającego szkła, ciemność rozjaśniły płomienie pożaru: bomba zapalająca. Poczułem wilgoć na plecach. Inga krzyczała. Być może ja też. Nie czułem bólu, kiedy kolejna szklana drzazga przeorała mi ramię. Usta Ingi poddawały się moim wargom, ciało reagowało ulegle na żądania niecierpliwych dłoni, oczy szukały mojego wzroku, kiedy brałem ją gwałtownie, niczym niewolnicę. Skończyłem z ostatnim grzmotem: odgłosy walki ucichły jak ucięte nożem. Wszystko trwało niedługo, widać nasi atakowali tylko niewielki obszar albo konkretny cel.

Inga poruszyła się pierwsza – i nic dziwnego – to nie ja leżałem na zimnym piasku... Pomogłem jej się ubrać, sam pozostałem nagi od pasa w górę: nie chciałem pokrwawić ciuchów. Szkło z rozbitej szyby niezłe mnie poharatało.

– Jesteś ranny – zauważyła nieswoim głosem.

– Nieważne – wymamrotałem, odwracając wzrok. – Wracajmy.

Ruszyła za mną w milczeniu. Chciałem przepuścić ją w drzwiach, odmówiła ruchem głowy. Czyżby się mnie bała? Przez chwilę myślałem, że ucieknie do swojego mieszkania, jednak nie: bez wahania weszła za mną.

– Inga, ja...

Uderzyła mnie w twarz, rozcięła wargę. Zabolało.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła. – Nienawidzę!

– Wybacz, jeśli byłem zbyt brutalny...

Przerwał mi kolejny cios. Nie próbowałem się uchylić. Zasłużyłem.

– Nie traktuj mnie jak idiotki! Nie chodzi o to, co zrobiłeś, tylko dlaczego! Posłużyłeś się mną, żeby zapomnieć o tamtej! Zaprzecz, jeśli możesz!

Nie zaprzeczyłem, nie mogłem. Nagle zmęczenie zwałyło się na mnie jak lawina i osunąłem się na podłogę, mażąc krwią tapetę. Inga miała rację: wykorzystałem ją, choć nie po to, aby zapomnieć – wątpiłem, czy to w ogóle możliwe – ale osłabić ból, jaki sprawiało mi wspomnienie Olgi. I co najdziwniejsze: podziałało.

– Czuję, że nie myślisz o mnie, że jestem tylko kimś do... – urwała, nie kończąc zdania.

– Nie myślałem o Oldze – odparłem. – Wtedy na strychu.

Inga przysiadła w kucki, tak że mogła spojrzeć mi w twarz.

– A o czym? O kim? – poprawiła się po chwili.

Ospale wzruszyłem ramionami. Nie było o czym gadać: nie kochaliśmy się od czasu, kiedy doszła mnie wieść o śmierci Olgi, i to nie Inga była niechętna... A na strychu potraktowałem ją jak tanią dziwkę. Co prawda nie protestowała, ale nie jestem pewien, czy robiłoby mi to różnicę. Nie trzeba było geniusza, żeby dodać dwa do dwóch, a Inga nie była głupia, co to, to nie...

Podniosłem się z wysiłkiem, powłokłem do łazienki. Słyszałem jej kroki – poszła za mną.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała cicho.

Oto czas na wyjaśnienia, pomyślałem cynicznie. Wystarczy się usprawiedliwić, może uronić skąpą, męską łzę i hrabianka von Bredow znowu będzie jadła mi z ręki. Tyle że nie miałem na to ochoty. Nie miałem i siły: czułem, że mój system nerwowy pracuje na rezerwie. Jeszcze trochę i walnę kogoś w mordę. Albo strzelę w łeb. Może swój...

– Aleks?

– Widocznie tego potrzebowałem, a ty byłaś pod ręką! – warknąłem, tracąc panowanie nad sobą. – Wiesz, ile trwa ta wojna? Już ponad pięć lat! Pięć kurewskich lat! A ja mam dosyć! Zmęczenie materiału. Więc wybacz, że w chwili słabości skorzystałem z twojego pięknego, białego ciała, nie troszcząc się o twoją jakże wrażliwą duszę!

Byłem pewien, że oberwę po raz trzeci, ale o dziwo, we wzroku Ingi dostrzegłem nie złość, lecz współczucie.

– I co, pomogło?

– Możliwe.

– Gdzie masz apteczkę?

– Nie mam. W kuchni jest wódka, wystarczy, żeby zdezynfekować...

– Poczekaj tu, przyniosę – poleciała.

Przysiadłem na brzegu wanny, ukryłem twarz w dłoniach. Co się ze mną dzieje? Toż mało nie spaliłem całej operacji! A w razie niepowodzenia misji nikt nie będzie pytał o przyczyny, tylko postawią mnie między ślepym murem a plutonem egzekucyjnym. Już kto jak kto, ale towarzysz Beria tego dopilnuje: mieliśmy zadawnione porachunki. Jednak ku mojemu zdumieniu ta myśl nie wywołała lęku jak dawniej. Znaczący jest ze mną gorzej, niż sądziłem, znałem wielu ludzi, w których – z takich czy innych powodów – wypalił się strach. Żaden z nich nie żył po tym zbyt długo... Szlag!

Tymczasem Inga wróciła, niosąc pełną po brzegi szklanę.

– Pij! – rozkazała.

Spojrzałem na nią spod oka: jeśli łyknę ćwiartkę wódki, w moim stanie...

– No już! – ponagliła.

Cóż, sama chciała: kilkoma łykami opróżniłem naczynie. Ostry, palący płyn nieprzyjemnie podrażnił mi gardło. Zakaszlałem.

– A teraz chodź ze mną.

– Gdzie?

– Do mnie, trzeba coś zrobić z twoimi plecami.

– Nie chcę wystraszyć dzieciaków – zaprotestowałem. – A i czuję się trochę nie tego... Ta gorzała to chyba nie był najlepszy pomysł.

– Idziemy! – zakomenderowała, biorąc mnie pod ramię.

– Nie boisz się, że będę nachalny po wódce?

– Przy dzieciach? Akurat! Będziesz miły jak pluszowy misiaczek, najwyżej się porzygasz.

– To nie wypada – zaprotestowałem niemrawo. – Półgoły obcy facet...

Nie wyglądało jednak, żeby pani von Bredow przejęła się moimi zastrzeżeniami, wyprowadziła mnie na korytarz i oparła o ścianę, aby zamknąć drzwi.

– Naprawdę nie boisz się mnie po tym, co zaszło?

– Roth, ty nie udajesz prostaczka, ty naprawdę jesteś idiotą – stwierdziła ze znużeniem. – Gdybym miała pewność, że tam, na strychu, to ja byłam ci potrzebna, ja – podkreśliła – a nie jakakolwiek kobieta, sprawdzalibyśmy teraz pozostałe skrzynie z piaskiem.

Zamrugalem z zaskoczeniem, ale zanim zdobyłem się na odpowiedź, Inga wciągnęła mnie do mieszkania.

– Mamo! Panie majorze! Co wam się stało?!

– Byliśmy na strychu w czasie nalotu i trochę nas sponiewierało.

– Jesteś ranna?

– Nie, tylko potłuczona. Aleks zdążył mnie przewrócić i zasłonił własnym ciałem.

Dlatego dostał odłamkami szkła: poszła jakaś szyba.

– Dobrze, że chociaż sama tam nie polazłaś – zauważył cierpko Horst. – Tyle razy ci mówiłem...

– Och, przestań marudzić! Lepiej przynieś apteczkę.

– Już lecę!

– Siadaj. – Inga popchnęła mnie na kanapę.

– Uświnię ci tu wszystko.

– Zamknij się i siadaj! – warknęła.

Co mi pozostało? Usiadłem.

– Nabroiłeś? – spytała domyślnie Klaudia. – Na mnie mama też krzyczy, jak coś spsocę.

Ubrana tylko w koszulkę nocną dziewczynka przydreptała, żeby przytulić się do matki. Inga objęła ją bez słowa.

– Czy ktoś tu czasem nie miał spać? Jedenasta godzina – zauważyłem.

– Spałam, ale obudziło mnie bombienie – wyjaśniła, sadowiąc mi się na kolanach. – Fu! Ale śmierdzi ci z buzi!

Popatrzyłem na nią groźnie, po czym chuchnąłem z rozmysłem. Klaudia zachichotała i odwzajemniła mi się tym samym. Tyle że w jej oddechu czuć było pastę do zębów, a nie wódkę...

Tymczasem, nie czekając na powrót syna, Inga zajęła się moimi plecami, starając się oczyścić skaleczenia wodą z mydłem. Procedura nie należała do przyjemnych, na szczęście alkohol podziałał znieczulająco.

– No, wreszcie! – skarciła Horsta.

Chłopak przewrócił oczyma, ale nic nie odpowiedział. Widać doszedł do wniosku, że to nie najlepszy moment do wszczynania dyskusji. Mądra decyzja!

Syknąłem, kiedy Inga zaczęła odkażać ranki spirytusem. Podrażnione wcześniejszymi zabiegami, piekły jak przyżegane rozpalonym pogrzebaczem.

– Boli? – odezwała się współczującym tonem Klaudia. – Mnie też bolało, jak rozbiłam kolanko.

– Trochę – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Tylko mi tu nie zemdlej – mruknęła Inga.

– Postaram się, jaśnie pani! – odparłem sarkastycznie.

– Jodoform? – Horst uniósł pojemnik z żółtym proszkiem.

– Tak, poproszę.

– Nie wystarczy spirytus?

– Nie widziałeś tych okien. Szyb nie myto ze dwa lata.

Poczekąłem cierpliwie, aż Inga skończy z moimi plecami, po czym z wysiłkiem dźwignąłem się na nogi. Musiałem być wykończony nerwowo, bo przecież nie te draśnięcia mnie tak załatwiły ani szklanka wódki.

– Pomóż mi, Horst – poleciła Inga. – Ja muszę doprowadzić się do porządku.

Pozwoliłem chłopakowi ująć się pod ramię i pokuśtykałem do drzwi. Znaczący nie dostanę buziaka na dobranoc? Trudno...



ROZDZIAŁ ÓSMY

Nacisnąłem migawkę aparatu, sfotografowałem kolejną płaskorzeźbę ozdabiającą budynek miejskiego basenu. Jakiś rogaty stwór trzymający rybę, nagie kobiety z płetwami zamiast stóp, gnom, żabiopodobne okropieństwa... Wbrew słowom komisarza symbole nijak nie kojarzyły mi się z okultyzmem, ale w końcu co ja tam wiem na ten temat? Lepiej poprosić o opinię Lidię Zosimownę. A nuż ma to coś wspólnego z von Ziethenem? Co prawda idea, że mistrza Doskonałych wspiera w Breslau jakieś mistyczne bractwo, wydawała się, delikatnie rzecz biorąc, dość wydumana, ale wolałem dmuchać na zimne: von Ziethen kilkakrotnie wyślizgiwał mi się z rąk.

Niestety, choć obsługa basenu dobrze zapamiętała pana Wertelliego, nikt nie wiedział, co się z nim stało. Powszechnie przypuszczano, że zginął w jednym z bombardowań. Ja nie byłem aż takim optymistą: signor Wertelli przestał uczęszczać na basen mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przybyłem do miasta. Przypadek? Być może, ale nie postawiłbym na to zbyt wiele. Wiedziałem, że jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, mój wróg jest w stanie – w pewnym stopniu, rzecz jasna! – przewidywać przyszłość. Jeśli mnie zdarzały się wizje, to co dopiero jemu... Tak, schwywanie go nie będzie łatwe. Tyle że von Ziethen nie miał już gdzie uciekać. No i wątpię, by pozostali mu jacyś akolici – gdyby tak było, już dawno spróbowaliby się mnie pozbyć.

Wsiadłem do wozu i ruszyłem w stronę willi von Dallewitza, z przyjemnością wsłuchując się w szum motoru. Nigdy nie miałem własnego samochodu; w kraju

nawet maszyny rodzimej produkcji przysługiwały jedynie prominentnym funkcjonariuszom partii. Zbyt wysokie progi, jak na majora, a nawet pułkownika Razumowskiego. A tu proszę – od razu mercedes. Jego właściciel, kapitan Hauke, doszedł do wniosku, że nie ma sensu chować wozu przed Rosjanami, bo ci i tak go znajdą. Lepiej sprzedać auto za pół ceny, póki są chętni. No i tym sposobem stałem się właścicielem znakomicie utrzymanego modelu 170V. Szkoda tylko, że niedługo się nim nacieszę: dawałem twierdzy Breslau nie więcej niż dwa, góra trzy tygodnie. Nasze wojska podchodziły już do pasma wzgórz Seelow, ostatniej liczącej się linii umocnień przed Berlinem.

Zaparkowałem maszynę, użyłem zabytkowej kołatki: trywialny dzwonek elektryczny nie zadowalał pana hrabiego. Nie spodziewałem się żadnych rewelacji, ale wypadało odebrać tłumaczenie „Żelaznej księgi”. O ile von Dallewitz będzie w nastroju mi je dać... Z drugiej strony kto wie? Facet palił się do rozmowy o Doskonałych, a wiedział, że nie powiem ani słowa, dopóki nie wypełni swojej części umowy.

W przedpokoju ubrana w biały fartuszek pokojówka odebrała ode mnie okrycie i zaprowadziła do salonu. Widać pan hrabia był łaskaw, założę się, że gdyby nie ciekawość, przysłoby mi wchodzić tylnym wejściem, razem z dostawcami i służbą.

Dallewitz powitał mnie z jowialnym uśmiechem – gdybym go spotkał po raz pierwszy, pewnie dałbym się nabrać – i rozpoczął rozmowę o pogodzie. Tak jakby wiosenne chłody stanowiły największe zmartwienie mieszkańców Breslau... Nie podjąłem tematu, zapytałem wprost o tłumaczenie. Bez słowa wskazał mi opasy skoroszyt. No cóż, zobaczymy, co zdziałał pan hrabia... Przede wszystkim rzucały się w oczy rysunki, było ich dużo więcej niż w oryginale. Wszystkie z dokładnymi opisami. Niektóre przypominały ilustracje z podręczników boksu czy zapasów, inne podobne były do zamieszczanych w książkach o gimnastyce, jednak wszelkie podobieństwa pryskały po przeczytaniu wyjaśnień. Ot, na przykład rycina przedstawiająca mężczyznę w pozycji jak do popularnych pompek, tyle że z zaciśniętymi w pięści dłońmi. I podpis: „Żelazny byk ryje ziemię”. W opisie roilo się od chińskojęzycznych i – co za niespodzianka! – zupełnie nieznanymi mi terminów. To już wiadomo, skąd dobre samopoczucie von Dallewitza, pewnie cieszyła go zmiana sytuacji: to ja stałem się petentem. Bo on wykonał swoją pracę, tyle że jej rezultat był dla mnie niezrozumiały. No ale to przecież nie wina pana hrabiego...

– I jak pan to znajduje? – zapytał.

– Solidna robota – przyznałem. – Jednak nie mam czasu teraz tego czytać. Czy mógłby pan streścić tekst w kilku zdaniach?

– Dlaczego nie? – Wzruszył ramionami. – Rzecz dotyczy chińskich sztuk walki. Dokładniej rzecz ujmując, nie chodzi o konkretne techniki, ale metody, dzięki którym

wojownik może stać się niepokonany w bezpośrednim starciu. Bazują one na kilku dość... ezoterycznych koncepcjach. Jedna z nich to na przykład sztuka „żelaznej dłoni”. Jej zwolennicy twierdzą, że dzięki odpowiedniemu treningowi siła uderzenia adepta wzrasta ponad możliwości zwykłego człowieka i może on gołymi rękoma kruszyć cegły, kamienie, czy też druzgotać kości. Inne ćwiczenia z kolei uodparniają na ciosy, tak że ekspert potrafi bez szkody dla zdrowia wytrzymać uderzenie, które zabiłoby każdego innego. Nie sądzę, żeby wymyślili to Doskonali, podobne idee znane są na Dalekim Wschodzie od setek lat, jednak mało kto jest w stanie sprostać treningowi, jaki jest konieczny, żeby dojść do mistrzostwa. Wykonywanie niektórych ćwiczeń grozi ciężkimi kontuzjami, a nawet kalectwem. Tymczasem ktoś, kto pił krew mistrza, jest nie tylko zabezpieczony przed efektami... ubocznymi, ale też osiąga rezultaty w znacząco krótszym czasie.

Hmm... Druzgotanie kości – czy nie o tym opowiadała babka Anastazja? A co do odporności, to sam widziałem, jak trudno było zabić Doskonałych. Taaak, może jednak warto spróbować? Tylko że bez pomocy pana hrabiego ani rusz: sam nie jestem w stanie pojąć, o co w tym wszystkim chodzi.

– No dobrze – westchnąłem. – Czego pan chce?

Von Dallewitz nawet nie udawał, że nie pojmuje aluzji.

– Doskonali – odparł szybko. – Proszę opowiedzieć mi o Doskonałych.

Bez wahania przedstawiłem mu niemal prawdziwą wersję moich przygód w Leningradzie. Nic trudnego, wcześniej wszystko przemyślałem. Nie wspomniałem, że skosztowałem krwi mistrza, nie rozwodziłem się też nad faktem, że działałem nie po niemieckiej, tylko po rosyjskiej stronie frontu...

– Jest pan pewien?! – rzucił gorączkowo hrabia. – Byli odporni na niską temperaturę i kule?

– Nie w sposób absolutny – zaznaczyłem. – I ołów, i mróz mogły ich zabić. Jednak w porównaniu ze zwykłymi ludźmi wykazywali ogromną wytrzymałość.

– A mistrzowie? Co z mistrzami?!

– Jednego zabiliśmy, drugi zniknął.

– Jak to zabiliście?! To była niepowtarzalna okazja, aby...

Przerwałem mu znużonym gestem.

– Nie wiedzieliśmy wówczas nic o Doskonałych – podkreśliłem. – Ci ludzie byli dla nas dywersantami. Nikim więcej. Później całą sprawę zamieciono pod dywan, rozumie pan, ze względów propagandowych. Dowództwo nie chciało, żeby rozeszły się pogłoski o kulo- i mrozoodpornych sekciarzach. Jako jedyny zainteresowałem się ideami Doskonałych i udało mi się zabezpieczyć część dokumentów.

– A reszta?

– Kto wie? Może zabrał je ostatni mistrz? A może nadal leżą w jakiejś skrytce w Leningradzie?

Dallewitz zmierzył mnie taksującym spojrzeniem, po czym użył srebrnego dzwoneczka. Pokojówka – ta sama, którą spotkałem w przedpokoju – podała kawę i ciasteczka. Kawa była prawdziwa i aromatyczna, a wypieki dopiero co wyjęte z pieca. Najwyraźniej nie wszyscy w Breslau cierpieli niedostatek...

– Na pewno ma pan jakieś pytania – wymruczał, maczając ciastko w kawie.

– Skąd tyle ilustracji?

– Niektóre ćwiczenia składają się z kilku ruchów, a w oryginale przedstawiono tylko dwie pozycje: wyjściową i kończącą sekwencję. Pomyślałem, że jeśli zilustruję poszczególne etapy, tekst stanie się bardziej zrozumiały.

– Dziękuję – powiedziałem szczerze.

Hrabia odpowiedział niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– To pan rysował?

– Skąd! Mój sekretarz. Nie mam talentów plastycznych – odparł z lekkim roztargnieniem. – Czy mógłbym i ja o coś pana spytać? Chodzi mi o kwestię niezwiązaną z naszą – wykonał nieokreślony gest – umową.

Zmarszczyłem brwi: von Dallewitz nie był ani nieśmiały, ani uprzedzająco grzeczny, skąd więc ta nagła ostrożność? Wyglądało na to, że sonduje, czy powiem mu prawdę. Czyżby pan hrabia uważał, że plebs nieustannie kłamie? A może rzecz dotyczy czegoś nie do końca legalnego albo wstydliwego?

– Proszę zadać pytanie – przyzwoliłem sucho. – A ja zastanowię się, czy na nie odpowiedzieć.

– *Kinbaku* – rzucił. – Jest pan pierwszym człowiekiem w Breslau, który zna tę nazwę. Gdzie pan się zetknął z praktyką *kinbaku*?

Ledwo się powstrzymałem, żeby nie parsknąć śmiechem – moje podejrzenia, że pan hrabia ma specyficzne upodobania, znalazły potwierdzenie. Bo nie wyglądało, żeby jego ciekawość miała wyłącznie teoretyczny charakter: Dallewitz oczekiwał mojej odpowiedzi nie to, że z zainteresowaniem, ale wręcz z napięciem.

– Nie zetknąłem się – poinformowałem krótko. – Wiem, co to jest, tylko tyle. Bywało natomiast, że używałem technik *hojojutsu*.

Myślałem, że gospodarz straci zainteresowanie tematem, ale nic na to nie wskazywało.

– Na ludziach? – upewnił się z roziskrzonym wzrokiem.

– Owszem – potwierdziłem obojętnie.

– Mógłby pan podać jakiś przykład?

Po zastanowieniu opowiedziałem mu historię Lukasa Raabego. Cokolwiek by o nim mówić, von Dallewitz nie wyglądał na donosiciela. A gdyby nawet, to cóż mi mogli zrobić za użycie siły wobec człowieka, którego wina została dowiedziona bez najmniejszych wątpliwości? Dyrektor Raabe został skazany na śmierć, a wyrok pewnie już wykonano.

– Mógłby pan zrobić szkic tych więzów? – zapytał, wskazując plik czystych kartek i ołówki.

– Dlaczego nie? Tylko że ja także nie mam zdolności artystycznych.

– Nic nie szkodzi! Mój sekretarz później to przerysuje.

Oszczędną kreską naszkicowałem umiejscowienie splotów w klasycznej wersji tortury, później zaznaczyłem zmiany wprowadzone przez *wojennuju razwiedku*. Trzeba przyznać, że pan hrabia chwycił wszystko w lot.

– To może doprowadzić do nieodwracalnych uszkodzeń – uprzedziłem.

Dallewitz skinął głową, ale nie wyglądało, żeby przejął się ostrzeżeniem.

– Wracając do tych chińskich terminów...

Von Dallewitz zamrugał nieprzytomnie, jak ktoś zbudzony z głębokiego snu, ale po chwili zachęcił mnie gestem do kontynuowania wypowiedzi. Zapowiadało się pracowite popołudnie.



Zgasilem lampę naftową, przeciągnąłem się, prostując plecy: wreszcie skończyłem porządkowanie notatek zrobionych w czasie rozmowy z von Dallewitzem. Zza okien dochodziły odgłosy wybuchów, momentami zdawało mi się nawet, że słyszę serie z karabinów maszynowych. Może złudzenie, a może nie – niemal każdego dnia nasi zdobywali coraz więcej terenu. Dni twierdzy Breslau były policzone.

Poczułem głód. Cóż, nic dziwnego: od śniadania upłynęło sporo czasu, a ciasteczka, którymi poczęstował mnie pan hrabia, trudno uznać za posiłek. Mogłem otworzyć kilka konserw, mogłem też odwiedzić sąsiadkę. Niewielki wybór. Ostatecznie zdecydowałem się zajrzeć do Ingi. Najwyżej mnie pogoni...

Zapukałem, ale nie doczekałem się żadnej reakcji. Ki czort? Dochodziła dwudziesta druga, ktoś musiał być w domu choćby ze względu na Klaudię: mała szła spać około ósmej wieczorem. Zastukałem ponownie, tym razem bardziej energicznie. I znowu nic. Nacisnąłem klamkę: drzwi były otwarte.

Z przedpokoju zniknął plecak i płaszcz Horsta, znaczy chłopak wrócił do koszar. No i dobrze, jeden kłopot mniej. Z dłonią na kaburze przeszedłem do pokoju Klaudii.

Inga siedziała na łóżku córki, starając się uspokoić płaczącą dziewczynkę.

– Co to za marudzenie? – spytałem zdegustowany. – I dlaczego nie zamknęłaś drzwi?

– Aleks! Dobrze, że jesteś – powiedziała z ulgą Inga. – Musiałam zapomnieć. Byłyśmy dzisiaj w sklepie u Gretscha i trafiłyśmy na bombardowanie.

– Wszystko w porządku?

– Tak, miałyśmy szczęście, ale Klaudia się wystraszyła: na naszych oczach bomba rozniosła kamienicę. No i teraz boi się zasnąć.

– Nie powinnaś jej zabierać na zakupy. To niebezpieczne.

– Wiem, ale ciebie nie było, a Horst musiał wracać, więc...

– Zrób mi coś do jedzenia – poleciłem. – A ja zajmę się panną zasmarkaną.

– Wcale nie jestem zasmarkana! – zaprotestowała z oburzeniem Klaudia. – Tylko trochę płakałam.

– Nie ma powodu do płaczu – zapewniłem, kładąc się na łóżku. – Naszej ulicy nie będą bombardować.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Boję się – wyznała cichutko dziewczynka.

– Poleżę z tobą. Ale masz od razu zamknąć oczy i spać – uprzedziłem surowo.

Mała kręciła się w pościeli przez chwilę, wreszcie uniosła głowę, patrząc na mnie z niezadowoleniem.

– Co znowu?

– Ja chcę skrzydełko!

– Jakie znowu skrzydełko?!

– Odegnij rękę, żeby mogła się przytulić – poinstruowała mnie Inga.

Odruchowo wykonałem polecenie. Klaudia umościła się w moich objęciach i ziewnęła rozdzierająco.

– Tylko się nie ruszaj! – mruknęła groźnie.

Przewróciłem oczyma: pewnie! Gdzieżbym śmiał! Nikt nie lubi, jak mu poduszka ucieka...

Zza drzwi dochodziły apetyczne zapachy, zaburczało mi w brzuchu. Miałem nadzieję, że Inga pospieszy się z jedzeniem: byłem naprawdę głodny. Tymczasem oddech dziewczynki stał się regularny, rozwarła zaciśnięte na moim mundurze palce. Oczekałem chwilę i ostrożnie wysliznąłem się z łóżka. No, wreszcie: Klaudia spała jak zabita.

– Co z małą? – rzuciła nerwowo Inga.

– A co ma być? Zasnęła.

– Tak szybko?!

– Mam ją obudzić? – burknąłem zniecierpliwiony.

– Nie musisz od razu warczeć – odparła z lekką urazą.

– Przepraszam. Jestem zmęczony.

– Ciężki dzień? – spytała, stawiając przede mną zapiekankę.

– Nielekki. I tak się nie wyrobiłem. Będę musiał jutro wstać z samego rana.

– Mogę cię obudzić – zaproponowała. – Wystarczy o szóstej?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem, byłem zajęty zapiekanką. Niby nic

nadzwyczajnego: ziemniaki, boczek, cebula, jakieś zioła, a jednak smakowała nieporównanie lepiej niż dania serwowane w oficerskiej stołówce.

– Musimy porozmawiać – powiedziała Inga.

Podniosłem czujnie wzrok: w jej głosie słychać było napięcie. No, pewnie teraz mi się dostanie. Żeby tylko nie zawalić misji...

– Jeśli chodzi o tamtą noc... – zacząłem niepewnie.

Umilkłem, powstrzymany stanowczym gestem.

– Tak, chodzi o tamtą noc – przyznała. – Doszłam do wniosku, że trudno mieć do ciebie pretensje, że nie zapomniałeś od razu o tej kobiecie. O Oldze. Rozumiem, że była dla ciebie ważna...

Nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie. Rozmasowałem policzki, pod palcami czułem drgające mięśnie. Czyżby zmęczenie? No bo cóż innego? Czas wracać do swoich. Jeszcze trochę i sam zamelduję się na posterunku Gestapo... Nasz system nerwowy ma określoną wytrzymałość, jeśli ją przekroczyć, człowiek chce już tylko spokoju. Za wszelką cenę. Słyszałem o pewnym Żydzie, który po trzech latach ukrywania się wyszedł na ulicę, podszedł do niemieckich żandarmów i powiedział: *Ich bin Jude*. On też pewnie chciał spokoju. I uzyskał: wieczny...

– Ale chciałabym o coś spytać – kontynuowała Inga.

– Tak?

– Czy w twoim życiu jest jakaś inna kobieta?

– Teraz? Tylko ty.

Mówiłem prawdę: Olgę zabili czekiści, a Natasza Pokrowska dostała dwadzieścia lat jako żona zdrajcy, kiedy nasi dowiedzieli się, że jej mąż wstąpił do niemieckich oddziałów pomocniczych. Nawet jeśli jeszcze żyła, kiedy wyjdzie, będzie miała pod pięćdziesiątkę. O ile wyjdzie, bo łagry to nie sanatoria...

– Zostań ze mną – poprosiła. – Teraz. Tutaj.

– Klaudia...

– Klaudia śpi – przerwała mi stanowczo. – A ja chcę cię mieć w swoim domu. Dopóki mogę. Bo niewiele czasu nam już zostało, prawda?

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, Inga wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni. Na stojącym u wezgowia łóżka stoliku płonęła lampa naftowa, okna zasłonięte były ciężkimi storami. Jednym ruchem rozpuściła włosy, rozpięła suknię, zrzuciła bieliznę, zostając w samych pończochach.

– Nie – powstrzymała mnie, kiedy sięgnąłem do sprzączki pasa. – Ja cię rozbiore. Sama.

I rozebrała. Jej dłonie i usta przesuwaly się po mojej skórze, pieszcząc białawe szramy z pełną czułości fascynacją. Są kobiety, które odwracają się od takich blizn z obrzydzeniem. Zalęknione i nieśmiałe, tworzą sobie wyimaginowany obraz idealnego świata, w którym nie ma miejsca na ból i śmierć. W konsekwencji nie ma

go i na rozkosz. Tymi nie warto zawracać sobie głowy. Są też inne – zanurzone głęboko w chaosie codzienności, rozumiejące go lepiej niż niejeden mężczyzna. One wiedzą, że tylko akceptując życie takim, jakie jest, można brać i dawać rozkosz całym sobą. Jak Inga.

Kochaliśmy się raz za razem, coraz bardziej świadomi swoich pragnień, coraz bardziej nienasytzeni. Leniwe, wyrażające czułość pieśczoły zamieniały się niespodziewanie w uwerturę do kolejnego aktu, otwierając drzwi nowych doznań: zapachów, smaków, skojarzeń. Oboje czuliśmy obecność śmierci. Jej dotyk znaczył moją skórę, jej głos dochodził z zewnątrz w huku bomb i pocisków. Była blisko, a jednak nie miała do nas dostępu. Nie dziś.



Mężczyźni stawili się na wezwanie w mundurach polowych i pod bronią. Czort wie, czy była to kwestia wygody: na zajmowanym przez ich oddział odcinku toczyły się ciężkie walki, czy też chcieli wyrzucić na nas wrażenie, podkreślić kontrast pomiędzy żołnierzami a tyłowcami. Było mi to obojętne. Podczas gdy Witte ostentacyjnie sprawdzał ich alibi, ja udawałem zajętego papierami. Nie podobali mi się, było w nich coś, co wzbudzało instynktowną ostrożność. Ledermuller i Pratzke odpowiadali na pytania, używając minimalnej liczby słów, mimo że nie wyglądali wcale na głupich. Ciekawe. Żaden z nich nie był też ani trochę zaniepokojony wezwaniem na policję. Radett chwilowo milczał. Chociaż najwątleszy i najmłodszy z całej trójki, sprawiał wrażenie lidera. Cóż, to akurat łatwo sprawdzić. Wystarczy im zagrozić, zrobić coś niespodziewanego. Wtedy ujawni się przywódca.

Tymczasem Pratzke recytował monotonnym głosem listę osób, które mogły potwierdzić, że w dniu śmierci Hanny Sartorius znajdował się na linii frontu. Rzecz jasna, wraz z kolegami. Zmiałem w kulkę leżące przede mną papiery i celnym rzutem posłałem do kosza.

– Sprawą zainteresowana jest komendantura miasta – poinformowałem, zwróciwszy na siebie uwagę. – Sprawą – podkreśliłem. – Dowody i zeznania świadków to domena policji.

– Czy ktoś nam zarzuca udział w tych zbrodniach?

Tak jak przypuszczałem, odezwał się Radett.

– Skąd! – zaprzeczyłem bez specjalnego nacisku. – Zresztą nawet nie zajmuję się tym oficjalnie.

Postarałem się podkreślić ostatnie słowo.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że są panowie wolni. Na razie...

Krzesełko zaskrzypiało pod naciskiem zwalistego cielska: Pratzke nachylił się w moją stronę z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy, ale Radett powstrzymał go jednym spojrzeniem. Po chwili zostaliśmy sami.

– I jak pan uważa, komisarzu? Będą ostrożniejsi?

– Nie wyglądało, żeby się specjalnie przejęli – mruknął z roztargnieniem Witte.

Policjant pozornie zajęty był temperowaniem ołówka, ale znałem go już na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jest czymś zaaferowany. Wnioskując po minie komisarza, nie było to nic przyjemnego. Ciekawe, co jeszcze może pójść nie tak? Bo nie ma co ukrywać, że plan zastraszenia esesmanów spalił na panewce.

– Wczoraj rozstrzelali Lukasa Raabego – oznajmił niespodziewanie.

Wzruszyłem obojętnie ramionami: też mi nowina! Dziw, że pożył tak długo. Pewnie plutony egzekucyjne miały pełne ręce roboty i przyszło mu czekać w kolejce...

– Musiałem przy tym być – kontynuował Witte. – Procedury wymagają, żeby oficer policji, który prowadził śledztwo, uczestniczył w egzekucji.

– Rozumiem – odparłem neutralnym tonem.

– Kazał przekazać panu pozdrowienia...

– A nie rzucił aby na mnie przekleństwa, zgodnie z zasadami sztuki, której tajniki przekazała mu babka Cyganka? – spytałem beztrąsko.

Stary jamnik najwyraźniej tracił nerwy, skoro takie głupstwo mogło wyprowadzić go z równowagi. Perspektywa śmierci często pobudza elokwencję skazańców i usiłują oni zapoznać obecnych a to ze swoimi poglądami politycznymi, a to obiecują krwawą zemstę ciemnościom, albo chociaż starają się wzbudzić wyrzuty sumienia u co wrażliwszych duszyczek. Tyle że takie rzadko się trafiają: wykonywanie wyroków to nie jest robota dla ludzi o delikatnej psychice.

– Nie zawracałbym panu głowy, ale było w nim coś takiego...

– Mianowicie?

– On nie udawał, był naprawdę rozbawiony. Tak jakby opowiadał sobie tylko wiadomy dowcip.

– Czort z nim! Jedni opowiadają przed śmiercią dowcipy, inni płaczą i wołają mamusię. Co za różnica? Jedno jest pewne: Raabe nie sprawi nam już kłopotów. Inna rzecz ci esesmani...

– Mój człowiek ich śledzi, jednak inwigilacja możliwa jest tylko na terenie miasta. Nie wpuszczą go do koszar ani do okopów.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

– A jeśli nie?

– Wtedy będziemy się martwić.

– Wie pan, że doktor Wajnert odzyskała przytomność? Dwa dni temu wyszła ze śpiączki. Wypadałoby ją odwiedzić.

– Dlaczego nie? Jeśli ma pan czas, możemy wybrać się do szpitala choćby zaraz. Później będę zajęty.

– Dobrze, chętnie zaczerpnę świeżego powietrza. Te papiery – spojrział z obrzydzeniem na biurko – mnie wykończą.

Skinąłem głową, nie komentując słów komisarza. Świeże powietrze, też coś! Już od dłuższego czasu w mieście cuchnęło spalenizną, każdy mocniejszy powiew wiatru przynosił zapach dymu, podszyty niemal niewyczuwalną nutą zgnilizny. Bywało, że ludzkie i zwierzęce zwłoki leżały na ulicy i kilka dni. Na zegarze odmierzającym czas dla Breslau była za pięć dwunasta...



Doktor Francke wskazał nam, gdzie leży Luiza Wajnert, po czym pospieszył do swoich obowiązków. A tych miał sporo – łóżka z rannymi stały nawet na korytarzach. Twierdzenie, że lekarka ucieszyła się na nasz widok, byłoby grubą przesadą: i tak blada twarz kobiety przybrała kolor papieru, źrenice rozszerzyły się w wyrazie przerażenia. Cóż, przynajmniej widać, że nie ma problemów z pamięcią... Tylko skąd ta reakcja? Czyżby spodziewała się kary za to, że od razu nie wydała nam Raabego? Całkiem możliwe, w końcu Witte straszył ją sądem doraźnym.

Komisarz musiał pomyśleć o tym samym, bo wymamrotawszy życzenia powrotu do zdrowia, wyszedł, wymawiając się nawałem pracy. No i dobrze: nie odwiedziłem doktor Wajnert z przyczyn towarzyskich, a o pewnych sprawach lepiej rozmawiać w cztery oczy. Kiedy spytałem ją o von Ziethena, wyraźnie się zmieszała.

– Nie znalazł go pan jeszcze?

– Nie. Dowiedziałem się tylko, że korzystał z miejskiego basenu.

– Cóż – ściągnęła z namysłem usta – to standardowa metoda rehabilitacji w takich wypadkach. Tylko że świadczy to, że pacjent jest w dużo lepszym stanie, niż pan przypuszczał. Inaczej żaden lekarz nie pozwoliłby mu wejść do wody. Musiał wyleczyć się z ran, teraz ma co najwyżej kłopoty z układem ruchu: można się domyślać, że mięśnie i ścięgna nie odzyskały pełnej sprawności.

Przytaknąłem posępnie, sam doszedłem do identycznego wniosku. Ot, żywotna gadzina...

– Kiedy panią wypiszą?

– Na dniach, w szpitalu brakuje łóżek, a mnie już nic nie dolega, tyle że jestem osłabiona.

– Da pani radę pomóc mi w tej sprawie?

– Oczywiście – odparła ku mojemu zdziwieniu. – Czuję się winna, że nie

powiedziałam panu wcześniej o... – Przygryzła wargi, nie kończąc zdania.

No proszę, znaczy dyrektor Raabe nie tylko w niczym mi nie zaszkodzi po śmierci, ale wręcz przeciwnie: pomoże... Grunt to odrobina szczęścia.

Podziękowawszy, pożegnałem się pospiesznie. W głosie Luizy Wajnert dało się słyszeć zmęczenie, a ja musiałem jeszcze odwiedzić koszary. Trzeba było przygotować wszystko do kolejnej – miałem nadzieję, że już ostatniej – wycieczki na drugą stronę.



Pogwizdywałem wesoło, przeskakując po dwa stopnie: mój oddział był gotowy do akcji, Becker wszystkiego dopilnował. Wysłał nawet patrol z zadaniem obserwowania odcinka, przez który przyjdzie mi przeskoczyć linię frontu. No i dobrze – strzeżonego Pan Bóg strzeże. Bywało, że budynki w strefie walk przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk, a na tyły Niemców przenikały niewielkie grupy naszych. Nie chciałbym, żeby ktoś ze swoich odstrzelił mi głowę.

Od razu skierowałem się do mieszkania Ingi, pora była zdecydowanie obiadowa. Z kuchni dochodziły apetyczne zapachy, ale nikt nie wyszedł mnie powitać.

– Jest tam ktoś? – krzyknąłem dziarsko, zdejmując okrycie.

– I owszem. Nie ruszaj się!

Zamarłem z płaszczem opuszczonym do łokci. Szlag! Co tu robi Krebs? Gdzie jest Inga i mała?

– Odwróć się. Powoli!

Odwróciłem się. Powoli. Krebs mierzył we mnie z pistoletu, tuż obok stała Inga.

– Co to ma znaczyć?!

– Nie sądzę, żeby mógł pan domagać się wyjaśnień, pułkowniku Razumowski. To ja będę zadawał pytania. A teraz rzuci pan okrycie na podłogę i odepnij pas.

Wykonałem polecenie bez słowa, bo i o czym tu gadać? Zostało mi kilka godzin życia, może tylko parę oddechów. Zależy, jak bardzo zdeterminowany jest Krebs. I czego chce...

– Proszę kopnąć pas w moją stronę.

Kopnąłem.

– Pani von Bredow, proszę podnieść i podać mi broń, nie dotykając kabury.

Inga schyliła się posłusznie i wręczyła Krebsowi mój pas. To wszystko z zastygłą niczym woskowa maska twarzą. Jej wzrok prześliznął się po mnie, nie zatrzymując nawet na moment, tak jakbym był jedynie elementem umeblowania. Niezbyt interesującym elementem. Cóż, nic dziwnego, dobrze, że mnie sama nie zastrzeliła...

– Siadać, ręce na kolanach. – Wykonał nieznaczny ruch łufą.

Zawodowiec, psia jego mać! Gdyby wybrał krzesło, może miałbym jakieś szanse, tymczasem Krebs wskazał mi głęboki fotel, nie dam rady zerwać się niespodziewanie.

– Co zrobił pan z notatkami dotyczącymi archiwum? – zapytał. – Tylko radzę pamiętać, że *Frau* von Bredow zdążyła mi powiedzieć to i owo. Najmniejsze kłamstwo i przestrzele panu kolano. Tak na początek...

Zacisnąłem zęby w bezsilnej złości – ot, czym kończy się niedocenianie przeciwnika! Krebs nie był nigdy zainteresowany morderstwami w Breslau, przysłano go tutaj, żeby zapobiegł ujawnieniu notatek Zygfrieda. Tylko jak mnie rozpoznał? Nie wątpię, że gdzieś w archiwach niemieckiego kontrwywiadu znajduje się mojateczka personalna, ale najpierw trzeba skojarzyć nazwisko z osobą. Kto mnie wydał?

– Słucham! – ponaglił Krebs.

– Przekazałem na drugą stronę – odparłem zgodnie z prawdą.

Nie było sensu kłamać: Inga musiała mu już wszystko opowiedzieć.

– Co z informacją o identyfikacji niektórych fotografii?

– Nie zdążyłem.

– A łączność radiowa?

– Może jeszcze gołębie pocztowe? – odburknąłem. – Sam pan wie, jak to jest z radiostacjami w mieście.

Krebs nadal wpatrywał się we mnie beznamiętnym wzrokiem, ale chyba mi uwierzył: kolano nadal miałem całe... Każdy fachowiec zdawał sobie sprawę, że kłopoty ze zlokalizowaniem radiostacji mogą być tylko w terenie, w mieście to kwestia nie tyle godzin, co minut. Dwa, trzy wozy z odpowiednim sprzętem namierzają źródło sygnału, ktoś nanosi na mapę wyniki, a specjalnie wyszkolona ekipa kieruje się w miejsce przecięcia linii.

– Wrócimy jeszcze do tego – powiedział. – Później.

– Kto mnie wydał?

– Nie kto, ale co – odparł z akcentem pogardy w głosie. – A wydało pana wasze sowieckie niedbalstwo.

– Nie rozumiem?

– Nic dziwnego... Kojarzy pan nazwisko Lauder? Eliza Lauder?

– Owszem.

Eliza Lauder była córką oficera Abwehry, Karla Laudera. Jednego z tych, którzy poręczyli za mnie, kiedy zaczęto sprawdzać legendę majora Rotha. Wpadła w ręce *wojennej razwiedki* na początku tego roku.

– Eliza Lauder ma kuzynkę o tym samym imieniu i nazwisku. Karl Lauder uległ waszemu szantażowi, obawiając się o życie córki. Kiedy okazało się, że złapaliście jej kuzynkę, a córka bezpiecznie dotarła do Berlina, zwrócił się do kontrwywiadu.

– Co się z nim stało?

– Został rozstrzelany: tak czy owak, dopuścił się zdrady.

Wpiłem się palcami w poręczę fotela, w uszach huczało mi jak po ostrym strzelaniu. Pytanie o Laudera zadałem odruchowo: wypalone w mózgu kody nakazywały walczyć o każdą dodatkową sekundę życia. W rzeczywistości jego los nie obchodził mnie w najmniejszym stopniu. Myślałem o czym innym: jakim cudem nasi nie zawiadomili mnie o pomyłce? Złapano nie tę dziewczynę? Bywa. Tym bardziej że obie Elizy musiały w tym samym mniej więcej czasie znaleźć się na terenie zajęтым przez nasze wojska, tyle że córce Karla Laudera udało się jakoś uciec. Problem w tym, że *wojennaja razwiedka* nie mogła przegapić powrotu Elizy – tej właściwej – do domu. W żadnym wypadku. Wniosek? Tak jak przypuszczałem, ktoś zdradził. Ktoś z naszych. Sprawa była śmiertelnie poważna: człowiek, który nie dopuścił, aby informacja o pomyłce dotarła do mnie, musiał wiedzieć, że Niemcy prędzej czy później zorientują się w sytuacji i zajmą pułkownikiem Razumowskim... Tylko kto to mógł zrobić? I jak? Rzecz nie należała do łatwych, bo takie informacje centrala przekazywała bezpośrednio do zainteresowanego. Wrogi agent w kierownictwie GRU? Wariactwo...

Tymczasem Krebs gestem uzbrojonej dłoni nakazał mi przejść pod drzwi. Czego ten facet chce? Dlaczego przyszedł sam? Toż gdyby ujawnił, kim jestem, Niehoff osobiście wysłałby po mnie patrol.

Zadźwięczały rzucone na podłogę kajdanki.

– Wie pan, co z tym zrobić – skomentował.

Wiedziałem. Znaczący wywiezie mnie gdzieś w ruiny i zastrzeli. Nie będzie tortur, sądu, przesłuchania. Tylko śmierć... O rozbrojeniu Krebsa nie było co myśleć: stał w odległości przynajmniej pięciu metrów ode mnie. Jeślibym na niego skoczył, zdążyłby nacisnąć spust przynajmniej trzy razy.

Schyliłem się po kajdanki. Cóż, kula w serce to jeszcze nie tak źle. Bywa gorzej. Dużo gorzej. Do notki biograficznej pułkownika Razumowskiego dopisano ostatnie zdanie: „Zginął w Breslau”...

Nagle Krebs opuścił broń, opierając przedramię o biodro. Wielu woli strzelać z takiej pozycji – ręka mniej się męczy, a na bliski dystans wystarczy celować wzdłuż lufy. Zatrzasnąłem stalową bransoletę na lewym nadgarstku. Krebs jęknął, próbując skierować we mnie lufę pistoletu, ale ta uparcie opadała. Próbował coś powiedzieć, jednak z ust wypłynęła mu tylko strużka krwi. W chwilę później zwałił się z hukiem na dywan. W jego plecach tkwił spory kuchenny nóż. Przyklęknąłem i jednym ruchem skręciłem mu kark.

Inga nadal wpatrywała się w przestrzeń, jej dłonie to otwierały się, to zaciskały kurczowo. Prawa ubrudzona była krwią aż po łokieć.

– Dziękuję – wymamrotałem chrapliwym, nieswoim głosem.

Skinęła głową, nadal nieobecna, pogrążona w koszmarze. Nie dziwiłem jej się:

zabić po raz pierwszy człowieka to nie byle co...

– Gdzie jest Klaudia?

– U *Frau* Obalinsky. Poprosiłam ją, żeby przypilnowała małej, miałam wyjść po zakupy. Wtedy pojawił się ten tutaj...

– Idź się umyć i przebrać, ja zajmę się resztą.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, wziąłem się do roboty. Lepiej, żeby Inga tego nie widziała, i tak wystarczy jej wrażeń na dzisiaj... Przydepnąłem zwłoki, wyszarpnąłem nóż – wszedł po samą rękojęść, po czym usunąłem wszystko, co mogłoby posłużyć do identyfikacji ciała. Nie było tego wiele: srebrne spinki z monogramem, nieśmiertelnik, zegarek, baretki, pagony, pistolet. To wszystko, co pozostało po pułkowniku Krebsie. O ile założyć, że był on pułkownikiem i nazywał się Krebs...

Kiedy Inga wróciła do pokoju, trup był już schludnie zawinięty w dywan. Niestety, z usunięciem ciała przyjdzie czekać do zmroku. No i potrzebna mi pomoc, sam nie dam rady. Nie ma co kombinować, przyszedł czas, żeby porozmawiać z Horstem...

– Poczekaj tu chwilę – poprosiłem. – Muszę zadzwonić.

– Mam sama zostać...

– On już nie wstanie – zapewniłem z lekkim zniecierpliwieniem. – I jeszcze jedno: masz sodę kaustyczną?

– Chyba tak, używam jej do udrażniania rur. Dlaczego pytasz?

– Przyda się.

– Do czego?

– Rozpuszcza skórę – wyjaśniłem lakonicznie.

Jak się okazało, i tak zbyt obszernie: Inga pozieleniała na twarzy i zatykając usta dłonią, popędziła do łazienki. Po chwili doszły mnie odgłosy torsji. Poszedłem za nią, podałem szklankę wody, czekałem, aż przepłucze usta.

– Lepiej?

– Tak – odparła bez przekonania.

Przytuliłem ją: drżała z zimna. Zaprowadziłem do sypialni, owinąłem w koc.

– Zaraz wracam – obiecałem.

Miałem nadzieję, że mój telefon działa, w innym wypadku będę musiał osobiście pofatygować się do koszar. W ostateczności wezmę ze sobą Inge, wątpiłem, aby odważyła się zostać sama w domu. Niestety, do wieczora pozostało parę godzin, nie dam rady wcześniej wynieść ciała, Krebs wyglądał dokładnie na to, czym był: na trupa zawiniętego w dywan. Może brakowało mi wprawy? Na filmach zbrodniarzowi udaje się przeważnie lepiej upakować zwłoki...

Połączyłem się z koszarami, kazałem zawołać Beckera. Najwyraźniej sierżant był gdzieś niedaleko, bo już po paru minutach usłyszałem w słuchawce jego zdyszany głos.

– Gdzie jest Horst? – spytałem bez wstępu.

- Na strzelnicy. Trenuje.
- Za pół godziny ma być na Salzstrasse. Przywieziesz go osobiście – poleciłem.
- *Jawohl!*

No, to by było tyle, teraz pozostaje tylko czekać i mieć nadzieję, że Horst wykaże się rozsądkiem. W przeciwnym wypadku... Cóż, lepiej nawet o tym nie myśleć.



Horst z niedowierzaniem przyglądał się zawiniętym w dywan zwłokom, tak jakby spodziewał się, że te lada moment rozwieją się w powietrzu. Niestety, złowrogi pakunek nadal pozostawał na miejscu, równie realny jak przed chwilą.

– Więc on chciał pana zabić? – powtórzył po raz kolejny. – Ale dlaczego?

– Chodzi o dokumenty, które ukrył twój dziadek. Cenne dokumenty – podkreśliłem. – Krebs uważał, że zbyt dużo wiem na ten temat. Podobnie jak twoja matka. Myślę, że najpierw pozbyłby się mnie, później wrócił po nią. Wiedział, że nigdzie mu nie ucieknie...

– Co teraz zrobimy? Wie pan, co grozi za morderstwo oficera?!

Nie uszło mojej uwagi, że chłopak użył słowa „my”. Niezły prognostyk jak na początek.

– Co zrobimy? Nic specjalnego: porzucimy ciało w jakichś ruinach. Zanim je znajdą, w Breslau będą już bolszewicy.

– Jak pan może tak...

– ...otwarcie mówić o upadku Breslau? – dokończyłem. – Ano mogę. Bo i najwyższy czas pogadać otwarcie.

– Nie rozumiem?

– Zastanawiałeś się, co stanie się z twoją matką, kiedy wkroczą tu Rosjanie? Tylko nie mów, że liczysz na Wunderwaffe albo oddziały Schörnera. Berlin jest już okrążony!

– Co pan ma na myśli?

– Wiesz, co mam na myśli! – odparłem szorstko. – I chyba obaj wolelibyśmy, żebym tego nie precyzował...

– No dobrze, ale przecież nic nie możemy zrobić! Nie uciekniemy z Breslau!

– Nie uciekniemy – przyznałem. – Ale możemy wyjechać.

– Jak to wyjechać?

– Za zgodą Rosjan, jeśli ta sprawa z dokumentami wypali – wyjaśniłem spokojnie.

– Więc chce pan...

– I owszem. Twoja matka także.

Młody von Bredow cofnął się, jakbym uderzył go w twarz, objął głowę rękoma.

– To zdrada! To...

– Zdrada? A kogo zdradzamy? Führera? Człowieka, który chciał podbić cały świat i stworzyć tysiącletnie imperium, a teraz włada obszarem kilku dzielnic wokół swojego bunkra w Berlinie? Który nawet sobie nie może zapewnić bezpieczeństwa? Ocknij się, Horst! Teraz wszyscy walczą o życie! A ten tu Krebs, myślisz, że chciał nas powstrzymać przed zdradą? – Roześmiałem się sarkastycznie. – Archiwum szukają nie tylko Rosjanie. Także Anglicy, Amerykanie i czort wie kto jeszcze. Podejrzewam, że pan pułkownik chciał po prostu zlikwidować konkurencję.

– Jeśli nas złapią...

– Nie złapią – przerwałem mu bezceremonialnie.

– Zwariował pan! Nawet jak dogadamy się z Ruskimi, myśli pan, że dotrzymają słowa? Te zwierzęta?!

Zacisnąłem zęby, z trudem powstrzymałem się od strzelenia w pysk jaśnie oświeconego hrabiczka.

– Nie „my się dogadamy”, tylko „ja się dogadam” – wycedziłem zimno. – I nie martw się o efekty: gwarantuję, że Rosjanie pozwolą wam wyjechać z Breslau.

– A pan? Co z panem?

– Dam sobie radę – odburknąłem. – Więc jak? Mogę ci zaufać?

– A mam inne wyjście? – spytał gorzko. – Przecież to moja matka go zabiła.

Zamarłem, widząc, jak chłopak sięga po broń – Becker przywiózł go tu prosto ze strzelnicy – ale Horst szarpnął tylko nerwowo rzemień automatu.

– Jakby co, *Standgericht* wyda wyrok w pięć minut...

– Pewnie tak, choć nie sądzę, żeby do tego doszło. Największy problem to wynieść stąd trupa – odparłem uspokajającym tonem. – Zaparkowałem tuż przy wejściu do kamienicy, wystarczy, że wrzucimy go do wozu, trzeba tylko poczekać, aż się ściemni.

– Chyba muszę się czegoś napić – mruknął Horst.

– Uważaj, żebyś nie przesadził, będziesz mi potrzebny.

– Wybiera się pan gdzieś? – spytał, widząc, że sięgam po płaszcz.

– Zaniosę to do samochodu. – Wskazałem zawiniątko z rzeczami Krebsa. – Chcę też porozmawiać przed wyjazdem z twoją matką.

Chłopak bez słowa skinął głową – panie von Bredow przebywały w moim mieszkaniu, chciałem im oszczędzić konieczności obcowania z trupem. Zamykając drzwi, czułem sięgający trzewi chłód, jak to przed akcją. Niedługo okaże się, komu życie, komu śmierć...



Ingę zastałem w kuchni: doglądała zupy. Nie zdziwiłem się – w chwilach największego napięcia często odwołujemy się do codziennych czynności, zaklinamy rzeczywistość za pomocą małych rytuałów. Rozumiałem to, a jednak nie mogłem pozwolić jej na zbudowanie wokół siebie ochronnego muru. Nie teraz. Najpierw musiałem dowiedzieć się, dlaczego zabiła Krebsa. Dlaczego mi pomogła...

Usiadłem za stołem, czekając, aż zwróci na mnie uwagę. Nie spieszyło mi się specjalnie: do zmroku pozostało jeszcze trochę czasu. Milczeliśmy oboje długo, ale o dziwo, cisza nam nie ciążyła.

– Chcesz coś zjeść? – spytała wreszcie.

Pokręciłem przecząco głową. Nie miałem apetytu: za dużo wrażeń.

– Rozmawiałeś z Horstem?

– Owszem. Wszystko w porządku, nie sędzę, żeby poleciał z donosem do Hitlerjugend.

– Powiedziałeś mu... wszystko?

– Tylko to, co konieczne. Lepiej dawkować informacje – odparłem sucho. – Co za dużo, to niezdrowo.

Przytaknęła z roztargnioną miną.

– Grosik za twoje myśli – rzuciłem.

– Nie wiem, czy są tyle warte.

Ująłem Ingę za rękę. Nie cofnęła dłoni, ale widać było, że powstrzymuje się przed tym siłą woli. Odsunąłem się niespiesznie, zwiększyłem dystans.

– Od kiedy wiedziałaś, że jestem Rosjaninem?

– Niemal od początku.

– Niemożliwe!

– Ta wyliczanka, pamiętasz? Nie znałeś słów. Powód mógł być tylko jeden: nie dorastałeś w niemieckiej rodzinie. A już wcześniej zwróciłam uwagę na twój akcent.

– Co jest nie tak z moim akcentem?

– Och, wszystko w porządku! Znakomicie znasz nasz język. Tylko że akcentujesz wyrazy wręcz perfekcyjnie. Zbyt perfekcyjnie. Zawsze i w każdych okolicznościach, także wtedy, gdy jesteś zmęczony. Normalny człowiek wymawia wówczas niedbale końcówki albo przeciąga sylaby, ale nie ty. To nienaturalne, a ja mam dobry słuch. No i mogłam cię obserwować przez dłuższy czas, ktoś, kto zetknąłby się z tobą okazjonalnie, niczego by nie zauważył.

– Cóż, dobre i to...

I znowu milczeliśmy, ale tym razem żadne z nas nie czuło się swobodnie. Oboje

zdawaliśmy sobie sprawę, że są pytania, które należy zadać, i odpowiedzi, których trzeba udzielić. Ani ja, ani Inga nie mieliśmy na to ochoty. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Gdybyśmy byli jedynie dwójką ludzi, którzy spotkali się przypadkiem...

– Rozumiesz, że muszę wiedzieć?

– Domyślam się – mruknęła.

– Więc?

– Nie powiem ci, dlaczego zabiłam Krebsa – odparła ze znużeniem w głosie. – I jakie ma to teraz znaczenie? Przecież stanęłam po twojej stronie, nie ma już dla mnie odwrotu. Jesteś bezpieczny.

Zagryzłem wargi: z jednej strony Inga miała rację, nie mogła mnie wydać, nie po tym, co zrobiła, z drugiej... Tak, zdecydowanie wolałbym wiedzieć, co nią kierowało. Pragmatyzm? Troska o rodzinę? Bo nie trzeba było stratega, żeby pojąć, że zajęcie Breslau przez naszych to kwestia dni. Jednak jeśli wiedziała już wcześniej, że jestem oficerem wrogiego wywiadu, dlaczego nie podzieliła się przemyśleniami z Gestapo? Dawniej, kiedy jeszcze miasto żyło nadzieją na odsiecz? Dlaczego wreszcie pozwoliła się dotykać – ba, żeby tylko dotykać! – przedstawicielowi rasy podludzi? Uczucie? Wątpliwe, przy swojej inteligencji musiała się domyślać, że jest dla mnie elementem misji, nikiem więcej... Wdzięczność? W końcu uratowałem jej dzieci. Możliwe, tylko co innego wstrzymać się od kablowania, a co innego zabić człowieka. Zabić po raz pierwszy w życiu i nożem, czując pod ostrzem opornie ustępującą tkankę... Coś takiego wymaga determinacji, tu nie wystarczy zgiąć palca na spuście.

– Chciałbym...

– Nie!

Westchnąłem ciężko: mógłbym ją łatwo złamać – och, jak łatwo! – wystarczyłoby zagrozić dzieciakom, ale po tym jak uratowała mi życie, nie wypadało. Bogiem a prawdą nie było też powodu – zabiwszy Krebsa, Inga nie stanowiła żadnego zagrożenia dla misji.

– Niech ci będzie. – Wzruszyłem ramionami.

Jej wzrok złagodniał, czyżbym przeszedł jakąś próbę? Problem z inteligentnymi kobietami polega na tym, że nigdy nie wiesz, o czym myślą...

– Przejdziemy do pokoju? – zaproponowała.

– A Klaudia?

– Śpi w twoim łóżku.

– Czemu nie?

– Masz jeszcze z pół godziny – zauważyła. – Może się zdrzemniesz na kanapie?

Mruknąłem potakująco: pomysł nie był głupi. Przyda mi się odrobina snu, czekała mnie pracowita noc. Zrzuciłem buty, rozpiąłem pas. Inga ulokowała się tuż obok, na dywanie, mając mój pistolet w zasięgu ręki. Nie zwróciłem na to uwagi, gdyby chciała mnie zabić, zrobiłaby to już dawno. Przymknąłem oczy, ale mimo że potrafiłem

zasypiać niemal natychmiast, tym razem nie wychodziło. Chociaż Inga siedziała bez ruchu, wyczuwałem jej niepokój, nieledwie gniew.

– Co znowu? – burknąłem niechętnie.

– Ja też mam pytanie – powiedziała.

– No?

– Masz jeszcze jakąś broń?

– Lewe przedramię, nóż – wymamrotałem, tłumiąc ziewanie. – To wszystko, co chcesz wiedzieć?

Nie odpowiedziała, zwinne palce wyłuskały ostrze z przytroczonej do przegubu pochwy. Odwróciłem się demonstracyjnie plecami, zasypiając, czułem, jak okrywa mnie kocem.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wpatrywałem się ponuro w niewielki, pognieciony karteluszek: poprzedniego dnia, zaraz po przejściu przez linię frontu, wysłałem pytanie do sztabu *wojennej rozwiadki*. Właśnie otrzymałem odpowiedź. Nie była dla mnie zaskoczeniem, a jednak wpatrywałem się w papier z niedowierzaniem, jakbym wątpił w świadectwo własnych oczu, co chwila składałem go i rozprostowywałem na nowo. Z trudem przelykałem ślinę, miałem wrażenie, że na gardle zaciska mi się zimna stalowa łapa.

– Długo będziemy tak siedzieć i milczeć? – odezwała się ze zniecierpliwieniem Lidia Zosimowna. – Wszystko gotowe do wyjazdu, lepiej się pospieszyć, czort wie co się dzieje w Grünbergu!

– Jeszcze moment, czekamy tylko na Lewartowa – obiecałem.

Lidia Zosimowna spojrzała na mnie ostro: mój głos brzmiał chrapliwie niczym krakanie kruka. Nie trzeba było jasnowidza, żeby zrozumieć, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Dziarskie bębnienie – zebraliśmy się w poniemieckim bunkrze – oznajmiło przybycie Lewartowa. Kotuszew wpuścił go do środka, po czym zamknął starannie stalowe drzwi. Jako jedyny z nas stał, pozostali rozsiedli się wokół kulawego, przywleczonego nie wiadomo skąd stolika. Cóż, nadszedł czas...

– Przedwczoraj usiłował zabić mnie niejaki pułkownik Krebs – zacząłem bez wstępu. – Wiedział, kim jestem, przybył do Breslau specjalnie po to, żeby uniemożliwić mi zdobycie archiwum Himmlera.

– Jakim cudem was rozpoznał? – zdziwiła się Elena. – Spotkał was już wcześniej?

– Pewnie wysłał do Berlina moje zdjęcie, było w teczce personalnej majora Rotha, a może przyleciał z albumem przedstawiającym naszych agentów? To nieistotne, ważne jest co innego: skąd wiedział, że jestem oficerem rosyjskiego wywiadu? Bo wiedział o tym jeszcze przed przybyciem do Breslau!

– Niemożliwe! – zmarszczył brwi Lewartow.

Zmroziłem go wzrokiem, przesunąłem spojrzeniem po twarzach obecnych: wszyscy byli zaniepokojeni, ale tylko jedna osoba blada jak trup. Cóż, była już trupem.

– Możliwe! Nasi popełnili błąd, zamiast córki Karla Laudera, Elizy, złapali jej kuzynkę, również Elizę Lauder. Zdarza się, dziewczyny są nawet dość podobne. Problem w tym, że kiedy do Berlina wróciła córka Laudera, a udało jej się uciec przed naszymi wojskami, nie dostałem powiadomienia o pomyłce. A przecież powinienem...

– Nie dostaliście na czas? To zrozumiałe: sami zrezygnowaliście z pomysłu, żeby używać radia, więc taka informacja mogła przyjść do nas tylko pocztą. A przecież nie mieliśmy możliwości, żeby wezwać was z Breslau – odezwała się Elena. – To przecież oczy... – urwała nagle, patrząc na Witkę.

Po chwili wszyscy patrzyli na porucznika Potapowa: nie było tajemnicą, że to właśnie on miał prawo przeglądać moją pocztę. Jeśli coś było nie w porządku, o wyjaśnienia wypadało pytać pana porucznika.

– W ogóle nie dostałem tego powiadomienia. Choć zostało do mnie wysłane. W mojej poczcie znajdowała się informacja o wpadce z córką Laudera i list od znajomej. Problem w tym, że zamiast powiadomienia dostałem standardowy list do obrońcy ojczyzny...

– Witia – odezwała się błagalnym tonem Elena – powiedz coś!

Jednak porucznik Potapow wpatrywał się przed siebie nieobecny wzrokiem, patrząc nie na nas, lecz poprzez nas. Tak jakby dostrzegał jakieś niewidzialne dla postronnych głębie. Być może tak było: niektórzy mają wizje przed śmiercią... W końcu poruszył się – jestem pewien, że chciał jedynie zmienić pozycję – ale Kotuszew postanowił nie ryzykować i niemal nieuchwytnym ruchem uderzył go w prawe ramię, zabrał broń.

Elena zakryła twarz dłońmi, widząc, jak Witka pada twarzą na stół. Uderzenie w nerw promieniowy powoduje natychmiastowy paraliż ramienia, bywa, że i omdlenie. Szczególnie jeśli zadać cios z dużą siłą, a byłem pewien, że Tima się nie patyczkował. Jest tylko jeden gatunek ludzi, których żołnierze *wojennej rozwiędki* nienawidzą bardziej niż faszystów: zdrajcy.

– Dlaczego? – spytałem po chwili.

– Obiecali mi... – wymamrotał Witka, usiłując otrząsnąć się z wywołanego ciosem szoku.

- Co takiego?
- Że wypuszczą ją z łagru. Moją matkę...
- Kto?
- Ludzie Berii.

Zagryzłem wargi: można się było tego spodziewać. Beria nigdy nie grał uczciwie, nic dziwnego, że postanowił wykorzystać przeciwko mnie kogoś z naszych. Trafiło na Witkę...

- Mogłeś mi powiedzieć. Wymyślilibyśmy coś!
- Mogłem – przyznał.
- Idziemy stąd – poleciłem.

Wstali wszyscy oprócz Potapowa, ten wiedział, że rozkaz go nie dotyczy.

– *Komandir!*

Elena wyglądała, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem. A przecież wiedziałem, że twarda z niej dziewczucha, nieraz walczyła i zabijała, tak jak i my.

- Wyjdź! – powtórzyłem.
- Co... co ze mną będzie? – wyszeptał Witka.

Nie patrzył mi w oczy, ja jemu też.

– Przecież wiesz – mruknąłem. – U nas nie ma zdrajców.

Wyciągnąłem dłoń, Tima podał mi pistolet Potapowa. Położyłem go na stole.

– Dziękuję, ja...

Odwrociłem się i wyszedłem bez słowa. Są rzeczy, których nie można wybaczyć, jedną z nich jest zdrada. Ale kto powiedział, że nie można współczuć zdrajcy?

Ledwo usłyszałem strzał: stłumiły go grube drzwi bunkra. W posępnym milczeniu ruszyliśmy do samochodów, czekała nas podróż do Grünbergu. Wieczorem przyjdą po ciało Witki: porucznik Potapow zginął w trakcie czyszczenia broni. Bywa...



Zdecydowanym gestem odesłałem *Frau* Jachmann i butelkę niezłego na oko koniaku. To nie był dobry moment na odprężenie. Niemka wyglądała na wystraszoną, podobnie jak jej dwie córki. Nasze gospodynie wzdragały się przy każdym niespodziewanym dźwięku. A tych nie brakowało: mimo nocnej pory zza okien dochodziły pijackie wrzaski, czasem karabinowe strzały. Ot, zwykłe rozrywki zwycięzców...

Zatrzymaliśmy się w jednej z kamienic przy rynku, żołnierze zajęli kwatery opodal. Pozycja w centrum miasta miała swoje plusy – gdziekolwiek znajdowałby się budynek z fotografii Zygryda von Bredowa, stąd dotrę tam najszybciej. Wiedziałem, że jutro, góra pojutrze do Genkoma Berii dotrze informacja, że w Grünbergu działa grupa

wojennej rozwiadki. Oficjalnie celem naszego przybycia było zabezpieczenie dokumentacji technicznej firmy Beuchelt & Co, od dawna produkującej sprzęt na potrzeby niemieckiej armii. Wiedziałem jednak, że nikogo to nie oszuka: wystarczy, że Beria usłyszy moje nazwisko... Legenda mogła dać nam trochę czasu, to wszystko. Pytanie, czy wystarczy go, żeby znaleźć to, co ukrył tu ojciec Ingi?

Rozmyślania przerwało mi pukanie. Ostre, energiczne, niecierpliwe. Ani chybi Lidia Zosimowna, nikt inny nie ośmieliłby się zawracać mi głowy o tej porze.

– Proszę! – powiedziałem bez entuzjazmu.

Lidia Zosimowna nie tyle weszła, co wmaszerowała do mojego pokoju. Widać było, że nie jest w najlepszym humorze. Usiadła bez zaproszenia, grzejąc dłonie o filiżankę herbaty.

– Jak będziemy szukać tego budynku? – spytała napastliwie. – Najwyższy czas, żeby opracować jakiś plan. Mógłbyś już dzisiaj rozesłać po mieście żołnierzy! Co prawda jest ciemno, ale...

Przerwałem jej znużonym gestem. Umilkła.

– Nie musimy nikogo rozsyłać – zapewniłem.

– A to dlaczego?

– *Frau* Jachmann! – zawołałem niegłośno.

Niemka pojawiła się w pokoju niemal natychmiast, tak jak się spodziewałem. Nie przewidziałem tylko, że przyprowdzi obie córki, wymalowane i wystrojone niczym tandetne kurewki. W sumie nic dziwnego – wszystkie trzy musiały niejedno przeżyć od czasu, kiedy do miasta wkroczyli nasi. Lepiej posłużyć jednemu mężczyźnie za grzałkę w łóżku niż za zabawkę kilkunastu żołdatom. A ci ostatni sobie nie żalowali: morderstwa i gwałty były na porządku dziennym. Podobno miejscowi popełniali samobójstwa całymi rodzinami...

– Podejdźcie tu – poleciłem szorstko.

Rozwiązałem kartonową teczkę, wyłożyłem na stół fotografie.

– Co to za budynek?

– Trudno stwierdzić – odpowiedziała *Frau* Jachmann, popatrując na mnie bojaźliwie.

– Mamo, czy to nie *Fleischergasse*? – odezwała się jedna z córek. – Popatrz na drzwi. Są takie same jak w domu pani Bergner.

– Co to za dom?

– Niedaleko stąd.

– Jak masz na imię?

– Klara...

– Jesteś pewna, że to chałupa tej Bergner, czy jak jej tam?

Dziewczyna skwapliwie przytaknęła.

– Te drzwi są rzeczywiście dość charakterystyczne – przyznała dużo łagodniejszym

tonem Lidia Zosimowna.

– To wszystko. – Odprawiłem Niemki skinieniem dłoni.

– Może ja zostanę? – zaproponowała Klara z uśmiechem, który miał być uwodzicielski, ale w rzeczywistości maskował tylko obłądny strach.

– Jazda stąd!

Tym razem usłuchały.

– Myślałam, że zatrzymasz tę małą, albo i wszystkie trzy – stwierdziła ze złośliwym uśmieszkiem Lidia Zosimowna.

– Nie jestem niedopieczony i nie mam ochoty złapać jakiejś francy. Pewnie są zarazone – odparłem obojętnie. – Już nasi chłopcy postarali się o to...

– Nie myślałam, że pójdzie tak łatwo – zauważyła. – Z tym budynkiem. Chyba że się pomyliły?

– Wątpię. Zerknijcie na drzwi, to wygląda na zeszlowieczną robotę: częściowo przeszkolone, kraty, deski wzmocnione ćwiekami. Niby nic nadzwyczajnego, żadnych wygibasów, zwykłe rzemiosło, ale dzisiaj nie robi się już takich. No i te deski...

– Co z deskami?

Podsunałem jej lupę.

– Drzwi są dwuskrzydłowe, każda część ozdobiona jest ukośnie przyciętymi deskami, o, tu, na dole.

– To się nazywa układ diagonalny – poinformowała mnie cierpko Lidia Zosimowna.

– Czort z tym! – burknąłem. – Policzcie lepiej deski: w lewym skrzydle jest ich cztery, w prawym, szerszym pięć. To dość charakterystyczne. Znaleźliśmy nasz budynek.

– Ale?

– Nie rozumiem?

– Najwyraźniej jest jakieś „ale”, bo nie widzę, żebyś skakał z radości.

– Nie jestem pewien, czy będzie tam to, czego szukamy. Dokumentacja techniczna jakiegokolwiek projektu, kompletna dokumentacja, to kupa papieru. Nie kartka, nie plik, tylko metry sześciennie. Nie da rady tego schować w takim domku.

Po minie Lidii Zosimowny widać było, że podobna myśl nie przyszła jej do głowy.

– A mikrofilmy? – powiedziała niepewnie.

– Wtedy mamy inny problem: gdzie ich szukać? Przecież nie damy rady rozebrać chałupy cegła po cegle! Tak źle i tak niedobrze.

Rozmasowałem skronie, wyprostowałem zgarbione plecy. Czas odpocząć, jutro czeka nas ciężki dzień. Odpiąłem przymocowany do przedramienia nóż, sięgnąłem po butelkę oliwy.

– Zobaczmy, może dopisze nam szczęście? – westchnęła Lidia Zosimowna, zbierając się do wyjścia. – Dobranoc.

Pociągnąłem za rękojeść, ale nóż nadal tkwił w pochwie.

– Co, do cholery...

Lidia Zosimowna, zaalarmowana tonem mojego głosu, zatrzymała się w drzwiach.

– Razumowski?

– Nóż zaklinował mi się w pochwie, ktoś tu coś włożył. Jakąś kartkę – dorzuciłem po namyśle.

Kilkoma ruchami poluzowałem ostrze, po czym ostrożnie wyciągnąłem skrawek papieru. Od razu poznałem pismo Ingi.

Aleks!

Kiedy oglądałam fotografie, zauważyłam, że na niektórych mój ojciec dotyka palcem określonych punktów na drugiej dłoni. Te pozornie przypadkowe gesty wydały mi się znajome, ale przez dłuższy czas nie mogłam ich z niczym skojarzyć. Wreszcie sobie przypomniałam: to alfabet głuchoniewidomych, opracowany w zeszłym wieku przez Hieronymusa Lorma. Kiedy byłam dzieckiem, ojciec wyjaśnił mi podstawy tego systemu. Często posługiwaliśmy się nim w obecności osób postronnych. Punkty na dłoni odpowiadają poszczególnym literom. Żeby ułożyć słowo czy zdanie, wystarczy ich dotknąć w odpowiedniej kolejności. Gesty demonstrowane na zdjęciach przed budynkiem w Grünbergu oznaczają K i N. Być może to pierwsze litery słów „Keller” i „Norden”? I jeszcze jedno – pamiętasz ten rysunek przedstawiający wielkoluda? Kiedy ostatnio przeglądałam album z Klaudią, ta opisała go słowem „Riese”.

Twoja Inga

– To coś ważnego?

Bez słowa podałem jej liścik.

– Powiedz, w jaki sposób mogła to umieścić w twoim ekwipunku?

Powiedziałem. Lidia Zosimowna zastanawiała się dłuższą chwilę, z roztargnieniem bębniąc palcami w stół.

– Zwraca się do ciebie „Aleks”, a nie „kochany” – powiedziała wreszcie, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. – To oznacza pewien dystans. Z drugiej strony zakończenie świadczy, że nie jesteś jej obojętny.

– Chyba że to wszystko manipulacja – odparłem ponuro.

– Możliwe – przyznała. – Jednak...

– Tak?

– Spytała cię o broń, wtedy, zanim zasnąłeś. Gdybyś jej nie dał noża, prawdopodobnie nie dostałbyś notatki. To świadczy o zaangażowaniu uczuciowym. Zabiła dla ciebie człowieka. Niemca. Gdybyś jej nie zaufał... – Pokręciła głową.

– Przecież od tego zależy jej życie! I jej dzieci – dodałem ciszej.

– Ona nic nie wie o naszych kłopotach i rozgrywkach z Berią, uważa pewnie, że wystarczyło przekazać ci album. Te dodatkowe wskazówki i nazwa „Riese” to prezent. Wyraz zaufania.

– Co to za „olbrzym”?

– To coś w rodzaju ukrytego kompleksu przemysłowego. Po bombardowaniach z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego Niemcy przenieśli sporą część produkcji wojennej w rejon Sudetów. Wtedy też rozpoczęto budowę podziemnych instalacji. Czort wie co tam jest, wiadomo tylko, że na realizację projektu „Riese” przeznaczono ogromne ilości betonu i stali, było nie było, surowców strategicznych. Teraz wiemy, że gdzieś tam ukryto część dokumentów z archiwum Himmlera. Jeśli porównamy fotografie Zygfyda z konstrukcjami „Riese”, znajdziemy kolejną skrytkę. W tej sytuacji to tylko kwestia czasu. Dzięki twojej Indze wiemy też, jak zawęzić obszar poszukiwań: co innego rozwalić jedną ścianę w określonym pomieszczeniu, co innego rozebrać cały budynek. Jeszcze dziś wyślę meldunek do sztabu, na jutro będę miała informacje na temat alfabetu Lorma.

Skinąłem potakująco głową, nie zaprotestowałem nawet przeciwko nazwaniu Ingi „moją”. Bo i co by to dało? Jeśli wskazówki Ingi okażą się przydatne i znajdziemy dokumenty, pochwali mnie nie tylko dowódca *wojennej rozwiadki*, ale i sam towarzysz Stalin. Może nawet dostanę order czy awans. Wówczas ten zaimek będzie podkreślał mój sukces. Jeżeli coś pójdzie nie tak, posłuży do uwypuklenia porażki. Tyle że będzie mi to już obojętne: martwi nie przejmują się gramatyką. A ja będę martwy – stawki w tej grze są zbyt wysokie, żeby darowano mi klęskę. Takie życie...



Lidia Zosimowna nerwowym gestem zdusiła niedopałek papierosa i wyciągnęła rękę po kolejnego. Tak jak i my wszyscy w napięciu wsłuchiwała się w dochodzące z piwnicy odgłosy kucia. Cóż było robić? Poczęstowałem ją, wolała moje Sobranie niż ordynarny tytoń i samoróbki Lewartowa. Tima i Elena nie palili.

Mimo że teren zabezpieczały dwa plutony żołnierzy *wojennej rozwiadki*, trzymałem dłoń na kaburze. Ostrożność nieco na wyrost: w okolicy nie było żadnych oddziałów wroga, a gospodarujący w Grünbergu tyłowcy odnosili się do nas z niemal zabobonnym respektem, ale nie ma co ukrywać – i ja byłem niespokojny. Jeszcze godzina, może mniej, i okaże się, czy w domu schowano dokumenty z archiwum Himmlera. Jeśli nie, pułkownik Razumowski będzie miał problem. Śmiertelnie poważny problem...

– Nie powinnam tyle palić – mruknęła Lidia Zosimowna. – *K czortu!* W ogóle nie

powinam palić! To twoja wina, Razumowski, powinieneś zabawić damę rozmową!

Uśmiechnąłem się z rozbawieniem: zabawić damę? Tego mnie w szkołach nie uczyli, ale jak mus, to mus...

– Kojarzycie ten basen w Breslau? – spytałem. – Przekazałem do wywołania kilka zdjęć budynku i tych tam, ozdóbek.

– Masz na myśli płaskorzeźby? Gnomy, rogate stworki i żabiopodobne paskudztwa?

– Tak. Czy to mogą być symbole jakiegoś kultu?

– Jakiego znowu kultu? Na mózg ci padło? Gnom to ucieleśnienie żywiołu ziemi, symbol bezpieczeństwa i stabilności. Inny stworek wyobrażony na murach tego budynku, ondyna, to z kolei żywiołak wody. Wytłumaczyć ci, dlaczego ten akurat symbol znalazł się na murach zakładu kąpielowego?

– A ten rogaty?

– Nie jestem specjalistką, ale to może być faun albo bożek Pan. Jeśli chodzi o tego ostatniego, w starożytnej Grecji przypisywano mu funkcje wróżbity i lekarza, uznawano go też za wcielenie płodności. Ryba, którą trzyma, to dawny symbol szczęścia, zdrowia i życia. O ile pamiętam, ma to jakiś związek z boginią Atargatis.

Odchrząknąłem niepewnie: teoria, jakoby basen był siedzibą jakiegoś złowrogięgo kultu, waliła się jak domek z kart. Nie żebym był do niej specjalnie przywiązany...

– Jesteście pewni?

– Takie symbole można oczywiście odczytywać na różne sposoby, ale to, co ci powiedziałam, wydaje mi się najbardziej prawdopodobną wykładnią. No i pomyśl: czy władze miasta pozwoliłyby, żeby zakład użyteczności publicznej ozdabiano, odwołując się do jakichś kontrowersyjnych idei?

No tak, to jest argument. Znaczący von Ziethena nie wspiera żadna tajemnicza organizacja: jego ludzie zginęli w Moskwie i Leningradzie. Jest sam w obcym mieście. Jak dobrze pójdzie, niedługo się spotkamy...

– Towarzyszu pułkowniku?

Wzdrygnąłem się wyrwany z zamyślenia: major Siemionow, dowódca oddanej pod moją komendę grupy operacyjnej, wyszedł z piwnicy i stanął wyprężony jak struna. Zmrużyłem podejrzliwie oczy – już nie pierwszy raz zastanawiałem się, czy służbista do przesady postawa Siemionowa nie skrywa sarkazmu albo wręcz kpiny. Facet doskonale wiedział, że nie musi przede mną trzaskać kopytami, a jednak wykorzystywał każdą okazję, a to żeby zaszalować, a to stanąć na baczość. Niczym przechodzący przez wieś rekrut, zachwycony, że miejscowe dziewczęta zobaczą go w mundurze... Tyle że Siemionow nie był ani rekrutem, ani głupkiem: takich nie stawiają na czele oddziałów ze słowem *osobyj* w nazwie.

– Co tam? Znaleźliście dokumenty?

– *Nikak niet!*

Zakląłem wściekle: znaczy cała robota na nic.

– Jednak...

– Co „jednak”?! Sprawdziliście całą ścianę?!

– Cegła po cegle – zapewnił Siemionow.

– I nic?!

– Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów...

Tym razem Lidia Zosimowna użyła słów, których nie powinny znać damy, i rzuciła się do drzwi. Zatrzymałem ją, zanim zrobiła dwa kroki.

– Puść mnie, matole! Chcę to sama zobaczyć!

Objąłem ją, nie pozwalając ruszyć się z miejsca.

– Co znaleźliście? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Tylko to. – Siemionow postawił na stole niewielką stalową kasetkę.

Nie ulegało wątpliwości, że pan major ledwo hamuje uciechę: oczy mu się śmiały, a kąciki ust drgały podejrzenie. Uch, co za gadzina!

Uchyliłem wieczko: pojemnik pełen był szklanych pręcików długości kilku milimetrów. Ki czort? Znaczy ani to dokumenty, ani mikrofilmy. Tylko dlaczego Siemionow jest taki zadowolony? Przecież jakby co, i na niego spadnie gniew przełożonych. Nie w takim stopniu jak na mnie, ale jednak. Znaczy pan major coś wie, musi wiedzieć, bo generał Iliczow nigdy nie wyznaczyłby do tak ważnej misji kogoś negatywnie nastawionego czy to do mnie, czy do samego zadania. Czeka, gadzie, już ja ci popsuję przyjemność...

– Co wiecie na temat tych przedmiotów, majorze?

Siemionow skrzywił się niechętnie: bezpośredni rozkaz przełożonego nie pozostawiał mu wyboru, tu nie było miejsca na żadne manewry – przyjdzie podzielić się sekretami. Lidia Zosimowna przestała się wrywać; ona także musiała zauważyć minę Siemionowa.

– Słucham! – ponagliłem.

– To fotografie robione techniką mikrokropki, umieszczone wewnątrz czegoś w rodzaju szklanego walca – odparł z wyraźną niechęcią. – Aby je odczytać, potrzebny jest specjalny aparat, ale od biedy wystarczy i zwykły mikroskop. Każdy z tych – zastanowił się nad doborem terminu – „kryształków” zawiera kilka zdjęć.

– Skąd to wiecie?

– Już wcześniej odkryliśmy parę takich zbiorów. Niemcy testowali technologie przechowywania informacji, część znalezisk okazała się bezwartościowa, były to tylko wprawki, zawierające często kiepskiej jakości fotografie przypadkowych budowli czy ludzi. Później pojawiły się zdjęcia dużo lepsze technicznie, dotyczące ściśle tajnych projektów. Zapewne to kolejny z nich.

Rozpiąłem kołnierzyk munduru, nagle wydał mi się zbyt ciasny. Czyżbym odnalazł archiwum Himmlera?

– Ile tu może być tych zdjęć?

– Taka kasetka mieści około pięciuset kryształków – odparł rzeczowo. – Poza tą znaleźliśmy jeszcze trzy inne. W każdym kryształku znajduje się przeciętnie od czterech do sześciu fotografii, tak więc w sumie powinno tu być z dziesięć tysięcy zdjęć. Jedna fotografia obejmuje kilka stron maszynopisu lub dwa rysunki techniczne – dodał po chwili namysłu.

Wypuściłem ze świstem powietrze z płuc: taki zbiór mógł zawierać kompletną dokumentację czołgu, samolotu czy rakiety. Pozostaje tylko sprawdzić, co jest na zdjęciach.

– Załatwcie jakiś mikroskop. Za godzinę chcę was widzieć w naszej kwaterze.

– *Tak toczno!*



Wyregulowałem ostrość i szara, rozmazana plama zamieniła się w schemat upstrzony skomplikowanymi wzorami chemicznymi. Miałem nadzieję, że to coś ważnego, a nie przepis na zwiększenie produkcji marmolady... Niestety, w mojej ekipie nie było chemików, a ja sam ledwo zaliczyłem podstawy tego przedmiotu dawno temu. Moja wiedza dotyczyła głównie materiałów wybuchowych i trucizn...

– Dajcie już spokój, *komandir*, gapicie się na to od pół godziny, a obiad stygnie – powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem w głosie Elena.

Mruknąłem potakująco i dałem się poprowadzić do stołu. Wszyscy czekali tylko na mnie. No, prawie wszyscy: major Siemionow wymówił się obowiązkami...

Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie szcęk sztućców i bulgot rozlewanej wódki. Nawet Elena i Lidia Zosimowna wypity po parę kieliszków – cóż, było co świętować, znaleźliśmy jedną ze skrytek Zygfyda von Bredowa, przechytryliśmy Berię.

– Chyba mu kiedyś przyłożę – powiedziałem, patrząc na puste krzesło.

– Nawet nie próbuj! – odparła ostrzegawczym tonem Lidia Zosimowna. – Widziałam go na treningach. Ciebie też – dodała znacząco. – Jeden Tima być może dałby mu radę. Z naciskiem na „może”.

– Naprawdę jest taki dobry? – spytał Lewartow.

– Naprawdę. Kiedyś w Odessie...

– Och, dajcie już spokój! Dosyć tych rozmów o wszystkim i o niczym! – wtrąciła ostro Elena.

Uniosłem brwi: najwyraźniej panna Szewieliewa nadużyła alkoholu. No i nic dziwnego, prawie nigdy nie piła, a tu nagle ze dwieście gramów...

– Musieliście tak z Witką? Raz-dwa i kula w łeb? No powiedzcie coś, *komandir!* Przecież to nie jego wina, aresztowali mu matkę! Założę się, że zrobili to specjalnie.

Myślałem, że ktoś się odezwie, choćby Lidia Zosimowna, ale nie, wszyscy patrzyli na mnie. Tak jakbym miał lada chwila ogłosić jakieś uniwersalne prawdy albo napisać wzór – cały czas chodziła mi po głowie ta chemia – który udowodni, że Witia musiał zginąć. Tylko że i ja chętnie ujrzałbym taki wzór...

Mechanicznym ruchem wychyliłem kolejny kieliszek, Tima natychmiast nalał mi wódki.

– *Komandir!* – ponagliła Elena.

– A co ja ci mogę powiedzieć? – odparłem ze znużeniem. – Owszem, Beria zastawił na niego pułapkę, ale Witka wszedł w nią z własnej nieprzymuszonej woli. Nikomu nie powiedział o szantażu, nie poprosił o radę czy pomoc. Wiem, że pragnął uratować matkę, tyle że cudzym kosztem! Bo przecież Beria mógł chcieć tylko jednego: naszych głów. Co twoim zdaniem powinienem zrobić? Przebaczyć mu i zapomnieć o całej sprawie? – Roześmiałem się sarkastycznie. – Każdy z nas powierza innym życie. Dlatego musimy być pewni, że ten drugi nie zdradzi, nie sprzeda, nie zostawi. Kto po tym wszystkim powierzyłby swoje życie Witce? Może ty?

Elena milczała.

– Nie wiem, czy słusznie postąpiłem – kontynuowałem z rozdrażnieniem. – I pewnie nigdy nie będę tego pewien. Ale dopóki jestem waszym dowódcą, moim obowiązkiem jest dbać o to, żeby każdy w grupie wiedział, że za zdradę jest tylko jedna kara: śmierć! Wiecie sami, że nie ma innego wyjścia. Nie w naszym fachu. A dla Witki zrobiłem, co mogłem: w aktach wpisze się, że porucznik Potapow zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Nikt nie będzie mścił się na jego bliskich, rodzina dostanie rentę. Kto wie? Może nawet czekałby wypuszczą jego matkę? W końcu teraz nie przyda im się już na nic.

I znowu opróżniłem szkło, ale nie poczułem nawet smaku alkoholu, tak jakbym pił czystą wodę. Szlag! Akurat teraz, kiedy potrzebuję znieczulenia, organizm zaczyna stawać dęba. Tima dostrzegł moją minę i kolejną porcję nalał mi już do szklanki. Zuch chłopak! Obserwuje, dostrzega i wyciąga wnioski. Ot, prawdziwy zwiadowca!

– No co tam jeszcze? – rzuciłem, widząc, że Elena nie podnosi wzroku.

– Ci Niemcy...

– Co z nimi?

– Nasi mordują i gwałcą. Żołnierze Armii Czerwonej! Jak tak można? Przecież to niewinni cywile. Kobiety...

– Nasi cywile też byli niewinni! – warknąłem. – Mam ci przypomnieć, co Niemcy z nimi robili? Także z kobietami i dziećmi! Zresztą co do tej niewinności Szwabów, można by dyskutować – dokończyłem już spokojniej.

– Żartujecie, *komandir*.

– Nie żartuję!

– W takim razie czekam na argumenty. – Elena wydeła wyzywająco usta.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową: też jej się zebrało na dyskusje. Jeszcze chwila i zaczniemy rozważać definicje dobra i zła, widziałem coś takiego w podręczniku filozofii. Może szkoda, że nie doczytałem, ale moja odporność ma swoje granice: usnąłem, zanim skończyłem pierwszy rozdział...

– Pomyśl, dziewczyno – wymamrotałem.

Niespodziewanie zakręciło mi się w głowie, widać wódka zaczynała działać. Zanim zdążyłem zaprotestować, Tima ponownie mi dołał.

Muszę zwolnić tempo, bo jeszcze trochę i zwałę się pod stół. Co prawda wokół sami moi, ale jakoś nie wypada... No i trzeba pogadać z Eleną, nie wykręcę się od tego: od dawna widać, że nie jest zadowolona z tego, jak nasi traktują Niemców. Na razie jeszcze jej humory nie wyszły poza granice zdrowego rozsądku, ale nie wiadomo, jak długo to potrwa: wystarczy, że spróbuje uratować kolejną germańską dziewczinę, a czort wie jak to się skończy.

– Żal ci tych tutaj? – spytałem, wykonując niezborny gest.

– *Frau* Jachmann i jej córki?

– Owszem.

– Żal – przyznała cicho.

– Zawołaj je – poleciłem.

– Co proszę?

– Słyszałaś.

Elena wstała, popatrując na mnie niepewnie – trudno było ukryć, że mam już dobrze w czubie – i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, prowadząc wszystkie trzy Niemki.

– Gdzie pani pracowała? – zwróciłem się do *Frau* Jachmann.

– Jako pomocnik referenta w urzędzie landrata.

– Dużo pani zarabiała?

Niemka przecząco pokręciła głową.

– A pani córki?

– Młodsza jeszcze nie podjęła pracy, a starsza zajmowała się domem.

– Wyszła za męża? – upewniłem się.

– Tak.

– Kim był jej mąż?

– Ja...

– Odpowiadać!

– Żołnierzem – wyszeptała.

– Stopień?

– Sierżant.
– To też niewielka figura – powiedziałem już po rosyjsku.
– I czego to ma dowodzić? – zmarszczyła brwi Elena.
– Popatrz na to. – Wskazałem zastawę stołową.
– Nie rozumiem?
– Niech ktoś jej to wyjaśni – poprosiłem, z trudem powstrzymując czkawkę.
– Chyba będziesz musiał sam to zrobić – odparła ze zniecierpliwieniem Lidia Zosimowna. – I lepiej odstaw wódkę.

Ech, obowiązki dowódcy...

– No dobrze – westchnąłem. – Porcelana.
– Co z porcelaną?
– Marka, wartość – wyjaśniłem bełkotliwie.
Lewartow gwizdnął bezgłośnie i uniósł wazę do zupy.
– I co tam? – spytała niecierpliwie Elena.
– Wedgwood – powiedział. – A i porcelana wygląda na starą, może z zeszłego wieku? Tych tutaj nie byłoby na nią stać. Jeden taki talerz może kosztować więcej, niż *Frau Jachmann* zarobiłaby przez rok.

– Więc skąd ten serwis?

– A, o to chodziło – mruknęła Lidia Zosimowna. – To trofea. Rzeczy odebrane ludziom, których wysłano do obozów koncentracyjnych na śmierć. Sporą część z nich przekazywano nowożeńcom, ludności zbombardowanych miast, folksdojczom w Generalnej Guberni albo sprzedawano za bezcen w zakładach pracy.

– Więc to wszystko pochodzi z rabunku?

– A z czego innego? – włączyłem się do dyskusji. – To majątek ludzi, którzy dawno stali się prochem w piecach krematoryjnych. Myślisz, że nasza droga *Frau Jachmann*, pomocnica urzędnika trzeciej kategorii, nie wiedziała, co kupuje? I dlaczego tak tanio? One wszystkie wiedziały. Te miłe gospodynie domowe i żony żołnierzy... I ni cholery im to nie przeszkadzało! Dlatego niewinne są tylko dzieci, a tych nasi nie krzywdzą.

Ugryzłem się w język, żeby nie dodać: zazwyczaj. Nie miałem wątpliwości, że prędzej czy później sytuacja wymknie się spod kontroli. O ile już się nie wymknęła. Nic tak nie podnieca ludzkich bestii jak cierpienie innych i poczucie bezkarności...

Niemki patrzyły na mnie z przerażeniem: może i nie rozumiały wszystkiego, ale na pewno zdążyły poduczyc się rosyjskiego – miały motywację... Elena wyglądała, jakby miała wymiotować.

– Więc to wszystko to...

– Tak – wszedłem jej w słowo. – Jemy z talerzy, które kiedyś należały do jakiegoś żydowskiego przemysłowca albo polskiego profesora czy ziemianina.

Ręka dziewczyny opadła na kaburę, może nerwowy odruch – każdy żołnierz

w chwilach napięcia sięga po broń – możliwe, że coś więcej. Krótkim rozkazem odesłałem Niemki. Lepiej nie ryzykować, niepotrzebna mi tu jatka. Zniknęły w mgnieniu oka.

– Pewnie macie rację, *komandir*, ale tak czy owak te kobiety... To bezsensowne bestialstwo. Dowództwo nie powinno pozwalać na takie rozluźnienie dyscypliny.

Otarłem pot z czoła, wódka mnie nieźle rozgrzała. Uparta bestia z tej Eleny. Jak i jej ojciec. Niedaleko padło jabłko od jabłoni: pułkownik Szewieliew był wyjątkowym uparciuchem...

– Naprawdę myślisz, że to niedopatrzenie dowództwa? Brak dyscypliny? – parsknąłem pogardliwie. – Już my potrafimy zdyscyplinować żołnierzy: za mniejsze przewinienia ludzie lądowali w karnych kompaniach i batalionach.

– To dlaczego teraz nic się z tym nie robi?!

– Widać nasze dowództwo nie chce powstrzymywać żołnierzy...

– Nie chce?

– Nie chce – potwierdziłem.

Tima uniósł butelkę pytającym gestem, ale pokręciłem głową. Koniec na dzisiaj.

– Ledwo dwadzieścia lat potrzeba było Niemcom, żeby wywołać kolejną światową wojnę. A przecież pierwszą przegrali. Tyle że to ich nie powstrzymało. Widać ktoś doszedł do wniosku, że nie wystarczy ich pokonać, trzeba jeszcze i złamać.

– Gwałcą kobiety?!

– A jakże... Kto wychowuje dzieci? Przecież nie mężczyźni. Łatwiej zapomnieć o śmierci syna czy męża, którzy „zginęli w chwale”, niż o dwudziestu spoconych żołdatkach między udami. Nie wiem, kto i kiedy rozpocznie następną wojnę, ale na pewno nie Niemcy. Nie w najbliższym półwieczu. Dopóki będą żyli pamiętający tę wojnę, Niemcy pozostaną najbardziej pokojowo nastawionym narodem Europy... Bo kiedy za dziesięć czy piętnaście lat młody Hans stanie przed lustrem i zacznie przymierzać tatusiowy mundur czy order, dostanie po pysku od matki, babki i starszej siostry. Od kobiet, które będą do końca życia przechodzić na drugą stronę ulicy, widząc Rosjanina...

– Ja wszystko rozumiem, ale...

– Ale co?! – warknąłem ze złością. – Mówisz, że to bestialstwo? Owszem, bestialstwo! Uważasz, że to, co robili Niemcy, nie może być usprawiedliwieniem dla podobnego zbydłęcia? Pewnie tak, tylko że nie jesteśmy w stanie temu zapobiec. Nie my. Dlatego bądź uprzejma na przyszłość powstrzymać szlachetne odruchy, bo może się okazać, że przeszkodziłaś nie szeregowemu Wańce, ale komuś dużo, dużo ważniejszemu! I za twój gest przyjdzie zapłacić nam wszystkim! Zrozumiałaś?!

– Tak, ale...

– Porucznik Szewieliewa!

– *Tak toczno!*

– Zbierajcie się, za dwie godziny wyjeżdżamy – zarządziłem.
Czas na dyskusje minął, pora wracać do Breslau.



Generał Niehoff wręczył mi wskaźnik i wymownym gestem wskazał mapę. Ta przedstawiała Breslau i okolice, w tym pozycje oddziałów Głuzdowskiego. Przed chwilą skończył swój wykład jeden ze sztabowców, teraz wszyscy czekali na mój komentarz. Próbowałem uporządkować myśli, ale nie wychodziło: stwierdzenie, że zostałem zaskoczony, byłoby eufemizmem. Jeśli plan generała się powiedzie, obaj z Głuzdowskim trafimy pod mur, nie pomoże mi żadne archiwum...

– Majorze? – ponaglił Niehoff.

Odchrząknąłem i spróbowałem przełknąć ślinę, ale gardło wyschło mi na wiór. Szlag!

– Nie wiem, co mógłbym dodać – powiedziałem niepewnie. – Jeśli uderzymy całą siłą, prawdopodobnie damy radę przedrzeć się przez pierścień rosyjskich wojsk. Natomiast połączenie się z siłami feldmarszałka Schörnera to inna rzecz...

– Proszę kontynuować – zachęcił mnie Niehoff.

– Rosjanie niemal całkowicie kontrolują przestrzeń powietrzną, a my będziemy łatwym celem: nie mamy dostatecznej ilości pojazdów, żeby ewakuować cały garnizon. Trzeba będzie sformować piesze kolumny. Nie uciekniemy też Głuzdowskiemu, jego oddziały natychmiast ruszą za nami. A im nie brakuje środków transportu...

– Co z morale u Ruskich? – spytał adiutant Niehoffa.

– A jak pan uważa? – westchnąłem. – Jest znakomite i nic dziwnego, zważywszy na sytuację. Co prawda fakt, że Breslau nadal się broni, nieco deprymuje Rosjan, powstają nawet dowcipy na ten temat, jednak skłania ich to jedynie do zwiększenia wysiłków w celu zdobycia miasta. Jeśli się przebijemy, rzucą przeciwko nam wszystko, co mają. Nie dotrzemy do armii Schörnera.

– Dowcipy? – uniósł brew kapitan Hauke. – Chętnie bym jakiś usłyszał.

Spojrzałem pytająco na Niehoffa, ten niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Sami chcieliście – ostrzegłem. – Wojska radzieckie wracają po zdobyciu Berlina na paradę zwycięstwa w Moskwie. Nagle słyhać wybuchy i strzelaninę. Któryś pyta: czy to już salwy na wiwat? Nie, odpowiada inny, to Szósta Armia w dalszym ciągu zdobywa Breslau...

Hauke wykrzywił usta w sardonicznym uśmiechu, ktoś zachichotał, jeden z oficerów rozkaszał się, zasłaniając usta dłonią. Tylko na twarzy Niehoffa nie drgnął

ani jeden miesiąc, tak jakby powleczone była niewidzialnym lodem.

– To wszystko na dzisiaj. Dziękuję panom – oznajmił.

Szurgotowi odsuwanych krzeseł towarzyszył cichy szmer rozmów. Dyskutowano – a jakże! – o połączeniu się z armią Schörnera. Wariactwo... Analiza, którą przedstawiłem sztabowcom, nie była ani trochę przesadzona: garnizon Breslau nie miał żadnych szans na dotarcie do sił feldmarszałka. Co innego wyrwanie się z oblężenia, Głuzdowski nie byłby w stanie powstrzymać zdecydowanego ataku.

– Majorze.

Niehoff zatrzymał mnie przy wyjściu, oszczędnym gestem wskazał krzesło. Zostaliśmy sami w opustoszałej sali.

– Kiedy ostatni raz widział pan pułkownika Krebsa?

Wysiłkiem woli powstrzymałem się przed poluznieniem kołnierzyka.

– Niedługo przed wyjściem z Breslau – odparłem. – Czy coś się stało?

– Owszem, pułkownik zaginął. Co więcej, tuż przed zniknięciem prosił mnie o rozmowę, chciał, żebym zabronił panu opuszczać miasto.

– A to dlaczego?

Pytanie zadałem swobodnym, niewymuszonym tonem, rozluźniłem mięśnie twarzy, a jednak czułem, jak po plecach pod mundurem ściekają mi krople potu: pewnych reakcji nie można kontrolować.

– Nie zdążył mi powiedzieć, ale domyślam się, że chodziło o to wasze dochodzenie. I muszę przyznać, że miał rację. Wczoraj zginęła kolejna kobieta. Tak jak poprzednie ofiary została zgwałcona, ciało znaleziono niedaleko kamienicy, w której pan mieszka.

– Jak się nazywa? Nazywała – poprawiłem się, nie kryjąc napięcia w głosie.

– Gertruda Weiss? Tak, Weiss. Miała siedemnaście lat, ludzie są wzburzeni. Musi pan natychmiast zająć się tą sprawą. I zakończyć ją jak najszybciej. Definitywnie zakończyć!

Odetchnąłem z ulgą: a więc nie Inga...

– Podejrzani są z SS – zauważyłem po chwili milczenia.

– Śledztwo było pod kontrolą Berlina, ale w tej sytuacji, pod nieobecność pułkownika Krebsa, to do mnie należy ostateczna decyzja. Jeśli będziecie z komisarzem przekonani o ich winie, macie carte blanche.

Zabić trzech esesmanów? Żaden problem. Trzeba tylko przekonać komisarza, a to uparty jamnik. No i wypadałoby się upewnić, że to oni są sprawcami tych wszystkich morderstw, bo jeśli ktoś zginie po zniknięciu Radetta i jego kumpli, będę miał problemy. Taaak, trzeba to wszystko dobrze przemyśleć...

– Ma pan na to trzy dni – powiedział twardo Niehoff.

– *Jawohl!*

Trzy dni to trzy dni, może dam radę. A gdyby nawet coś poszło nie tak, po prostu

ucieknę albo przeczekam w jakiejś dziurze. Koniec Festung Breslau zbliżał się nieubłaganie. Gorzej, jeśli Niehoff zdecyduje się jednak przebijać do Schörnera albo odezwą się przełożeni Krebsa. Wtedy zrobi się niewesoło. Z drugiej strony Berlin dogorywa, nawet jeśli pozostali tam ludzie wtajemniczeni w plan odrodzenia Trzeciej Rzeszy, mieli w tym momencie inne, ważniejsze problemy. Prawdopodobnie...



Możliwe, że Inga prowadziła jakąś własną grę – była na to dostatecznie inteligentna – ale z pewnością nie nauczyła się jeszcze ukrywać uczuć, czytałem w jej twarzy jak w otwartej księdze: radość, ostrożność, może nawet obawa. W tej właśnie kolejności. Cóż, mogło być gorzej. Objąłem ją. Nie opierała się. Niespodziewanie zdawkowy pocałunek zmienił się w coś dużo bardziej osobistego. Przerwało go pełne oburzenia fuknięcie: to młodsza z pań von Bredow domagała się mojej uwagi. No jakżeby inaczej...

Wziąłem dziewczynkę na ręce, pozwoliłem się uściskać: w odróżnieniu od matki Klaudia przejęła inicjatywę.

- Zjesz coś? – spytała Inga.
- Chętnie.
- Mamo, mogę przynieść Aleksowi talerzyk?
- Możesz.
- Wszystko w porządku? – spytała cicho Inga.
- Mniej więcej. Porozmawiamy, jak mała zaśnie.

Kolacja nie była specjalnie wykwintna: podgrzana konserwa z odrobiną smażonych ziemniaków. Widać nawet czarny rynek ma swoje ograniczenia. Pochłonałem pospiesznie posiłek – o zjedzonym w kantine oficerskiej obiedzie zdążyłem już zapomnieć, za to Klaudia marudziła, grzebiąc jedynie widelcem w talerzu.

- Może jednak coś zjesz? – upomniała ją Inga.
- Chcę na kolanka – odparła kapryśnym tonem dziewczynka.
- No dobrze.
- Nie do ciebie, do Aleksa.

Inga spojrzała na mnie prosząco, więc posadziłem sobie małą na kolanach.

- A teraz zabieramy się do roboty – powiedziałem surowo.

Klaudia bez entuzjazmu przełknęła kilka kęsów.

- Tłuste – stwierdziła z wyrzutem.
- To dobrze, może trochę przytyjesz, jesteś strasznie chuda.
- Wcale że nie!

– Wcale że tak! – potwierdziłem, szczypiąc małą w pupę. – Jeśli skończysz w trzy minuty, opowiem ci bajkę.

– To niezdrowo tak się spieszyć – zauważyła Inga.

– Wiesz, co jest niezdrowe? Marudzenie przy jedzeniu. A dzieci mają żołądki jak strusie, nic jej nie będzie.

– Jaką bajkę? – spytała z zainteresowaniem Klaudia. – O kotku i młynarzu? A może o Czerwonym Kapturku?

– Nie znasz jej.

– Ja znam wszystkie bajki! I wiem, kto je napisał: bracia Grimm!

– Tej nie znasz.

– O czym ta bajka?

– O pracowitym niedźwiedziu.

– Kto ją namyślił?

– Wymyślił – poprawiła Inga.

– Znany bajkopisarz von Kryłow – odparłem z zimną krwią. – I dość tych dyskusji! Zaczynam mierzyć czas.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, wyglądało na to, że chce kontynuować rozmowę, ale kiedy ostentacyjnie zerknąłem na zegarek, zabrała się do jedzenia. Skończyła przed czasem, widać zachęta okazała się wystarczająca...

– Już! – oznajmiła z satysfakcją. – Opowiadaj!

– Najpierw przebierzesz się do spania i umyjesz ząbki – poleciła Inga.

Klaudia z ponurą miną powlokła się do łazienki.

– Przenocujesz u nas?

– Jeśli chcesz – odparłem, przymykając oczy.

Byłem zmęczony: Niehoff nieźle zszarpał mi nerwy. Te jego pomysły...

– Umyta i przebrana – zameldowała Klaudia, stając przede mną w nocnej koszulce.

– Zaniesiesz mnie do łóżeczka?

– Zaniosę – burknąłem.

Kolejne pół godziny spędziłem, opowiadając bajki Kryłowa. Trzeba przyznać, że miałem wdzięczną widownię: Klaudia słuchała z otwartymi ustami. Widać marnuję się w wywiadzie, lepiej było zostać przedszkolanką...

– Śpi? – upewniła się Inga, kiedy wróciłem do kuchni.

Przytaknąłem ze znużeniem, opadłem na krzesło.

– Byłeś w Grünbergu?

– Owszem.

– I co, znalazłeś dokumenty?

– Coś w tym rodzaju. Fachowcy muszą je jeszcze zbadać, ale wydaje się, że wszystko w porządku.

– Nasza umowa...?

– Nadal obowiązuje – zapewniłem. – Tylko wiesz co? Drobną prośbą na przyszłość: nie sil się na tajemniczość i jeśli masz coś do powiedzenia, to zrób to wprost. Bo mogę coś przeoczyć, a wtedy pożałujemy tego oboje.

– Przepraszam, nie chciałam...

Przerwałem jej ospałym gestem: szkoda czasu na słuchanie usprawiedliwień.

– Podobno niedaleko stąd zamordowano kobietę? – zdecydowanie zmieniłem temat.

– To prawda – wzdrygnęła się Inga. – Znalezione ją w schronie na Moltkestrasse. Biedna dziewczyna, znałam ją z widzenia. Dlaczego pytasz?

– Bo i tym przyjdzie mi się zająć.

– Wiesz, że ją zgwałcili? Była rozebrana do naga. Strach pomyśleć, co będzie się działo, kiedy wejdą tu... – Inga urwała, uświadomiwszy sobie, z kim rozmawia.

– Pewnie nic innego niż to, co działo się w zajętych przez wasze wojska rosyjskich miastach – odparłem obojętnie.

– Jak możesz tak spokojnie o tym mówić?!

– Bez trudu! – warknąłem. – I pamiętaj, że tej dziewczyny nie skrzywdzili Rosjanie, tylko swoi. Tutejsi...

Inga zacisnęła wargi: nie trzeba było jasnowidza, aby wywnioskować, że dzisiejszą noc spędzę samotnie. Cóż, jakoś to wytrzymam. Przynajmniej się wyśpię, jutro czeka mnie ciężki dzień.



Kriminalkommissar Witte gwałtownym ruchem odsłonił zwłoki. Na ciele widać było dwie rany klute i przynajmniej kilkanaście siniaków. Zapewne kobieta próbowała walczyć...

– Co pan o tym myśli? – spytał niespokojnie.

– To raczej nie nasi.

– Skąd ten wniosek? Ma dwie rany od noża, jak i tamte.

– Za dużo siniaków, a rany...

– Co z ranami?

– Uderzono ją w okolice serca i do tego w szyję, uszkadzając tętnicę. To nie ma sensu: po czorta bić dwa razy, skoro oba ciosy były śmiertelne? Wygląda, jakby zrobił to ktoś, kto co prawda wiedział, gdzie celować, ale nie miał osobistego doświadczenia w tym względzie.

– Nie rozumiem?

– Śmierć prawie nigdy nie następuje od razu – wyjaśniłem. – Na przykład po

uszkodzeniu tętnicy szyjnej człowiek może być jeszcze przytomny przez kilka sekund, umiera po kilkunastu. Stąd często nowicjusze zadają niepotrzebnie dodatkowe ciosy, obawiając się, że jeden nie wystarczy. Tak jak w tym przypadku. Zastanawiają mnie też te siniaki. Nawet Mentzel nie została aż tak pobita, a przecież wiemy, że w odróżnieniu od poprzedniczek nie zabił jej zawodowiec. Tę dziewczynę stłuczono do nieprzytomności.

– Może morderca albo mordercy stracili panowanie nad sobą? Jeżeli się sprzeciwiała...

– Wątpię. Gdyby było ich choćby dwóch, nie musieliby jej bić. Szukamy jednego człowieka. I raczej nie żołnierza. To zupełnie inny modus operandi.

– Co robimy?

Nie odpowiedziałem, przypatrywałem się ręce dziewczyny. Pod paznokciami prawej dłoni widać było zaschniętą krew, dwa z nich były złamane.

– Naznaczyła go – powiedziałem pewnie. – Morderca ma podrapaną twarz albo szyję.

– To już coś – przyznał niechętnie Witte. – O ile ma pan rację. Sam nie miałem czasu dobrze się jej przyjrzeć – dodał tonem wyjaśnienia. – Tyle że nie możemy zebrać na placu wszystkich mężczyzn z Breslau. Ani dać ogłoszenia w gazetach.

– Gdzie ją znaleziono?

– W podziemnym przejściu na Moltkestrasse. Wykopano je, żeby połączyć ze sobą poszczególne kamienice na wypadek walk, ale ludzie czasem używają ich jako skrótów lub namiastki schronów przeciwlotniczych. Ona prawdopodobnie szła do przyjaciółki.

– Kiedy zginęła?

– Około czternastej.

– Tam jest duży ruch? W tych podziemnych przejściach?

– Skąd! To tunele niewiele lepsze od lisich nor, łączą piwnice kilku kamienic. Wykopano je niedawno i nie umocniono jeszcze jak należy, dlatego okoliczni mieszkańcy raczej ich unikali. Łaziły tam głównie dzieciaki.

– I nasza ofiara...

– Uważa pan, że ktoś o tym wiedział i czekał na nią?

– Tak, morderca musiał znać teren i zwyczaje dziewczyny.

– No dobrze – westchnął policjant. – Postaram się sprawdzić, czy nikt w okolicy nie ma świeżych śladów po paznokciach. Tymczasem jednak musimy pomyśleć, co zrobić z pozostałymi morderstwami.

– Musimy – przytaknąłem.

– W ostatnich dniach udało mi się ustalić to i owo, choć nie wiem, czy nam to w czymkolwiek pomoże.

– Tak?

– Radett i jego kumple wykorzystują kobiety przywiezione do Breslau na przymusowe roboty. Wożą je do domu ciotki Ledermullera i...

– A co na to starsza pani? – wszedłem mu w słowo.

– W tym rzecz: zmarła na początku stycznia, dlatego chałupa stoi pusta. Moi ludzie śledzili całą trójkę i w ten sposób odkryli, gdzie tamci oddają się swoim... przyjemnościom.

– Chciałby pan je przesłuchać?

– Tak, tylko nie wiem, czy to coś da. Jeśli je zastraszyli, nie puszczą pary z ust. A my nie mamy czasu.

– Ustalił pan personalia tych kobiet?

– Kilku. Śledzimy ich dopiero od niedawna, nie ma żadnej pewności, że wcześniej nie gwałcili innych.

No, no, jamnik po raz pierwszy użył słowa „gwałt” w odniesieniu do kobiet wywiezionych na przymusowe roboty. Ciekawe, czy świadomie, czy przez przejęzyczenie?

– To Polki?

– Polka i dwie Rosjanki. Wiem, że zna pan rosyjski, gdyby pan mógł...

– Znam i polski. Trzeba koniecznie z nimi porozmawiać.

– Teraz?

– Jak najszybciej.

– Mogę po nie posłać, najlepiej będzie chyba przesłuchać je na komisariacie, ale co potem? Jeśli tamci się dowiedzą, że były wzywane na policję, a dowiedzą się na pewno, postarają się, żeby zamilkły, być może na zawsze. Chyba żeby je tu zatrzymać?

– Doskonały pomysł! – orzekłem. – Niech pan je aresztuje.

– Za co?

– Za cokolwiek – westchnąłem zniecierpliwiony. – Ja mam pana uczyć? Później się je wypuści, a tymczasem będą bezpieczne.

Witte skinął głową, po czym wyszedł na chwilę z kostnicy. Słyszałem, jak rozmawia z kimś w korytarzu.

– W porządku – powiedział. – To mamy z głowy, wysłałem patrol.

– Coś jeszcze?

– I owszem. Dwa dni temu Radett odwiedził jaśnie oświeconego hrabiego...

– Niemożliwe!

– Możliwe, możliwe! Co prawda mocno się starał, żeby go nikt nie zauważył.

Przygryzłem wargi: zlikwidować esesmanów to jedna sprawa, gorzej, jeśli w sprawę zamieszany jest von Dallewitz. Czy to możliwe, żeby nasi trzej muszkietierowie dostarczali tylko ofiar panu hrabiemu? Bo kobiety nie zginęły na ulicy, to pewne. Tymczasem willa Dallewitza znajdowała się jakieś dziesięć minut

jazdy od rejonu, gdzie znaleziono zwłoki. Nie za blisko, ale i nie za daleko: wątpliwe, żeby sprawca lub sprawcy wozili trupa w bagażniku przez pół miasta.

– On ma samochód?

– Nawet dwa! I osobistego kierowcę do kompletu.

– Co to za wozy?

– Opel kapitan i rolls-royce phantom.

No tak: jeden dla służby, drugi dla siebie. Co ważne, oba samochody są na tyle pojemne, że bez problemu można przewieźć w nich zwłoki. A jeśli pan hrabia doszedł do wniosku, że rytuały erotyczne czy też ofiary z ludzi przedłużą mu życie... Tak, biorąc pod uwagę jego obsesję na tym punkcie, pewnie długo się nie zastanawiał. Tym bardziej teraz, kiedy wiadomo było, że wojenna zawierucha utrudni śledztwo.

– Uważa pan, że to hrabia?

– Możliwe.

– One były mordowane jedna za drugą, w trzy kolejne dni, prawda?

– Owszem, ale co z tego?

Po namyśle opowiedziałem policjantowi o zainteresowaniach von Dallewita.

– Sądzi pan, że to magiczne rytuały?

– Czort wie! – odburknąłem. – Ale rzecz jest zastanawiająca. I jeszcze jedno: czy ludzie rozpoznaliby wóz hrabiego?

– Miejscowi? Na pewno. Niestety, nawet jeśli zauważył go jakiś patrol, pewnie nikt nie ośmielił się skontrolować auta.

– Ustalił pan personalia żołnierzy, którzy patrolowali obszar, gdzie znaleziono ciała ofiar?

– Oczywiście! I od razu ich przesłuchałem. Tyle że pytałem, czy nie widzieli czegoś podejrzanego. Obawiam się jednak, że widok rolls-royce'a wcale by ich nie zdziwił: wszyscy w Breslau wiedzą, że jego właściciel jest nieco... ekscentryczny.

– Nie da rady przesłuchać ich powtórnie?

– Wątpię. Myślałem już o tym, ale ośmiu zginęło, co do trzech wiadomo tylko, że biorą udział w walce, a jeden zaginął bez wieści. Mój błąd – przyznał po chwili namysłu. – Pozostaje nam tylko von Dallewitz. Niestety, nadal nie możemy go ruszyć.

– Naprawdę? – spytałem ironicznie. – A to niby dlaczego? O ile pamiętam, poprzednio odwołał się do Berlina.

– Chce pan...

– ...skorzystać z sytuacji – dokończyłem. – Berlin już go nie obroni. Praktycznie rzecz biorąc, możemy z nim zrobić wszystko, co chcemy...

– Co pan proponuje?

– Bo ja wiem? Na pewno trzeba przeszukać willę, zwracając szczególną uwagę na ślady krwi. No i wypada zapytać o wizytę Radetta. Zobaczymy, co z tego wyniknie. – Wzruszyłem ramionami.

– A te robotnice?

– Przesłuchamy je później, nigdzie nam nie uciekną! – odparłem niecierpliwie.

Komisarz przytaknął z pewnym ociąganiem. Widać było, że nadal obawia się von Dallewitza. Ja nie miałem aż takich oporów – po namyśle doszedłem do wniosku, że koneksje pana hrabiego nie są warte złamanego grosza. Nie teraz, kiedy Festung Breslau dogorywała. Podobnie jak Berlin. Jakby co, nikt nie będzie się przejmował kolejnym trupem, niechby i arystokraty. Jeden więcej, jeden mniej...



Otto siedemnasty hrabia von Dallewitz przyjął wieść o przeszukaniu swojej willi nadzwyczaj spokojnie. Nie awanturował się, nie przeszkadzał ludziom komisarza, nie podnosił głosu. Wydawało się nawet, że obserwuje krzątanicę policjantów z pewnym zainteresowaniem.

– Czemu zawdzięczam tę... wizytę? – spytał, mierząc mnie uważnym spojrzeniem spod ciężkich, opuchniętych powiek.

Czyżby pan hrabia nie wysypiał się ostatnio? Ciekawe...

– Znajomym panu esesmanom. Jak pan wie, podejrzewamy ich o dokonanie serii morderstw na młodych kobietach – wyjaśniłem, nie siląc się na dyplomację. – Jeden z nich odwiedził pana niedawno.

– Ach tak, Radett – mruknął von Dallewitz. – Istotnie, zrobił na mnie wrażenie dość brutalnego osobnika.

– Czego chciał?

– Nie uwierzy pan: pożyczyć kolejną książkę.

– Ofiary z ludzi, rytuały erotyczne? – rzuciłem szybko.

– Nic z tych rzeczy, chodziło o historię Breslau.

– Żartuje pan!

Hrabia podniósł się z fotela i podszedł do jednego z regałów, wyciągnął opaskę tomisko: rozmawialiśmy w bibliotece.

– To ta – poinformował sucho.

Zerknąłem na okładkę – „Zabytkowe budowle Breslau”, wydanie z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

– Nie pożyczył mu jej pan?

– Nie pożyczyłem. Po naszej ostatniej rozmowie doszedłem do wniosku, że lepiej będzie trzymać się od nich na dystans.

– Radett naprawdę interesował się tą pozycją?

– Nie mam zwyczaju kłamać – oznajmił oschle von Dallewitz. – Chciałbym też

poprosić...

Przerwał mu odgłos otwieranych drzwi i do biblioteki wmaszerował komisarz Witte. Policjant niósł oburącz kilkanaście zwojów liny. Niektóre miały średnicę kilku milimetrów, inne były grube jak kciuk dorosłego mężczyzny.

– Co pan o tym sądzi? – zwrócił się do mnie, całkowicie ignorując hrabiego.

Popatrzmy: wszystkie liny wykonano albo z miękkiej, obrobionej juty, albo z jedwabiu, ich końcówki zabezpieczono pieczołowicie klasycznymi japońskimi węzłami. W *hojojutsu* nikt nie przejmuje się, czy dotyk sznura będzie przyjemny dla przeciwnika, tak więc pozostawała tylko jedna opcja: *kinbaku*. Widać von Dallewitz nie ograniczał się do kolekcjonowania obrazów o tej tematyce, ale i sam praktykował techniki erotycznego wiązania. Tylko co to nas obchodzi? Bo było niemal pewne, że hobby pana hrabiego nie ma nic wspólnego z interesującymi nas morderstwami, nie ta skala przemocy. Choć na wszelki wypadek warto sprawdzić to i owo.

– To tylko dekoracyjne gadzety – odpowiedziałem. – Gdzie pan zebrał służbę?

– W kuchni. Jest pan pewien? – Wskazał liny.

– Jak najbardziej – potwierdziłem stanowczo.

Kątem oka przechwyciłem niemal niedostrzegalny ukłon von Dallewitza.

– Chce pan ich przesłuchać?

– Raczej zadać kilka pytań. Chyba że pańscy ludzie coś znaleźli?

Witte zaprzeczył ruchem głowy. Wyglądał na skrupowanego – cóż, to nie mnie przyjdzie przeproszać hrabiego za najście: w willi buszowali ludzie komisarza.

Obszerna, nowocześnie urządzona kuchnia wyglądała, jakby można było w niej przygotowywać posiłki dla kompanii chłopca jednocześnie. Stół i kilka krzeseł sugerowały, że to tu właśnie jadała służba von Dallewitza. Myślałem, że będzie ich więcej, ale za stołem siedziały tylko cztery osoby. W sumie nic dziwnego, nastały ciężkie czasy. Pewnie nawet pan hrabia musiał się ograniczać...

Potęźnie zbudowana kobieta w schludnym białym czepku, starszy mężczyzna o sękatych, pokrytych węzłami żył dłoniach, młodszy w kurtce podobnej do liberii i rudowłose, filigranowe dziewczę w fartuszkach pokojówki. Ot i cała ekipa. Mnie interesowała tylko pokojówka. Wywołałem ją gestem na korytarz, kazałem podwinąć rękawy. Wykonała posłusznie polecenie, ukazując bladą, delikatną skórę pokrytą ledwie widocznymi śladami więzów. Żadnych siniaków, ani świeżych, ani zastarzałych.

– Ktoś cię zmuszał do tego? – spytałem szorstko.

Zaprzeczyła, pokrywając się rumieńcem aż po małe, zgrabne uszka. Znacząca sprawa wyjaśniona: widać nie tylko von Dallewitz był entuzjastą *kinbaku*... Cóż, trzeba będzie wrócić do naszych esesmanów. Ech, gdyby to ode mnie zależało, cała ta banda już dawno wachałaby kwiatki od spodu. No nic, przyjdzie czas i na nich. A teraz poproszę komisarza, żeby podrzucił mnie pod dom doktor Wajnert. Miałem z nią do pogadania.



Z niedowierzaniem wpatrywałem się w leżącą przede mną kartę pacjenta. Niby nic specjalnego: skierowanie na leczenie w klinice w Kolonii. Tyle że jego beneficjentem był niejaki Marco Wertelli. Skierowanie wystawił doktor Herman Dernicke. Dwudziestego szóstego stycznia, jeszcze przed zamknięciem okrążenia Breslau.

Odchrząknąłem: słowa nie chciały przechodzić przez ściśnięte gardło. Siłą woli rozluźniłem napięte do bólu mięśnie. Mój pościg za von Ziethenem zakończył się fiaskiem. Po raz kolejny...

– Gdzie mieszka ten Dernicke? – spytałem wreszcie.

– Zginął niedawno w czasie nalotu – odparła niespokojnie Luiza Wajnert.

Wyglądało, jakby lekarka bała się mojej reakcji. Witte musiał ją nieźle nastraszyć tym sądem doraźnym. Odetchnąłem głęboko, po czym przyjrzałem jej się ze zdziwieniem: od doktor Wajnert cuchnęło czosnkiem, cebulą i jakimiś lekami.

– Jestem jeszcze zbyt słaba, żeby pomagać w szpitalu, ale przygotowuję opatrunki dla rannych – wyjaśniła, właściwie interpretując moją minę. – Brakuje nam niektórych leków, więc na trudno gojące się rany stosujemy miazgę z czosnku i cebuli. Rosjanie robią to od dawna w szpitalach polowych, wystarczy nad raną umieścić podziurawione pudełko od zapalek wypełnione taką mieszanką i opary przyspieszają cały proces.

Skinąłem głową: słyszałem o tej metodzie. Niestety, antybiotyków zawsze brakowało, więc trzeba było jakoś sobie radzić. Najwyraźniej z zaopatrzeniem medycznym w Breslau było całkiem kiepsko, skoro Niemcy kopiowali nasze rozwiązania.

– Skąd pani ma tę kartę? Bo w szpitalach nie ma żadnych śladów po Wertellim.

– Znalazłam ją zupełnym przypadkiem, znam siostrę doktora Dernicke i kiedy zginął, ta poprosiła mnie o przejrzenie dokumentacji medycznej, jaka po nim została. To było u niego w mieszkaniu.

– Dlaczego nie w szpitalu?

– Nie mam pojęcia, może Wertelli był jego prywatnym pacjentem, a może z jakichś powodów Dernicke zabrał kartę do siebie? Mogę popytać, ale wątpię, czy ustalę coś konkretnego, bo w szpitalach panuje chaos.

No tak, rzeczywiście nie najlepszy moment dla wyjaśniania detali. A i gra niewarta świeczki: von Ziethen pewnie już dawno zaszył się w jakiejś kryjówce w głębi Rzeszy.

– Nie trzeba – mruknąłem. – I tak wiele pani dla mnie zrobiła. Dziękuję.

Wychodząc, nie mogłem nie dostrzec ulgi, z jaką zegnała się ze mną doktor Wajnert. Dziwne, bo przecież to Witte odgrywał rolę złego policjanta. Z drugiej strony kto teraz zachowywał się normalnie? Miasto płonęło, nasi coraz bardziej naciskali, Niemcy tracili kolejne dzielnice.

Postanowiłem zajść do swojego mieszkania, pora była wyraźnie obiadowa, a po południu czekały mnie jeszcze przesłuchania. Miałem nadzieję, że owocne. Dobrze by było wreszcie zamknąć całą sprawę.



Przełamałem ostatnią kromkę czerstwego chleba, podałem kawałek Indze: widać, że nie zdążyła się jeszcze przyzwyczać do tłustych konserw. Może odrobina pieczywa pozwoli jej dokończyć posiłek.

Podziękowała znużonym uśmiechem, podsunęła mi talerzyk z kiszonymi ogórkami.

– A to skąd? – Uniosłem ze zdumieniem brwi.

Czarny rynek ostatecznie przestał istnieć, trudno było dostać nawet kartkowe przydziały.

– Z zapasów pani Obalinsky. Ma pół piwnicy przetworów, postanowiła się podzielić.

– Tak sobie, z dobrego serca? I tylko z tobą czy też z innymi sąsiadami?

– Czasami coś jej podrzucałam – przyznała niechętnie Inga. – I tak dzięki tobie miałam nadmiar konserw. Ostatnio pomaga jej też ten twój sierżant. Widziałam, że był u niej kilka razy na obiedzie.

– No tak...

– Co no tak?

Roześmiałem się i opowiedziałem Indze, w jaki sposób poznałem Beckera z wnuczką pani Obalinsky.

– Myślisz, że to dla niego odpowiednia para? – spytała z powątpiewaniem.

– Idealna. Wątpię, żeby zdążył jej się znudzić przez te parę dni, które im jeszcze zostały. A później... – Wzruszyłem wymownie ramionami.

– No tak, zapomniałam przez chwilę, że to nie na długo – rzuciła gorzko.

– Może już dosyć tych dąsów?

Wbrew mojej intencji zabrzmiało to jak prośba.

– Przepraszam – powiedziała po chwili Inga. – Jestem wykończona. Martwię się. Wiem, że to nie twoja wina, ale...

– ...ale jestem pod ręką i to ja dostaję po głowie – dokończyłem.

– Coś w tym rodzaju – przyznała. – W dodatku Klaudia marudziła całą noc,

strzelaninę słychać coraz wyraźniej. Dlatego teraz śpi...

– Chodź ze mną – poleciałem.

– Gdzie?

– Niedaleko – burknąłem.

Zaprowadziłem ją do swojego mieszkania, wskazałem niczym niewyróżniającą się płytkę w łazience: ściany i podłoga były wyłożone kafelkami.

– Zapamiętaj ją.

– Zapamiętałam. Czwarty rząd od góry, dziewiąta od lewej.

– Dobrze. Prawdopodobnie nie będzie mnie tutaj, kiedy nasi wkroczą do miasta. Przyjadę tak szybko, jak będę mógł, ale niewykluczone, że trochę to potrwa. Wtedy wydlubiesz nożem zaprawę i podważysz tę płytkę. Tam są dokumenty przedstawiające cię jako cennego współpracownika wywiadu wojskowego. Noś je zawsze przy sobie i w razie czego pokaż żołnierzom, o ile jacyś tu przyjdą. Kartkę z pieczęcią *wojennoj razwiedki* przykleisz na zewnętrznej stronie drzwi. Zrozumiałaś wszystko?

Pobladła nagle Inga skinęła głową. Dotknąłem jej dłoni – były lodowate. Nagle przywarła do mnie, wczepiła się rozpaczliwie w mundur.

– Powiedz, że wszystko będzie dobrze – poprosiła.

Przytuliłem ją, kołysząc w ramionach jak dziecko.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyłem posłusznie.

– Wściekam się na ciebie, bo wiem, że możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Ze mną i z dziećmi. I żeby tylko to...

– Tak?

– Wiem, że miałeś swoje rozkazy, a jednak nie mogę o tobie myśleć wyłącznie jak o wrogu, który wkradł się podstępnie w moje życie. Bo przecież uratowałeś Klaudię, a może i Horsta. Uratowałeś nas wszystkich. A kiedy zamknę oczy, znowu jestem na strychu w czasie nalotu, czuję na sobie twoje ręce, usta, twój oddech. Pod stopami trzeszczy drewniana podłoga, w świetle pożarów wirują drobinki kurzu, słycać wybuchy bomb, trzask pękającego szkła i czyjś krzyk. Ale ja widzę tylko ciebie. I pragnę cię jak nikogo na świecie. I nienawidzę się za to...

– Inga, ja...

– Nie! Nic nie mów! Odejdź!

Odszedłem.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mimo że przyszedłem o czasie, Witte rozpoczął już przesłuchanie. Czyżby nie do końca mi ufał? A to wredny jamnik! Tłumaczył siwowłosey, przysadzisty policjant nazwiskiem Kempka. Zapewne kolejny mieszkaniec Breslau o niezupełnie germańskim rodowodzie... Przez dłuższą chwilę przysłuchiwałem się indagacjom prowadzonym toporną polszczyzną, z trudem powstrzymując uśmiech satysfakcji: przesłuchiwana udawała, że nie rozumie, co się do niej mówi. Jak i pozostałe dwie kobiety była blondynką o zdecydowanie ponadprzeciętnej urodzie – widać esesmani dobierali swoje ofiary według jednego wzorca. Od zamordowanych wcześniej Niemek różniły ją jedynie słowiańskie rysy twarzy. Widoczna w oczach blondwłosej piękności lodowata nienawiść i zaciśnięte w pięści, skute kajdankami dłonie świadczyły, że komisarzowi – cóż za zaskoczenie! – nie udało się jej przekonać do współpracy z policją.

- Może pan spróbuje? – zaproponował wreszcie z rozdrażnieniem Witte.
- Nie chciałbym przeszkadzać, jestem przekonany, że sukces jest na wyciągnięcie ręki...
- Roth, na litość boską!
- No dobrze, ale w takim razie gramy według moich reguł.
- Niech pan robi, co chce, byle rozwiązać im języki!
- W porządku, proszę je rozkuć i podać herbatę.
- Rozkuć? Regulamin przewiduje...
- Naprawdę sądzi pan, że któraś z nich, albo i wszystkie razem stanowią dla nas

zagrożenie? – wszedłem mu w słowo. – Obiecuję, że jakby co, obronię pana, komisarzu...

Witte spojrział na mnie ze złością, a Kempka zasłonił usta dłonią, udając symulując atak kaszlu.

– Nie miałbym nic przeciwko, żeby się na mnie rzuciły – stwierdził.

– Mógłby pan się powstrzymać od takich uwag w obecności tych akurat kobiet – warknąłem z nieudawaną niechęcią. – Bo zdaje sobie pan chyba sprawę, jak je traktowali nasi przyjaciele z SS?

– Przepraszam – powiedział Kempka z autentyczną skruchą. – Przyniosę herbaty.

– To co, mogę je rozkuć?

Komisarz bez słowa podał mi klucz.

– Częstujcie się – zaprosiłem po chwili.

Żadna z kobiet nie sięgnęła po gorącą herbatę. Wzruszyłem ramionami, sam upiłem kilka łyków.

– Potrzebujemy waszej pomocy – poinformowałem spokojnie. – Podejrzewamy, że ludzie, którzy was skrzywdzili, zabili kilka kobiet. Niemieckich kobiet – zaakcentowałem. – Jeśli będziemy przekonani o ich winie, umrą.

Polka pierwsza dotknęła swojego kubka, gestem sugerującym, że nie tyle chce się poczęstować, co ogrzać dłonie.

– Umrą? – rzuciła z niedowierzaniem. – Bez sądu? Na podstawie zeznań paru robotnic przymusowych?

Skinąłem potakująco głową.

– Dlaczego mamy panu wierzyć?

Jej oczy nadal pozostawały zimne niczym jesienne niebo, a głos obojętny, jakby recytowała tabliczkę mnożenia. Spotykałem już wcześniej podobne do niej: twarde jak stal, kruche jak szkło...

– Bo to ja ich zabiję. I nie ukrywam, że z przyjemnością – odpowiedziałem.

Pewnych rzeczy nie można udawać: prawdziwa nienawiść wydobywa się z trzewi i nasycza słowa metalicznym pogłosem, wyraźnym niczym dźwięk repetowanego karabinu. Parzy. Tak jak teraz.

– Jak masz na imię? – kontynuowałem.

– Krystyna.

Szklana tafla w jej oczach popękała, spod maski wyjrzała zrozpaczona kobieta.

– Jesteśmy niemal pewni, że to oni je zabili. Problem w tym, że nie wiemy dlaczego. Czy któraś z was je pamięta?

Skinąłem na komisarza, a ten wyłożył na stół fotografie zabitych i zdjęcie Egona Falkego.

– A on tu skąd?

Do jej głosu znowu powróciła nieufność: nic dziwnego, Falke był w mundurze SS.

– Być może zabili i jego.

– On naprawdę nie żyje?

Tym razem odezwała się jedna z Rosjanek: zielonooka ślicznotka o włosach w odcieniu księżycowej poświaty.

– *On toczno miortw, jego zariezali kak swiniu* – zapewniłem.

– *Ja wam nie wieriu* – wyszeptała.

Sięgnąłem do teczki, położyłem na blacie kolejne fotografie. Te z kostnicy.

Krzyk Rosjanki przewiercił mi uszy, rzuciła się naprzód, zanim zorientowałem się, co robi, porwała zdjęcie esesmana na strzępy. Do pokoju wpadli uzbrojeni policjanci, Witte wygnał ich jednym gestem.

– *Nienawizu! Nienawizu!* – krzyczała, szarpiąc się w moich ramionach.

Nie chciałem robić jej krzywdy, ale ledwo byłem w stanie ją utrzymać. Wyzwoliła na moment jedną rękę, rozorała mi paznokciami twarz.

– Siadaj! – warknąłem, widząc, że Kempka zrywa się z krzesła. – Dam sobie radę.

Stopniowo ruchy dziewczyny stawały się coraz słabsze, wreszcie zwiotczała mi w ramionach, na granicy omdlenia.

– *Kak tiebia zowut?*

– *Sasza.*

Znaczy zdrobnienie od Aleksandra. No proszę, co za zbieg okoliczności.

– *Mienia toże zowut Sasza* – powiedziałem z uśmiechem.

– Wy, to niemożliwe...

– Możliwe. Nie wszystko złoto, co się świeci. I odwrotnie...

Teraz już wszystkie trzy wpatrywały się we mnie jak w tęczę.

– Co pan ma na myśli? – spytała Krystyna.

– Miasto jest okrążone, nadchodzą Rosjanie. *Russkije idut* – dodałem z naciskiem.

– Myśli pan, że są już... blisko?

– Jestem pewien.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zdobyłem niepodzielną uwagę kobiet.

– Co z nami będzie?

– Tymczasem zostanieie tutaj, w komisariacie. Zamkną was w celach, ale nikt nie zrobi wam krzywdy – obiecałem.

– Co pan chce wiedzieć?

Znowu odezwała się Polka, najwyraźniej była przywódczynią całej grupy.

– Wszystko na temat tych kobiet i Egona Falkego.

– Saszka je pamięta. I jego też... Mnie i Wierę zabrali z Clausewitzschule dopiero miesiąc temu.

Aleksandra milczała, tylko jej palce zaciskały się na moim nadgarstku z siłą żelaznych kleszczy.

– *Czto skażesz, siestrionka?* – ponagliłem.

– One się z nimi spotykały z własnej woli – powiedziała po chwili.

– Na pewno?

– Słyszałam ich rozmowy i nie tylko rozmowy... Bredzili o kultywacji rasy, chwalili się swoimi wyczynami i gzili, kiedy tylko mogli.

– Jakimi wyczynami?

– Radett brał udział w walkach z partyzantami na Ukrainie. Tamtych dwóch mordowało Żydów w masowych egzekucjach. Chełpili się tym nieustannie. Opowiadali, jak dobijali rannych bagnetami albo kolbami karabinów, jak wrzucali dzieci do płonących domów, rozbijali ich główki o ścianę...

– A te kobiety? Skąd je znali?

– Nie wiem, mam wrażenie, że podobne im cały czas kręciły się wokół esesmanów. Uważały ich za lepszych od innych mężczyzn.

– Więc nie musieli ich...

– ...gwałcić? – Roześmiała się gorzko. – Skąd! Te suki same im się podkładały!

– To dlaczego... – urwałem, nie wiedząc, jak sformułować pytanie.

– Dlaczego się ze mną zabawiali? Z jednego powodu: bo mogli. I nie tylko ze mną. Można powiedzieć, że miałam szczęście, bo przeżyłam. Odwrotnie niż moje przyjaciółki.

– Nie rozumiem?

Wstała, odwracając się do nas plecami, jedna z koleżanek pomogła jej rozpiąć suknię. Całe plecy miała poznaczone bliznami po oparzeniach. Wszystkie były nieduże i okrągłe: przypalano ją papierosem.

– Marysię zatłukli batogami – powiedziała głucho. – Broniła się. Napluła w twarz Radettowi. A Anię Pratzke zabił pogrzebaczem, bo płakała i nie mogła się uspokoić. To było jeszcze dziecko, miała szesnaście lat. W papierach wpisali, że zginęły w czasie nalotu. Urzędnik nadzorujący pracę robotników przymusowych to jakiś ich znajomy. Pozwalał im na wszystko.

– Ale dlaczego zabili te Niemki?

– Nie wiem, słyszałam, jak te dwie rozmawiały, w dniu, kiedy zginęła Kleist. Mówiły...

– Hoffmann i Hanna Sartorius? – upewniłem się.

– Tak, one – potwierdziła niecierpliwie. – Bały się. Mówiły, że to wszystko jej wina. Jej i Falkego.

– Gdzie słyszałaś tę rozmowę?

– W domu Ledermullera. Zamykali nas w spiżarni. Tam jest tylko małe, zakratowane okno, a na drzwi założyli kłódkę. Czasem siedziałyśmy tam godzinami, dopóki nas nie zawołali...

– Możesz powtórzyć, co mówiły?

Po chwili namysłu Saszka pokręciła głową.

– Nie dosłownie. Hoffman krzyczała, że Kleist była głupia. Równie głupia jak jej gach.

– Chodziło jej o Falkego?

– Tak. Mówiła, że teraz trzeba myśleć o sobie, bo miasto jest okrążone, a nie zgrywać bohatera. I że po wybryku Kleist tamci pewnie ich nie wezmą ze sobą. Sartorius spytała, co z nimi będzie. Rozumie pan, takim tonem, jakby się czegoś bała.

– Esesmanów?

– Być może. One miały klucze do domu Ledermullera, przyszły tam i chciały na nich zaczekać. Ale Sartorius stwierdziła, że w tej sytuacji lepiej będzie rozmówić się z nimi w innym miejscu. Później wyszły. Wtedy widziałam je ostatni raz.

– W jakiej sytuacji?

– Chyba miała na myśli śmierć Kleist, ale nie jestem pewna.

– Mówisz, że miały klucze?

– Tak, od domu i wszystkich pomieszczeń z wyjątkiem piwnicy.

– Piwnica była zamykana?

– Tak.

– Dlaczego? Trzymali tam coś cennego?

– Nie wiem, nigdy tam nie byłam.

Podziękowałam jej i powtórzyłam rozmowę komisarzowi.

– Co pan o tym sądzi? – spytał Witte.

– To oni – odparłam z przekonaniem.

– A motyw? Niby dlaczego mieliby je zabijać? No i Falkego? Bo wiemy już, że nie musieli gwałcić tych kobiet. Może to jednak ktoś inny? Z nieznanym nam powodów? Jeśli rzecz miała charakter... grupowy, lekarz mógł wziąć ślady wielokrotnych stosunków za gwałt. Ktoś mógł je rozebrać, żeby zmylić śledztwo. Pamięta pan ten podrzucony guzik przy ciele Mentzel? Może to podobny przypadek?

– Otrzymaliśmy rozkaz, aby powstrzymać te morderstwa – przypomniałam. – I lepiej, żebyśmy go wykonali...

– Chcę mieć pewność, że znaleźliśmy prawdziwych winowajców – powtórzył z uporem komisarz. – I może porozmawiamy o tym w cztery oczy? Wyprowadź je, Kempka!

– Idźcie z nim – powiedziałem, widząc, że kobiety kulą się ze strachu. – Będziecie tu bezpieczne.

– Może nie trzeba było im składać takich deklaracji? – zauważył Witte, kiedy zostaliśmy sami. – Czort wie jak ta cała sprawa się skończy...

– W pańskim interesie leży, żeby dotrzymać tej obietnicy – stwierdziłem zimno.

– Grozi mi pan?!

– Uchowaj Boże! Tyle że głupio by było krzywdzić kobiety, które mogą uratować panu życie.

– Ma pan na myśli...

– I owszem! Rosjanie zbliżają się do centrum. Z mojego mieszkania słychać już serie karabinów maszynowych... Niech mi pan wierzy, wiem, jak to wygląda w zdobytych miastach: tamci w pierwszym rzędzie polują na urzędników partyjnych, esesmanów i policjantów. Jeśli nasze damy wstawią się za panem, może ocali pan skórę.

– Co z naszym śledztwem? – Witte po chwili milczenia z uporem podjął temat. – Musimy mieć dowody ich winy. Niezbite dowody – podkreślił.

– Skąd je panu wezmę? Nie znamy ich motywów – przyznałem. – Ale jestem przekonany, że to oni. Pan też to czuje, Witte, inaczej nie traciłby pan czasu na dyskusje, tylko dalej szukał sprawców.

Komisarz z roztargnieniem pociągnął łyk herbaty, postukał w stół kostkami palców.

– Fakt, że wszyscy zamordowani znali naszą trójkę, jest zastanawiający, a to, co podsłuchała ta Rosjanka, może wskazywać, że istniał racjonalny powód zbrodni. Jednak zanim przełożymy ich nazwiska do komendantury, musimy mieć coś więcej niż tylko przypuszczenia.

– Rewizja w domu Ledermullera? – zasugerowałem.

– Myśli pan, że coś znajdziemy w tej piwnicy? – parsknął. – Na przykład stół, na którym oprawiali Falkego? To bzdury i dobrze pan o tym wie! Jeśli nawet było tam coś kompromitującego, dawno się tego pozbyli. Bo przecież sami daliśmy im do zrozumienia, że ich podejrzewamy...

Mruknąłem potakująco: Witte miał rację. W tym momencie pomysł, aby nastraszyć esesmanów, nie wydawał mi się już taki genialny...

– No dobrze – westchnąłem. – Zastanówmy się nad tym do jutra. Jeżeli nic nie wymyślimy, trzeba będzie ponownie rozważyć pomysł przeszukania domu.

Policjant skrzywił się, ale nie zaprotestował – tak jak i ja wiedział, że nie mamy specjalnego wyboru. W taki czy inny sposób trzeba było zamknąć tę sprawę. Jeśli nam się nie uda... Cóż, mimo tragicznej sytuacji miasta plutony egzekucyjne pracowały pełną parą...

– Jest jeszcze coś – powstrzymał mnie, widząc, że wstaję.

– Tak?

– Wertelli. Zdobyłem ciekawą informację.

– Za późno – burknąłem. – Wiem z dobrego źródła, że nie ma go już w Breslau.

– Być może – wzruszył ramionami Witte. – To co? Jest pan zainteresowany?

– Słucham.

– On jest stąd.

– Proszę?

– Von Ziethen urodził się w Breslau – powtórzył cierpliwie komisarz. – Jego rodzina mieszka, a raczej mieszkała tu od dobrych paru pokoleń. Znalezienie tych akt

trochę potrwało, bo zacząłem od nazwiska Wertelli. Ale ma pan rację: teraz to już nieważne.

Wyszedłem z komisariatu oszołomiony; a więc von Ziethen nie ukrył się tu przypadkiem. Dotarł do Breslau wraz z falą uchodźców, ale dokładnie przemyślał każdy swój krok. Szlag... Tylko dlaczego w takim razie wyjechał z miasta? Obawiał się obłąkania? A może przechowywał tu złoto czy kosztowności i chciał jedynie opróżnić skrytki? Albo zmusił go do wyjazdu stan zdrowia? Ech, same pytania. I ani jednej odpowiedzi...



Po kolacji postanowiłem odwiedzić von Dallewitza: chciałem jeszcze raz przyjrzeć się książce, którą usiłowałem pożyczyć Radett. Nie liczyłem co prawda na jakieś rewelacje, ale wolałem się czymś zająć, niż szarpać sobie nerwy bezproduktywnymi rozmyślaniami o von Ziethenie. Kiedy dojechałem do willi hrabiego, dochodziła dwudziesta pierwsza. Było nieco zbyt późno na wizytę, ale trudno: w końcu mamy wojnę. Najwyżej przeszkodzę mu w seansie *kinbaku*...

Otworzyła mi znajoma pokojówka. Znaczący zdążyłem. Wątpliwe, żeby kucharka była zainteresowana zabawami z liną...

Dziewczyna od razu zaprowadziła mnie do biblioteki, wyglądało na to, że otrzymałem prawo wstępu do samotni Dallewitza.

Starszy mężczyzna siedział za stołem, delektując się koniakiem i kontemplując oprawione w skórę tomiszczce. Elegancki jedwabny szlafrok świadczył, że nie spodziewał się już żadnych odwiedzin. Ku mojemu zdumieniu hrabia nie tylko nie miał pretensji o najście, ale nawet wyraził zainteresowanie celem ponownej wizyty. Prawda, że umiarkowane...

– Chodzi o książkę „Zabytkowe budowle Breslau” – wyjaśniłem.

– Tak?

– Czy mógłbym jeszcze raz rzucić na nią okiem i gdyby zaszła taka potrzeba, poprosić o konsultację?

– Oczywiście. Książka jest do pańskiej dyspozycji. I proszę się częstować. – Wskazał butelkę napełnioną bursztynowym płynem.

Przyjrzałem mu się podejrzliwie: nie wyglądało na to, żeby udawał. Skąd ta nagła wspaniałomyślność? Biorąc pod uwagę charakter Dallewitza i fakt, że wyciągnął ode mnie wszystkie informacje na temat Doskonałych, powinien posłać mnie w diabły. Czyżby potrzebował jeszcze czegoś? Jednak nawet jeśli tak było, nie spieszył się z wysuwaniem żądań. Cóż, zobaczymy...

Skorzystałem z zaproszenia i zabrałem się do wertowania książki, po namyśle poczęstowałem się alkoholem: był znakomity.

– Delmain – mruknął z roztargnieniem zajęty lekturą hrabia.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że ma na myśli markę koniaku. Tak jak przypuszczałem, książka nie zawierała nijakich sekretów, opisywała kolejne fazy rozwoju miasta, koncentrując się na wybranych przez autora zabytkach: kościołach, umocnieniach, pałacach. Jeden z rozdziałów poświęcono nawet kanalizacji. Gdybym był zainteresowany historią Breslau, zapewne uznałbym dziełko za fascynujące. Tyle że nie byłem. A i Radett nie wyglądał mi na miłośnika dawnej architektury...

– I czego on mógł tu szukać? – wymamrotałem.

– Nie mam pojęcia – odparł Dallewitz. – Jednak wiem, że był naprawdę zdesperowany. Kiedy mu odmówiłem, myślałem, że się na mnie rzuci.

– I co mu w tym przeszkodziło? – Zmarszczyłem brwi.

– Nie co, tylko kto – poprawił spokojnie hrabia. – Mój szofer. Przypadkiem wszedł do biblioteki. Dlatego wolałbym, żeby zamknął pan tę sprawę. Drugi raz mogę nie mieć tyle szczęścia...

No tak, to wyjaśniało nadspodziewaną łaskawość von Dallewitza. W normalnej sytuacji esesmani zapewne nie stanowiliby dla niego żadnego zagrożenia – mógłby się ich pozbyć jednym telefonem – ale teraz, w umierającym mieście, wszystko mogło się zdarzyć. To był czas bestii...

– Też chciałbym ją zamknąć – burknąłem.

– W czym problem?

Po zastanowieniu opowiedziałem mu o wszystkim, nie pominąłem nawet zeznań robotnic przymusowych.

– Rozumiem, że dowództwo chciałoby nie tylko ukrócić ten... proceder, ale i ukarać sprawców?

– Raczej wyeliminować – poprawiłem. – Jednak śledztwem kieruje komisarz Witte. A on domaga się dowodów. Poszlaki go nie przekonują.

– Pomyślmy, czego mógł chcieć Radett? – zaproponował Dallewitz.

– Książka...

– Nie, zostawmy książkę! To tylko środek do celu!

– Jakiego, u licha, celu?

– A czego chcą ludzie w podobnej sytuacji?

– W jakiej sytuacji? Oblężonego miasta? To proste: przeżyć, uciec. Tylko że to niemożliwe.

– Ta piwnica – powiedział w zamyśleniu Dallewitz. – Po czorta ją zamykać? Może przebili się do kanalizacji?

– I cóż, jeśli nawet? Myśli pan, że na to nie wpadłem? – Roześmiałem się sarkastycznie. – Chyba nie uwierzył pan w te wszystkie gadki o podziemnym Breslau

i niezmiernych zapasach broni, amunicji i żywności spoczywających w ukrytych magazynach? Bo to bzdury! Wierutne bzdury! – podkreśliłem. – Oczywiście jak w każdym większym mieście są tu kanały, przez które można przejść z dzielnicy do dzielnicy, być może z centrum na przedmieścia czy odwrotnie. Tylko wie pan co? Gdy doszło do pierwszych starć w podziemiach, kiedy nasi natknęli się na rosyjskich zwiadowców, dowództwo rozkazało zablokować kanały.

– Jak to zablokować?

– Normalnie, część zatopiono, być może niektóre wysadzono w powietrze czy zaminowano. Nie interesowałem się tą sprawą. Jednak saperzy musieli wykonać solidną robotę, bo jakoś nie widać, żeby z kanalizacji wyłazili Rosjanie...

– No tak, no tak... Pewnie ma pan rację. A jednak to najbardziej prawdopodobna hipoteza.

– Coś w tym jest – przyznałem niechętnie. – To tłumaczyłoby wiele rzeczy: zabójstwo Kleist i pozostałych kobiet, a później Falkego. Gdyby założyć, że Radett i jego kumple od początku mieli zamiar uciec z Breslau, a Kleist jakimś cudem się o tym dowiedziała...

– ...i szepnęła swojemu kochankowi, który zagroził ujawnieniem planu, tamci nie mieli wyboru: musieli zlikwidować świadków – dokończył Dallewitz.

– Możliwe, co prawda z zeznań tej Rosjanki wynika, że Hoffmann i Sartorius nie miałyby nic przeciwko ucieczce, ale możliwe, że tamci im nie ufali albo nie chcieli zabierać ze sobą. Dwie piękne kobiety zwracałyby uwagę, a esesmani musieliby przecież przedostać się przez tereny, które kontrolują Rosjanie. Zakładając, że kierowałiby się w głąb Rzeszy. To naprawdę ciekawa teoria. Jest tylko jeden problem: zablokowane kanały.

– Wie pan, ja się nie znam na kwestiach militarnych, a i inżynier ze mnie żaden, ale czy nie można założyć, że istnieje jakieś obejście tych zalanych czy zaminowanych odcinków? Ponieważ w książce, której szukał Radett, przedstawiono nie tylko zwykłe kanały, bo te zaczęto budować dopiero w zeszłym wieku, ale i dawniejsze konstrukcje.

– Dawniejsze?

– Tak, już w szesnastym wieku zabezpieczono Breslau za pomocą umocnień bastejowych, a później kontynuowano roboty fortyfikacyjne w systemie włoskim i holenderskim. Basteje to...

– Wiem, co to basteje – zapewniłem cierpko.

– Przepraszam, zapomniałem, że jest pan oficerem.

– Ależ ze mnie idiota! Tam musiały być przecież chodniki przeciwminowe! – krzyknąłem.

– Jakie chodniki?

No proszę, czyżby nadszedł czas, żeby zadziwić wiedzą pana hrabiego? Tyle że pora jakby nie po temu...

– Przeciwminowe – odparłem niecierpliwie. – Dawniej nie niszczone raczej twierdz ogniem artyleryjskim, bo to zbyt długo trwało, robiono podkopy i wysadzano w powietrze umocnienia. Dlatego jeszcze w czasie pokoju szykowano chodniki przeciwminowe, żeby w razie czego przeciwdziałać pracom oblężniczym. Tu muszą być kilometry takich chodników!

– Więc sprawa rozwiązana?

– Najpierw trzeba zobaczyć tę piwnicę. Ma pan mapę Breslau?

– Powinna gdzieś tu być. Proszę. Myślę, że powinna być w miarę aktualna, wydano ją w trzydziestym dziewiątym.

Otworzyłem książkę, porównałem zamieszczone w niej plany podziemnych przejść z mapą.

– Bo ja wiem? Trudno powiedzieć coś konkretnego, bo to zupełnie inna skala, ale wygląda, że niedaleko domu Ledermullera rzeczywiście przebiegał jakiś tunel – stwierdziłem niepewnie.

– Nic więcej już chyba dzisiaj nie osiągniemy – zauważył neutralnym tonem hrabia.

Z wrodzoną bystrością odgadłem, że to uprzejma odprawa. Pożegnałem się z von Dallewitzem i ruszyłem do domu. Teraz trzeba jeszcze przekonać jamnika...



Wejście do domu Ledermullera nie było specjalnie widowiskowe: żadnego łamania drzwi czy wybijania okien, jeden z ludzi komisarza po prostu otworzył zamek wytrychem. Jak zauważyłem, zrobił to z dużą wprawą. Gdyby nie policyjny mundur, pewnie pomyślałbym, że ma za sobą karierę w zupełnie innej branży.

Gospodarza nie było na miejscu: wszyscy esesmani brali udział w walkach. Może to i dobrze? Jakby co, od razu ich zgarniemy.

Policjanci rozeszli się po domu, ja z komisarzem i specjalistą od wytrychów pospieszaliśmy do sutereny. Klapa do piwnicy zabezpieczona była potężną kłódką, ale nie zatrzymało nas to na długo i po chwili schodziliśmy już po trzeszczącej ostrzegawczo drabinie.

– I co, złapał pan już tego gwałciciela? – spytałem konwersacyjnym tonem.

– Nie, ale jeśli nasza teoria jest słuszna, to tylko kwestia czasu. Kilku mężczyzn mieszkających w pobliżu Moltkestrasse zniknęło, kiedy rozeszły się wieści, że szukamy kogoś, kto został niedawno podrapany. Chce pan znać nazwiska?

– Niespecjalnie. To nie mój problem.

– Jest wśród nich pański znajomy – poinformował Witte z ledwie słyszalnym

akcentem złośliwości w głosie.

– Jaki, do licha, znajomy?

– Rudolf Furst. Słyszałem, że swego czasu próbował w dość obcesowy sposób zdobyć względy pani von Bredow...

Nie odpowiedziałem. Światło mojej latarki wydobyło z mroku otwór w ścianie. Nieregularny kształt dziury świadczył, że wybito ją w pośpiechu. Esesmani musieli szukać dojścia do kanałów albo podziemnych korytarzy. Cóż, jeśli to tutaj zamordowali Falkego, to nawet nie musieli go kneblować, i tak nikt nie usłyszał krzyków...

– Chyba nie ma sensu tam łązić – powiedział niepewnie Witte.

– Trzeba sprawdzić chociaż kawałek tego przejścia. Bo może to tylko dodatkowa przestrzeń do przechowywania ziemniaków.

– Nie czuję się najlepiej w takich miejscach – wyznał komisarz.

– Niech pan stanie w tej dziurze i trzyma latarkę tak, żeby ją było widać z tunelu.

Witte posłusznie wykonał polecenie, najwyraźniej mu ulżyło, że nie będzie musiał wędrować po podziemiach.

Niskie, ociekające wodą przejście zmieniło się po kilkunastu metrach w przestronny korytarz. Chodnik przeciwny? Być może. Wygląd cegieł i brak kabli na ścianach świadczyły, że tunel ma swoje lata i od dawna nikt go nie wykorzystywał. Miałem ochotę przejść się jeszcze kawałek, ale usłyszałem głos komisarza. Czas wracać. Może tego, co odkryliśmy, wystarczy, żeby Witte uznał winę esesmanów?

– I co tam? – rzucił niespokojnie komisarz.

– To przejście prowadzi do większego tunelu – zakomunikowałem. – Gdyby ściągnąć tu paru ludzi z latarkami, można by go zbadać.

– Myślę, że to wystarczy – skrzywił się policjant. – Zaraz zamelduję dowództwu o naszych ustaleniach.

– Dalej nie jest pan przekonany?! – warknąłem ze zniecierpliwieniem.

– Ależ jestem – zapewnił Witte. – Ząb mnie boli. Nie miałem ostatnio czasu odwiedzić dentysty, a w szpitalu dali mi tylko środek przeciwbólowy. Widocznie przestał działać. Zresztą Dernicke nie żyje, zginął w niedawnym bombardowaniu.

– Kto taki?!

– Dernicke, najlepszy dentysta w Breslau – powtórzył ze zdziwieniem komisarz.

Zatrzymałem się w pół ruchu, niczym trafiony kontrą bokser. Dernicke dentystą? W takim razie jakim cudem wypisał von Ziethenowi skierowanie na leczenie w Kolonii? Przecież tamten nie miał problemów z zębami, tylko borykał się z następstwami eksplozji granatu, który Wiera Turkuł rzuciła mu pod nogi! Leczenie takich ran to robota dla chirurga urazowego, ewentualnie ortopedy. Brawo, towarzyszu Razumowski, doktor Wajnert załatwiła was jak dziecko! Tylko dlaczego

mnie okłamała? Myśl, Razumowski! Myśl!

W głowie szumiało mi jak po półlitrze, poczułem chłód niczym przed walką. Kiedy zostaniesz ranny raz, drugi i trzeci, następuje adaptacja: w sytuacji zagrożenia zwężają się naczynia krwionośne, aby ograniczyć ewentualny krwotok. Czułem zagrożenie: Wertelli nie wyjechał z Breslau. Był tutaj nadal, a doktor Wajnert mu pomagała...

– Majorze? Roth, do cholery! Co się z panem dzieje?!

Wzdrygnąłem się jak nurek wychodzący z wody, popatrzyłem na zaniepokojonego komisarza.

– Wszystko w porządku – mruknąłem. – Chodźmy stąd wreszcie, trzeba zakończyć tę sprawę!



Kilkoma ruchami dokręciłem tłumik – a nuż się przyda! – ostrożnie nacisnąłem kłamekę: zamknięte. Zza drzwi dochodziły podniesione głosy i pijackie śpiewy – esesmani świętowali powrót z linii frontu.

Skinąłem dłonią i Hartmann pochylił się nad zamkiem. Przez chwilę manipulował delikatnie wytrychami, wreszcie cichy szcęk oznajmił, że droga wolna. Poradził sobie równie szybko jak policjant dziś rano. Widać albo w aktach dotyczących Hartmanna brakowało kilku kartek, albo chłop miał szczęście i przyłapano go tylko na kłusownictwie.

Ustawiliśmy się po obu stronach wejścia do jadalni: ja, Becker, Hartmann i Lis. Drzwi na szczęście otwierały się do wewnątrz. Energicznym klepnięciem dałem znak Hartmannowi, przygotowałem się do skoku. Stojący za mną Becker także ugiął kolana, cały czas trzymając rękę na moim barku. W przedsionku panowała niemal całkowita ciemność, jedynie wąska smuga matowego światła sączyła się spod szpary pod drzwiami. Cóż robić? Zaciemnienie.

Łoskot wyważanych drzwi zabrzmiał jak grom, zawtórowała mu seria z automatu. Lis celował ponad głowami siedzących, chodziło tylko o zdeorientowanie esesmanów. W walkach wewnątrz budynków siła ognia ma drugorzędne znaczenie, dużo ważniejszy jest czas, w jakim atakujący zajmą punkty dominacji: miejsca, z których można kontrolować pomieszczenie. Oczywiście tylko wtedy, gdy zależy im na wzięciu jeńców. W przeciwnym wypadku przodem leci granat...

Rzuciłem się naprzód, zajmując stanowisko po lewej stronie od wejścia, Becker skoczył w prawo. Żaden z mocno już pijanych esesmanów nie zdążył sięgnąć do kabury. W sekundę później dołączyli do nas pozostali.

– Co to ma znaczyć? – wybełkotał Pratzke. – Jakim prawem...

Na moment oderwałem wzrok od Radetta, a ten natychmiast wykorzystał szansę i zaatakował, bijąc potężnym sierpem. Sparowałem i złapawszy go w przykłąku za kołnierz i nogawkę, rzuciłem przez plecy. Paskudne chrupnięcie świadczyło o tym, że upadek na głowę zakończył się złamaniem kręgosłupa. I tak miało być: Japończycy nazywali tę technikę *kikko gaeshi*, co znaczy tyle co „wywrócenie żółwia”. Powstała ona w czasach, kiedy nikt nie myślał jeszcze o sztukach walki jako o samoobronie, ale wyłącznie starciu na śmierć i życie. *Kikko gaeshi* pochodzi z systemu *hakuda*, uznawanego nawet wówczas za jeden z najbardziej niebezpiecznych. Jeden z mistrzów *hakuda* pracował dla nas. Darowano mu życie w zamian za pomoc w szkoleniu agentów wojennej rozwiadki.

Lis błyskawicznie dopadł pozostałej dwójki i założył im pożyczzone od komisarza kajdanki. Nie żeby były potrzebne na długo, ale strzeżonego...

– Zaprowadzić ich do piwnicy! – poleciłem.

– Panie majorze! – odezwał się błagalnym tonem Ledermuller. – Ja...

Nie dokończył, Becker brutalnie wykręcił mu ramię.

– Na dół z nimi! – powtórzyłem niecierpliwie.

Zszedłem pierwszy, trzymając w jednej ręce latarkę, w drugiej broń. Obaj esesmani rozglądali się desperacko w oczekiwaniu na cud, który umożliwi im ucieczkę. Nie doczekali się: nie ten przypadek, nie ci żołnierze. Spadochroniarze nie znali wszystkich szczegółów, wiedzieli tylko, że Radett i jego ludzie zamordowali kilka kobiet, a dowództwo rozkazało pozbyć się ich dyskretnie. To im wystarczyło, pałali żądzą zemsty.

Jakoś precyzyjnie przeszliśmy przez ciasne przejście – najgorzej miał wlokący zwłoki Radetta Hartmann, doszliśmy do korytarza. Tu dwójka ludzi mogła mijać się bez trudu. Wypchnęliśmy naprzód esesmanów, światło latarek wydobyło z mroku wykrzywione przerażeniem twarze.

– Błagam! Nie strzelajcie! – zawołał Pratzke.

– One też was błagały, pamiętasz? – przypomniałem. – A teraz nie żyją!

– Nie! To nie tak! My nigdy...

Strzeliłem każdemu w podbrzusze, przez długą chwilę słuchałem ich wycia. Wreszcie dobiłem.

– Bydlaki! Należało im się! – stwierdził z mściwą aprobatą Becker.

Miał rację. Należało. Za Marysię. Za Aniutę...



Śniadanie nie było nadzwyczajne, poza czarnym chlebem Indze udało się zdobyć

jedynie odrobinę marmolady z buraków. Co prawda przyniosła mi też puszkę skondensowanego mleka, ale kazałem zachować ją dla małej: Klaudia kilkakrotnie wymiotowała po tłustych konserwach. A ja jadłem gorsze rzeczy niż suchy chleb z marmoladą. Prawdę powiedziawszy, dużo gorsze...

Mimo zaproszenia – ostatnio z jakichś względów Inga patrzyła na mnie łaskawszym okiem – wymówiłem się od wspólnego obiadu. Miałem sprawę do załatwienia: musiałem spłacić dług. I zamierzałem to zrobić. Z procentem.

Poranną toaletę przerwał mi dzwonek telefonu – jakby to nie było dziwne, łączność nadal działała. Niemcy naprawiali błyskawicznie szkody powstałe w wyniku nalotów czy ostrzału artyleryjskiego.

Rozdrażniony podniosłem słuchawkę. Czyżby znowu sztab czegoś ode mnie chciał? Śledztwo w sprawie zamordowanych kobiet prowadził Witte i to on miał się rozmówić z komendanturą. Miałem nadzieję, że dadzą mi chociaż dzień spokoju. Pewnie znowu jakiś geniusz strategii chce wzmocnić moimi ludźmi nadwątlone szeregi obrońców Breslau. Zniweczyłem już dwie takie próby: drobna korzyść z bezpośredniego dostępu do Niehoffa...

Ku mojemu zdziwieniu usłyszałem głos komisarza. To ci dopiero ranny ptaszek!

– Co znowu? – burknąłem, nie siląc się na grzeczność. – Wie pan, która godzina?!

– Czekam na pana u siebie. Proszę przyjechać najszybciej, jak się da.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Witte odłożył słuchawkę. Szlag! To musiało być coś poważnego, bo w głosie komisarza słychać było napięcie. Znałem go już na tyle, żeby wiedzieć, że nie zawracałyby mi głowy byle czym. Więc o co chodzi? Oby to nie było kolejne morderstwo młodej kobiety. W kilka godzin po tym, jak tryumfalnie zameldowaliśmy o zamknięciu sprawy... Rzecz całkiem możliwa: w końcu na wolności nadal pozostawał człowiek, który zamordował nastolatkę z Moltkestrasse. Miałem nadzieję, że to nie Rudolf Furst. Ech, chuj by to strzelił! Dość tych idiotycznych rozważań! Jeszcze trochę i zacznę sobie wyrzucać, że nie połamane gadzinie gnatów. Tak jakby mnie obchodziła jakaś mała Szwabka...



Witte powitał mnie z ponurą miną, bez słowa zaprowadził do gabinetu, starannie zamknął drzwi.

– W co pan mnie wplątał?! – warknął bez żadnego wstępu.

– A konkretnie? – spytałem, unosząc brwi.

– Von Ziethen! – wypluł z wściekłością nazwisko.

– Nie rozumiem? Poprosiłem pana o prywatną przysługę...

– Wszelkie akta dotyczące von Ziethena są pod kontrolą! – przerwał mi bezceremonialnie. – Kilka dni temu kierownik archiwum doniósł, że korzystałem z tych dokumentów! Wysłał radiogram do Berlina – dodał, widząc, że dalej nie rozumiem.

– A gdzie konkretnie?

– Do SD.

– Skąd pan to wie?

– Mam swojego człowieka w wydziale łączności – odparł posepnie komisarz.

– No dobrze – powiedziałem chłodno. – Tylko co z tego?

– Nie rozumie pan?! Lada chwila przyjdzie odpowiedź i...

– Nie przyjdzie – teraz ja wszedłem mu w słowo. – Zwariował pan? Rosjanie są już na przedmieściach Berlina! Jeśli nawet przeczytał ten radiogram ktoś, kto kojarzy, o co chodzi, a to wcale nie takie pewne, będzie miał ważniejsze problemy niż kablowanie na pana. Bo rozumiem, że to pan miałby problemy?

Witte przytaknął skinieniem głowy.

– SD?! – parsknąłem pogardliwie. – Chłopcy z SD są teraz zajęci: zdierają pagony z mundurów, palą dokumenty i szukają w pamięci żydowskich przodków. Wiedzą, że niedługo zacznie się polowanie. Tylko że tym razem to oni będą zwierzyną...

– Roth!

– Tak, komisarzu?

Witte zacisnął usta, widać było, że nie spodobały mu się moje uwagi o SD, ale powstrzymał się od reprimendy. Mądra decyzja! Bo właśnie zastanawiałem się, co robić z komisarzem...

– Wracając do tej kontroli – powiedziałem. – Od kiedy akta dotyczące von Ziethena objęte są nadzorem? Może pan to sprawdzić?

– Już sprawdziłem – odparł ponuro komisarz. – Gdzieś od końca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Całe szczęście, że nie dotyczy to nazwiska Wertelli i tych innych. W takim wypadku pewnie już dawno ewakuowano by nas obu do Berlina. Rozpocząłem poszukiwania właśnie od nich.

Mruknąłem potakująco: czterdziesty drugi... Widać awantura z zarodkami węglika nie uszła uwagi służb specjalnych Hitlera i te postanowiły zadać kilka pytań panu profesorowi. Świetnie! Znaczący von Ziethen jest poszukiwany i nie może zgłosić się do komendantury, informując, że niejaki major Roth to w rzeczywistości dobrze mu znany oficer *wojennej rozwiadki* Aleksander Razumowski... Bo to, że wie o moim pobycie w Breslau, nie ulegało wątpliwości; jeśli zna Wajnert, a ta poinformowała go, o co ją prosiłem, na pewno domyślił się, kim jestem. Nie żeby musiał łamać sobie głowę – wystarczyło, że przyjrzał mi się niepostrzeżenie. Tylko dlaczego Wajnert mu pomaga? Kim jest w tym całym równaniu?

– Majorze?

– Tak?

– Dlaczego oni nie pilnowali dokumentów na inne nazwiska?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – W tym momencie to już nieistotne. I tak każdy, kto na serio zająłby się poszukiwaniami, musiał trafić na nazwisko von Ziethen, bo tylko ono było prawdziwe. I dotrzeć do tych papierów. Dopiero to miało wywołać alarm.

– Ale po czorta informować Berlin? Nie wystarczyłaby miejscowa ekspozytura?

– To zagmatwana sprawa, a ja nie mam czasu na tłumaczenia – odparłem wymijająco. – Muszę jeszcze...

Urwałem, kiedy Witte położył dłoń na klamce, uniemożliwiając mi wyjście z gabinetu. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się, czy nie złamać mu ręki.

– Zasluguje, żeby wiedzieć, co się dzieje!

Opanowałem się z wysiłkiem: bicie komisarza na posterunku policji to nie najlepszy pomysł. Mimo wszystko...

– Waga sprawy jest zbyt duża – wyjaśniłem niechętnie. – Dlatego pominięto miejscowych.

– A konkretnie?

Westchnąłem bezradnie: uparty jamnik...

– Broń biologiczna.

– Przecież my nigdy...

– My nie, ale von Ziethen próbował. I dość o tym! – uciałem stanowczo.

Witte odstąpił wreszcie od drzwi, choć widać było, że nadal pali go ciekawość. Może w końcu doszło do niego, że o takich sprawach najlepiej nie wiedzieć zbyt wiele.

– I jeszcze jedno – powiedziałem, stojąc już w progu. – Co pan ma zamiar zrobić z tymi kobietami?

– Są już bezpieczne, nie ma potrzeby pilnować ich tutaj – odparł Witte, odwracając wzrok.

– Chce pan je odesłać do Clausewitzschule, czy gdzie tam teraz trzymają robotników przymusowych?!

– Jestem zobowiązany...

– Ludzie mówią, że to piekło na ziemi: brak wody, jedzenia, ścisk, ataki lotnicze! A one przeżyły już swoje.

– Nie mogę...

– Może pan! – ponownie nie dałem mu dokończyć. – I gwarantuję, że to się panu opłaci – zaznaczyłem z naciskiem. – Kto się teraz o nie upomni? Obwodowa organizacja partyjna? A może ten urzędnik, który pozwalał Radettowi wybierać i gwałcić co ładniejsze robotnice? Śmiechu warte! Może pan robić, co zechce. Na przykład ocalić im życie...

– Ja... No dobrze, a co z tego będę miał? – zapytał wprost Witte. – I skąd pewność, że nie wydadzą nas Rosjanom? Albo nie oskarżą o nie wiadomo jakie zbrodnie? Gdzie gwarancja, że mi się to opłaci?

– Ma pan moje słowo.

Witte spojrział na mnie ostro, ale nie skomentował. Mądra decyzja, nie byłem w nastroju. Przyjmie moje słowo – dobrze. Nie – tym gorzej dla niego.

– W porządku – mruknął. – Zatrzymam je tutaj. Do... końca.

Pożegnawszy się z komisarzem, pomaszerowałem do wyjścia, ale zawróciłem w pół drogi, skręciłem w korytarz prowadzący do cel.

Zerwały się na mój widok, podbiegły do krat. Ich twarze zastygły w wyrazie trwogi. Wiedziałem, czego się boją: byłem jedynym człowiekiem w Breslau, który okazał im zrozumienie, potraktował jak istoty ludzkie. Nieważne, że przez chwilę... Ale nosiłem niemiecki mundur, a nauczyły się spodziewać po Niemcach wszystkiego najgorszego. Mimo to wzbudziłem w nich nadzieję, obawiały się, że zmiażdżę ją teraz jednym gestem czy słowem, wydrę razem z życiem albo resztkami godności.

– Alois Ledermuller, Heinrich Pratzke i Max Radett nie żyją – poinformowałem sucho. – A wy zostaniecie tymczasem w komisariacie. To już nie potrwa długo – dodałem ciszej po rosyjsku.

Nie było podziękowań, łez, wzruszających gestów. Tylko ich wzrok... Gdybym im kazał, skoczyłyby w ogień.

– Zawołaj Kempkę – poleciłem dyżurnemu policjantowi przez ściśnięte nagle gardło.

Wykonał rozkaz bez chwili namysłu, najwyraźniej wiedział o moich układach z szefem.

– W czym mogę panu pomóc, majorze?

Kempka otarł dłonią usta, widać oderwałem go od drugiego śniadania.

– Słyszałeś, że one tu zostaną? – Wskazałem ruchem głowy aresztantki.

Przytaknął bez słowa.

– Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś się nimi zaopiekował. Potraktowałbym to jako osobistą przysługę.

– Oczywiście zrobię, co w mojej mocy, ale są tu starsi stopniem. Niektórzy mają dość... specyficzne podejście do robotników przymusowych.

– Doprawdy? – wycodziłem, rozciągając wargi w bezradosnym uśmiechu.

Kempka pobladł, poluźnił kołnierzyk. Czyżby wieści o losie, jaki spotkał Radetta i jego kumpli, jakoś się rozeszły? Cóż, całkiem możliwe: ludzie plotkują.

– Porozmawiam z nimi, jestem pewien, że zrozumieją – obiecał pospiesznie. – W końcu one pomogły w śledztwie zleconym przez komendanturę.

– Jestem pewien, że ci się uda – zapewniłem, poklepując go po ramieniu.

Wychodząc, czułem na plecach spojrzenia kobiet. Miałem nadzieję, że nic im się

nie stanie – niezależnie od tego, co obiecał Witte, pod jego nieobecność w komisariacie rządzili tacy jak Kempka. A temu dałem do myślenia. Chyba...



Emma Schramm wyglądała na zmęczoną; wymykające się spod czepka przetłuszczone włosy i wyczuwalny pod aromatem perfum zapach potu świadczyły, że jest na nogach od wielu godzin. Być może drugą albo i trzecią dobę. W Breslau przybywało rannych, kończyły się zapasy leków. Przybywało i zabitych, ci byli coraz częściej chowani w zbiorowych mogiłach, tak jak zginęli, bo brakowało i trumien...

Ku swojemu zdziwieniu poczułem do niej niechętny szacunek: być może doktor Schramm była nadmiernie łąsą na męskie wdzięki idiotką, ale potrafiła się znaleźć i jako lekarka. Widać było, że się nie oszczędzała. Tak czy owak, musiałem z nią pomówić – doktor Francke właśnie operował.

Przysiadłem tuż obok, na ustawionej przy wejściu do szpitala ławce, podsunąłem jej papierośnicę. Poczęstowała się drżącą z wyczerpania ręką.

– Co pana tu sprowadza, majorze? – spytała.

– Wyłącznie chęć rozmowy z panią – zapewniłem szarmancko.

– Pewnie znowu będzie pan pytał o Luizę? Niektórzy mają szczęście – stwierdziła, popatrując na mnie kokieteryjnie.

– To raczej zainteresowanie służbowe...

– Coś jej się stało?

W głosie Emmy Schramm nie było słyhać troski, raczej irytację.

– Nie, skąd! Chodzi raczej o towarzystwo, w jakim się obraca.

– Ach tak – mruknęła. – Więc i pan to zauważył?

Mruknąłem coś pod nosem, zachęciłem gestem, by kontynuowała. Nie miałem pojęcia, co ma na myśli doktor Schramm, ale pewnie nie zaszkodzi jej wysłuchać.

– Odwiedziłam ją, jak tylko odzyskała przytomność. No, może nie od razu, sam pan rozumie, praca... Ale niedługo później. I od razu zwróciłam uwagę na... – Lekarka urwała z tajemniczą miną.

– Tak?

– Ona zupełnie nie przejęła się aresztowaniem Lukasa Raabego! Wydawało się nawet, że jest z tego powodu zadowolona. Z początku myślałam, że to mściwość, w końcu mało brakowało, żeby Raabe wyprawił ją na tamten świat, a Luiza potrafi długo chować urazę. Nie wyobraża pan sobie, jaka potrafi być wredna. Kiedyś omyłkowo użyłam jej perfum...

Zacisnąłem zęby, słuchając pełnej oburzenia tyrady. Na litość boską, kiedy ta baba

przejdzie wreszcie do rzeczy?!

– Wypominała mi to przez pół roku!

– Wracając do Lukasa Raabego... – poddałem.

– To wszystko wyglądało tak dziwnie, że zaczęłam się zastanawiać, czy Raabe rzeczywiście był jej kochankiem.

– Doprawdy?

– Tak. Bo ona nie tylko była zadowolona, to akurat można zrozumieć: nikt nie chce, żeby po szpitalu plątał się morderca i gwałciciel, ale Luiza wręcz jaśniała! Kiedy ją odwiedziłam, była uperfumowana i miała makijaż, a sam pan wie, jak teraz ciężko o kosmetyki. Do tego ta jej koszulka... – Emma Schramm zachichotała.

– Słucham?

– Koszulka nocna – wyjaśniła. – Taka krótka, fikuśna, z koronkami. Kiedy wyszła z łóżka, żeby zaparzyć nam herbaty, koszulka podjechała jej prawie do pępka. Niech mi pan wierzy: ona miała mężczyznę i na pewno nie był to Raabe.

Skinąłem z namysłem głową. Może to i dobrze, że doktor Francke był zajęty, ten by mi raczej nie opowiedział o koszulce Luizy Wajnert. A rzecz była warta zastanowienia – cokolwiek by o niej mówić, pani Schramm potrafiła wyczuć mężczyznę przez ścianę. Jeśli twierdziła, że jej koleżanka kogoś miała, to pewnie tak było. Ale o kogo mogło chodzić? Von Ziethen był dla niej chyba trochę za stary, chociaż widziałem go tylko raz, w Leningradzie. A niedożywienie i mróz nikomu nie dodają urody. Taaak. Wyglądał wtedy, jakby dopiero co przekroczył sześćdziesiątkę, lecz trzeba przyznać, że trzymał się nieźle. Cóż, nie ma sensu dywagować w nieskończoność, jeśli czegoś nie wiesz, zapytaj eksperta...

– Proszę sobie wyobrazić mężczyznę: wysoki, szczupły, niemal chudy, o ostrych, drapieżnych, choć regularnych rysach twarzy, z blizną na policzku. Jak by go pani określiła jednym słowem?

– Ile ma lat?

– Gdzieś między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką.

– Interesujący – odparła bez namysłu.

– A gdyby przekroczył sześćdziesiątkę?

– Nadal interesujący.

Znacząca sprawa rozstrzygnięta: to von Ziethen jest tajemniczym kochankiem Luizy Wajnert. W sumie nic dziwnego, przecież oboje mieszkali w Breslau i mogli poznać się już dawno. Jakiegokolwiek inne opcje są raczej wykluczone: zbyt wiele zbiegów okoliczności, a i doktor Wajnert raczej nie jest rozrywkową dziewczyną. Biorąc pod uwagę jej urodę, czy raczej brak tejże, von Ziethen czegoś od niej chce. Tylko czego? Pomyślmy: Luiza Wajnert to lekarka, a von Ziethen jest albo jeszcze niedawno był ranny, może kontuzjowany. Czyżby potrzebna mu była pomoc medyczna? Hmm... a co z tą mieszaniną czosnku i cebuli?

– Co pani myśli o tej nowej metodzie leczenia ran?
– Jakiej znowu metodzie?
– Opary z czosnku i cebuli – odparłem ze zdziwieniem. – Przecież wykorzystujecie to od pewnego czasu?

– Kto panu nagadał takich bzdur?! Czosnek i cebula, też coś! To szpital, a nie chata znachora!

No proszę: więc doktor Wajnert mnie okłamała nawet i w tej sprawie... W takim razie musiała przygotowywać opatrunki dla von Ziethena. Ciekawe. Niegojące się rany? Granat musiał go nieźle poharatać, skoro mimo upływu czasu nadal ma problemy wymagające pomocy lekarza. Może w ranę wdało się zakażenie? Oby. To ułatwiłoby mi zadanie. Nie miałem złudzeń: mimo kłopotów zdrowotnych von Ziethen stanowił śmiertelne zagrożenie. A ja chciałem go zabić. Minęły całe lata, odkąd obawiałem się walki sam na sam, ale teraz... Jeśli zginę, nikt nie pomści chłopaków i Wiery.

– Jeszcze jedno: macie może coś z tego spisu?

Emma Schramm zerknęła na podsunietą kartkę, uniosła sceptycznie brwi.

– Mirra, kurkuma, dzięgiel, pinelia, kamfora, pseudoginseng? Skąd u nas taka chińszczyzna? Tylko kamforę. Być może znalazłby pan coś w aptece bonifratrów, ale ją zbombardowali...

Podziękowałem *Frau* Schramm za rozmowę, wsiałem do samochodu. Trzeba było coś zjeść i odpocząć przed nocą. Kiedy zapadnie zmrok, odwiedzę doktor Wajnert. I zadam jej kilka pytań... Kartkę ze spisem ingrediencji schowałem do kieszeni: może jeszcze się przyda. „Żelazna księga” zawierała przepisy na rozmaite specyfiki niezbędne w procesie treningu. Niektóre miały działanie znieczulające, inne likwidowały siniaki, a nawet ciężkie urazy. Teoretycznie. Wolałem się w nie zaopatrzyć, zanim zacznę ćwiczyć, niektóre metody wydawały mi się nieco... brutalne. Na przykład uderzanie w worek napełniony piaskiem i opiłkami żelaza. Tak czy owak, to pieśń przeszłości, na razie muszę rozliczyć się z von Ziethenem. No i przeżyć oblężenie Breslau...



Dopiłem na leżąco pilznera i oddałem pustą butelkę Klaudii. Mała z powagą zniosła ją do kuchni. Po chwili usłyszałem głuchy łomot: znaczy flaszka wylądowała w śmietniku.

– Skąd to piwo? – spytałem leniwie.

– Długo by tłumaczyć – odparła z udawaną wyniosłością Inga.

– Rozumiem, że to jedna z tych niezrozumiałych dla mężczyzn transakcji typu: konserwy za kawę, kawa za pastę do butów, pasta za kiszzone ogóreczki...

Pani von Bredow pacnęła mnie kuchenną ścierką.

– Buziaka! – zażądała Klaudia, wróciwszy.

– A to za co? – Zrobiłem zdziwioną minę.

– Pomogłam mamusi sprzątać! Zasłużyłam na buziaka! I na czekoladę – dodała chytrze.

Chciałem powiedzieć, że musi coś wybrać, ale nie miałem złudzeń: w prywatnym rankingu Klaudii von Bredow znajdowałem się daleko za czekoladą...

– Żadnej czekolady! – stwierdziłem stanowczo.

Naburmuszona dziewczynka nadstawiła policzek.

– Opowiesz mi później bajkę?

– Opowiem – obiecałem.

Poczekalem, aż mała pójdzie do swojego pokoju, przywołałem gestem Inge.

– Nie dostaniesz drugiego piwa – uprzedziła. – Jedno do kolacji. Inaczej nie wystarczy mi... – urwała, zagryzając wargi.

Będę musiał zajrzeć kiedyś do kuchni i zobaczyć, na ile dni pani von Bredow oblicza istnienie twierdzy Breslau. Zdziwiłbym się, gdyby zgromadziła więcej niż dziesięć butelek: w takich sprawach kobiety są realistkami, to mężczyźni hołdują fantazjom.

– Trzymaj. – Podałem jej niewielki skórzany woreczek.

– Co tu jest?

– Kilka złotych monet. Na wszelki wypadek.

– Jaki, do licha, wypadek?!

– Bo ja wiem? – odparłem, odwracając wzrok. – Gdyby coś mi się stało...

– Aleks, ja...

Uciszyłem ją stanowczym gestem. Nie było o czym rozmawiać: jeśli wrócę, kwestia będzie nieaktualna, jeśli nie – być może imperiały pomogą jej przeżyć.

– Chcę bajki! – zażądała Klaudia.

Przebrana już w koszulkę nocną, wlokła za sobą ciężki koc i pluszowego misia.

– Kładź się – mruknąłem.

Mała ułożyła się przy mnie na kanapie, okryła nas kocem.

– Obudzisz mnie za dwie godziny? – poprosiłem.

Inga bez słowa skinęła głową.

– Bajkę! – Dziewczynka szarpnęła mnie za rękaw.

– Była sobie żaba i wół...

Bajki Kryłowa są wierszowane, a ja nie jestem poetą, więc Klaudia musiała się zadowolić prozą, ale nie wydawało się, żeby jej to przeszkadzało. Stopniowo mój głos stawał się coraz bardziej powolny, czułem ciepło obejmujących mnie rąk, oddech

dziecka łaskotał mi szyję. Zasnęliśmy jednocześnie.



Nie wiem, co wyrwało mnie z sennego odrętwienia, ale moja podświadomość była na alarm: coś było nie tak. W otaczającej mnie przestrzeni pojawiły się nowe dźwięki i zapachy. Jednym płynnym ruchem zerwałem się na nogi, z bronią w ręku. Lewą rękę wystawiłem przed siebie, niczym szukający drogi ślepiec. Gdyby ktoś mnie atakował, dałoby mi to ułamek sekundy, akurat tyle, żeby nacisnąć spust. Jednak nie było takiej potrzeby: nikt z obecnych w pokoju nie stanowił zagrożenia, choć towarzystwo się powiększyło: Hartmann, Lis i Becker siedzieli za stołem z niewyraźnymi minami, popijając piwo. Widać Inga naruszyła swoje zapasy.

– Co to ma znaczyć?! – warknąłem, przecierając oczy.

– Zadzwońłam do koszar – powiedziała Inga spokojnie.

Zmarszczyłem brwi: wzrok Ingi był zamglony, jakby źrenice przesłoniła jej ściana deszczu. Albo łez. Nigdy dotąd tak na mnie nie patrzyła. Nawet wtedy na strychu.

– Po cholere?

– Nie wiem, co chce pan zrobić, ale mam wrażenie, że nie zaszkodziłoby małe wsparcie – wtrącił łagodnie Becker. – Zgłosiliśmy się na ochotnika.

Jak i pozostali był uzbrojony po zęby, w mundurze maskującym.

– Idiotyzm – wymamrotałem, siadając ciężko.

– To coś nielegalnego? – spytał Lis takim tonem, jakby odpowiedź niespecjalnie go interesowała.

Cholera, nie pamiętałem nawet jego nazwiska...

– Niezupełnie. Człowiek, którego chcę... odwiedzić, jest ścigany przez nasze służby. Interesuje się nim Berlin, ale teraz nie ma sensu nawet ich zawiadamiać, sami wiecie, jak jest...

– A miejscowi? – poddał Becker.

– Nie daliby mu rady.

– Jednemu człowiekowi? – zdziwił się Hartmann.

– Nie jemu.

– Co w nim takiego nadzwyczajnego?

– Wygląda jak cherlak, ale jest silniejszy niż Hartmann.

Po minach zebranych zorientowałem się, że nikt mi nie uwierzył.

– I bystrzejszy niż każdy z nas – dodałem.

– Od Hartmanna na pewno, ale to akurat niewielka sztuka – zauważył Lis.

Zbiorowy wybuch śmiechu o mało nie obudził Klaudii. Westchnąłem ciężko

i wyciągnąłem przed siebie ręce. Drżały. Obie.

– Boję się go – wyznałem. – A nie jestem specjalnie strachliwy.

Teraz spowaźnieli, wreszcie do nich dotarło, że nie żartuję.

– Dlaczego chce go pan... – Becker wykonał nieokreślony gest.

– Bo zabił wielu ludzi. Moich ludzi. I przysiągłem mu za to odpłacić – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. – A teraz do rzeczy: jeśli któryś z was się wycofa, nie będę miał pretensji. To prawdopodobnie najmądrzejsza rzecz, jaką możecie zrobić.

– Na kiedy zaplanował pan akcję? – Becker postukał wymownym gestem w szkiełko zegarka.

– O północy.

– To chyba powinniśmy ruszać – zasugerował.

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po buty. Rzeczywiście już czas. Niedługo się okaże, kto dożyje rana...



Otwarcie drzwi mieszkania doktor Wajnert zajęło Hartmannowi najwyżej minutę.

– Tandeta – wyszeptał pogardliwie, naciskając klamkę.

Gniewnym gestem nakazałem mu milczeć. Po chwili byliśmy już wewnątrz. Z pomieszczenia naprzeciwko – mieszkanie składało się z pokoju, kuchni i łazienki – dochodziło leciutkie posapywanie. Schowałem broń; nie miałem zamiaru robić krzywdy lekarce, chciałem ją tylko spytać, gdzie ukrywa się von Ziethen.

Bez pośpiechu zapaliłem lampę naftową, podszedłem do łóżka. Zimne niczym lód palce zacisnęły się na moim ramieniu, paraliżując je aż po bark, po czym wyłuskały z odrętwiałych dłoni lampę. Jedyne źródło światła. Sięgnąłem po pistolet, ale precyzyjne, zadane z potworną siłą kopnięcie w krocze rzuciło mnie na podłogę. Nie byłem w stanie krzyknąć: ból wyszedł poza znaną mi skalę. A później się nasilił...

Ktoś na mnie nadepnął i zaklął wściekle, później mrok rozjaśniły błyski wystrzałów. Odruchowo je liczyłem, mózg funkcjonował według wypalonych przez lata treningów kodów: raz, dwa, trzy. Parabellum.

Jakieś zwaliste cielsko przeleciało przez całą długość pokoju, uderzyło w szafę. Hartmann.

Blask elektrycznej żarówki niemal mnie oślepił. Lis atakował korpus von Ziethena serią krótkich, zacieklých uderzeń. Becker zdołał odbezpieczyć i wycelować broń. StG.44. Jak pociągnie serią...

Nie pociągnął, nie zdążył: Lis zwałił się nagle z przekrzywioną pod nieprawdopodobnym kątem szyją, a von Ziethen wydarł Beckerowi karabin

z łatwością, z jaką niania zabiera ciasteczko niegrzecznemu dziecku. Z rozpaczą obserwowałem, jak wylot lufy kieruje się w moją stronę.

Nagle von Ziethen opadł na kolana. To Hartmann pozbierał się jakoś i uderzył potężną pięścią w kark przeciwnika. Becker natychmiast skorzystał z okazji, szczęknęła zwalniana sprężyna i biała koszula von Ziethena zabarwiła się krwią. Nóż. Nieregulaminowy.

Zgarnąłem swój ból, zamknąłem go w niewidzialnym pudełku z hartowanej stali i mozolnie, dygocząc z wysiłku, podczołgałem się ku walczącym. Mój nóż, regulaminowe ostrze Armii Czerwonej, wydawał się cięższy niż z ołowiu, ale udało mi się wykonać cięcie. Jedno. Ściągnęno Achillesa.

Von Ziethen zawył i nagle jego głowa znalazła się tuż obok. W zasięgu moich rąk. Zacisnąłem szczęki na woskowo bladym uchu, oburącz wbiłem mu nóż pod brodę. Zacharczał, przez jego ciało przebiegł na poły elektryczny wstrząs, ogłuchłem na moment: seria, sturmgewehr.

Ktoś jęczał, kto inny klął monotonnie. Szyja von Ziethena niechętnie ustępowała pod nożem, wyostrzona jak brzytwa klinga cięła ciało w takim tempie, jakby było poprzerastane zdrewniałymi pędami. A może to mnie brakowało sił? Wreszcie oddzieliłem głowę od korpusu, nóż wypadł mi z dłoni.

– Majorze? – odezwał się zaniepokojonym tonem Becker.

Hartmann siedział w kucki, trzymając się za skronie. Pewnie wstrząs mózgu, oby nie coś gorszego...

– Może pan wstać? Majorze? Roth, do cholery!

Poczułem mdłości, pod gardło podeszła fala żółci, w nozdrza uderzył surowy, żelazisty zapach krwi. Odpłynąłem w ciemność z uśmiechem: ból zniknął. Nareszcie...



Od razu wiedziałem, że jestem w szpitalu, a jednak tym razem przebudzenie było nietypowe: aromat przydymionej śliwki, mchu i brzoskwini zamiast smrodu środków antyseptycznych, cichy szept w miejsce rzucanych szorstkim głosem poleceń, dotyk kobiecej dłoni... Można by się przyzwyczaić.

– Dawno tu siedzisz? – spytałem, podnosząc ciężkie powieki.

– Godzinę, może dwie – odparła Inga.

Przyjrzałem jej się uważniej: podpuchnięte oczy i widoczny na twarzy grymas zmęczenia świadczyły o nieprzespanej nocy. Czyżby moja przygoda aż tak wytrąciła ją z równowagi? Do tego znowu ten zamglony wzrok...

– Co znowu? Dlaczego zachowujesz się... – urwałem, nie wiedząc, jak dokończyć.

Inga nawet nie próbowała udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Ośloniłeś ją – powiedziała. – Wtedy, wieczorem.

– Nie rozumiem?

– Kiedy cię obudziliśmy. Zasłoniłeś sobą Klaudię. Odruchowo, zanim jeszcze pomyślałeś, co robisz.

– Przypadek – burknąłem. – W takich sytuacjach lepiej poruszać się w przód niż w tył, bo nie widzimy tego, co znajduje się za nami. To nie miało nic wspólnego z Klaudią.

Inga odpowiedziała uśmiechem, ale nie wyglądała na przekonaną. W sumie co mnie to obchodzi? Mimo wszystko odczuwałem dyskomfort: rzeczywiście, kiedy zerwałem się ze snu, stanąłem między swoimi żołnierzami a dzieciakiem, ale przecież nie specjalnie. Miałbym chronić jakąś małą Szwabkę? Też coś!

– Zawołaj lekarza – poprosiłem.

Kiedy otworzyła drzwi, dostrzegłem na korytarzu Beckera: dobrze, może się przydać. Po chwili podszedł do mnie doktor Francke.

– Biedna Luiza – powiedział, badając mi puls. – Nie miała szczęścia do mężczyzn...

Odchrząknąłem dyplomatycznie: nie wiedziałem, co wymyślił Becker. Wolałem milczeć, dopóki nie zapoznam się z oficjalną wersją wydarzeń.

– I jak?

– Pyta pan o swój stan?

– Owszem! – potwierdziłem sucho.

– Nie teraz – odparł równie lakonicznie. – Hematuria wyklucza jakiegokolwiek długofalowe prognozy.

– Co takiego?

– Krew w moczu – wyjaśnił.

– A może jednak pan spróbuje?

– Prawdopodobnie wyjdzie pan z tego, choć nieprędko: taki uraz zabiłby niejednego. Natomiast kwestia, w jakim stopniu wszystko wróci do normy, pozostaje... otwarta.

– Rozumiem, że nie chodzi panu o mój pęcherz?

Francke przytaknął z zafrasowaną miną.

– Być może za rok lub dwa sytuacja zmieni się na lepsze. Ma pan wyjątkowo silny organizm – powiedział bez przekonania.

– Proszę zawołać sierżanta – uciąłem dalszą dyskusję.

Becker poczekał, aż lekarz wyjdzie, dopiero wtedy usiadł przy łóżku.

– Co tam? – burknąłem niecierpliwie.

– Doktor Wajnert nie żyje, dostała w trakcie strzelaniny. Prosto w serce. Chyba chciała mu pomóc...

– Nieważne. Co z Lisem?

– Tamten skreślił mu kark.
– Hartmann?
– Wstrząs mózgu i kilka złamanych żeber. Przeżyje. Ja mam tylko kilka siniaków. Pan chyba najgorzej oberwał...
– Jak to wszystko wyjaśniłeś?
– Kłótnia kochanków, interweniowaliśmy, słysząc strzały. Powiedziałem, że byliśmy w drodze do koszar. Jakaś baba widziała von Ziethena w mieszkaniu Wajnert, więc wszystko trzyma się kupy.
Mruknąłem z aprobatą: dobra robota.
– Nie sądzę, żeby ktoś się czepiał – kontynuował Becker. – Nikt nie ma do tego głowy. Podobno toczą się już zakulisowe rozmowy o poddaniu Breslau – dodał ciszej.
– Chłopaki zastanawiają się, czy nie spróbować... No, sam pan rozumie.
– Zwariowałeś?!
– Nikt nie wierzy, że Ruscy będą przestrzegać konwencji, lepiej zaryzykować, niż zdechnąć w jakimś łagrze...
– Są inne opcje.
– Ciekawe jakie?!
– Takie, których nie omawia się z sierżantami – odparłem z przekąsem. – Zrobisz, jak zechcesz, ale moim zdaniem nikt nie prześlizgnie się teraz przez kordon. Nie ma mowy!
– Mamy czekać?
– Tak.
– No nie wiem...
– Wasza decyzja. – Wzruszyłem ramionami.
Nie miałem zamiaru długo przekonywać Beckera. Chcą przejść linię frontu? Proszę bardzo! Jakby co, stawiam dziesięć do jednego na nasz kontrwywiad...
Wydawało się, że przymknąłem oczy tylko na chwilę, ale kiedy strząsnąłem z siebie sen, orzeźwiony chłodnym nocnym powietrzem, była przy mnie tylko Inga, a szpitalną klitkę srebrzyły promienie księżyca. Z oddali dochodziły odgłosy walki, ale jakby mniej intensywne niż zazwyczaj. Może rzeczywiście koniec już blisko? Oby. Byłem zmęczony. Śmiertelnie zmęczony.



Na ulicach Breslau z rzadka można było spotkać przechodnia – nadchodził wieczór – czasem mijaliśmy kilkusobowy patrol. Kiwałem się sennie w rytmie wyznaczanym przez podskakujące po bruku koła: od momentu wyjścia ze szpitala byłem ciągle

zmęczony. Cóż, nie powróciłem jeszcze do zdrowia i nie byłem pewien, czy kiedykolwiek powrócę... Mimo fizycznego znużenia nie mogłem powstrzymać gonitwy myśli: te krążyły wokół sprawy von Ziethena. Jak mogłem być tak ślepy, tak głupi? Pozwolić, żeby wodziła mnie za nos jakaś podstarzała kokietka? Bo nie ulegało wątpliwości, że doktor Wajnert od samego początku była kochanką von Ziethena. Zdawałem sobie sprawę, że niektóre pytania na zawsze już pozostaną bez odpowiedzi, nigdy nie dowiem się, jaką rolę odgrywał Raabe. Możliwe, że dostarczał leki dla mistrza Doskonałych, a może tylko wiedział o jego związku z Wajnert? W jakiś sposób musiała do niego dotrzeć informacja, że szukam von Ziethena – stąd pewnie ironiczne przesłanie, jakie przekazał mi przed śmiercią. Kto wie? Może spodziewał się, że zginę w konfrontacji z von Ziethenem? Bogiem a prawdą, mało brakowało... Wiele tajemnic zabrał ze sobą do grobu i sam mistrz Doskonałych, tyle że nie byłem ich ciekaw. I nie chodziło nawet o fakt, że trudno byłoby wziąć go żywcem i zmusić do wyznań: nie pociągały mnie sekciarskie sekrety. Rozważania na temat życia wiecznego pozostawiałem wariatom w rodzaju von Dallewitza. Interesowała mnie tylko zemsta, a tej dokonałem: żadne moce mistyczne nie przytwierdzą głowy von Ziethena do ciała. Zadbalem o to...

– Jesteśmy na miejscu.

Głos Timy wyrwał mnie z zamyślenia. Chłopak zaparkował tuż pod koszarami. Podobnie jak druga ciężarówka. Pora zająć się „Kampfgruppe Roth”.

Kiedy pojawiłem się w drzwiach, Becker poderwał wszystkich na baczność, ale już w chwilę później na twarzach żołnierzy odmalowała się konsternacja: miałem na sobie mundur pułkownika Armii Czerwonej.

– Panie majorze? – odezwał się niepewnie Pimke. – Jakim cudem...

– To nie jest kamuflaż, prawda? – wszedł mu w słowo Becker.

Nie dziwiło mnie, że to właśnie on pierwszy się zorientował: był najbystrzejszy, nie licząc nieboszczyka Lisa...

– Rzeczywiście – potwierdziłem.

– Więc pan od początku...

Ponownie przytaknąłem, uważnie obserwując zebranych. Większość była zaskoczona, tylko jedna osoba przybrała otwarcie wrogą postawę.

– Więc jest pan bolszewickim szpiegiem?! – wybuchnął Pimke.

– Na wasze szczęście, tak.

– Na szczęście?! To dlatego nie chciał pan, żebyśmy wymknęli się z miasta!

– Nie wymknęlibyście się. Chciałem uratować wam życie.

– To łgarstwo! Jest pan nędznym...

Nie odezwałem się, nie wykonałem żadnego gestu, ale Pimke i tak ucichł jak smagnięty batem.

– Nie kłamie. Nie mam powodu – poinformowałem zimno. – Gdybym chciał, już

stalibyście między ślepym murem a plutonem egzekucyjnym. Bo i kto mógłby mnie powstrzymać?

– Głuzdowski zagwarantował życie wszystkim jeńcom – zauważył ostrożnie Becker.

– Tak jak i powrót do kraju zaraz po zakończeniu wojny – odparłem ironicznie. – Tylko wiesz co? Ja nie podlegam generałowi Głuzdowskiemu. A spełnienie tych obietnic nie leży w jego mocy...

– Z powodu?

– Zemsty – wyjaśniłem. – Zwyczaj ludzkiej zemsty. Głuzdowski pewnie by dotrzymał słowa, ale mam wrażenie, że zapomniał skonsultować się z towarzyszem Stalinem. A ten ma wobec was nieco inne plany. Dziesięć, może dwadzieścia lat pracy na rzecz kraju, który usiłowaliście zniszczyć, to minimum tego, co was czeka.

– Istnieje alternatywa? – spytał szybko Becker.

– Wiesz, że tak, inaczej by mnie tu nie było.

– Słuchamy.

Rzeczywiście słuchali: w ciszy, skupieniu, nerwowo zaciskając dłonie. Rozumiałem ich – chcieli do domu. Jak ja.

– Macie wybór: albo dołączycie do reszty jeńców i będziecie dzielić ich los, albo odjedziecie stąd ze mną.

– Co pan z nami zrobi?

– Ja? Nic. Przekażę was w ręce *wojennej rozwiadki*. Zostaniecie przesłuchani pod kątem ustalenia przebiegu służby. Ci, którzy walczyli jak żołnierze, za miesiąc lub dwa zostaną zwolnieni. Pozostali... Cóż, tym przyjdzie zapłacić za to, co zrobili.

– Zapłacić?!

Po twarzy kaprała Pimkego spływały grube krople potu.

– Wykonywaliśmy tylko rozkazy!

– Nie wiem, jakie rozkazy masz na myśli – wycedziłem. – I niespecjalnie mnie to obchodzi, ale powiem ci jedno: nie będzie litości dla zbrodniarzy!

– Parszywe świnie! – wymamrotał. – Czerwone bydło...

Sięgnąłem do kabury, Pimke był szybszy. Padł strzał i do pomieszczenia wpadli moi ludzie.

– Spokój! – krzyknąłem. – Wszystko w porządku!

Tima spojrział na mnie z łagodnym zdziwieniem – podłoga zapaprana była krwią i mózgiem – ale nie polemizował. Skoro dowódca twierdzi, że nie ma czym się martwić, to widać tak jest. Nawet jeśli jakiś Szwab strzelił sobie w usta...

– Wasza decyzja? – ponagliłem.

– Jedziemy z panem – burknął Hartmann.

– Do wozu! – rozkazałem.

– Pułkowniku?

– Tak?

Becker wyglądał na zmieszanego, otwierał i zamykał usta, jakby nie mógł się zdecydować, czy rozpocząć rozmowę, czy może lepiej milczeć.

– Co jeszcze?

– Amelia – wymamrotał wreszcie. – Czy mógłby pan jej jakoś pomóc?

– Karl, ja nie jestem dobrą wróżką, po prostu spłacam dług. Jestem wam coś winien, to wszystko. A pani Fichte obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Becker zacisnął usta, po chwili jednak skinął z rezygnacją głową i pomaszerował do ciężarówki. Podążyłem w ślad za nim, czekało na mnie jeszcze kilka niezłatwionych spraw. Cóż, przynajmniej miałem pewność, że *Fallschirmjäger* nie wpadną w ręce NKWD. Wolałbym, żeby Beria nie dowiedział się zbyt wiele na temat mojej zażyłości z rodziną von Bredow. Czort wie w jaki sposób mógłby to wykorzystać. Gdyby któryś ze spadochroniarzy odrzucił moją propozycję, musiałbym zapewnić sobie ich milczenie w inny sposób. Dużo bardziej... radykalny. Cieszyłem się, że do tego nie doszło. Miałem dość zabijania.



Rzęsiście oświetlony komisariat wyglądał dziwnie obco, dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że przecież już nie obowiązuje zaciemnienie. No i ta cisza: nie było słycać grzmotu armat ani karabinowych strzałów, ba! – z okolicy niedalekiego skwerku dochodziły nawet ptasie trele.

Odwrociłem się, słysząc znajomy głos: major Siemionow galopował wokół ciężarówki z Klaudią von Bredow na barkach. Najwyraźniej dziewczynka zdążyła nie tylko zawrzeć nowe znajomości, ale i odpowiednio je wykorzystać. Strach pomyśleć, co będzie, gdy dorośnie...

W drzwiach czekał już Lewartow, wszystkie pomieszczenia zabezpieczali moi ludzie.

– I jak? – spytałem.

– Pusto – odparł. – Wszystkie cenne rzeczy zniknęły, tak jak przypuszczaliście, *komandir*.

– Witte?

– Pod strażą. Jest tu też jego córka.

– Znakomicie! Prowadź.

Komisarz Witte siedział w swoim gabinecie, popijając herbatę. Obok na przyniesionym z poczekalni rozwalającym się krzeselku przycupnęła panna Monika. Gdyby nie wartownik u drzwi, można by pomyśleć, że to jeszcze jeden dzień

w obłęzionym mieście...

Widząc mnie, policjant stanął na baczność, zameldował się regulaminowo, jako starszemu stopniem. Niedbałym gestem wskazałem mu fotel, sam przysiadłem na brzegu biurka.

– Dajmy spokój formalnościom – zaproponowałem. – W końcu znamy się nie od dziś.

Komisarz przytaknął, ale w jego oczach czaił się lęk. Wiedział, że jestem panem sytuacji, i zastanawiał się, w jaki sposób to wykorzystam.

– Gdzie są depozyty? – powiedziałem, od razu przechodząc do sedna. – Te wszystkie kosztowności, które zabraliście z mieszkania Mentzel i Raabego?

– Zostały zabezpieczone – odparł z wyrazem uporu na twarzy. – To własność państwowa.

– Trzecia Rzesza nie istnieje – poinformowałem, nie starając się nawet ukryć sarkazmu. – Stąd termin „własność państwowa” budzi pewne wątpliwości. Byłoby fatalnie, gdyby został pan uznany za szabrownika...

– Ja...

– Dość tego! Nie mam czasu na takie gierki! Jeśli odda pan wszystko, przewiozę pana wraz z córką do strefy amerykańskiej. Alternatywa jest nieprzyjemna. Nie sądzę, żeby wytrzymał pan dłużej niż nieboszczyk Raabe.

Zapadła cisza, wyjąłem papierośnicę, poczęstowałem komisarza i sam zapaliłem. Witte poczekał, aż podam mu ogień, zaciągnął się głęboko. Nie ponaglałem go, czekałem. W gruncie rzeczy nie miał wyjścia: z córką u boku był całkowicie na mojej łasce i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Tyle że jak wiele osób w takich sytuacjach, potrzebował bodźca, usprawiedliwienia, które pozwoli mu spojrzeć sobie w oczy za rok czy dwa. Dałem mu to, czego chciał: swoją decyzję mógł umotywować troską o córkę.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Przekazę wam depozyty.

– To daleko stąd? Gdzie je ukryliście?

– W podziemiach, pod domem Ledermullera.

– Anton, weź kilku ludzi i jedźcie z nim – poleciłem.

Lewartow skinął głową i wyszedł wraz z komisarzem. Miałem nadzieję, że załatwią to szybko i sprawnie: od kilku dni czułem jakiś irracjonalny lęk. Byłem wśród swoich, bezpieczny, a jednak miałem wrażenie, że zbliża się coś niedobrego.

– *Komandir?*

– Co znowu? – mruknąłem niechętnie.

W progu stała Elena. Ponura mina dziewczyny nie zachęcała do konwersacji: tydzień temu Zorin został zdemobilizowany i wrócił do żony. Od tego czasu panna Szewieliewa nie mogła znaleźć sobie miejsca. Cóż, pierwsza miłość...

– Te kobiety chcą się z wami widzieć.

No tak, kazałem wypuścić z aresztu robotnice przymusowe, ale nie miałem czasu jeszcze z nimi pogadać. Pewnie zastanawiają się, co z nimi teraz będzie.

Czekały na mnie w pokoju odpraw, w towarzystwie kilkunastu wolnych od służby żołnierzy. Ktoś poczęstował je konserwą, ale trzymały się na uboczu, we własnym gronie. Nikt im się nie naprzykrzał, nasi utrzymywali dystans, otoczywszy je ochronnym kręgiem. Znaczy Siemionow powiedział swoim ludziom, kim są i przez co przeszły...

Stałem jakiś metr od ich stolika, ale jedna z Rosjanek podsunęła mi krzesło. Wyraz zaufania czy wyczuły, że nie stanowią dla nich żadnego zagrożenia? Szlag...

– W czym mogę wam pomóc? – zagałem.

– Chciałybyśmy wrócić do siebie, do domu – powiedziała Aleksandra. – Ja jestem z Moskwy, Swieta – wskazała towarzyszkę – z Odessy, a Krystyna z Warszawy. Wiem, że to nie wasz problem, ale nie znamy tu nikogo i pomyślałyśmy... – urwała niepewnie.

Wiedziałem, o co jej chodzi: to nie był dobry czas na podróż dla trzech samotnych kobiet.

– Jadę teraz w głąb Niemiec, jeśli chcecie, możecie zabrać się ze mną, w powrotnej drodze postaram się was wysadzić jak najbliżej domu.

– Mamy jechać z wami? I z nimi? – spytała Krystyna, niespokojnie popatrując na żołnierzy.

– Czy którykolwiek z nich wam się narzucał? – odpowiedziałem pytaniem.

– Nie, ale...

– ...boimy się – dokończyła za przyjaciółkę Aleksandra.

– Nic nie poradzę na wasz strach, ale mogę obiecać jedno: tu jesteście bezpieczne. Ze mną i z tymi żołnierzami.

– Chciałybyśmy się wykąpać – powiedziała niespodziewanie Krystyna. – Rozumie pan, chodzi o kąpiel w prawdziwej wannie. Tu co prawda są toalety i...

Uciszyłem ją gestem: widziałem, że wszystkie trzy doprowadziły się do porządku, na ile to było możliwe, ale pewnie nie chodziło o higienę. No a przynajmniej nie tylko o higienę.

– Żaden problem, o ile wystarczy wam pół godziny, później wyjeżdżamy. A ja przez ten czas załatwię wam jakieś ubrania.

– Naprawdę będziemy mogły się wykąpać? – rozpromieniła się Aleksandra.

– Naprawdę – obiecałem z uśmiechem.

Ech, żebym miał tylko takie problemy...

– Tima!

– *Komandir?*

– Zorganizuj im kąpiel, tylko raz-dwa. W którymś z sąsiednich domów na pewno znajdzie się jakaś wanna, a może i ciepła woda? I spróbuj załatwić im czystą odzież.

– To chyba nie jest dobry pomysł – stwierdziła milcząca do tej pory Swieta.

Jej głos był chrapliwy i drżący, tak jakby miała trudności z wymawianiem poszczególnych wyrazów. Nie dziwiłem jej się: za chwilę miała znaleźć się sam na sam z obcym, uzbrojonym mężczyzną.

Wyciągnąłem rękę do Krystyny, ta po chwili, z wyraźnym wahaniem podała mi dłoń. Wyprowadziłem ją na korytarz.

– Trzy lata temu Tima został postrzelony w głowę – poinformowałem szeptem. – Wyzdrowiał, ale intelektualnie jest na poziomie ośmioletniego dziecka. Pod każdym względem – podkreśliłem z naciskiem.

– Więc on...

– Tak, nawet nie pomyśli o was jak o kobietach.

Polka zerknęła na Kotuszewa, w jej oczach pojawiło się współczucie, być może po raz pierwszy spotkała kogoś, kto został bardziej okaleczony niż ona.

– Idziemy, dziewczyny! – zawołała.

No i dobrze: jeden kłopot mniej...



Podszedłem do ciężarówki, zajrzałem na pakę: osiem sporych skrzyń. Do tego trzy pokaźne skórzane walizki. Podniosłem jedną z nich, stęknąłem z wysiłku. Ważyła dobre czterdzieści kilogramów. Było tego zdecydowanie za dużo, jak na trofea zgarnięte przy okazji afery z lekami. Pewnie trochę kosztowności pozostało i z innych spraw. Znaczący Witte dotrzymał słowa, przekazał mi wszystko, co schował przed kapitulacją Breslau.

Otworzyłem jedną z walizek, gwizdnąłem cicho przez zęby: wypełniały ją ciasno upakowane woreczki pełne złotych i srebrnych monet. Obok leżało kilka niedużych metalowych pudełek po cukierkach. Otworzyłem jedno z nich, wewnątrz znajdowały się nieobrobione kamienie szlachetne: rubiny, szafiry, diamenty... Czort wie ile to wszystko warte, nie jestem jubilerem, ale podejrzewałem, że przynajmniej drugie tyle co złoto.

Wskoczyłem na ciężarówkę, podważyłem nożem wieko pierwszej z brzegu skrzyni: porcelana, zegarki, biżuteria, złote sztabki z próbą Reichsbanku. To wszystko poprzekładane jakimiś ciuchami, widać, że ludzie, którzy to pakowali, mocno się spieszyli.

– Komisarzu?

– Tak?

Witte nerwowym gestem zgasił papierosa i podszedł do wozu.

– Skąd to wszystko się u was wzięło? Bo przecież nie od Raabego i Mentzel: nawet gdyby prowadzili ten swój szwindel ze dwadzieścia lat, nie nazbieraliby tyle...

– Co to ma za znaczenie?

– A jednak – ponagliłem łagodnie.

– To majątek NSDAP – odparł przyciszonym głosem. – Przywieźli nam to kilka dni temu i kazali ukryć.

– Z Breslau?

– Raczej z całego Śląska.

No ładnie... Dobrze, że mam pod ręką żołnierzy *wojennej rozwiadki*, bo w innym wypadku mógłbym nie dojechać do Moskwy z tym skarbem.

– Czy teraz... – zająknął się Witte. – Czy mogę liczyć na...

– Oczywiście, proszę się nie martwić. Ruszamy za dziesięć minut.

– Jeszcze jedno: złapaliśmy Fursta. Siedzi teraz w celi. Tak jak pan przypuszczał, miał podrapaną twarz, dziewczyna go naznaczyła. Przyznał się do wszystkiego, ale zanim sąd wydał wyrok, Niehoff skapitulował...

Odwróciłem się, słysząc kroki: o bruk stukwały nie podkute żołnierskie buty, lecz damskie obcasiki. Przez chwilę myślałem, że to Inga, ostatnio – sam nie wiem dlaczego – starałem się unikać pani von Bredow.

– Zrobione! – zameldował dziarsko Tima.

Wszystkie trzy przebrały się w czystą odzież, wilgotne włosy świadczyły, że dopiero co wyszły z kąpieli, ale największa zmiana zaszła w ich zachowaniu: poruszały się zupełnie inaczej, nie kulily pod męskimi spojrzeniami, tak jakby jakimś cudem odzyskały szacunek dla samych siebie. Przynajmniej chwilowo...

– Dziękujemy – powiedziała Aleksandra przez zdławione gardło.

Poczułem zapach perfum. Znaczący Kotuszew zorganizował nie tylko świeże ubrania. No i dobrze, należały im się reparacje...

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, znalazłem się w objęciach kobiet. Czułości przerwało nam groźne chrząknięcie.

– A ja?! Ja też chcę buziaka!

Schyliłem się i pocałowałem dziewczynkę. Klaudia była jedynym członkiem rodziny von Bredow traktującym mnie normalnie. Horst siedział w samochodzie nadęty jak świński pęcherz, rozpatrując zapewne wszelkie aspekty zdrady, jakiej dopuścił się wobec Führera, nie donosząc na mnie Gestapo, a Inga... Cóż, ta także zachowywała się dziwnie; na wszelkie pytania odpowiadała monosylabami, za to nieustannie czułem na sobie jej wzrok, jakby chciała zapamiętać każdy mój gest, rysy twarzy... Wariactwo.

– *Komandir!*

Drgnąłem, słysząc szorstki głos: major Siemionow po raz pierwszy zwrócił się do mnie per „dowódco”. Ponura mina oficera nie wróżyła niczego dobrego.

– Co się stało?

Odeszliśmy kawalek, dwóch żołnierzy niby przypadkiem odgrodziło nas od pozostałych.

– Wysłano za nami grupę pościgową – powiedział. – Przed chwilą dostałem meldunek przez radio.

– Co to za grupa?!

– NKWD. Podobno dowodzi nią jeden z najbardziej zaufanych ludzi Berii.

Zakląłem wściekle. Czego chce ode mnie *Gienieralnyj Komissar Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*? A jednak przeczucie mnie nie myliło.

– Ruszamy! – warknąłem. – Natychmiast!

Siemionow włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie, z budynku komisariatu zaczęli wysypywać się żołnierze.

– *Po maszinam, riebiata!* – wrzasnął. – *Po maszinam!*

Wyjąłem pistolet i ruszyłem w stronę komisariatu: minuta mnie nie zbawi, a wypadało naprawić pomyłkę, jaką było pozostawienie Fursta przy życiu. Kobiety w Breslau powinny być mi wdzięczne...



Sprawdziłem naszą pozycję na mapie: jeszcze kwadrans, może mniej i znajdziemy się na terenie kontrolowanym przez naszych sojuszników i – chwilowo! – poza zasięgiem Berii. Nie żeby to cokolwiek zmieniło: życie rodziny von Bredow, tak czy owak, było w ręku Stalina. To on zadecyduje o dalszych losach Ingi i jej dzieci. O ile wcześniej nie załatwi tego Beria... Nie wiedziałem, czego chce ode mnie szef NKWD, ale nie miałem złudzeń. Wysłanie grupy pościgowej sugerowało, że nie chodzi raczej o złożenie gratulacji z okazji rozwiązania zagadki archiwum Himmlera.

– Dodaj gazu – poleciłem.

Elena spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Jedziemy w konwoju – przypomniała. – Musimy dostosować tempo do najwolniejszego wozu.

Machnąłem ręką, jednak nie podjąłem dyskusji. Rzeczywiście: mój mercedes – tak, zabrałem go z Breslau! – był chyba najszybszym samochodem w kolumnie. Zachwycona autem Elena ubłagała mnie, żebym pozwolił jej poprowadzić. Zgodziłem się niechętnie, bo ostatnio przebywanie w towarzystwie dziewczyny było dość męczące: po rozstaniu z Zorinem Elena obnosiła się ostentacyjnie ze swoim cierpieniem. Na szczęście albo wracała do normy, albo była tak zaabsorbowana jazdą, że zachowywała się bez zarzutu. No i dobrze, bo pewnie – jakby co – wysadziłbym ją

w drodze. Nie miałem ochoty po raz kolejny zagłębiać się w kwestie związane z życiem uczuciowym porucznik Szewieliewej.

– Jak się czujecie? – spytała niespodziewanie.

– Normalnie – odburknąłem. – A co, wyglądam na chorego? I od kiedy interesuje cię ktokolwiek poza osobą pułkownika Zorina? – dodałem złośliwie.

– Przywiązaliście się do tej małej, prawda? – zauważyła, ignorując zaczepkę.

– Przywiązałem? To tylko zadanie.

Elena odchrząknęła dyplomatycznie.

– Jeśli nie chcecie, to nie musimy o tym rozmawiać.

– Nie ma o czym.

– Widziałam, jak ją obejmowaliście...

– To małe dziecko, ciebie również by pocałowała, gdybyś ładnie poprosiła. Też mi sensacja!

– Jesteście praworęczni – powiedziała cicho dziewczyna. – Dlatego chcecie mieć tę dłoń zawsze wolną, na wszelki wypadek. To nawyk, pewnie nawet o tym nie myślicie. Ona o tym wiedziała: podeszła do was od lewej, a wy byliście pewni, że to zrobi. Pocałowała was, a wy odchyliście głowę, żeby jej było wygodniej się przytulić. Odruchowo, tak jakbyście to robili wiele razy...

– Zwariowałaś! Ja...

Przerwał nam ostry sygnał klaksonu, Elena natychmiast zahamowała, oboje wyskoczyliśmy z wozu. Ludzie Siemionowa sformowali ochronny krąg. Drogę blokowały nam dwa samochody pancerne i szpaler żołnierzy w mundurach NKWD.

– Siemionow! – krzyknąłem.

– Jestem!

– Jak sytuacja?

– Mamy przewagę liczebną, a te pancerki to nie problem: wziąłem z Breslau kilka panzerfaustów. Tylko że nie możemy przecież walczyć z czekistami! Nie w taki sposób!

W głosie Siemionowa słychać było frustrację: jak niemal każdy oficer *wojennej rozwiędki* nienawidził NKWD. Tuż przed wojną bezpieka urządziła armii krwawą łaźnię, rzeź nie ominęła i naszej firmy.

– Musimy dowiedzieć się, czego chcą i z czyjego rozkazu nas ścigają – powiedziałem po namyśle.

– Pójdę z wami, tylko wydam rozkazy. Mam w grupie kilku snajperów, osłonią nas, jakby co.

Wyszedłem na drogę, przystanąłem, aby poczekać na majora. Na razie nikt do mnie nie strzelał, dobre i to...

– Już – mruknął Siemionow. – Idziemy?

– Idziemy.

– Przyjrzałem się przez lunetę oficerowi dowodzącemu blokadą.

– I?

– To podpułkownik Warygin, gwiazda wydziału operacyjnego NKWD. Towarzysz Beria powierza mu tylko misję o szczególnym znaczeniu: w przeszłości Warygin ścigał największych wrogów Związku Radzieckiego. Albo towarzysza Berii... – dodał ciszej.

I ja go poznałem, kiedy podeszliśmy bliżej. Widziałem go kiedyś – był wtedy kapitanem – na Łubiance, zajmował się wówczas ochroną Genkoma wraz z dobrodusznym z wyglądu grubasem. Później pilnował mnie w szpitalu. Trudno zapomnieć twarz o twardych, kanciastych, jakby wykutych w granicie rysach. Zaraz! Wykutych w granicie? Olga pisała, że ścigają ich zaufani ludzie Berii: grubas podobny do Świętego Mikołaja i człowiek o rysach z granitu! Przede mną stał jeden z zabójców Olgi...

Przystanąłem, prawa dłoń niemal bez udziału woli zacisnęła się w pięść. Warygin. Podpułkownik Warygin...

Tamten nie czekał, wyszedł nam naprzeciw, wyciągnął z kieszeni jakiś dokument.

– Proszę natychmiast przekazać w moje ręce Inge von Bredow wraz z dziećmi! – polecił nieznośnym sprzeciwu tonem.

– Z czyjego rozkazu?

– Generalnego Komisarza Berii.

Sięgnąłem po pismo: wyglądało na autentyczne. I takie pewnie było. Rywalizując z *wojennoj razwiedkoj*, Beria oszukiwał, niemal doprowadził do mojej śmierci, a teraz, nie pogodziwszy się z porażką, postanowił odebrać mi zdobycz, za jaką uważał Inge. Pewnie już planował, w jaki sposób zmusi ją do wyjawienia, gdzie znajdują się kolejne materiały z archiwum Himmlera.

Nie wiedziałem, co zrobiłbym jeszcze dziesięć minut temu, może wydałbym mu Inge? Jednak teraz sytuacja zmieniła się radykalnie...

– Na co czekacie?! – warknął gniewnie.

Bez słowa podałem mu niewielką, oprawioną w plastik kartkę. Też swego rodzaju dokument. Tyle że podpisany przez Stalina.

Kreml

Moskwa

5 lutego 1943 roku

W związku z wykonywaną misją podpułkownik Razumowski zostaje przydzielony do dyspozycji Głównodowodzącego. Wszystkie organy państwa i sił zbrojnych zobowiązane są do udzielenia mu wszelkiej żądanej pomocy, a także zapewnienia transportu do dowolnego wskazanego przez podpułkownika Razumowskiego miejsca

na zasadzie absolutnego priorytetu. Podpułkownik Razumowski otrzymuje pełny dostęp do dokumentów o najwyższej klauzuli tajności. Wszelkie pytania dotyczące zadań wykonywanych przez podpułkownika Razumowskiego kierować należy bezpośrednio do Głównodowodzącego.

Podpisano:

Stalin I.W.

Głównodowodzący Sił Zbrojnych ZSRR

– Otrzymaliście to w innym celu! – wytknął. – Dla potrzeb dawno zakończonego dochodzenia! To już nieaktualne!

– Tego nie możecie wiedzieć – wycedziłem zimno. – Ale nikt wam nie broni skontaktować się z towarzyszem Stalinem i zapytać.

Warygin zacisnął zęby z taką siłą, że nabrzmiały mu żyły na skroniach. Wiedziałem, że akcja Berii nie była uzgodniona nie tylko z *wojennej rozwiędki*, ale i towarzyszem Stalinem. A ten popierał tylko zwycięzców. Co innego zameldować, że osoby posiadające informacje na temat archiwum Himmlera są w rękach NKWD – wówczas nikt nie zwracałby uwagi nie tylko na skargi pułkownika Razumowskiego, ale i dowódcy GRU, a co innego wydrzeć je siłą *wojennej rozwiędki*, lekceważąc wystawiony przez Stalina dokument. To ostatnie oznaczałoby nie tylko wyrok śmierci dla Warygina, ale i kłopoty dla Berii. Bo a nuż ktoś by pomyślał, że rozkazy Ławrentija Pawłowicza są ważniejsze niż Stalina? Niepodobieństwo... Z drugiej strony Warygin wiedział, że Beria nigdy mu nie daruje, jeśli mnie przepuści. Ot, dylemat! Tak źle i tak niedobrze.

– Wasza decyzja? – ponagliłem.

– Poczekam, aż wróćcie – odparł drżącym z wściekłości głosem. – Wtedy porozmawiamy.

– O tak – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Na pewno spotkamy się jeszcze i porozmawiamy...



Kolumna zatrzymała się zaraz za mostem, Elena zaparkowała sto metrów dalej. Postanowiłem podarować Indze mercedesa, a nuż jej się przyda? Gdybym wrócił autem do kraju, i tak by mi je zabrali...

Horst targał z wysiłkiem ogromną walizę, Inga niosła nieco mniejszą. Tylko Klaudia maszerowała bez obciążenia. Także komisarz i jego córka byli objuczeni niczym muły pociągowe. Idiocyzm, ale cywile nigdy się nie nauczą, że nie warto

ciągnąć ze sobą całego majdanu. Nie na wojnie. Bo twoja własność należy do ciebie tylko wtedy, kiedy przeżyjesz i jesteś w stanie ją obronić. Choć z drugiej strony wojna właśnie się skończyła...

Poczekalem, aż podejda, otworzyłem bagażnik.

– Tu jest to, co ci obiecałem – powiedziałem szorstko do Ingi. – Najlepiej od razu zdeponuj to w jakimś banku. I nie ufaj nikomu, kogo nie znasz.

Inga skinęła głową, twarz miała poszarzałą ze zmęczenia.

– Komisarzu?

– Tak?

– Ma pan tam coś cennego? – Wskazałem pękaty sakwojaż.

– Nic specjalnego – skrzywił się Witte. – Wie pan, jak to jest...

Wiedziałem: nadmiar skrupułów. Nie żeby z własnego doświadczenia...

– Na zarybek – powiedziałem, podając mu spory, metalicznie brzęczący woreczek.

– I spróbujcie trzymać się razem. Inga będzie potrzebowała kogoś zaufanego.

– Aleks?

– Słucham?

– Mój ojciec nie żyje?

– Tak, zginął w czasie bombardowania Drezna.

Horst pobladł i upuścił bagaż, Klaudia otworzyła szeroko oczy.

– Dziadek umarł? Dziadzius? – spytała płaczliwie.

– Wiedziałeś o tym już wcześniej, prawda?

– Niemal od początku – przyznałem.

Myślałem, że mnie uderzy, ale tylko zmrużyła oczy, tak jakby to jej zadano cios. Milczeliśmy przez długą chwilę, w powietrzu wisiały słowa, których żadne z nas nie ośmieliło się wymówić, w niemal modlitewnym skupieniu obserwowałem gwałtownie pulsującą tętnicę na szyi Ingi.

– Żegnaj – powiedziała wreszcie nieswoim, głuchym głosem.

Odwrociłem się i odszedłem bez słowa.

– Mamusiu, co z dziadkiem i kiedy Aleks wróci?

– Dziadek umarł, a Aleks nie wróci.

– To przeze mnie, bo byłem niegrzeczna, prawda? Ale ja się poprawię, poprawię się, mamusiu! Obiecuję! I oddam Aleksowi swoją czekoladę! Wracaj, Aleks! Aleks!

Czułem się jak szczupak na haczyku: zimne żelazo rozdzierało mnie gdzieś tam, w środku, ale rwałem do przodu, ku wolności.

– Aleeeeks!

Wsiadłem do wozu, dałem sygnał, kolumna ruszyła. Byłem wolny. I pusty. Pozbawiony wszelkich uczuć. Wracałem do domu.



Korzystając z tego, że oficer ochrony Kremla wyprzedził mnie i zapukał do drzwi gabinetu Stalina, jeszcze raz skłoniłem głowę, starając się dotknąć ustami rogu kołnierzyka. Dałem radę. Poza kosztownościami przywiozłem z Breslau kapsułki z cyjankiem, przeznaczone pierwotnie dla kierownictwa NSDAP. Jedną wszyłem w kołnierz munduru. Wiedziałem, że czeka mnie starcie z Bериą. Jeśli Stalin odda mnie Generalnemu Komisarzowi, zdążę ją rozgryźć, nawet gdyby skuli mi ręce.

– Głównodowodzący was prosi.

Stałem w progu, zameldowałem się regulaminowo. Stalin siedział za biurkiem, popijając herbatę. Mimo późnej pory, a dochodziła jedenasta, wyglądał na wypoczętego. Za to Beria sprawiał wrażenie, jakby nie spał przez ostatnie kilka dni: niezdrowa bladość cery i podkrążone oczy czyniły go podobnym do obłożnie chorego. Ech, gdybym tak mógł skrócić jego cierpienia...

– Siadajcie, pułkowniku. – Stalin wskazał krzesło oszczędnym gestem.

Usiadłem.

– Może herbaty?

Odmówiłem grzecznie. Czort wie jak to się komponuje z cyjankiem potasu? Wolałbym nie zdychać przez tydzień...

– Domyślcie się, po co was wezwałem?

– Owszem – potwierdziłem sucho.

– Dla porządku: Ławrentij Pawłowicz oskarża was o wywiezienie za granicę krewnej Zygryda von Bredowa wraz z rodziną, co według niego uniemożliwi odnalezienie kolejnych dokumentów z archiwum Himmlera. Niezależnie od jego oceny fakty pozostają faktami: to dzięki wam Inga von Bredow znalazła się poza naszym zasięgiem. Czy możecie to wytłumaczyć?

– Z całym szacunkiem, towarzyszu Głównodowodzący, ale nie wiem, skąd to dziwne mniemanie, że rodzina von Bredow jest dla nas niedostępna. Nie widzę żadnej konieczności operacyjnej, aby ją tu sprowadzić, wręcz przeciwnie, o czym za chwilę, ale jeśli tylko wydacie taki rozkaz, przywiozę ją tu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Ciekawe – mruknął Stalin, nabijając fajkę. – Bo towarzysz Beria twierdzi, że to niemożliwe...

– *Nikak niet!* To prawda, że rodzina von Bredow znajduje się w strefie kontrolowanej przez wojska amerykańskie, ale przejście granicy nie stanowi dla mnie żadnego problemu, podobnie jak zabranie stamtąd całej trójki. Inga von Bredow mi ufa i robi, co jej każe.

– Jesteście pewni? Podobno Amerykanie z każdym dniem uszczelniają swoją

strefę. Czy to też nieprecyzyjna informacja?

Beria zagryzł gniewnie wargi, ale nie odważył się przerwać.

– To akurat prawda – przyznałem. – Tyle że nie ma to żadnego znaczenia: nie mam zamiaru forsować granicy ukradkiem czy siłą. Kiedy znalazłem się na ich terytorium, chciałem uniknąć formalności i poprosiłem oficera, który dowodził na tym odcinku, o zachowanie... dyskrecji.

– Z jakim skutkiem?

– Zgodził się nie zgłaszać dowództwu wjazdu uzbrojonego konwoju sojuszników.

– Ot tak? Zgodził się i już?

– Niezupełnie. Poparłem prośbę garścią złotych monet.

– Jak rozumiem, te monety, które tak hojnie rozdawaliście, były własnością państwa radzieckiego! – wtrącił zjadliwie Beria.

– Mylicie się, towarzyszu, to część majątku NSDAP, który przejąłem w Breslau.

– Przejęliście?!

– I zdałem za pokwitowaniem – uprzedziłem dalsze protesty.

– Zdaliście? Ciekawe komu?!

– Swoim przełożonym, a komuż by innemu? Rozumiecie: łupy wojenne należą się znalazcy.

Stalin uśmiechnął się z rozbawieniem, za to twarz Generalnego Komisarza pokryła apoplektyczna purpura. Może go szlag trafi? Jakby co, miałbym świadka, że nie tknąłem go nawet palcem. Ech, chciałaby dusza do raju...

– Tak czy owak, trochę drogo – zauważył Stalin. – Jeśli za każdym razem będziecie mu tyle płacić, nie na długo wystarczy nam funduszy.

– To była jednorazowa opłata – zapewniłem. – Chyba że sam postanowię inaczej.

– Możecie wyjaśnić?

– On się przedstawił jako oficer żandarmerii, ale rozpoznałem go od razu, mamy go w naszych albumach: to major Kendall z OSS.

– I co w związku z tym?

– Rozumiecie, towarzyszu Głównodowodzący: istnieje możliwość, że Kendall zameldował o wszystkim przełożonym i oddał złoto. Jednak w moim przekonaniu szanse na to są niewielkie. Jeśli zaś tego nie zrobił... – Wzruszyłem wymownie ramionami.

Stalin mruknął z zadowoleniem: sprawa była oczywista, jeśli agent *Office of Strategic Services* nie dopełnił swoich obowiązków, był na naszej łasce.

– A Inga von Bredow? – zapytał. – Co z nią?

– To skomplikowana sprawa...

– Nie szkodzi, mamy czas – zapewnił dobrodusznie.

– Zygfryd von Bredow, człowiek, który ukrył archiwum Himmlera, choć nie popierał Hitlera, obsesyjnie nienawidził komunizmu – zacząłem, starając się mówić

spokojnym, wyważonym tonem. – Od początku chciał wymienić sekret archiwum w zamian za bezpieczeństwo rodziny. Rzecz jasna, brał pod uwagę raczej kupców z Zachodu... Jednak niczym wytrawny szachista starał się przewidzieć wszystkie możliwości, liczył się zarówno z możliwością swojej śmierci, jak i tym, że jego bliscy dostaną się w nasze ręce. Dlatego przygotował plan awaryjny...

Zarówno Stalin, jak i Beria wpatrywali się we mnie z napięciem: nie ulegało wątpliwości, że zdobyłem uwagę widowni.

– Pozostawił córce notatki, które są kluczem do odnalezienia ukrytych archiwaliów – kontynuowałem. – Częścią klucza. To album, w którym dziecięce rysunki przemieszane są z setkami fotografii przedstawiających rodzinę von Bredow na tle rozmaitych budowli. Zdjęcia zrobiono tak, że nie ukazują cech charakterystycznych budynków. Wiemy, że w bazgrołach małej Klaudii zakodowane są nazwy miast lub obiektów. Znając je, można ustalić miejsce, gdzie znajdują się akta. Problem w tym, że dziewczynka wymawia słowa kluczowe jedynie mimochodem, w czasie zabawy, kiedy jest całkowicie odprężona. Użycie siły, a nawet nacisk psychiczny nic tu nie dadzą. Dziewczynka musi czuć się bezpieczna. Drugą, a raczej trzecią częścią równania po albumie i córce jest Inga von Bredow. Tylko ona potrafi powiedzieć, o jakie miasto chodzi, bo Zygfryd, ukrywając akta, wojażował wraz z córką i wnuczką, tyle że Klaudia była zbyt mała, żeby zapamiętać detale. A takich na przykład Grünbergów jest przynajmniej kilka... Do tego dochodzą inne kwestie: to Inga von Bredow zauważyła, że gesty na fotografiach są znakami z opracowanego na potrzeby głuchoniewidomych alfabetu Lorma. Nie wiemy, ile jeszcze takich niespodzianek pozostawił w albumie Zygfryd. Stąd jeśli chcemy uzyskać kolejne informacje, musimy pozostawić rodzinę von Bredow w spokoju – zakończyłem.

– Skąd pewność, że pani von Bredow nie sprzeda sekretu Amerykanom?

– Nie jest głupia, wie, że zapłaciłaby za to życiem swoim i dzieci – odparłem. – Do tego...

– Tak? – zachęcił mnie Stalin.

– Jest mi coś winna – powiedziałem niechętnie. – Ocaliłem jej dzieci w czasie oblężenia Breslau. Jestem pewien, że przekaze nam wszelkie informacje.

– Więc mamy po prostu czekać?

– Nie beczynnienie – zapewniłem. – Znam położenie dwóch kolejnych skrytek.

Stalin pokiwał głową, jakby przytakując swoim myślom, ostrożnie odłożył fajkę.

– Przekonaliście mnie – oznajmił. – Dopóki pani von Bredow będzie przekazywała nam informacje, zostawimy ją w spokoju. Zrozumiałeś, Ławrentij?

W tonie Gławkoma nie było groźby, ani nawet specjalnego nacisku, ale Beria i tak zrobił się biały jak ściana.

– Tak jest! – zadeklarował natychmiast.

– To by było tyle, jesteście wolni, towarzysze.

- Miałbym do was prośbę, towarzyszu Głównodowodzący. Osobistą...
- Zostańcie – przyzwolił Stalin.
- Poczekalem, aż drzwi zamkną się za Berią, odchrząknąłem niepewnie.
- Słucham.
- Chciałbym prosić o czasowe przeniesienie ze służby w *wojennej rozwiędce* – powiedziałem. – Ja... W Breslau były chwile, że chciałem... Muszę odpocząć! – rzuciłem desperacko.
- Dlaczego nie załatwicie tego drogą służbową?
- Nikt się na to nie zgodzi – wymamrotałem.
- I co chcielibyście robić? Nie za wcześnie na emeryturę?
- Myślałem o milicji. Teraz, kiedy wrócą nasze wojska, trzeba będzie wzmocnić organy porządkowe...
- To prawda – przyznał Stalin. – Może rzeczywiście przyda się tam ktoś taki jak wy? Zgoda! – zdecydował. – Ale zaczniecie od samego dołu, ze stopniem podporucznika i założeniem, że nie potrwa to dłużej niż rok czy dwa.
- *Tak toczno!*
- No, no, bez gimnastyki. Idźcie, późno już.



Odetchnąłem głęboko, patrząc w skrzące się setkami gwiazd niebo nad Moskwą, słuchałem dźwięku kremlowskich kurantów: wybiła północ. Wiedziałem, że sukces, jaki odniosłem w konfrontacji z Berią, jest tylko chwilowy i że przyjdzie mi za niego zapłacić – być może życiem. Były też inne rachunki do wyrównania: Warygin nie rzucał słów na wiatr. Cóż, ja także... Jednak nie czułem strachu. Na to przyjdzie jeszcze czas. Później.

Niespiesznym krokiem przemierzałem Arbat, smakując każdą chwilę. Szukałem znajomych witryn i fasad. Witałem się z miastem. Z moim miastem. Wróciłem do domu.



POSŁOWIE

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

Frau – pani

Fräulein – panienka

Kapitulieren? Nein! – Kapitulować? Nie!

Jawohl! – Tak jest!

Komandir – dowódca

Tak toczno! – Tak jest!

Die Russen kommen! – Rosjanie nadchodzą!

Ich bin Jude. – Jestem Żydem.

On toczno miortw, jego zariezali kak swiniu. – On naprawdę nie żyje, zarżnęli go jak świnie.

Ja wam nie wieriu. – Nie wierzę wam.

Nienawiżu. – Nienawidzę.

Kak tiebia zowut? – Jak masz na imię?

Mienia toże zowut Sasza. – Ja też mam na imię Sasza.

Czto skażesz, siestrionka? – Co powiesz, siostrzyczko?

K czortu! – Do diabła!

Osobyj – specjalny

Po maszinam, riebiata! – Do wozów, chłopaki!

Nikak niet! – Skądże! W żadnym wypadku!

Truppenfahrrad – niemiecki rower wojskowy. Dzięki zastosowaniu uchwytów transportowych można było przewozić na nim radiostację, skrzynki z amunicją bądź broń lub elementy uzbrojenia. Rowery tego typu malowano czarną, matową farbą i wytwarzano dla armii niemieckiej w ogromnych ilościach. Ponieważ produkcją zajmowało się wiele różnych fabryk, mimo istnienia pewnych ogólnych standardów poszczególne egzemplarze różniły się detalami.

Breslau – Wrocław. W powieści konsekwentnie używam nazwy Breslau, ponieważ takowa była wówczas powszechnie stosowana.

SzKAS – skrót od: *Szpitalnego-Komarickiego Awiacjonnyj Skorostrielnij* (Szybkostrzelny Lotniczy Szpitalnego i Komarickiego). Karabin maszynowy skonstruowany przez Szpitalnego i Komarickiego dla radzieckiego lotnictwa. Wykorzystywany między innymi w samolotach szturmowych Ił-2. Szybkostrzelność teoretyczna wynosi 1800 strzałów na minutę, w odmianie Ultra-SzKAS – 3000 strzałów na minutę.

Hitlerjugend – „Młodzież Hitlera”, organizacja paramilitarna skupiająca niemiecką młodzież. Rozporządzenie z 1939 roku określało, że do służby w Hitlerjugend zobowiązani są wszyscy nieletni w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat. W 1943 roku ze względu na ogromne straty Hitlerjugend zamieniono w rezerwę wojskową i na bazie aktywistów tej organizacji utworzono 12. Dywizję Pancerną SS Hitlerjugend. Większość jej żołnierzy miała po siedemnaście lat. Jednostka ta szybko zasłynęła z bezwzględności, fanatyzmu i skuteczności w walce. Powierzano jej najtrudniejsze zadania: w czasie walk w Normandii w ciągu miesiąca straciła sześćdziesiąt procent stanu osobowego, w kotle pod Falaise otrzymała rozkaz osłaniania odwrotu wojsk niemieckich. W trakcie działań osłonowych straciła większość sprzętu, ale wydostała się z okrążenia. W 1945 roku w walkach o Wrocław brały udział dwa bataliony Hitlerjugend, które wyróżniły się agresją i zaciętością w boju, ponosząc jednak bardzo duże straty.

RSHA – *Reichssicherheitshauptamt* – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Unterscharführer – najniższy stopień podoficerski w SS. Odpowiadał mniej więcej stopniowi plutonowego.

Sicherheitsdienst – pełna nazwa: *Sicherheitsdienst des Reichsführers-SS* (w skrócie

SD), Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Organ wywiadu, kontrwywiadu i służba bezpieczeństwa SS.

Erich Rahn – pionier niemieckiego *jujutsu*. W 1906 roku założył w Berlinie pierwszą szkołę *jujutsu*. W późniejszym okresie zainteresował tą sztuką policję i wojsko.

Salzstrasse – konstruuując fabułę swoich powieści, staram się, na ile to możliwe, brać pod uwagę realia. Dlatego opisując Wrocław z czasów oblężenia, korzystałem ze starych map, fotografii, wspomnień i pamiątek. Tak było i z Salzstrasse (obecnie ulica Cybulskiego), gdzie kazałem mieszkać Razumowskiemu i Indze. Ulica ta przetrwała wojnę w stanie niemal nienaruszonym.

Głuzdowski – Władimir Aleksiejewicz Głuzdowski, generał-lejtnant, w latach 1944-1945 dowodził Szóstą Armią Pierwszego Frontu Ukraińskiego, zdobywającą Wrocław. Urodził się w 1903 roku w Tyflisie (późniejsze Tbilisi). Podobno był wnukiem polskiego zesłańca, ale ogólnie dostępne rosyjskie źródła nic nie mówią na ten temat.

Kommissarbefehl (rozkaz o komisarzach) – jeszcze przed rozpoczęciem operacji „Barbarossa” (ataku na Związek Radziecki) Adolf Hitler jasno określił, że nie może być mowy o zachowaniu ogólnie przyjętych zasad odnoszących się do konfliktów zbrojnych i że niemieckie wojska prowadzić będą wojnę totalną. W związku z tym zatroszczono się o stworzenie „podstawy prawnej” umożliwiającej armii niemieckiej prowadzenie eksterminacji zarówno ludności cywilnej, jak i jeńców wojennych. Przykładowo rozkaz o „Jurysdykcji Barbarossa” z 13 maja 1941 roku zezwalał każdemu niemieckiemu oficerowi na Wschodzie na dokonanie egzekucji bez sądu na osobach podejrzewanych o wrogi stosunek do Niemców. „Kommissarbefehl” w imieniu Hitlera podpisał feldmarszałek Wilhelm Keitel w dniu 6 czerwca 1941 r. Zgodnie z rozkazem zidentyfikowanych komisarzy politycznych należało natychmiast izolować od innych więźniów i likwidować. Dowództwo Wehrmachtu świetnie zdawało sobie sprawę, że rozkaz jest nielegalny: w formie pisemnej przesłano go tylko do sztabów grup armii i armii z instrukcją, że dalej ma być rozpowszechniany jedynie w formie ustnej.

Podporucznik Nazarow – Aleksander Aleksandrowicz Nazarow był dowódcą plutonu w 1. Batalionie 243. Pułku Strzelców Wołżańskich, wchodzącym w skład 181. Dywizji Strzelców. Okoliczności jego śmierci opisałem w powieści.

Podporucznik Nazarow pośmiertnie został nagrodzony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Hojojutsu i kinbaku – jak i w przypadku wielu innych sztuk walki, początki *hojojutsu* nie są zbyt dobrze znane i często mieszają się z mitami. I tak na przykład według przekazu związanego z Takenouchi-ryu (jedną z najstarszych szkół *jujutsu*) sekrety sztuki krępowania przekazał założycielowi szkoły siwowłósy, wysoki na dwa metry *yamabushi* (dosłownie „ukrywający się w górach”) podobny do bóstwa Atago. To on właśnie za pomocą zerwanego z pobliskiego drzewa pnącza miał zademonstrować mistrzowi Takenouchi Hisamori, jak wiązać obezwładnionego przeciwnika. Techniki te zwane *musha garami* stały się pierwowzorem *haya nawa* (szybkiego krępowania przeciwnika krótkim sznurem). Na polu walki często w tym celu używano *sageo* – sznura doczepianego do pochwy miecza. Techniki „szybkiego sznura” były brutalnie skuteczne i nie zawierały żadnych ozdóbek: ich celem było odebranie powalonemu wrogowi jakiegokolwiek szansy na kontratak. Na przykład skrępowane na plecach ręce łączono z więzami na nogach i samozaciskającą się pętlą na szyi, co przy najmniejszym ruchu powodowało duszności, a przy gwałtownych mogło zakończyć się śmiercią ofiary.

Nieco później zaczęła stosować podobne techniki policja, tyle że w tym wypadku kładziono nacisk na nieco inne priorytety: krępowanie miało oczywiście unieruchomić przestępcę, ale ważny był też wymiar ceremonialny (rodzaj więzów, a nawet kolor sznura zmieniano w zależności od rangi aresztanta i rodzaju przestępstwa), pętanie samo w sobie było karą (winni przestępstw skazywani byli na pozostawanie w niewygodnej pozycji całymi godzinami bądź też stanowiło to rodzaj tortur sądowych w celu wymuszenia zeznań), niesłychanie ważny był też aspekt estetyczny – więzy miały wręcz „ozdabiać” ciało...

Podstawowe zasady „policyjnego” *hojojutsu* zakładały, że więzy – mimo zadawania bólu – nie mogą powodować nieodwracalnych uszkodzeń, co wymagało sporej wiedzy anatomicznej i doświadczenia praktycznego, gdyż umieszczenie splotów w nieodpowiednim miejscu skutkowało mogło między innymi zatrzymaniem krążenia czy uciskiem na nerwy.

Swego rodzaju odmianą *hojojutsu* (choć w mocno umownym sensie) jest *kinbaku*, używa się także terminu *shibari*. Uległe kobiety i zabawa w dominację są od dawna obsesją Japończyków. Za ojca *kinbaku* uchodzi japoński malarz Seiū Ito. Zainspirowany erotycznymi podtekstami występującymi w obrazach *ukiyo-e* takich artystów jak choćby Tsukioka Yoshitoshi (przedstawiających skrępowane kobiety) i w teatrze *kabuki*, rozpropagował sztukę erotycznego wiązania, wykorzystując w niej elementy *hojojutsu*. Mimo początkowych protestów doczekał się uznania jako artysta

(był autorem fotografii, obrazów i książek), a sama idea przyjęła się w Japonii. W każdym kręgu kulturowym istnieją herosi siejący spustoszenie w sercach kobiet, w Japonii jedną z takich postaci jest *nawashi* – mistrz liny...

Armia Czerwona w Niemczech – morderstwa, rabunki, a przede wszystkim gwałty dokonywane przez rosyjskich żołnierzy na terenie Niemiec należą do najbardziej ponurych kart II wojny światowej. Ofiarami czerwonoarmistów padały i kobiety innych narodowości (w tym Polki), ale dopiero na terenach należących do III Rzeszy rozpętała się prawdziwa orgia zniszczenia. Nie wszystkie zbrodnie przypisywane Armii Czerwonej miały rzeczywiście miejsce: niemiecka propaganda w ostatnich miesiącach wojny działała pełną parą, a i okres zimnej wojny nie sprzyjał obiektywnemu podejściu do tego tematu, niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że setki tysięcy, a może i miliony Niemców stały się ofiarami przemocy seksualnej ze strony radzieckich żołnierzy. Wiele z nich popełniło samobójstwo, czasem wraz z rodzinami. Inne „przystosowały” się do sytuacji, zajmując się prostytutką. Co dziwne – cieszyły się szacunkiem rodaków. Zjawisko było na tyle powszechne, że dokumenty z tego okresu mówią wręcz o nagabywaniu Rosjan przez niemieckie prostytutki. Przypadki, kiedy niemieccy mężczyźni występowali w obronie kobiet, zdarzały się jedynie sporadycznie. Nie można w żaden sposób usprawiedliwić tego, co robili Rosjanie, jednak wypada zauważyć, że po stronie niemieckiej niemal nie występuje refleksja, iż niemieckim kobietom przyszło zapłacić za postępowanie swoich mężczyzn na Wschodzie. Morderstwa i gwałty towarzyszyły bowiem armii niemieckiej od samego początku wojny, a Związek Radziecki był krajem wyjątkowo poszkodowanym przez Trzecią Rzeszę. Stąd słowo „litość” było dla Rosjan w Niemczech jedynie abstrakcyjnym pojęciem. Istniały jednak granice, których Rosjanie (przeważnie) nie przekraczali: tak jak napisałem w powieści, nie krzywdzono dzieci. Potwierdzają to zeznania wielu świadków i wspomnienia samych Niemców.

Czy dowództwo Armii Czerwonej rzeczywiście chciało złamać morale Niemców, wydając zezwolenie na takie, a nie inne traktowanie obywateli Trzeciej Rzeszy? Nie są znane żadne dokumenty, które potwierdzałyby to wprost, jednak rozkazy wydawane przez rosyjskich dowódców, jak choćby rozkaz dowódcy 3. Frontu Białoruskiego, generała Iwana Czerniachowskiego (znanego z akcji rozbijania i likwidacji oddziałów AK na Wileńszczyźnie), nawołujący do zamienienia „kraju faszystów” w pustynię, i działalność oficerów politycznych, przypominających żołnierzom, że wkraczają na tereny „przeklętych Niemiec”, sugerują, iż myśl ta nie jest wcale aż tak nieprawdopodobna, jak by się to wydawało na pierwszy rzut oka...

Tania Sawiczewa – opisana w powieści historia Tani Sawiczewej jest prawdziwa:

w czasie oblężenia Leningradu dziewczynka prowadziła coś w rodzaju dziennika, w którym za pomocą lakonicznych, pozornie beznamiętnych wpisów odnotowała śmierć swoich bliskich. Zmarła w wieku czternastu lat w 1944 roku w szpitalu w wyniku skrajnego wycieńczenia i gruźlicy. Była jedynym dzieckiem z liczącego sto dwadzieścia pięć osób transportu, którego nie udało się uratować. Być może wpłynął na to brak woli życia – dziewczynka była przekonana, że cała jej rodzina zginęła. Po wojnie okazało się jednak, że ocalała jej siostra Nina: dwudziestego ósmego lutego 1942 Nina nie wróciła z pracy do domu, gdyż została ewakuowana wraz z całym zakładem i nie zdążyła powiadomić o tym bliskich. Tania nie zamieściła notatki o śmierci Niny (zapewne początkowo mając nadzieję, że ta żyje), ale z biegiem czasu prawdopodobnie doszła do wniosku, że jej siostra umarła, tak jak i reszta rodziny (nie знаła też losów brata – Miszy, który opuścił miasto przed rozpoczęciem blokady)...

Kiedy Nina wróciła do Leningradu, chcąc wyjaśnić losy bliskich, w jej ręce wpadł dziennik Tani. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi, dopiero jej mąż zorientował się w charakterze „dziecięcych bazgrołów” i zaproponował umieszczenie dziennika w Muzeum Obrony Leningradu. Obecnie dokument eksponowany jest w Państwowym Muzeum Historii Sankt Petersburga jako symbol heroizmu mieszkańców miasta z czasów blokady. W 1971 roku Ludmiła Czernych nazwała nowo odkrytą planetoidę imieniem Tani.

Kryształki – wspomniane w powieści kryształki istnieją naprawdę. To rodzaj szklanego pręcika długości kilku milimetrów (niektóre są nieco dłuższe). Pręcik składa się z dwóch elementów, między którymi umieszczono wykonaną techniką mikrokropki fotografię. Jeden z elementów zawiera coś w rodzaju soczewki. Kryształki znajdowano w różnych miejscach, między innymi na Dolnym Śląsku. Ich przeznaczenie do dziś dnia jest nieznane: najbardziej prawdopodobna hipoteza mówi o testowaniu przez służby specjalne Trzeciej Rzeszy nowego sposobu archiwizowania dokumentów (fotografie są przeważnie kiepskiej jakości). W środowisku eksploratorów krążą pogłoski o tajemniczych zbiorach kryształków i udziale Niemców w poszukiwaniach tychże... Podobno sporą ilość kryształków zgromadzili Rosjanie.

Kolberg – film pod tym tytułem powstał pod koniec II wojny światowej na zamówienie ministra propagandy Josepha Goebbelsa. Wyreżyserował go znany z realizacji propagandowych projektów dla nazistów Veit Harlan, autor słynnego antysemickiego obrazu „Żyd Süß”. Jego treść bazowała na wydarzeniach z okresu wojen napoleońskich, kiedy to pruscy żołnierze z pomocą mieszkańców Kołobrzegu stawili opór potężnej armii francuskiej. Wymowa filmu była jasna: armia niemiecka i Volkssturm odeprą atak wroga... Była to jedna z ostatnich produkcji Trzeciej Rzeszy.

Mimo gigantycznych, jak na owe czasy, sił i środków zaangażowanych w projekt (film kosztował ponad osiem milionów marek, a dla scen batalistycznych wykorzystywano całe jednostki Wehrmachtu, mimo rozpaczliwej sytuacji na froncie) nie odegrał on większej roli. Premiera miała miejsce 30 stycznia 1945 roku (w dwunastą rocznicę dojścia Hitlera do władzy) jednocześnie w obleganym przez aliantów porcie La Rochelle i Berlinie. Dostarczono go też i do ogłoszonego twierdzą Wrocławia.

Żelazny byk ryje ziemię – jedno z ćwiczeń „żelaznej dłoni”. Wbrew powszechnym wyobrażeniom sztuka „żelaznej dłoni” obejmuje nie tylko trening utwardzania powierzchni uderzeniowych, ale i bardzo skomplikowane praktyki bazujące na chińskim systemie meridianów i punktów witalnych. Niektóre z ćwiczeń noszą dość wyszukane nazwy.

Kikko gaeshi – „wywrócenie żółwia”, autentyczna technika Fudo Chishin-ryu *hakuda*. *Hakuda* to system podobny do *jujutsu* (niektórzy eksperci sądzą, że wręcz tożsamy z tą sztuką). Na tle starych, bojowych (a więc dążących do fizycznej likwidacji, a nie obezwładnienia przeciwnika) szkół *jujutsu* charakteryzował się wyjątkową „twardością” i upodobaniem do *atemi* (uderzeń w żywotne punkty ciała).

Riese – podziemny kompleks (*Riese* niem. „olbrzym”) usytuowany w Górach Sowich. Prace nad projektem „Riese” rozpoczęto po alianckich bombardowaniach z 1943 roku. Obejmowały one okolice zamku Książ oraz podziemne konstrukcje w Górach Sowich. Ich przeznaczenie do dzisiaj pozostaje zagadką: mówi się o przetwarzaniu rudy uranu, tajnych laboratoriach i schronach. Podziemia „Riese” zostały zbadane tylko w niewielkim stopniu: wejścia do wielu obiektów wysadzono w powietrze lub zatopiono tuż przed końcem wojny. O wadze, jaką przywiązywali Niemcy do tego projektu, świadczą ogromne środki przeznaczone na budowę kompleksu „Riese”. Przy jego budowie zginęło wielu więźniów (przeważnie Żydów).



ADAM PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał sześć powieści oraz tom opowiadań. Na koncie ma nominację do Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego w 2014 roku za „Gambit Wielopolskiego”. Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.

Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się:

1. Pierwszy krok
2. Chorągiew Michała Archanioła
3. Wilczy Legion
4. Białe noce

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2014

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-986-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE Matej Toman

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.p.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

ADAM PRZECHRZTA

DEMONY WŹJNY

Festung Breslau. Druga część doskonałej kontynuacji *Demonów Leningradu*

Trwa jedna z ostatnich bitew II wojny światowej w Europie, Festung Breslau sphywa krwią w kleszczach najpotężniejszej armii świata. Pułkownik Razumowski przybywa do miasta w poszukiwaniu dokumentów o niezwyklej wadze, ukrytych na rozkaz samego Himmlera.

Stalin kolejny raz stawia na rywalizację między wywiadem wojskowym a NKWD, tyle że Beria nie przywykł grać uczciwie, tym bardziej że stawka jest wysoka: III Rzesza dogorywa, lada moment dotychczasowi sojusznicy zetrą się w bezwzględnej walce o panowanie nad światem. O wyniku tego starcia może zdecydować archiwum Himmlera, dlatego nikt nie ma zamiaru przestrzegać zasad ani okazywać litości przegranym...



Polub nas na facebooku



fabrykaslow.com.pl


fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Wyłączny dystrybutor



Patroni medialni



KAWERNA

